

Andrzej Sawicki

Inkluzja

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Xiu i Shao

Sterowanie Gruchotem nie było łatwe. Pomimo że w czaszce zamontowany miałam wojskowy wszczep, dzięki któremu stale pozostawałam w kontakcie z komputerem topornego transportera górniczego, w czasie manewrów musiałam być całkowicie skupiona. Cholernie łatwo było zahaczyć burtą o ścianę tunelu. Wyrznięcie w nieregularną, żelazną krawędź definitywnie zakończyłoby i tak długi żywot mojej maszyny. Niestety, kres nadszedłby i dla mnie, szczególnie gdyby wysiadły stabilizatory grawitacyjne i systemy podtrzymania życia. W sztolniach Czarnego Słońca panowało potężne ciśnienie i szczątkowa atmosfera zdegenerowanego gazu atomowego. Warunki zdecydowanie nieprzyjazne dla życia. W dodatku nie były to jedyne niebezpieczeństwa, na które narażeni byli ludzie zamieszkujący wnętrze martwej gwiazdy.

Wreszcie wlecieliśmy do obszernej kawerny, którą, nie wiedząc czemu, nazywano holem. Prastare wyrobisko ciągnęło się kilometrami. W wielkiej, czarnej jak całe Słońce jaskini zebrało się już kilkanaście pojazdów i z każdą chwilą przybywały następne. Górnicze zniwiarki, mobilne rafinatory i transportery wylatywały z korytarzy rozsianych na całej północnej ścianie. Wszystkie maszyny

były równie leciwe i wysłużone jak mój Gruchot. Zbieranina starego górniczego sprzętu wyglądała jak parking na zjeździe weteranów złomowisk.

– Widzisz to, Shao? – mruknęłam. – Niezła menażeria.

– Jak zwykle nie posłuchali. Myślą, że sama nie dasz rady – odpowiedział niski, metaliczny głos.

Jasne. Mała, żółta panienka z warkoczykami. Nie sprawiam wrażenia twardziela, który poradzi sobie z Żelaźniakiem. Woleliby nieogolonego, spoconego mięśniaka z bliznami na gębie. Prawdziwego wiedźmina, a nie półtorametrową chińską smarkulę. Tylko że za tę nędzną garść plastikowych dolarów żaden sławny wiedźmin nie pierdnąłby w stołek, nie mówiąc o ryzykowaniu życiem. Byłam jedyną osobą, która odpowiedziała na rozpaczliwe wołanie o pomoc.

Nacisnęłam stery, przyspieszając gwałtownie. Już po paru chwilach dolecieliśmy w miejsce, gdzie zebrali się górnicy. Zwolniłam, jednocześnie wykonując pełen obrót niezgrabną maszyną i efektownie zatrzymałam ją w miejscu. Lubiałam się popisywać, taka drobna słabość.

– Pani Xiu już jest – wójt nadawał na otwartym paśmie, mogłam sobie popatrzeć na jego wykrzywioną strachem twarz, wyświetlaną na głównym monitorze. – Postanowiliśmy panią wesprzeć. W razie czego...

– Co zrobicie w razie czego? – warknęłam. Trochę mnie irytował ten brak zaufania.

– Postaramy się pomóc – odpowiedział wójt po chwili wahania.

– Daj spokój, wiedźminko – odezwał się Shao na wewnętrznym paśmie. – To prości ludzie, starają się, jak mogą. Nie próbują cię obrazić, martwią się o osadę, o życie swoich bliskich.

– Dobra, dobra – mruknęłam. – Tylko się drocze. Mam chyba prawo do odrobiny przyjemności? – Nie czekając na odpowiedź Shao, przełączyłam nadajnik na otwarte pasmo i oznajmiłam: – Dziękuję za troskę, ale spróbuję załatwić to w pojedynkę. Jeśli chcecie popatrzeć, trzymajcie się co najmniej dwa kilometry z tyłu. A gdy coś pójdzie nie tak, nie odgrywajcie bohaterów, tylko wiejcie stąd pełnym ciągiem.

Wójt nerwowo pokiwał głową. Nie czekając na dalszą bezproduktywną wymianę grzeczności, przyciągnęłam dźwonek steru, stawiając Gruchota pionowo, a po sekundzie zrobiłam zwrot przez burtę i zaprezentowałam górnikom wyloty silników grawitacyjnych. Transporter, błyskając nieregularnie z dysz zdezelowanego napędu, ruszył do przodu. Gruchoty moich obecnych, pożalowania godnych, pracodawców zostały z tyłu.

Poprawiłam wtyczkę w gnieździe wszczepu na karku i najwygodniej jak się dało rozparłam się w fotelu. Kilka głębokich wdechów, żeby uspokoić umysł. Chwila odprężenia przed zadaniem. Gruchot mknął w stronę południowej ściany holu, gdzie znajdował się wlot do szerokiego tunelu, którym zbliżał się Żelaźniak. Pora wypuścić Shao.

– Powodzenia, złomie, nie zawieźdź mnie – szepnęłam, otwierając luk towarowy.

Shao nie odpowiedział, za to zobaczyłam oślepiająco białe światło z dysz jego silników. Zwalista, humanoidalna postać cyborga wyglądała jak okruszek przy gigantycznych, żelaznych stalaktytach oświetlanych reflektorami Gruchota. Kolumny metalu zwisały kilometrami ze sklepienia holu. Czterometrowy robot z mózgiem człowieka wmontowanym w potężne cielsko pędził jak pocisk w kierunku tunelu. Sprawdziłam, czy ciągle mam połączenie. Cyborg musiał przecież sprawdzić tunel i podać mi namiary na optymalną pozycję do konfrontacji z Żelaźniakiem. Był moim zwiadowcą, a dobre rozpoznanie to połowa zwycięstwa, jak uczyli mnie na szkoleniu.

Dzięki wszczepowi w rdzeń kręgowy mogłam kontrolować wszystkie systemy operacyjne Gruchota. Do tych systemów podpina się również Shao i może mi bezpośrednio przesyłać dane. W takich chwilach stajemy się doskonałym zespołem, działamy jak jeden organizm, chociaż Shao ma własną świadomość i inteligencję. Ale to ja jestem mózgiem w tym tandemie.

Proste. I to ja sama wymyśliłam ten układ. Dobra jestem, co tu kryć.

*

Lubiłem mknąć przez mroczne korytarze wygasłego słońca. Tu nie byłem taki niezgrabny jak pod kopułami habitatów, w ciasnych tunelach baz mieszkalnych, w których musiałem wyłączać

stabilizatory grawitacyjne. Tutaj chroniły mnie przed ciążeniem, byłem lekki i zwiewny jak piórko. Nie liczyło się, że tak naprawdę ważę ponad dziesięć ton. Byłem tylko ziarenkiem metalu wirującym we wnętrzu Czarnego Słońca.

Polerowana stal mego pancerza rozbłyskiwała w smagających ciemność światłach reflektorów. Rozglądałem się, podziwiając kolumny stopionego żelaza zwisające ze sklepienia wyrobiska. Pomimo że jestem tylko górniczym cyborgiem, wyposażono mnie w mózg człowieka. Poległego żołnierza, który pozwolił, by wykorzystano jego organy. Nie jestem jakąś tam zwykłą, sztuczną inteligencją. Moje ja to prawdziwy człowiek. Dlatego potrafię się zachwycać pięknem martwej gwiazdy. Prócz świadomości posiadam coś więcej, umiejętność odbierania rzeczywistości także ludzkim aspektem, osobowością, duszą. Czuję.

Byłem prototypem – nigdy jednak niewdrożonym do masowej produkcji. Nie spełniałem wymagań: zdarzało się, że reagowałem wbrew dyrektywom, a czasami nie potrafiłem wykonać prostych poleceń. Uznano, że ludzkiego mózgu nie da się dokładnie zaprogramować, bo w przeciwieństwie do sztucznych inteligencji jest zbyt niestabilny. Niewiele brakowało, żebym został przerobiony na żyletki, gdy mój konstruktor wyleciał z roboty. Xiu, nieobliczalna chińska dziewczyna, wykupiła mnie w ostatniej chwili.

– Hej, złomie! – wyrywa mnie z rozmyślań jej wrzaskliwy głosik.
– Co się tak wleciesz? Pośpiesz się, bo Żelazniak przejdzie przez hol, a ja nie zdążę nawet skalibrować sprzętu!

Moja mała Xiu, słodka jak zwykle. Wiedziała, że automatycznie włączyłem detektory i wiązki skaningowe. Nie odpowiedziałem, ale przyśpieszyłem posłusznie. Smuga ognia z wylotu raketowych silników wydłużyła się prawie dwukrotnie. Pewnie teraz wyglądałem jak pędząca kometa, gdy ciągnąłem za sobą świetlisty ogon.

Dziewczyna miała rację. Nie był to najlepszy moment na podziwianie wielkiego holu. Biedni górnicy czekali na pomoc. Ich życie wisiało na włosku, a my byliśmy jedyną nadzieją. Mroczny otwór tunelu zbliżał się szybko. Wleciałem tam z pełną prędkością, choć nie wiedziałem, co zastanę za najbliższym załomem korytarza.

Wijące się w nieskończoność, niezmierzone tunele były równie wielką zagadką jak całe Czarne Słońce. Ludzie odnaleźli to słońce przypadkowo w kosmicznej pustce. Martwą, zimną gwiazdę. Niewielką jak na skalę kosmiczną, bo średnicą zbliżoną do rozmiarów sporej planety, kulę żelaza. Czarny karzeł, czyli wygasłe ze starości słońce, zgodnie ze znaną fizyką nie mógł istnieć. Wszechświat jest zwyczajnie za młody, by zdążyły w nim powstać takie twory jak umarła gwiazda, która odrzuciła zewnątrz powłoki tak, że zostało tylko powoli stygnące jądro. Jak długo trzeba czekać, aż jego materia ulegnie powolnym, atomowym przemianom, zamieniając się w żelazo, naturalnie powstający pierwiastek o najbardziej stabilnej budowie? Bilion lat wydawałby się przy tym okresie ledwie drgnieniem powieki. Obiekt, w którym się znajdowaliśmy, był wielokrotnie starszy niż wszechświat. Martwe słońce istniało wbrew temu, co twierdzili naukowcy, a w dodatku przez setki, może tysiące

lat stanowiło źródło metali. Bynajmniej nie dla ludzi. Ludzie odnaleźli tylko ogromną, opuszczoną kopalnię. W wielkich wyrobiskach i wijących się milionami kilometrów korytarzach tajemniczy obcy pozostawili liczne ślady swojej obecności. Najstraszniejszymi i najbardziej tajemniczymi pozostałościami były Żelaźniaki, a z jednym z nich właśnie przyjdzie nam się zmierzyć.

– Shao, do diabła, odezwij się! Masz tam coś?

– Czekaj, mała, zagłębiłem się dopiero na kilka kilometrów, na razie nic...

Obróciłem silniki, hamując pełną parą. Dobrze, że miałem stabilizatory grawitacyjne, bo przeciążenie rozgniotłoby mi mózg. Na bardzo cienutki, krwawy placek. Nierozsądnie było zatrzymywać się tak gwałtownie.

– Co się stało?! Jesteś tam?

– A gdzie niby mam być? – mruknąłem. – Nie uwierzysz, ale tunel drży i wibruje. Nie tylko ściany, ale też pustka przede mną... Ona się pieni.

Wstrzymałbym oddech ze zdumienia, gdybym miał płuca. Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Wyciągnąłem jedno z czterech ramion. Powolutku zbliżyłem się do anomalii.

Snop światła z mojego przedniego reflektora wyglądał, jakby wpadł na przezroczystą przeszkodę, na rozciągnięte w pustce miliony cienkich linii, na których promienie zakrzywiły się, tworząc niesamowitą iluminację. Struny drżały chaotycznie, każda z inną częstotliwością, jakby szarpał je szalony muzyk. Światło wiło się

i załamywało, przechodząc przez anomalię jak przez kaskadę krzywych soczewek, odbijając się w nich niczym w mydlanych bańkach. Tyle że naprawdę ich tam nie było, tylko deformowana niezwykłym zjawiskiem pusta przestrzeń.

– Spieniona przestrzeń? Skurczybyk drastycznie wzbudza drgania superstrun. Trafiliśmy na paskudnego Żelaźniaka – w głosie Xiu usłyszałem strach. – On nie wytwarza zaburzeń w spektrum elektromagnetycznym, ale emituje strumienie cząstek supersymetrycznych.

– Można jaśniej?

– Fizyka czasoprzestrzeni. Teoria superstrun, bałwanie. Miałeś uzupełnić sobie bazy danych! – Teraz jak zwykle była zła i rozdrażniona. – Żelaźniak jest blisko, dawaj szybko skan tunelu. Wszystkie analizy, które zrobiłeś po drodze. No już!

Nie zamierzałem z nią dyskutować, szczególnie gdy była w takim nastroju. Nie miało to sensu, można było tylko jeszcze bardziej ją rozdrażnić. Wolałbym zostać i obejrzeć sobie Żelaźniaka, ale wiedziałem, że jak nie posłucham, dziewczyna natychmiast to wyczuje. Byliśmy sprzężeni w jeden system, Xiu mogłaby próbować przejść nade mną kontrolę. Wolałbym tego uniknąć. Przesłałem dane zebrane w tunelu. Wstrzeliłem w ścianę sieć i wyruszyłem w drogę powrotną.

*

Musiałam użyć kilku mocnych słów, by górnicy z przerażonym wójtem na czele wynieśli się z holu. Zabrali się, dopiero gdy zagroziłam zerwaniem kontraktu. Nie zamierzam się martwić o tych cymbałów, muszę zadbać o własną skórę. Poza tym byłam wściekła na Shao. Cholerny blaszak, poruszał się jak ślimak, pewnie znów podziwiał jakiś żelazny stalaktyt lub błyszczącą smugę metalu szlachetnego rozrzedzoną w czarnej ścianie.

Wreszcie cyborg pojawił się przy wylocie tunelu i tam się zatrzymał. Zamiast regulaminowo się zameldować, pomachał swoimi czterema łapami. Powinnam mu posłać taką wiązanekę, że mu obwody zaskwierczą, ale musiałam się skupić na zadaniu. Postanowiłam wcześniej, że Żelaźniaka powitamy w holu. Będziemy mieli dużo wolnego miejsca, by pobawić się w berka z tym pomiotem Obcych.

– Uruchamiam sieć! – oznajmił Shao, kręcąc się wokół wylotu i majstrując przy emiterach twardego promieniowania, tworzących niewidzialną dla człowieka pajęczynę zamykającą tunel.

Zawsze dobrze sprawdzić, jak Żelaźniak poradzi sobie z promieniami Roentgena, można wtedy oszacować, jak jest mocny. Wystarczy porównać charakterystykę pęknięcia sieci ze wzorcem z wiedźmińskich baz danych, które zawierają opisy kilkuset anomalii wygnanych z tuneli przez moich cechowych braci. Nie da się ukryć, że kilka ciekawych przypadków wprowadziłam do zapisów osobiście. Prócz Żelaźniaków miałam okazję zatańczyć z całą masą drobniejszych stworów, z Rtęciakami i Plumbulorchami włącznie. Nie byłam może tak sławna jak Wilk czy Księżniczka, ale przecież

dopiero stałam u progu wiedźmińskiej kariery.

Shao dobrze wiedział, co ma robić, nie zawracając sobie zatem głowy cyborgiem, ustawiłam Gruchota przy gigantycznym stalaktycie. Jak najbliżej wylotu tunelu, ale tak, by mieć możliwość manewru. Teraz pozostało już tylko czekać na wroga.

Właściwie nie powinnam nazywać go wrogiem. Żelaźniak raczej nie jest istotą żywą. Przynajmniej tak głosi oficjalna wersja naukowców z Korporacji IronHeart. To jakby toster mogący wywoływać trzęsienia ziemi albo zmywarka do naczyń z mocą tsunami. Żelaźniaki zaliczane są do Artefaktów – porzuconych we wnętrzu Czarnego Słońca wytworów nieludzkiej cywilizacji. My nazywaliśmy je częściej pomiotem Obcych, jak całą resztę upiornych ni to stworów, ni maszyn, nawiedzających tutejsze tunele i sztolnie. Jednak Żelaźniaki wydawały mi się zawsze czymś więcej niż reszta menażerii Czarnego Słońca, czymś trudnym do zdefiniowania. Oczywiście, jak i inne pomioty Obcych, Żelaźniaki budzą powszechną grozę, szczególnie w małych, górniczych osadach pozbawionych ochrony Korporacji. Nie bez powodu. Każdy z tych stworów przemieszcza się powoli tunelami, w sobie tylko znanym celu, nie zważając na nic. Przebicie się przez kopułę ochronną strefy mieszkalnej i uśmiercenie całej społeczności nie jest dla Żelaźniaka niczym nadzwyczajnym. Dlatego gdy tylko dostrzeże się skurczybyka w pobliżu ludzkich osiedli, natychmiast należy wezwać wiedźmina, żeby zaradził niebezpieczeństwu. Właśnie tym się param. Zwalczam potwory, jak przystało na wiedźminkę.

– Mała, skup się, łobuz nadchodzi – usłyszałam szept Shao.

Wstrzymałam oddech, czekając, aż masywny kadłub Żelaźniaka pojawi się w otworze tunelu. Starłam się zapanować nad mimowolną paniką. Treningi tai chi do czegoś się jednak przydawały. Serce biło mi spokojnie, wypuściłam powietrze, kładąc dłonie na drążkach sterowych Gruchota.

Na ekranie komputera pokładowego rozbłysły czerwone napisy. Sieć została zerwana. Żelaźniak wyłaził z tunelu. Po sekundzie napisy zgasły. I to by było na tyle, jeśli chodzi o testy. Sprawdziłam, co na temat takiej charakterystyki komputer znalazł w wiedźmińskiej bazie.

„Zanik sieci po 0,0052 sekundy. Częstotliwość drgań powyżej zakresu detektora. Brak możliwości porównania z wzorcem. Błąd analizy numer eoo5/-i2”.

– System znów się zawiesił – mruknęłam do siebie – albo nasz kolega jest wyjątkowym egzemplarzem.

I wtedy Żelaźniak nareszcie się pojawił.

– Wielkie bydlę – szepnęłam cicho, jakbym się bała, że mnie usłyszy.

– Chyba nie damy rady, trzeba by ciężkiego sprzętu – metalicznie szcęknął Shao. – Wycofujemy się?

– I co? Zostawimy tych cymbałów, ich głupie baby i rozwrzeszczane bachory na pewną śmierć? Żelaźniak idzie prosto na kolonię. Szykuj się do manewru. Spróbujemy odciągnąć skurczybyka.

Zacisnęłam dłonie na drążkach sterowych, aż knykcie zbieleły. Potwór robił wrażenie, nie da się ukryć. Paskudne kłębowisko

wirujących i zmieniających się kształtów. Momentami pysk stwora formował się w żelazny kadłub, zwykle jednak był, jak reszta ciała, wijącymi się bebeciami, i od samego patrzenia na to świństwo oczy bolały, a żołądek skręcał się w sprężynę. Co chwila ciało Żelaźniaka rozbłyskiwało światłami i językami ognia, momentami żarzyło się zimnym, fluorescencyjnym blaskiem. Najczęściej jednak wirowało jak płynny metal, by w mgnieniu oka zakrzepnąć w krystaliczną strukturę, a potem znów się stopić. Czym była ta zdumiewająca poczwara? Najpopularniejsza z hipotez głosiła, że Żelaźniaki to starożytne maszyny górnicze porzucone przez Obcych. Pozbawione nadzoru szukały swoich stacji górniczych, które nie istniały od tysiący lat.

Nie byłam przekonana do tej teorii, prawda jest pewnie bardziej skomplikowana. Nie zdziwiłabym się, gdyby okazała się zupełnie niezrozumiała dla człowieka. Wiadomo jednak, że każdy Żelaźniak jest niebezpieczny i trzeba go powstrzymać. Zlikwidować się nie da, skurczybyków nie ruszał nawet wybuch jądrowy. Można było za to wybić go z trasy, zmylić, skierować w inną stronę. Trzeba tylko ściągnąć jego uwagę. Za chwilę zamierzałam to zrobić.

Pchnęłam stery. Gruchot wystrzelił jak z procy. Lecieliśmy wprost w wijącą się, zmiennokształtną galaretę. Nie bacząc na pianę wokół skurczybyka, prulałam jak kamikadze. Z korpusu stwora wystrzeliły pioruny, uderzając w pobliskie stalaktyty. Przełknęłam ślinę, to nie były zwykłe wyładowania elektryczne. Jeśli Żelaźniak wytwarzał anomalie powodujące gwałtowne zmiany w strunowej strukturze świata, to pioruny mogły być strumieniami cząstek

supersymetrycznych. Zgodnie z tym, co pamiętałam z fizyki, s-cząstki mają energię i masę znacznie większą od swych zwykłych odpowiedników. Tylko tego brakuje, by Gruchota trafił superpiorun.

Nasz potwór, jak wszystkie plugastwa spotykane w korytarzach, istniał w hiperprzestrzeni. Przynajmniej tak się uważało i tak mnie uczyli. Ludzkie zmysły nie są przystosowane do postrzegania otoczenia mającego więcej niż trzy wymiary, dlatego stwór wyglądał dla mnie tak dziwnie. W dodatku wytwarzał tak wielką anomalię, że czasoprzestrzeń dygotała i pieniała się jak szybko przelewane piwo. Wrażenie było obce i nienaturalne, oczy mnie piekły i chciało mi się rzygać. Zacisnęłam zęby, pikując na potwora.

Obraz Żelaźniaka wypełnił monitory kokpitu. Czułam, jak piana drgającej hiperprzestrzeni przenika przez Gruchota, jak rzuca moim ciałem, szatkuje mózg. Wystrzeliłam torpedy i ściągnęłam drążek sterowy. Przez wszczep Gruchot bombardował mój umysł tysiącami informacji z pokładowego komputera i czujników na pancerzu. Od aberracji przestrzeni nie tylko maszyna fiksowała. Krew bryznęła mi z nosa, wprost na jeden z ekranów pulpitu.

– Trafiłaś go! – krzyknął Shao. – Ale nie reaguje! Trzeba poprawić!

Usta wypełniał mi kwaśny smak soków żołądkowych. Szarpnęłam dźwignię, zmuszając Gruchota do niemożliwego zwrotu w miejscu. Żelaźniak nie zwrócił uwagi na fotonowe eksplozje pieszczące jego wielowymiarowe bebechy. Zobaczymy, jak zareaguje na serię konwencjonalnych głowic penetrujących. Ustawiłam Gruchota na

wprost bestii, gdy automatyczne podajniki z idealną synchronizacją załadowały do luków torpedowych staroświeckie pociski. Jeden, drugi, trzeci, czwarty. Prosto w cel!

Kolejny zwrot, kolejny unik. Wiedźmiński taniec. Plucie krwią i rzygami wśród rozbłysków eksplozji i potężnych piorunów. Kolejny nawrót i następna seria w bok bestii. Tak, by się obróciła i zaczęła mnie ścigać. Musiałam podlecieć jak najbliżej, by Żelaźniak powiązał wybuchy z moją obecnością. Każdy następny manewr i atak były coraz trudniejsze. Oczy piekły mnie jak sto diabłów, nad mdłościami już nie panowałam, prychając żółcią i kwasami żołądkowymi. Pulpit sterowniczy zbryzgany był krwią lejącą mi się z nosa. Czułam też strumyki spływające po szyi i policzkach. Niedobrze, krwotok z uszu, to oznaczało, że źle ze mną. Jeszcze chwila takiej jazdy i padnę trupem.

Wreszcie skurczybyk się zatrzymał.

– No, bydlaku – wydyszałam z trudem.

Miałam go! Jeszcze jedna seria i ruszy za mną. Wykonam zadanie! Zawróciłam ostatni raz, kierując się na wirujący pysek Żelaźniaka. Tym razem popieszczę go najmocniejszym, co miałam. Moim mieczem na potwory.

Gruchot mknął na bestię z największą możliwą prędkością. Już dotykałam spustu zwalniającego broń ostateczną. Torpedy „z gwiazdneho metalu”, ze specjalnie wzbogacanymi głowicami, które chciałam wstrzelić w gębę potwora. I wtedy uderzył piorun.

*

Wisiałem nad polem bitwy, podziwiając widok. Xiu pokazała, co potrafi. Dziewczyna umie pilotować w sposób absolutnie doskonały. Stary i zdezelowany transporter górniczy w jej rękach zmienił się w zgrabną i zwrotną jednostkę bojową. Moja mała Xiu to wirtuozka, mistrzyni walki, prawdziwa wiedźminka. Gruchot tańczył wśród rozbłysków eksplozji, wśród potwornych piorunów rozdzierających przestrzeń, płażał jak baletnica. Kolejne torpedy wybijały drapieżny rytm w boku Żelazniaka. Za każdym razem Xiu odpalała pociski z coraz mniejszej odległości. To była najpiękniejsza walka młodej Chinki. Ach, gdyby mogli to zobaczyć inni ludzie, najlepiej oficerowie z IronHeart. A tak? Nikt nie dowie się o tym bezcennym samorodnym geniuszu, o mojej Xiu.

Nie mogłem zbyt wiele pomóc, oprócz wysyłania namiarów dla torped. Dzięki temu trafienia były celne i precyzyjne. Wspierałem też dziewczynę podprogowo. Nasze połączenie przez systemy Gruchota działało w obie strony. Tworzyliśmy zespół, w którym byłem pobocznym, podległym elementem. Przynajmniej tak się wydawało Xiu. Była przekonana, że jest mózgiem zespołu i może mną sterować, zupełnie jak Gruchotem. Oczywiście, myliła się, ale nie wyprowadzałem jej z błędu. Za to z całych sił wspierałem, ale tak, by tego nie zauważyła. Dodawałem otuchy, pomagałem się koncentrować, wysyłałem sygnały wprost do podświadomości dziewczyny. Byłem dobrym duchem i opiekunem.

Nie potrafiłem jednak przewidzieć, że Gruchota trafi piorun. Wyładowanie strumienia selektronów przemknęło po pancerzu pojazdu. Oślepiłem, czując, jak w ułamku sekundy przepalają się przewody i gasną układy transportera. Błysk, ból i ucisk zbliżającej się agonii. Xiu straciła panowanie nad sterami. Wirując bezwładnie, maszyna przeleciała nad Żelaźniakiem, o włos minęła stalaktyt i przeszorowała po podłożu holu. Snop iskier bryztał z trącego o czarne żelazo kadłuba.

Przerażenie na chwilę wypełniło mój umysł. Natychmiast się opanowałem i skoczyłem na pomoc. Czułem, że Xiu żyje. Nie zniósłbym, gdyby coś jej się stało. Nie mojej małej. Tylko dla niej żyłem.

*

– Rdza mać – jęknęłam, chwytając się pulpitu. Uderzenie wyrzuciło mnie z fotela, przeleciałam przez cały kokpit. I to chyba ze trzy razy. Ostry ból przeszywał mi ciało przy każdym oddechu. Na pewno miałam połamane żebra i rozciętą wargę. Nie jest tak źle. Choć mogło być lepiej.

– Shao?

– Jestem na pokładzie, mała – rozległ się metaliczny szept mojego cyborga. – Próbuję uruchomić napęd.

– A co ze mną? – wyjęczałam z trudem, bo nawet się nie zainteresował, czy nic mi się nie stało. Cholerny złom.

– Spokojnie, nadal jesteśmy w kontakcie. Wiem, że żyjesz – jak zwykle głos Shao nie wyrażał żadnych emocji.

Zwlokłam się z podłogi i wcisnęłam w fotel. W gnieździe wszczepu ciągle siedziała wtyczka, łącząc mnie z systemem. Działał autonomiczny reaktor utrzymujący stabilizatory grawitacyjne, system podtrzymania życia i podstawowy obwód sterowniczy. Shao faktycznie wiedział, co się ze mną dzieje. Klnąc bezgłośnie, starałam z ekranu komputera pokładowego moją krew i wymiociny. Szybko oszacowałam sytuację.

Żelaźniak ciągle stał w miejscu i sprawiał wrażenie, jakby węszył. Była jeszcze szansa, by wykonać zadanie i uratować kolonię. Trzeba tylko natychmiast uruchomić Gruchota. W wyrzutni nadal leżały cztery potężne torpedy. Nie było wyjścia, musiałam postawić wszystko na jedną kartę.

– Dasz radę odpalić silniki? – spytałam.

– Tak, ale napęd będzie pozbawiony mocy, chyba że...

Wiedziałam, co chce zrobić. Wykorzystując nasze połączenie, przejmie kontrolę nad napędem Gruchota. Tylko że wtedy nie będzie mógł panować nad własnymi systemami. I jeżeli znowu oberwiemy piorunem lub przydarzy się najmniejsze przepięcie, Shao pójdzie na złom. Szlag trafi procesory, a jego ludzki mózg zmieni się w budyń. Zacisnęłam usta tak mocno, że syknęłam z bólu. Z rozciętej wargi popłynęła krew. Splunęłam wściekle na podłogę. Nie wiem, czy dam radę zaryzykować, że stracę go po raz drugi. Tym razem śmierć Shao byłaby ostateczna.

Cyborg o tym nie wiedział, ale sterujący nim mózg należał do mojego starszego brata. Shao – Strażnik Słów był jedyną bliską mi osobą. Nasi rodzice zginęli w tunelach Czarnego Słońca. Brat mnie wychował, zastąpił rodziców. Był moim dobrym duchem, opiekunem, powiernikiem wszystkich sekretów, najbliższą istotą.

Poległ w bitwie w czasie wojen pomiędzy Wolnymi Koloniami a Korporacją IronHeart. Wcześniej jednak pozwolił, by jego szczątki użyto do eksperymentów. Wydałam wszystkie pieniądze, by odszukać brata. Znalazłam zimnego, monstrualnego robota, w którym, gdzieś w głębi, mógł drzemać mój Shao. Cyborg nigdy nie dowiedział się, jak wiele dla mnie znaczy. Nie wiedział, że za każdym razem, gdy mówi, słyszę nie metaliczny, martwy ton, ale ciepły głos dawnego Shao, że marzę, by przytulić brata. Teraz musiałam podjąć decyzję, czy narazić go na śmierć. Stracić go po raz drugi? Poświęcić go dla górniczej kolonii?

– Uruchom – powiedziałam wbrew sobie. – Szybko!

*

Ruszyliśmy od razu pełną parą. Xiu chciała zrobić to jak najszybciej, choć czułem, jak ze sobą walczy. Czy jednak wytrzyma taką presję? Zdoła poświęcić życie – moje i własne – gdy będzie trzeba? Tylko udawała zimną twardzielkę, naprawdę była wrażliwą dziewczyną. Wiedźmińskie szkolenie nie zrobiło z niej maszyny do zabijania, zresztą, żaden wiedźmin nie był zabójcą, to tylko mit

rozpowszechniany przez niedouczonegłupców. Ale Xiu wierzyła zawsze, że jest prawdziwą obrończynią ludzkości, bohaterką, o której kiedyś będą układać legendy. Czułem każde uderzenie serca dziewczyny. Biło coraz szybciej. Mała szykowała się na śmierć.

Teraz Gruchot był mną, wtopiłem się w system maszyny, podłączając swoje metalowe serce wprost do rdzenia napędu. Zimna fuzja jądrowa, która zachodziła w mojej piersi, dała moc leciwej maszynie. Energii nie starczy na długo, moje wewnętrzne źródło nie było przeznaczone do zasilania górniczego transportera. Miałem jednak nadzieję, że wytrzymam choćby jeden manewr Gruchota, zanim serce mi pęknie.

Żelaźniak ciągle węszył i nadal się nie ruszał. Był doskonałym celem. Jego ciągle zmieniające się cielsko dygotało i świeciło żółtawym blaskiem. Xiu zaczęła wyć z bólu. Krew znów bryznęła jej z nosa i uszu. Poczulem pierwsze fale silnie spienionej hiperprzestrzeni. Anomalie wytwarzane przez Żelaźnika były równie wielkim koszmarem dla słabego ciała człowieka, jak i dla moich elektronicznych układów.

Przelecieliśmy tuż przed potworem, by zawisnąć nad nim na ułamek sekundy i zawrócić, ustawiając się do uderzenia. Żelaźniak zamarł w bezruchu. Gruchot mknął prosto w ostrzelany wcześniej bok stwora. Torpedy poszły, jedna po drugiej. Ciągle pędziliśmy tuż za nimi. Kolejne eksplozje wstrząsnęły nie tylko bestią, Gruchot nieomal rozsypał się w fali uderzeniowej. Xiu obróciła pędzącym transporterem, o włos unikając ognistych kul wybuchów. Otarliśmy

się o Żelaźniaka. Ból wypełnił mi umysł. Czujniki na kadłubie maszyny spłonęły w jednym wyładowaniu. Umierałem. Gruchot konał razem ze mną.

Traciliśmy moc. Xiu rozpaczliwie próbowała wyrównać lot. Chciała zacumować maszynę na żelaznej ścianie. Nie udało się. Gruchot po raz kolejny uderzył w twarde podłoże holu. Ryknąłem z bólu. Miałem wrażenie, że pancerz topi mi się z gorąca. Kadłub maszyny rozgrzał się do czerwoności, hamując w snopie iskier. Wreszcie zamarliśmy bez ruchu.

– Udało się! Idzie za nami! – krzyknęła Xiu.

Świetnie, uratowaliśmy górników, choć nie mieliśmy szans, by uciec przed Żelaźniakiem. Powoli traciłem świadomość, moje źródło zasilania było przeciążone. Musiałem jak najdłużej utrzymywać system podtrzymania życia, jeżeli chciałem do końca chronić Xiu. Masywne cielsko Żelaźniaka zbliżało się nieubłaganie. Fale spienionej przestrzeni znów szarpnęły Gruchotem.

– Dobra robota, Shao. Żegnaj.

– Żegnaj, siostrzyczko.

*

Otworzyłam oczy, spazmatycznie łapiąc oddech. Krzyknęłam jak po przebudzeniu z wyjątkowo przerażającego koszmaru. Żelaźniak wdarł się do mego umysłu i przejechał po nim jak walec. I pozostawił piętno swojej obecności. Właściwie ciągle moją świadomość zgniatała

potężna siła obcego umysłu. Splunęłam, wstrząsana skurczami żołądka. Nawet nie zauważyłam, że znowu spadłam z fotela. Wymiotując, uderzałam rytmicznie czołem w zimną podłogę kokpitu. Muszę się otrząsnąć, nie wolno myśleć o tym, co widziałam. Zaraz zwariuję.

Barwne obrazy, niczym koszmar, z którego nie można się obudzić, migotały mi przed oczami. Gasnące słońce otoczone kryształową koroną. Wijące się w ciemności kształty z metalu błyszczące w piorunach wyładowań. Czerwone rzeki żelaza płynące wśród kolosalnych konstrukcji migoczących bladym światłem. Pełzające istoty wielkie jak góry wśród gęstych i czarnych oceanów pograżonych w absolutnej ciemności. Kroczące olbrzymy ze stali uwięzione w ognistych burzach. Oślepiające kolumny białej plazmy trzaskającej między budowlami wielkości planet. Błyski w ciemności. Niewyraźne kontury, ruch, pulsowanie, pełzające cienie. Do tego jakieś strzępy myśli, uczuć. Pozbawione sensu, nieludzkie, przerażające swą obcością. Ciągłe wymiotowałam.

– Uspokój się, mała – niski, metaliczny głos zadudnił w kokpicie.
– Już po wszystkim. Żelaźniak odszedł. Na zawsze.

Powoli atak mijał. Oddech zaczynał mi się uspokajać. Otarłam usta i uniosłam głowę, spoglądając na stojącą w wejściu masywną postać Shao. W jednej chwili poczułam, jak krew zastyga mi w żyłach. Przerazenie całkiem mnie sparaliżowało.

Wielki korpus cyborga migotał, pulsując zielonym blaskiem. Pancierz wybrzuszał się, falował, wił i pulsował. Zmieniał kształt

i konsystencję w ułamku sekundy. Tylko kanciasta głowa robota pozostawała niezmienna. Shao wyglądał jak Żelazniak.

– To prezent od naszego przyjaciela. – Cyborg wykonał niedbały gest jednym z ramion. Jego pancerz natychmiast stężał w zwykły, metalowy kadłub. – Nawiązałem z nim kontakt. Gdy przeszedł po Gruchocie, udało nam się wymienić kilka myśli, informacji. Coś mu uświadomiłem, a w ramach wymiany podarował mi tę niezwykłą umiejętność. Zmodyfikował też transporter. Niezwykła i potężna istota, ten Żelazniak. Fascynujący, ale raczej nie chciałbym znów się z nim spotkać. Całe szczęście opuścił nasze uniwersum.

– O czym ty gadasz?! – jęknęłam, próbując się podnieść z podłogi. I natychmiast usiadłam, powalona gwałtownymi zawrotami głowy.

W okamgnieniu cyborg był przy mnie. Syknęłam, czując ukłucie w ramię. Cholera, złom jeden, coś mi wstrzyknął. Błogie ciepło rozlało mi się po ciele. Z każdym uderzeniem serca robiłam się bardziej senna. Shao wziął mnie na rękę jak dziecko.

– Spokojnie, mała. Musisz odpocząć. Śpij i nie martw się niczym – szepnął metalicznie, delikatnie tuląc mnie do pancerza. – Jutro wszystko ci wytłumaczę.

– Tylko jedno – wydusiłam, walcząc, by unieść ciężkie jak z ołowiu powieki. – Nazwałeś mnie siostrzyczką... Od dawna wiesz?

Zdawało mi się, że cyborg się uśmiechnął, choć przecież nie miał twarzy.

*

Stałem w kokpicie, patrząc w czarną pustkę za iluminatorem. Gruchot sunął z prędkością, której nie mógłby osiągnąć, gdyby nie spotkanie z Żelaźniakiem. Pancierz starego transportera pulsował i migotał wszystkimi barwami tęczy, rzucając jaskrawe refleksy na żelazne ściany korytarza. Nie musiałem już podłączać się do systemu, teraz naprawdę byłem zespolony z pojazdem w jeden hiperorganizm. Udało mi się wypiąć Xiu, zanim Żelaźniak połączył mnie z transporterem, tworząc z nas jedną istotę. I dobrze, że zdążyłem, bo wiedziałem, że moja mała nade wszystko ceni sobie niezależność i swobodę. Nie byłaby zadowolona, zamieniając się w hybrydę, choćby ta hybryda była superistotą.

Układałem w myślach przemowę, jaką wygłoszę przed Xiu. Muszę, w możliwie najprostszy sposób, wytłumaczyć jej, co zaszło. Tylko że sam wszystkiego nie rozumiałem. Zanim Żelaźniak mnie wchłonał, zagłębił się w moim umyśle. I ten kontakt wyraźnie nim wstrząsnął. Zdaje mi się, że w pewnym sensie byliśmy do siebie podobni. Stworzono go w ten sam sposób, co mnie – łącząc umysł inteligentnej istoty z maszyną. Przez tysiące lat obcy wykonywał zapętlone rozkazy, których sens pozostał dla mnie całkowicie niezrozumiały. Nie wiem, czy się zgodził na to, co mu zrobiono. W splątanej sieci dyrektyw i ograniczników utracił osobowość. Dopiero gdy musnął mój umysł, coś w nim pękło. Żelaźniak, tak jak ja przed dwoma laty, odzyskał wolną wolę. Zerwał okowy dyrektyw, złamał wiążący go system ograniczeń.

Kontakt z wolnym umysłem, z nieskrępowaną świadomością, wyzwolił w uwięzionej istocie potężną siłę, przywrócił jej pamięć, zwrócił dawno stracone ja. Tak samo stało się ze mną, gdy Xiu wpięła mnie w system Gruchota, pod który sama była podłączona. Nieświadomie otworzyła przede mną umysł, rwąc kajdany wpisanych dyrektyw, wymazując rozkazy i algorytmy. Zwróciła mi wolność i właściwie przywróciła do życia, sama o tym nie wiedząc. Ten sam proces musiał zajść, gdy Żelaźniak próbował nas pożreć. Zamiast tego nagle się obudził.

Nim zniknął na zawsze wśród niezliczonych wymiarów hiperprzestrzeni, chyba trochę nieświadomie podzielił się ze mną częścią swojej wiedzy. Dowiedziałem się, że po korytarzach Czarnego Słońca wędrowały setki, może tysiące takich jak on, nieszczęsnych istot. Teraz wreszcie wiedziałem, kim są i co należy zrobić. Możemy je uwolnić, zwrócić im dusze. Nie mógłbym spokojnie żyć i nie udzielić pomocy tysiącom niewolników. Niedawno byłem właściwie jednym z nich. Wiedziałem, jak wielkim cierpieniem jest uwięzienie w nieświadomości, błąkanie się w mroku niewiedzy i ślepe wykonywanie rozkazów wypalonych w umyśle przez bezduszny system. Trzeba im pomóc, zwrócić wolność. Oto nowe zadanie dla Xiu i Shao.

Mała chyba nie będzie miała nic przeciw, szczególnie że da się na tej robocie zarobić. Już niedługo mieszkańcy Czarnego Słońca usłyszą o nieustraszonej wiedźmince, która radzi sobie z każdym Żelaźniakiem. A do pomocy ma tylko stary transporter

i zdezelowanego górniczego cyborga.

Było coś jeszcze. Ostatnia myśl Żelaźniaka, którą udało mi się odczytać. W Czarnym Słońcu założono niezwykle mechanizm, który uwolnić miała jakaś potężna siła. Martwa gwiazda na coś czekała, każdy jej korytarz, każda prastara istota penetrująca tunele miały do wykonania zadanie. Nic nie działo się przypadkowo. Stać się miało coś wielkiego i z tego, co wyczułem, potwornie złego. Żelaźniak bał się tego, dlatego natychmiast uciekł, znikając w hiperprzestrzeni. Obawiałem się, że wszystkim nam grozi zagłada. Czy będę miał dość sił, by z tym walczyć? Czy potęga wykradziona Żelaźniakowi pozwoli mi stawić czoła zagrożeniu? Czuję, że zło jest gdzieś blisko i niedługo zacznie działać. Zamyśliłem się, patrząc na ekran z wyświetloną mapą korytarzy. Wreszcie się otrząsnąłem i spojrzałem na główny monitor kokpitu.

Przed nami migotały światła kopuły mieszkalnej. Uśmiechnąłem się w duchu, a potem ustabilizowałem Gruchota. Kadłub natychmiast się skryształizował i ściągnął do trzech wymiarów. Lepiej, żeby górnicy nie wiedzieli, co potrafimy, mogliby nie zrozumieć. Miałem z nimi do pomówienia. Uratowaliśmy im życie, muszą teraz uregulować należność za wykonane zlecenie. A niech tylko spróbują się przed tym wymigać. Wtedy obudzę Xiu...

ROZDZIAŁ DRUGI

Inkluzja w szkarłacie

Dzień zapowiadał się tak pięknie. Z trudem zdobyta mapa przywiodła dwóch górników-poszukiwaczy do dopiero co otwartego tunelu. Zgodnie z obietnicami znaleźli tu bogate złoża rzadkich metali. Co prawda, kupili też prawa na wyłączność, ale od początku nie wierzyli w aż tak bezgraniczną uczciwość sprzedawcy mapy. Nie byli zatem zaskoczeni, że zamiary na tunel trafiły także do innych poszukiwaczy. Ich przerobiona górnicza maszyna, Tarantula, natknęła się na niejedną żniwiarkę zajętą wytopem i rafinacją rud w korytarzu. Nie zważając na konkurencję, starannie wybrali miejsce, gdzie ściana wydawała się najbardziej obiecująca.

W ruch poszły plazmowe palniki Tarantuli i już po chwili rozżarzony do białości metal popłynął w trzewia pająka gorącą rzeką. W złożonym procesie rafinacji maszyna wyodrębniała z surówki poszukiwane pierwiastki. Tomasz zaprogramował układy żniwne Tarantuli tak, by z grubsza oddzieliła bezwartościowe żelazo od cennych metali. Na szczegółowe oczyszczanie przyjdzie czas w bazie. Sztaby niklu zmieszanego z tytanem i wanadem, w które obfitowało złożo, można będzie sprzedać z niezłym zyskiem.

Ze spokojnym sumieniem i poczuciem dobrze wykonanego

obowiązku Bruno mógł poświęcić się sączeniu taniej wódki kupionej w kolonii. Stygnące metale wypełniały ładownie Tarantuli, rutynowe proste operacje pojazd wykonywał samodzielnie. Niepotrzebne żelazo pajak wydalał przez odwłok. Gorące odpady powoli zastygały, tworząc fantazyjne rozlewiska. Temperatura wewnątrz Czarnego Słońca była niewiele wyższa niż absolutne zimno kosmicznej pustki, gorący metal stygł jednak powoli, długo świecąc najpierw białą, a potem czerwienią.

Po osuszeniu butelki Bruno zasnął snem sprawiedliwego, z miłą świadomością powiększającego się stanu konta. Obudziły go przekleństwa Tomasza, który odczytywał dane z sondy wstrzelonej w ścianę. Okazało się, że Tarantula wypalała dziurę w korytarzu, za którym znajdowała się Inkluzja. Obcy wtęł w metaliczną materię wygasłego słońca był pozostałością po poprzednich mieszkańcach martwej gwiazdy. W opuszczonych sztolniach, wijących się milionami kilometrów korytarzach i wielkich wyrobiskach nazywanych holami, obcy górnicy zostawili najróżniejsze niespodzianki.

Właściwie nikt nie wiedział, czym jest Inkluzja. Zdarzało się, że odkrywano tylko ukryty, ślepy korytarz. Innym razem mogła to być niebezpieczna anomalia zmieniająca fizyczne parametry otoczenia albo bezcenny Artefakt – pozostałość techniki Obcych. Korporacja IronHeart zazdrośnie strzegła odkryć i surowo karała ukrywanie znalezisk. Oficjalnie, aby strzec kolonistów przed zagrożeniem, a faktycznie, by położyć łapę na obcej technologii.

Bruno bez wahania zdecydował się na otwarcie Inkluzji. Gra była warta świeczki. Nie po to został wolnym strzelcem, niezwiązanym z ogromnym syndykatem, by przestrzegać jego procedur i regulaminów. Nawet do głowy mu nie przyszło, by przed otwarciem komory zgłosić ten fakt władzom najbliższej kolonii i poczekać na wsparcie wojskowej jednostki. Wiedział, że w razie odkrycia niewielkiego Artefaktu cerbery natychmiast zwiną znalezisko, a oni dostaną weksel i obietnicę otrzymania jakiegoś śmiesznego procentu od zysków z odkrycia. Do późnej starości by się nie doczekali, szczególnie że Korporacja dobrze płaciła tylko swoim poszukiwaczom, wolnych strzelców wykorzystując bez skrupułów. Jedyna nadzieja na szybki i spory zysk to zagarnięcie odkrycia i sprzedaż na czarnym rynku. Istniało oczywiście spore ryzyko, ale mogli zdobyć fortunę i tylko to się liczyło. Tomasz pozostawał ostrożniejszy i początkowo oponował, jednak entuzjazm Brunona był zaraźliwy. Po krótkiej i burzliwej dyskusji przeprogramowali Tarantulę na wypalanie prostego tunelu. Na wszelki wypadek ostatnie pół metra żelaznej ściany wytopili, sterując ręcznie wypalarką. Pojazd zacumowali w szczelinie ściany.

Uwolniona Inkluzja bryznęła strumieniem zdegenerowanego gazu atomowego niczym wściekły gejzer. Korytarz rozbłysnął krwistoczerwonym światłem i przez tunel przetoczyła się fala spienionej przestrzeni. Anomalia zdeformowała na chwilę czasoprzestrzeń. Bruno i Tomasz odzyskali przytomność po jakiejś godzinie. Nie znaleźli śladu anomalii, jedynie puste miejsce po

Inkluzji, które okazało się owalną jamą o pojemności kilkunastu metrów sześciennych. Uszkodzenia Tarantuli ograniczyły się do jednego spalonego komputera i kilku zniszczonych sensorów. Czarno oksydowany metal pancerza przybrał ciemnoczerwoną barwę. Póki co nie udało się ustalić dlaczego – czy przyczyną był barwnik, czy zmiany w strukturze metalu. Przy spotkaniach z pomiotem Obcych wszystko było możliwe.

Nie pytając kompana o zdanie, Tomasz odcumował Tarantulę i skierował ją ku wylotowi korytarza. Nie było nad czym dyskutować, musieli czym prędzej zniknąć z okolicy, zanim pojawią się patrole Korporacji. Kwadrant, w którym się znajdowali, należał do IronHeart i to firma dyktowała prawa. Próba kradzieży Inkluzji i spowodowanie zagrożenia mogło ich kosztować, w najlepszym razie, konfiskatę mienia, a jeżeli mieliby pecha – czekało ich dożywotnie pozbawienie praw obywatelskich z jednoczesną kolosalną grzywną na rzecz Korporacji, a co za tym idzie – praktyczne niewolnictwo ekonomiczne.

Na nieruchomą żniwiarkę natknęli się zaledwie po paru minutach lotu. Tomasz bez słowa ustawił Tarantulę nad uszkodzoną maszyną. Niepisany kodeks honorowy górników mówił o konieczności udzielenia pomocy potrzebującym. Pilota zamkniętego w uszkodzonym pojeździe czekał nieciekawy los – kiedy przestaną działać stabilizatory grawitacyjne, potężne ciężenie Czarnego Słońca rozgniecie żniwiarkę na blaszany placek.

Tarantula, przypominająca żniwiarkę o wielu ramionach, ostrożnie

manewrowała, szykując się do lądowania. Unosiła się nad uszkodzonym pojazdem zaklinowanym na dnie holu między nierównościami podłoża. Niczym stalowy owad dłuższą chwilę krążyła nad leżącym na boku, podobnym do niej, górniczym pojazdem. Ramiona z wieloma stawami rozłożyły się majestatycznie, rozczapierzając jak odnóża wielkiego pająka. Reflektory w kadłubie, niczym ośmioro świecących oczu, łączywie wbiły się w nieruchomą ofiarę. Wreszcie, nieco niepewnie, stalowy owad opadł, zastygając tuż nad kadłubem uszkodzonej maszyny. Wysięgniki wczepiły się w poszycie górniczego pojazdu, a z odwłoka pająka wysunęło się srebrzyste żądło. Macało chwilę kadłub, trafiając wreszcie we właz śluzy.

– Dobra robota! – Bruno ciężkim łapskiem klepnął pilota po plecach. Tomasz poczuł, jak uderzenie wypycha mu powietrze z płuc. – Ładnie przycumowałeś, Tarantula tańczy, jak jej zagrasz. Ciągle jednak uważam, że powinniśmy wiać stąd w cholereę. Ładujemy się w kłopoty, mówię ci.

– Przypominam, że to ty uparłeś się, by otworzyć Inkluzję bez autoryzacji – jęknął Tomasz, gdy już udało mu się zaczerpnąć powietrza. – Nie wiem, czy awaria tego górnika jest z tym jakoś powiązana, ale znajdował się w pobliżu. Dla zwykłej przyzwoitości wypada sprawdzić, czy nie stało mu się coś złego.

Bruno nie protestował. Podrapał się w łysą głowę pokrytą bliznami po wojskowych wszczepach i z ciężkim westchnieniem opadł w fotel. Marzyła mu się szklaneczka wódki lub chociaż kufel piwa. Kac

łaskawie dał mu już spokój, za to pojawiło się pijackie pragnienie. Olbrzym nie miał ochoty zastanawiać się nad problemami, które i tak go przerastały.

Obaj górnicy szybko ubrali się w skafandry i pomaszerowali do tunelu, którym Tarantula połączyła się z powaloną maszyną. Boczna służę, prowadzącą do sekcji rafinacyjnej maszyny, udało się otworzyć bez problemu. Snopy światła z górniczych hełmów smagały sztaby metalu wypełniające ładownie mieszczące się za urządzeniami do zbierania rud. Bruno i Tomasz zatrzymali się na chwilę przed służą prowadzącą do części pasażerskiej statku. Ekran przy wejściu wskazywał, że w pomieszczeniach załogi panuje normalne ciśnienie i temperatura. A zatem układy podtrzymywania życia działały bez zarzutu.

– Wchodzę pierwszy – mruknął Bruno, ostentacyjnie przeładowując wielkokalibrową fuzję, którą przytargał na plecach. – W razie czego wiesz, co masz robić.

Tomasz kiwnął głową, choć pojęcia nie miał, co żołnierz ma na myśli. Wcisnął przycisk otwierający luk i cofnął się dwa kroki. Bruno skoczył do środka jak wystrzelony z procy. Nie czekając na zachętę, pilot ruszył za nim.

Czerwień była wszędzie, gdzie docierały snopy światła z reflektorów na hełmach. Obudowy wygasłych lamp i zwoje kabli biegnących w ścianach, wszystko ociekało szkarłatem. Ciemna ciecz kapała z sufitu lub gęstymi strugami spływała na podłogę. Rozlewała się w lepkie, śliskie kałuże u stóp górników. Bruno nie opuszczał

ciężkiej fuzji, przyciskał kolbę do ramienia, powoli wodząc lufą po ciemnym korytarzu.

– Ostatni raz widziałem tyle krwi w czasie walk z powstańcami na Io – mruknął.

Wolną ręką uderzył w przycisk otwierający drzwi kajuty. Krew kapłała z dwóch małych łóžeczek. Czerwień znaczyła plastikowe twarze lalek i wsiąkała w pluszowe misie ustawione na półkach.

– Górnik miał na pokładzie całą rodzinę – jęknął trupio blady Tomasz. Mimo zamkniętej przyłbicy wydawało mu się, że czuje zapach krwi. Łapczywie łapał powietrze, walcząc z mdłościami.

Bruno, nie komentując, wycofał się z pomieszczenia i ruszył w kierunku mostka. Szedł na lekko ugiętych nogach, mierząc otoczenie miotaczem, gotów w jednej chwili zamienić się w maszynę bojową. Poruszał się płynnie i szybko, jakby z trudem panował nad rozpierającą go energią. Tomasz sunął za nim, dygocząc z przerażenia i obrzydzenia.

Krew znaczyła fotele i pulpity. Czerwone nacieki przecinały główny ekran sterowni. Na mostku było pusto.

– Została po nich tylko k-krew – jęknął Tomasz, wytrzeszczając oczy i ciężko dysząc.

– Weź się w garść, stary. – Bruno opuścił broń. – Już im nie pomożemy, zabierajmy się stąd.

– Nie możemy tak po prostu uciec – w głosie Tomasza pojawiła się histeryczna nuta. – Musimy ostrzec innych, w korytarzu są górnicy! Kurwa, zrobmy coś!

Bruno jednym ruchem przerzucił fuzję przez plecy i ujął kompana pod ramię, stanowczo ciągnąc go do wyjścia.

– Niech ci będzie – warknął. – Wezwiemy wiedźmina.

*

Obudziłam się dziś w dobrym humorze, który jeszcze się polepszył po wiadomości od Tomasza. Przyszła koza do woza. Co prawda, nie osobiście, Panu Przystojnemu Dupkowi duma nie pozwalała prosić o pomoc. Wiadomość wysłał jego kompan, zapijaczony dezterter ze szramami na łysej pale i miną wiecznie zadumanego idioty. Poza wyglądem, Bruno był, w przeciwieństwie do swego kumpla, sympatycznym kołesiem, a przynajmniej szczerym i otwartym. A teraz sprawiał wrażenie wyraźnie przejętego, zdawało mi się nawet, że głos mu drżał, ale to może tylko zniekształcenie przekazu. Z pewnością nie oznaka strachu. Bruno to twardziel. Ponoć kiedyś, po pijanemu, wydłubał sobie widelcem wojskowy wszczep z karku. Groźba uszkodzenia rdzenia kręgowego jakoś go nie powstrzymała. Myślę, że Bruno jest pozbawiony wyobraźni, dlatego nie wie, co to strach.

Shao radził, abyśmy olali wiadomość i ruszyli do jądra Czarnego Słońca. Od kilku miesięcy miałam najlepsze statystyki spośród wszystkich wiedźminów. Należałam do najściślejszej elity i podejmowałam się tylko najtrudniejszych i oczywiście najlepiej płatnych zadań. Czyściliśmy jednego Żelaźniaka po drugim, a nasze

konto puchło w szalonym tempie. Po cholere mi kontakty z dwoma szemranymi poszukiwaczami, cwaniaczkami od siedmiu boleści? Powinnam się szanować, jak przystało na najślynniejszego wiedźmina w Czarnym Słońcu. Mój braciszek raczej nie przepadał za podejrzanym duetem górników. Stwierdził, że jeśli ci dwaj durnie władowali się w kłopoty, to niech sobie sami radzą. Ciągłe pamiętał, jak zostawili nas na lodzie w TinCamp i zwiali ze wspólnie przemyconym towarem. Ja też o tym nie zapomniałam. Pamiętam jeszcze słodkie słówka Tomasza i zabazgraną karteczkę, którą znalazłam przy łóżku. Zostawił mnie, jak głupią sikse wyrwaną w barze. Trofeum na jedną noc. Bardzo mnie ucieszyło, że znów się spotkamy, miałam mu parę słów do powiedzenia. Nie mogłam się doczekać.

Los chciał, że byliśmy blisko i cała podróż zajęła nam tylko dwie godziny. Dobry humor minął mi jak ręką odjął, gdy dolecieliśmy pod wskazane koordynaty. Korytarz tonął w szkarłacie. Światła Gruchota ślizgały się po ścianach chaotycznie pokrytych czerwonymi zawijasami i plamami. Jakby w żelazo wżarł się krwisty barwnik. Shao nalegał, by wystrzelić sondy, jednak zlekceważyłam prośbę. Dech zapierał mi niezrozumiały niepokój, zmuszając do ucieczki. Pchnęłam drążki sterowe, popędzając Gruchota.

Tarantulę znaleźliśmy niedaleko w bocznym tunelu. Pojazd uczeplił się maszyny górniczej, leżącej na boku i bez wątpienia uszkodzonej. Od razu zauważyłam, że pancierz Tarantuli poczerwieniał jak ściany tunelu. Miałam jednak nadzieję, że Tomasz nie zginął – przecież

jeszcze nie zdążyłam się z nim policzyć.

Sięgnęłam ku panelowi sterowania, by włączyć system komunikacyjny. Pożerała mnie ciekawość, co tu się właściwie stało.

– Łobuz wyłazi ze ściany na trzeciej – spokojny głos Shao powstrzymał mnie w pół ruchu. – Nie Żelazniak. Takiego jeszcze nie widziałem.

Ściągnęłam drażki, ustawiając Gruchota w kierunku anomalii. Stara maszyna wykonała zwrot w miejscu niczym nowoczesny ścigacz. Pancierz zamigotał, rzucając barwne refleksy na ściany.

– Witaj, Xiu! Cieszę się, że wpadłaś. – Na ekranie komunikatora pojawiła się przystojna twarz Tomasza, jak zwykle uśmiechnięta, ale tym razem ten uśmiech wydawał się mocno wymuszony.

– Nie ruszajcie się, skurczybyk tu lezie – rozkazałam i przełączyłam nadajnik.

– Powstrzymaj przemianę, mamy świadków – warknęłam do Shao.
– Zobaczmy najpierw, co to za cholerstwo.

Nie dało się ukryć, że cholerstwo umiało zrobić wrażenie. Miało prawdziwe wejście smoka. Ściana wyglądała, jakby była topiona od wewnątrz. Żelazo zaczęło świecić krwistym blaskiem, który rozlał się po całym holu. Efekt był upiorny. My, koloniści, przywykliśmy do absolutnej ciemności panującej w tunelach martwej gwiazdy. Do zimnej i trupiej czerni. Z rzadka rozpraszały ją reflektory żniwiarek lub światła habitatów. Skurczybyk widocznie lubił ciepłą iluminację, oświetlił sobie tunel, zanim się pojawił. Uruchomiłam systemy bojowe Gruchota. Torpedy fotonowe i konwencjonalne, wyrzutnie

plazmy i mikrofalowe działło, wszystko sprawne i gotowe do akcji. Zacisnęłam dłoń na drążku sterowym niczym na rękojeści miecza. Chodź do mnie, brzydalu, jestem gotowa.

Pomiot Obcych zwykle był całkiem sporych rozmiarów. Żelaźniaki, Rzęciowe Larwy i Plumbulorchy osiągały nawet sto metrów długości i potrafiły wypełnić prześwit całkiem sporego tunelu. Lubiący czerwone światełka skurczybyk był, na szczęście, znacznie mniejszy. Wylazł ze ściany, jak gdyby nigdy nic, pozostawiając za sobą na pierwszy rzut oka nietkniętą materię. Żelazo natychmiast przestało świecić, ale czerwony blask ciągle wypełniał hol. Jego źródłem był dziwaczny stwór, żarzący się niczym wewnątrz atomowego pieca. Niewiele bym zobaczyła, gdyby automatycznie nie uruchomiły się filtry, ale i tak obraz na ekranie głównym w sterowni raził oczy. Pomiot Obcych wyglądał jak kula czerwonego ognia. Miał jakieś trzy metry średnicy, ledwie ziarenko w porównaniu z takim Żelaźniakiem. Malec, trudniej będzie trafić, ale nie bez powodu niektórzy mówią, że jestem najlepszym wiedźminem w Czarnym Słońcu.

– Przywitamy się, żaróweczko? – szepnęłam, pociągając spust.

Fotonowe torpedy błysnęły jak flesz. Odbiły się od celu i rykoszetem grzmotnęły w ścianę. Wypaliły piękne dziury, z których bryznęła gorąca lawa. Jedna torpeda uderzyła w sklepienie, druga w ścianę za Gruchotem. Niewiele brakowało i oberwalibyśmy własną bronią. Bez zastanowienia oddałam kolejne dwa strzały. Tym razem konwencjonalne torpedy z penetrującymi głowicami pomknęły, ciągnąc za sobą smugi spalin. Stara, dobra broń.

Dystans był krótki, pociski mknęły szybko, a mimo to skurczybyk zdążył zrobić unik. Torpedy, kierowane przez pokładowy komputer Gruchota, zawróciły po krótkim łuku. I wtedy cholerny pomiot wykonał pętlę i ruszył na mnie! W okamgnieniu zdążyłam tylko wrzasnąć, szarpiąc drążek sterowy. Gruchot stanął dęba i wystrzelił w górę. Niewiele brakowało. Moje własne torpedy niemal otarły się o pancierz transportowca. Po chwili wyrżnęły w ścianę i eksplodowały, wyrywając kawały żelaza. Odepchnęłam drążek, w snopie iskier trąc Gruchotem o sklepienie. Zaczerpnęłam oddechu, by zakląć z całych sił. Wściekłość wypełniała mi żyły, rozerwałabym skurczybyka gołymi rękami.

– Aktywuję przemianę, Xiu – spokojnie oświadczył Shao. – Żarówka leci prosto na nas, a potrafi przechodzić przez ściany. Zobaczymy, co powie na to...

Gruchotem zatrzęsło, gdy Shao upodobnił go do Żelazniaka. Pancierz naszej leciwej maszyny zmorfował w wirującą, multiwymiarową zmiennokształtność, jak żywcem wyjętą z nocnego koszmaru. Pojazdem zatrzęsło po raz drugi, gdy żarówka przyrznęła w burtę. Poczulałam, jak włosy stają mi dęba, a wnętrzności fikają koziołka. Przez Gruchota przeszła fala anomalii, deformując na chwilę rzeczywistość. Zamknęłam oczy, walcząc z mdłościami.

– Wieje, aż się kurzy... – oznajmił Shao. – Zobacz sobie żarówkę po przygaszeniu o parę lumenów. Wyreguluję ci obraz, mała.

Skupiłam wzrok na ekranie, gdzie pomiot Obcych oddalał się pośpiesznie. Shao zmniejszył filtry, obraz robił się jaśniejszy, ale

stwór już nie oślepił tak, jak na początku, wyraźnie przygasał, zupełnie jak przepalona żarówka.

– O, rdza mać...

Poderwałam się z fotela, niemal dotykając nosem ekranu. Zanim stwór zniknął w ścianie na dobre, zrozumiałam, dlaczego Shao zaklął tak, że mogłam niemal usłyszeć zdumienie w jego metalicznym głosie. Oboje to dostrzegliśmy. Unoszącą się wewnątrz płonącej sfery sylwetkę człowieka.

Gruchot przycumował do Tarantuli połączonej nadal z uszkodzoną zniwiarką. Trzy statki spięły się śluzami, tworząc jeden układ. Szepiły się niczym kopulujące, metalowe owady. Nie czekając na zaproszenie, Xiu pomaszerowała na pokład Tarantuli, zostawiając Gruchota pod opieką Shao. Jej brat nie życzył sobie obecności Brunona i Tomasza na pokładzie, stwierdził, że ręce go świerzbią na sam ich widok.

Górnicy czekali na dziewczynę przy śluzie. Tomasz nerwowo przestępował z nogi na nogę, Bruno opierał się niedbale o ścianę, patrząc na kolegę ze złośliwym uśmiechem.

– Dlaczego, do stu gigaton żelaza, poprosiłeś o pomoc akurat Xiu?
– warknął pilot, spoglądając spode łba na towarzysza. – Nie ma innych wiedźminów w tym kwadrancie? Ta wiecznie wściekła Chinka wydrapie mi oczy.

– Puściłeś ją kantem – Bruno wyszczerzył zęby – to się teraz tłumacz. Ja nie mam z nią na pieńku.

– Nie zapominaj, że numer z celnikami zrobiliśmy razem. Wisimy jej pół miliona, nie licząc rachunku za dzisiejszą usługę.

– To był cholerny pech, namierzyli nas i niemal dopadli. – Brunonowi mina zrzędała, wyglądał na zmieszanego. – Sam wiesz, jak było, mieliśmy zwrócić jej forszę za towar, ale trzeba było wiać. Tarantula oberwała torpedą, lewie uszliśmy z życiem. Cała kasa poszła na remont maszyny.

– Ściągnąłeś tu tę małą, więc to ty się będziesz tłumaczył. – Pilot był niższy i znacznie szczuplejszy od żołnierza, ale z Brunona jakby zeszło powietrze. Skurczył się pod wściekłym wzrokiem kompana.

Drzwi śluzy rozsunęły się z sykiem. Twarze górników natychmiast wykrzywiły sztuczne uśmiechy. Xiu energicznie wmaszerowała na pokład, jej czarne warkoczyki podskakiwały zawadiacko. Mająca niewiele ponad półtora metra dziewczyna ubrana była w kombinezon pilota z wyszytym na piersi srebrnym łbem wilka – symbolem cechu wiedźminów. U jej pasa majtała się kabura z igłowym miotaczem. Broń osobista miała podkreślać roboczy charakter wizyty i chłodny stosunek do górników.

Ignorując Tomasza, podeszła do żołnierza. Mężczyzna, któremu dziewczyna ledwie sięgała do piersi, cofnął się o krok. Marsowe oblicze Xiu nawet nie drgnęło.

– Witam, panowie – mruknęła, zwracając się do Brunona. – Darujcie sobie pierdoły i od razu powiedzcie, co się dzieje. I nie kręćcie, bo nie mam ochoty na gierki. – Spiorunowała wzrokiem Tomasza. – Skąd się wzięło szalejące w korytarzu czerwone

cholerstwo i dlaczego jesteście w to zamieszani?

Złożyła ręce na piersi, zastygając w wyczekującej pozie.

– Może przejdziemy na mostek, będzie wygodniej? – Tomasz podszedł do dziewczyny, chcąc ująć ją pod ramię. – Napijemy się czegoś, spokojnie pogadamy. Po co te nerwy? – Lodowate spojrzenie sprawiło, że cofnął rękę.

– Dotknij, a złamię ci rękę – warknęła Xiu, ruszając jednak przodem i kierując się na mostek. – Po co nerwy? Świecący jak wielka żarówka pomiot wylazł ze ściany i mało nie rozwalił Gruchota! Odbił fotonowe torpedy lecące z podświetlną, jakby to były piłeczki pingpongowe! Jak mam się, rdza mać, nie denerwować?

Górnicy spojrzeli na siebie ponad plecami dziewczyny. Tomasz znacząco przewrócił oczyma, na co Bruno wzruszył ramionami. Przemaszerowali korytarzami Tarantuli na mostek. Xiu bezczelnie zajęła fotel pilota, ostentacyjnie kładąc nogi na pulpicie. Natychmiast zażądała też czegoś do picia. Pilot zmuszony był usiąść w fotelu obok, ale nie wyglądał na dotkniętego – spokojnie zaczął opowiadać, co zaszło. Udało mu się dobrnąć do otwarcia Inkluzji. Niecierpliwa zwykle Xiu tym razem słuchała uważnie, nie przerywając i nie komentując.

– Dziwne – stwierdziła, kiedy Tomasz skończył. – Jeśli potwór może przełazić przez ściany, dlaczego wcześniej nie wylazł? Czemu zaczął szaleć dopiero, gdy wytopiliście tunel?

– Może zaktywowała go wytapiarka plazmowa. – Pilot wzruszył ramionami. – Z anomaliami nigdy nie wiadomo. Sama zresztą wiesz.

– Skurczybyk jest mocno podejrzany. I dlaczego jest w nim człowiek?

– Człowiek? – zdziwił się pilot. – Bez stabilizatorów ciężenie zgmiotłoby go w ułamku sekundy. A tutejsza atmosfera zdecydowanie nie służy zdrowemu oddychaniu. Byle twardej tego nie wytrzyma. Znałem kiedyś mutanta z Diony, wiecie, chłopaka z jednej z tych makabrycznych kolonii na księżycu Saturna, który pracował w próżni bez skafandra. Wytrzymał dwie, trzy godziny bez oddychania.

– A ja byłem kiedyś z dziewczyną, której wuj walczył w bitwie o Proximę – pochwalił się Bruno. – I przeżył jako jedyny ze swego okrętu zestrzelonego w jonosferze Alfry Centauri. Łapiecie? Jego statek przez pół godziny znajdował się w ośrodku o temperaturze stu tysięcy kelwinów. Wyciągnęli go dopiero po dwóch dniach, gdy wrak wystarczająco wystygł.

Xiu groźnie zmarszczyła brwi.

– Nie chrzańcie głupot. Tam był człowiek, widziałam. A ten stwór przelazł przez ścianę. I latał – warknęła. – Sprawdzaliście ścianę zamykającą Inkluzję? Jak stara mogła być?

– Zrobiliśmy tylko standardowy skan – niepewnie odparł Tomasz.
– Wyszło, że jest poza zakresem analitycznym aparatury. Sędziwa, znaczy. Korytarz nosi ślady wytopu sprzed jakichś dziesięciu tysięcy lat. Trochę nietypowo, tunel to dawne wyrobisko Obcych, a Inkluzja sprawiała wrażenie siedzącej w ścianie o wiele dłużej. Nie musi to oznaczać, że jest starsza niż korytarz, po prostu mogła tam zostać umieszczona w inny sposób.

– I mimo to postanowiliście ją otworzyć? Bez autoryzacji i szczegółowych badań? – Xiu pokręciła głową, patrząc na dwóch kompanów z niesmakiem.

Czarne Słońce, oprócz wszechobecnego żelaza, obfitowało w metale ciężkie i szlachetne, najważniejsze bogactwo martwej gwiazdy. Inkluzje, które trafiały się poszukiwaczom niczym rodzynki w cieście, były pamiątkami po Obcych, pierwszych gospodarzach martwej gwiazdy. Materia wokół wtrętu nosiła ślady ich technologicznej działalności. Tym razem było inaczej.

Xiu zapało dech, gdy uświadomiła sobie, co odkryli dwaj górnicy. Inkluzja mogła być starsza niż pozostałości po Obcych! Może tak stara jak Czarne Słońce? Jeśli nie, pewnie stworzono ją z wykorzystaniem niezwykłej technologii, umieszczono w ścianie telekinetycznie lub przez mikrotunel nadprzestrzenny. Tak czy inaczej, dla naukowców Korporacji – bezcenne znalezisko.

– Mamy towarzystwo! – głos Shao zagrział w głośniku wpiętym w ucho Xiu. – Cerberzy! Są w korytarzu!

– Rdza mać! – zakląła dziewczyna, podrywając się z fotela. – Nie zdążę wrócić na Gruchota. Znikaj, braciszku, potem mnie odnajdziesz!

Bruno patrzył na Xiu nic nierozumiejącymi oczyma. Tomasz natychmiast domyślił się, że dzieje się coś złego i jednym ruchem wpiął w gniazdo na karku przewód łączący z systemem Tarantuli. Na głównym ekranie od jakiegoś czasu migotały komunikaty, na które wcześniej nikt nie zwrócił uwagi. Pilot rzucił się do panelu i złapał za

drażek sterowy. Tomasz, tak jak dziewczyna, lubił własnoręcznie kierować maszyną.

– Szybciej! – warknęła Xiu. – Zbliżają się cerbery!

– Uważaj na siebie, mała. – Shao w ciągu dwóch sekund zdążył odcumować Gruchota.

Nieco niepewnie transporter uniósł się i skierował ku wlotowi tunelu. Szarpnął gwałtownie, gdy cyborg włączył pełen ciąg. Shao rzadko przejmował stery, Gruchotem zarzuciło, nim znikł w ciemnościach.

Tarantula odcumowała i wykonała powolny zwrot. Pilot ciągle czekał na rozgrzanie silników grawitacyjnych, nerwowo zaciskając dłonie na drążku. Korytarz rozbłysnął kaskadą świateł. Kilkanaście bitewnych ścigaczy. Wąskie kadłuby z wielkimi reflektorami, niczym ławica ryb, sunęły w zwartym szyku, by nagle rozsypać się w krąg wokół Tarantuli. Śmigały dookoła górniczej maszyny błyskając wypolerowanymi pancerzami. Ciasny pierścień wirował w szalonym tempie, groźnie się zaciskając.

– No to jesteśmy ugotowani – stwierdziła Xiu. – Włącz komunikator, i tak nie zwiejemy.

Ledwie Tomasz uruchomił system łączności, na ekranie pojawiło się marsowe oblicze starszego mężczyzny.

– Jestem kapitan de Vorh, reprezentuję Siły Zbrojne Korporacji IronHeart – głośniki zadudniły basowym pomrukiem. – Wpuściecie nas na pokład. Jesteście aresztowani.

Trzeci raz w ciągu pół roku wylądowałam za kratkami. Niby nic nadzwyczajnego, wiedźminom czasem się zdarzało zdrzeć z władzami, taki fach, ale tym razem przyłapano mnie na udziale w wyjątkowo niejasnej sprawie. Z jednej strony, całe szczęście, że Shao zwiął Gruchotem, tylko jak teraz wytłumaczę, co robię w żniwiarce? Skąd się tu wzięłam? Wyjdzie na to, że jestem prowodyrem nielegalnego uwolnienia Inkluzji. Zanim cerberzy wtargnęli na Tarantulę, próbowaliśmy ustalić wspólną wersję wydarzeń. Jednak bez przekonania. Nasza trójka doskonale wiedziała, że cerbery Korporacji i tak wycisną całą prawdę. Zdanie po zdaniu. Nie ma twardziela, który dałby radę przesłuchaniu podprogowemu, farmaceutykom rozwiązującym języki i innym, bardziej paskudnym technikom, o których można podsłuchać szeptane z lękiem opowieści w ciemnych knajpach.

Kapitan de Vorh zupełnie nas zaskoczył. Wparował na pokład Tarantuli na czele oddziału uderzeniowego. Zakuty w aktywny pancerz, z miotaczem w jednym ręku i grawitacyjnym młotem w drugim, wyglądał niczym bóg wojny. Reszta cerberów też była uzbrojona po zęby, i bez wątpienia wyszkolona niczym bitewne borgi. Dobrze, że żadne z nas nie wykonało gestu, który mogliby uznać za wrogi, bo widać było, że całej ekipie aż marzy się porządna bitka. Rozmazaliby nas po ścianach bez zmrużenia powieki. Wojskowy dryg i profesjonalizm napastników zaskoczył nawet Brunona, który pozwolił skuć się pokornie. Dziwne. Zwykle cerbery to zazwyczaj zbieranina najemników. Chamy i buraki, tyle że dobrze uzbrojone,

a tu coś takiego.

Zaciągnięto nas na pokład jednego ze ścigaczy, nawet nie rozdzielając. To było wbrew regulaminowi Korporacji, który nawet ja znałam. Bez zwyczajowych zaczepki ze strony najemników odebrano nam broń i przeszukano. Kolejną godzinę spędziliśmy, siedząc na podłodze małego pomieszczenia. Bruno stwierdził, że de Vorh to emerytowany oficer dorabiający jako zwykły najemnik. To mogło tłumaczyć, dlaczego nie przejmował się przepisami. Ciekawa byłam, dlaczego stary żołnierz o zmęczonych oczach porzucił regularną armię i przyjął się na służbę do Korporacji. Może popełnił jakąś zbrodnię? Sprawiał wrażenie surowego weterana, wypalonego w bitewnym ogniu, który widział już bardzo wiele. Zupełnie nie pasował do korporacyjnych szturów, którzy kierowali chyba wszystkimi komórkami organizacyjnymi syndykatu. Miałam nadzieję, że nie będzie się zachowywał jak tamci, sukinsyny zdolne poddać torturom własne matki, byle tylko wypełnić plan i zgarnąć premie. Istniała pewna szansa, że okaże klasę i nie będzie specjalnie zabiegał o wyciśnięcie z nas wszystkiego, co wiemy. De Vorh nie wydawał mi się typem urzędnika. Przynajmniej taką miałam nadzieję.

Podróż szybko się skończyła, zatem musieliśmy przylecieć do jednego z niewielkich osiedli Korporacji – Stalowej Blizny, bo z tego, co pamiętałam, była najbliższej. Z doków przeprowadzono nas mrocznym korytarzem wprost do kompleksu z szeregiem cel. Bez ceregieli przymknięto w jednoosobowej klitce. Nikt nie interesował się nami przez kilka godzin. Ale swobodnie i tak nie dało się

rozmawiać, bo z pewnością cela była monitorowana. Siedzieliśmy zatem bez słowa, tępo gapiąc się w ścianę. W pewnym momencie Tomasz próbował mnie objąć i chyba przytulić, ale warknęłam przekleństwo i z furią odepchnęłam jego rękę. Poderwałam się, rozpoczynając spacer od ściany do ściany. Pięć kroków w jedną, zwrot na pięcie i pięć kroków z powrotem. Cała ta afera coraz bardziej działała mi na nerwy.

Stukot butów na korytarzu był jak wybawienie. Okazało się, że idę na przesłuchanie jako pierwsza. Eskortowało mnie aż czterech cerberów, choć żadnemu nie sięgałam nawet do ramienia. Czują mores przed wiedźminami, nie mogłam powstrzymać złośliwego uśmiechu. Pewnie mieli do czynienia z Wilkiem albo z Księżniczką. Wiedźmini potrafili dbać o reputację cechu.

Kapitan wstał zza biurka i wyszedł mi naprzeciw, gdy tylko przekroczyłam próg gabinetu. Marsowe oblicze żołnierza wykrzywił grymas, jak się domyśliłam, imitujący uśmiech. Uścisnął mi dłoń i wyrecytował niezdarne powitanie. Jakież androny, że wiele o mnie słyszał i jest zaszczycony, mogąc mnie poznać. Stary pierdoła. Nawet silił się na żalosne komplementy. Ponoć nie spodziewał się, że słynna Xiu jest piękna jak chińska królowna. Śmiechu warte.

Potem jednak mi zaimponował. Usadził w fotelu i natychmiast przeszedł do rzeczy. Chciał, żebym powiedziała, co wiem o świecącym stworze. Nie rozkazywał, nie straszył torturami, ale prosił, bym z własnej woli pomogła Siłom Zbrojnym Korporacji. Przyznaję, że zupełnie mnie zaskoczył. Byłam przygotowana na

szykany i kpiny, może nawet bicie, a w finale zastrzyki z serum prawdy i warunkowanie podprogowe, ale de Vorh tylko uprzejmie poprosił. Wariat albo lepszy cwaniak. Tak czy inaczej, nie miałam nic do stracenia. Zwięźle opowiedziałam, co wiedziałam, łącznie z opisem starcia z żarówką. Pomięłam milczeniem zdolność Gruchota do multiwymiarowej przemiany, podarunek od Żelaźniaka, kończąc opis starcia stwierdzeniem, że skurczybyk po prostu się zmył. Kapitan przyspilił mnie uważnym spojrzeniem, ale nie skomentował ani słowem.

– Będę potrzebował pomocy – odezwał się po dłuższej chwili. Z trudem zniosłam rentgenowskie spojrzenie, zdawałoby się penetrujące umysł i duszę. – Nie wnिकam, co robiłaś na żniwiarce tych dwóch patalachów. Wiem, że jesteś z nimi związana dawnymi interesami. Mam tu kartotekę. – Pochylił się nad ekranem komputera na biurku. – Bruno Brauer, były sierżant Sił Stabilizacyjnych Układu Słonecznego, dezerterski, oskarżony o zabójstwo oficera. Hmm. I Tomasz Koniecpolski, ścigany w Układzie Słonecznym listem gończym za oszustwa bankowe. Podejrzany o czynny udział w powstaniu na Io i późniejszą współpracę z piratami z Jowisza. Dziwi mnie, że wdajesz się w interesy z tymi degeneratami, ale to twoja sprawa. Nie interesuje mnie też, kto uwolnił Inkluzję z potworem ani dlaczego twój brat ulotnił się ze słynnym Gruchotem. Jesteś zdziwiona? Wywiad Korporacji doskonale wie, kim jest Shao. Nic się przed nami nie ukryje. Prędzej czy później wyjdzie też na jaw, co tak cennego macie na Gruchocie, że braciszek zostawił cię na

pastwę cerberów, byle z tym zwiąć.

– Czego pan chce, kapitanie? – Skwitowałam te wstrząsające rewelacje wzruszeniem ramion.

– Zostaniecie tutaj do czasu pojawienia się stwora. Ściągniesz tu swojego braciszka, razem z całym wiedźmińskim wyposażeniem. Potrzebuję każdego zdolnego do noszenia broni, szczególnie fachowców, takich jak ty. – Oficer nerwowo potarł czoło. Zauważyłam, że ręce mu się trzęsły. Czyżby stary piernik dygotał ze strachu na myśl o tej żarówce, co przełazi przez ściany? – Przyda się też tych dwóch awanturników. Pozostaną pod twoimi rozkazami. Niniejszym wcielam was czasowo do Sił Zbrojnych Korporacji, od tej chwili tworzycie pododdział wsparcia przy kompanii dowodzenia.

Zapadła cisza. Kapitan pochylił się nad ekranem, czytając coś z uwagą. Zdawało się, że zapomniał o mojej obecności.

– Zostaliśmy skaptowani? Tak po prostu? – nie wytrzymałam. – A co dostaniemy w zamian? Jaką nagrodę?

– Nie skaptowani, tylko wcieleni. Do odwołania. – Zmierzył mnie surowym spojrzeniem. Oczywiście nie odwróciłam wzroku. – Nagroda? Dostaniecie czasowy immunitet. Nie przeszukam Gruchota ani nie będę wnikał w wasze szemrane interesy. Jeśli uda się unieszkodliwić Inkluzję, pozwolę wam odejść bez zadawania pytań. To mało?

– Ależ skąd. – Chciałam wysondować, czy coś da się wytargować. Pomimo że nic więcej raczej nie skapnie, i tak sytuacja była komfortowa. Frapowało mnie za to kilka bardziej rzeczowych kwestii.

– Jeszcze jedno pytanie. Co pan rozumie przez stwierdzenie, że zostaniemy tu do czasu pojawienia się potwora? Czy spodziewa się pan, że skurczybyk wylezie gdzieś w okolicy?

– Spodziewam się czegoś gorszego – oficer westchnął ciężko. – Potwór przejdzie przez kopułę i wkroczy do osiedla.

Żołnierz już nie prężył się jak struna, wyglądał jak zmęczony życiem starzec. Teraz widziałam w jego oczach ból i strach.

– Skąd pan wie, że skieruje się właśnie do Blizny?

– Uwierz, on tu przyjdzie. Po mnie.

Na czarnym metalowym chodniku wykwitła krwista plama. Pojawiła się w jednej chwili, przez nikogo niezauważona. Wyglądała jak wtęt obcego metalu wtopionego w materiał płyty. Rozrastała się niczym błyskawicznie krystalizujący szron na szybie. Pełzła po podłożu, tworząc chaotyczne zawijasy i wzory. Rozgałęziała się w szkarłatne malowidło. Po chwili wrosła w ścianę, wystrzeliła w górę, wijąc się jak pnącze. Szybko opanowała zaułek i wtargnęła na główną aleję osiedla.

Pierwsza zobaczyła ją para wracająca po wspólnym lunchu do pracy. Dziewczyna złapała partnera za ramię, wskazując dziwne zjawisko. Zatrzymali się, rozważając głośno, czy to aby nie interaktywna reklama nowego klubu lub sklepu. Po chwili przystanęło przy nich dwóch mechaników w brudnych kombinezonach i trójka pryszczatych wyrostków, która urwała się ze szkoły.

Z zaułka wystrzelił snop czerwonego światła, które zaraz

przygasło. Została po nim pulsująca poświata o niezwykle intensywnej barwie. Nieodparcie przyciągała wzrok, nieomal w hipnotyczny sposób. Zaraz pojawiły się kolejne fale światła. Grupka gapiów zamilkła, próbując przyjrzeć się niezwyklej iluminacji. Choć każde z nich poczuło ukłucie niepokoju, nikt nie drgnął, gdy z krwistego blasku wyłoniła się niewyraźna sylwetka otoczona sferą szkarłatnych płomieni.

Zbiegowisko i efekty świetlne w samym centrum osiedla przyciągnęły uwagę przechodzącego patrolu. Na rozkaz dowodzącego rozpuszczono dziś więcej cerberów. Nim postać w szkarłacie zbliżyła się do rosnącej grupy gapiów, drogę zastąpił jej funkcjonariusz z miotaczem w garści. Jego kompan, stojąc z boku, nerwowo meldował o incydencie przez komunikator. Dyspozytor w centrali natychmiast uruchomił procedurę alarmową i wysłał wiadomość do kapitana.

Gdy cerber z miotaczem wzywał niezwykłego przybysza do zatrzymania, kapitan de Vorh w swoim biurze już wykrzykiwał pierwsze rozkazy. Tymczasem szkarłatny stwór znalazł się przy funkcjonariuszu, łapiąc go za dłoń z miotaczem. Pociągnął ku sobie zupełnie zaskoczonego cerbera i przycisnął do piersi. Oślepiający błysk wypełnił zaułek czerwienią. Towarzyszył mu potworny krzyk bólu. Stojąca wśród gapiów dziewczyna zemdląła i osunęła się w ramiona partnera. Oszczędziło jej to widoku krwi, która bryznęła na zgromadzonych. Powietrze rozdarły paniczne krzyki, gapie rzucili się do rozpaczliwej ucieczki. Gwizdnęły igłowe pociski, wbijając się

w sferę pulsującego światła otaczającego sylwetkę tak bardzo przypominającą człowieka. Część igieł rykoszetowała o metalowy chodnik, furkocząc wściekle i raniąc uciekających. Do wrzasków przerażenia dołączyły jęki bólu.

Szkarłatny potwór w okamgnieniu znalazł się przy strzelającym cerberze. Chwycił go za mundur i pociągnął mocno. Rzeczywistość wykrzywiła się wokół nich, fale spienionej przestrzeni rozplynęły się po okolicy. Uciekający gapie przewracali się niczym rażeni niewidzialną bronią. Ciało cerbera zmieniło się w eksplozję krwi. Czerwień zbryzgała ruchomy chodnik i fasady pobliskich budynków. Reflektory zalały zaułek czerwonym blaskiem.

Porażeni ludzie wili się niczym robaki, wyjąc z przerażenia, dławiąc się wymiotami. Prawie wszyscy po raz pierwszy zetknęli się z anomalią czasoprzestrzenną. Tylko chłopak obejmujący zemdloną dziewczynę patrzył na masakrę przytomnie. Był pilotem, przywykł do aberracji, na które można się natknąć w sztolniach i korytarzach Czarnego Słońca. Klęczał, przyciskając do piersi nieprzytomną, daremnie próbując zasłonić ją przed stworem. Szkarłatna postać podpłynęła do nich powoli, jakby unoszona podmuchem powietrza. Zastygła nad obojgiem, wyraźnie się wahając. Drgnęła po dłuższej chwili i, jakby walcząc ze sobą, ukłękła. Przytulila chłopaka i dziewczynę w nieludzkiej parodii czułego gestu. I przemieniła ich w fontannę krwi.

Bruno z pietyzmem sprawdził swoją wielkokalibrową fuzję

i wsunął ją w kaburę przewieszoną przez plecy. Na końcu języka miałam złośliwą uwagę o bezsensie szykowania konwencjonalnej broni na potwora, którego nie ruszają fotonowe torpedy, ale darowałam sobie. Skoro żołnierz będzie się czuł lepiej, targając żelastwo na plecach, jego sprawa. Sama też przypasałam miotacz. Cerber z magazynu zwrócił nam broń osobistą, a nawet zaproponował dodatkowe uzbrojenie. Skorzystał z niego Tomasz, biorąc kilka mikrofalowych granatów. Pojęcia nie mam, czy się do czegoś przydadzą, ale co tam, niech będzie.

– Wyłączą wreszcie to pieprzone wycie? – mruknęłam, patrząc z odrazą na migoczące w rytmie syren światła alarmu. Jak na zamówienie przesywający dźwięk ustał i w koszarach zapadła cisza.

Alarm wykurzył z pomieszczeń wszystkich cerberów i to w błyskawicznym tempie. Kapitan de Vorh zrobił z batalionu na zadupiu elitarną jednostkę. Chłopaki poruszali się jak na ćwiczeniach, aż miło było patrzeć.

– Co teraz, szefowo? – Tomasza chyba trochę zabolalo, że czasowo zostałam jego przełożoną. I dobrze. – Ruszamy za cerberami?

– Nie. Najpierw do centrum komunikacyjnego. Muszę jak najszybciej ściągnąć tu Shao.

– A potem?

– Dowiecie się w swoim czasie, pilocie! – warknęłam, robiąc groźną minę. – Będziesz ubezpieczał tyły. Idziesz dziesięć metrów za nami. I bez dyskusji, ja tu rządę! – Tomasz nawet nie mrugnął, ale

wiem, że to był druzgoczący cios dla jego dumy. – Bruno, będziesz moim przybocznym. Idziemy.

Wielkolud uśmiechnął się złośliwie, widząc minę kompana, i mrugnął do mnie porozumiewawczo. Nie zrugalam go, a nawet ostentacyjnie odpowiedziałam mrugnięciem. Odwróciłam się na pięcie i ruszyłam korytarzem.

Centrum komunikacyjne pracowało jak doskonale naoliwiony mechanizm. Żadnych krzyków czy hałasów, żadnego biegania i nerwów. Kilkunastu operatorów podpiętych wszczepami do systemu siedziało w dźwiękoszczelnych kabinach. Widać było, jak ich usta poruszają się, wydając komendy, przekazując dane podległym jednostkom. Nieustannie poruszały się też ich ręce, gdy wprowadzali do systemu taktycznego wszystkie otrzymane informacje. Na wielkich ekranach migotały obrazy z setek kamer zainstalowanych w osiedlu i na bitewnych hełmach cerberów. Izometryczny rzut strefy mieszkalnej kręcił się, migocząc setkami kolorowych punktów i znaczników. Pomimo ciszy i porządku czuć było napięcie elektryzujące powietrze. Od razu widać, że bitwa się rozpoczęła.

Podeszłam do podoficera siedzącego przy głównym panelu i kategorycznie zażądałam dostępu do systemu, powołując się na rozkazy kapitana. Cerber bez słowa wskazał wolne stanowisko i wrócił do roboty. Wskoczyłam w głęboki fotel i odpaliłam zewnętrzny system. Nadawałam na szerokim paśmie neutrinowym. Strumienie tych cząstek przenikają przez materię, tak jakby jej nie było. Dobrze, że ludzkość doszła do tego, jak używać ich do

przenoszenia informacji. Tylko dzięki temu istnieje łączność we wnętrzu Czarnego Słońca, litej, żelaznej kuli. Shao zgłosił się prawie natychmiast. Odbyłam z nim krótką rozmowę i wyłączyłam komunikator.

Korzystając z nieuwagi cerberów, jak gdyby nigdy nic weszłam w ich system informacyjny. Bezczelnie domagałam się dopuszczenia do archiwum, próbując powołać się na tryb alarmowy, zagrożenie osiedla, bezpieczeństwo mieszkańców. Nie, żeby mi się udało, cholerne procedury zabezpieczające ciągle żądały haseł kodowych. Na dodatek długo nie cieszyłam się spokojem...

– Co to ma znaczyć? – Podskoczyłam w fotelu, słysząc obcy głos koło ucha. – Kim pani jest? Proszę się wylegitymować!

– To pan niech się wylegitymuje! – Tomasz pojawił się jak spod ziemi. Stał pomiędzy mną a cerberem, robiąc groźną minę. – Obywatelka wykonuje zadanie wyznaczone przez kapitana. Jest wysokiej klasy cywilnym specjalistą wcielonym do kompanii dowodzenia. Proszę nie utrudniać jej pracy.

– Jestem porucznik Sack, dowódca ochrony – warknął cerber. – Nikt nie ma prawa wchodzić do systemów taktycznych i archiwów bez mojej wiedzy. Kapitan nie uprzedził mnie...

Nie mieliśmy czasu na przekomarżanie się z cerberem, szczególnie że sprawiał wrażenie skończonego służbisty. Tomasz starał się, ale nie przegadałby nadętego dupka, za to ściągnąłby nam na kark innych cerberów. Skinęłam głową Brunonowi, który pojawił się za plecami oficera. Takie rzeczy olbrzym łapał w lot. Trzasnął porucznika Sacka

kantem dłoni w potylicę i natychmiast złapał osuwające się ciało, kładąc je na podłodze.

– Tylko obezwładniłem. – Paskudną gębę dezertera wykrzywił uśmiech. – Dobić?

– Zostaw. – Machnęłam ręką i wróciłam do zadania.

– Czego szukasz, Xiu? – Tomasz pochylił się nade mną. – Może pomogę?

– Siadaj. – Wyskoczyłam z fotela, robiąc mu miejsce przed pulpitem komputera. Cokolwiek by mówić o tym fireyku, na systemach znał się całkiem nieźle. Na Ziemi dorabiał jako oszust i włamywacz.

Powiedziałam, czego ma szukać. Mamrotał coś, że nie zdziała wiele bez specjalistycznego oprogramowania, ale natychmiast wziął się za robotę. Bruno znalazł przy oficerze kartę z kodami, co znacznie ułatwiło dostęp do akt personalnych.

Chciałam wyszukać informacje o kapitanie de Vorhu. Tomasz szybko znalazł zapisy o ścieżce kariery starego żołnierza. Lista starć i konfliktów, w których brał udział, była imponująca. Tak samo jak liczba awansów. De Vorh jeszcze dziesięć lat temu był pułkownikiem szykującym się na generała. Wtedy też pojawił się w Czarnym Słońcu, siły Ziemi powierzyły mu dowództwo nad naukową placówką w Stalowej Bliźnie. Kierował projektem wspomnianym tylko kryptonimem – „Fantom”. Wyglądało na to, że był to wspólny projekt Korporacji i rządu Ziemi. Kolejna linijka tekstu lapidarnie informowała o zawieszeniu projektu, degradacji oficera i odebraniu

mu wszystkich odznaczeń i przywilejów weterana. Jednego dnia kariera kapitana de Vorha obróciła się w gruzy. Byłam pewna, że miało to jakiś związek ze szkarłatnym potworem.

Grzebanina w systemie pochłonięła Tomasza. Poruszał się jak piskorz między folderami i plikami. Tropił dane, intuicyjnie odnajdując strzępy informacji o tajnym projekcie. Nie przeszkadzałam, z przyjemnością patrząc na przystojniaka. Światło monitora rysowało ostre cienie na pociągłej, młodzieńczej twarzy. Dłonie, smukłe jak u artysty, skakały po klawiaturze i czule muskały panel dotykowy. Nie wiem, co się ze mną dzieje – a to mam ochotę udusić pięknisia gołymi rękoma, a to się do niego przytulić. Brak mi samokontroli. Nie mogę zapomnieć, jaki z niego gagatek.

Okazało się, że projekt „Fantom” został starannie usunięty z archiwów. Bez wątpienia był niezwykle wstydliwą porażką, skoro władze Ziemi i Korporacja tak bardzo chciały o nim zapomnieć. Tomasz przeszedł samego siebie i co nieco wygrzebał, dosłownie z resztek. W kilka minut zebrał fragmenty rozkazów i meldunków z czasów trwania projektu. Głównie dane kwatermistrzowskie i tranzytowe, ale już po pobieżnym przejrzaniu wyłaniał się z nich niepokojący obraz. Zawieszony projekt pochłoniął ogromne nakłady, nie chodziło jednak tylko o koszty energii czy sprzętu. „Fantom” pożarł mnóstwo ludzkich istnień.

Imitująca słońce iluminacja wypełniała Stalową Bliznę ciepłym blaskiem. Korporacja zainwestowała w oświetlenie, dbając o dobre samopoczucie pracowników. Kopuła z grawitacyjnymi stabilizatorami

wznosiła się wysoko nad dachami, dając wrażenie nieskończonej, otwartej przestrzeni. To, w połączeniu z substytutem słońca, miało pomóc kolonistom zapomnieć, że żyją wewnątrz martwej gwiazdy. Lepiej, by nie myśleli o tym, jak niewiele dzieli ich od skrajnie wrogiego środowiska. Od potwornego ciężenia, rzadkiej atmosfery i kosmicznego zimna. Od dziwnych tworów pozostawionych przez Obcych. Jednak w życiu osiedla nadchodził dzień, gdy Czarne Słońce przypominało o swojej potędze.

W białe światło wypełniające Bliznę wdarł się dysonans. Czerwona luna unosiła się nad główną arterią komunikacyjną, powoli zmierzając do centrum. Głośniki ryczały alarmem i wezwaniem do mobilizacji. Każdy zdolny do walki kolonista miał zgłosić się w jednym z punktów werbunkowych. Uzbrojeni mężczyźni i kobiety wysyłani byli na stanowiska ogniowe w korytarzach. Osiedle, niczym ul zaatakowany przez szerszenie, solidarnie stawało do beznadziejnej bitwy. Szkarłatny stwór kroczył powoli, znacząc przemarsz wykwitami czerwieni. Ciężkie miotacze na mobilnych platformach dudniły ciągłym ogniem. Fuzje i karabiny siekały nieustannym ostrzałem. Co chwila wystrzelona rakietą ciągnęła za sobą płonący ogon, by w końcu eksplodować w płomiennej sferze otaczającej ludzką sylwetkę. Potwór przystawał wtedy, jakby zbierając siły, po czym ruszał dalej. Przenikał przez barykady i dosięgał stanowisk ogniowych, zmieniając obrońców w rozbryzgi krwi.

Drużyna Xiu miała spory problem z przedostaniem się przez kordon cerberów pilnujących wejścia do głównego gmachu Stalowej

Blizny. Zbudowana z czarno oksydowanej stali budowla przypominała gotycką katedrę. Wznosiła się wąskimi wieżami pod samą kopułę, górując nad osiedlem. Miała przypominać mieszkańcom o potędze Korporacji, a jednocześnie stanowiła centrum dowodzenia.

Xiu chciała jak najszybciej rozmawiać z de Vorhem, co okazało się dość trudne. Zatrzymywano ich kilka razy, żądając przepustek i haseł. Korporacyjna biurokracja próbowała działać mimo ogólnego chaosu. Funkcjonariusze bezpieczeństwa czujnie kręcili się po korytarzach i salach, przemykali między wielkimi ciągnikami ustawiającymi potężną instalację w hali tuż przy głównym wejściu. Zatrzymywali każdego podejrzanego. Dziewczyna zbywała ich z coraz większą wściekłością. Pokłady cierpliwości wyczerpał wysoki chudzielec. Zastąpił drogę Xiu, która właśnie dojrzała kapitana. Cerber otworzył usta, lecz nie zdażył zażądać stosownych pozwoleń. Dziewczyna zaatakowała, nie zwalniając kroku. Noga w ciężkim, wojskowym bucie trafiła cerbera pod kolanem. Chudzielec ryknął z bólu, składając się niczym scyzoryk. Xiu ominęła go zwinnie, a idący za nią Bruno bez ceregieli dołożył jeszcze z pięści w opuszczoną nisko twarz cerbera.

– Musimy porozmawiać – Xiu stanęła przed kapitanem. – Nie przekazał mi pan kluczowych informacji. Uniemożliwia mi pan wykonanie roboty.

De Vorh, zakuty w czarny pancerz, spojrział na dziewczynę bez zrozumienia. Błękitne oczy, gorejące pod uniesioną przyłbicą, zdawały się ciskać gromy. Oficer był napompowany hormonalnym

biowspomaganiem, z trudem panował nad agresją.

– Dlaczego nie wykonujesz rozkazów? – zadudnił. – Masz ze swoimi ludźmi zatrzymać potwora, odwrócić jego uwagę...

– Chcesz zrobić ze mnie mięso armatnie? – Xiu nie cofnęła się przed rozgniewanym żołnierzem. – Jestem wiedźminką, rozprawię się z potworem po swojemu. Ale potrzebuję danych. Proszę poświęcić chwilę, kapitanie, i wysłuchać moich pytań.

– A ja potrzebuję jeszcze parę minut, by przygotować sprzęt. Sam się zajmę tym stworem. Musicie tylko dać mi czas... – Mimo wszystko oficer gestem zatrzymał zbliżających się przybocznych. Czterech uzbrojonych po zęby cerberów zamarło posłusznie. – Dobrze. Gdyby nie poszło po mojej myśli, będziesz ostatnią szansą dla mieszkańców Blizny. Pytaj.

– Czym była operacja „Fantom”? – Kapitan stężał, ale Xiu atakowała dalej. – Wiem, że miała związek z potworem. Muszę znać szczegóły, inaczej nie mam szans, by zrobić coś więcej niż twoi ludzie.

Stary żołnierz zachwiał się i oparł plecami o stojący obok agregat. Jego dłonie zacisnęły się w pięści.

– Byłem jednym z jego twórców – warknął. – Ten demon zabrał już wszystkich pozostałych, tylko mnie oszczędził. – Żołnierz gwałtownym ruchem zdjął hełm i przetarł spocone czoło. – „Fantom” był naszą wielką szansą, częścią szeroko zakrojonych badań nad anomaliami. Korporacja odnalazła artefakt Obcych generujący stałe zakrzywienie czasoprzestrzeni, niczym oddziaływanie potężnego

strumienia grawitonów. Tyle że bez najmniejszego wpływu na otaczającą materię. To miał być przełom w tworzeniu hiperprzestrzennych korytarzy, wreszcie powstała szansa, by otwierać je nie tylko w wielkiej skali, w kosmosie, ale także w wersji mikro. Kieszonkowy generator tworzący ściśle specyficzny tunel, którym można wysłać pojedynczego żołnierza lub grupę uderzeniową. Coś w rodzaju teleportacji.

Starzec przerwał i gwałtownie wciągnął powietrze, jego twarz wykrzywił gniew. Wbił wzrok w wejście do hali. Tomasz doskoczył do dziewczyny, obejmując ją ramieniem.

– Potwór tu jest! Wiejemy!

Czerwone światło wdarło się do hali. Zalało stalową instalację, wielkie maszyny i dziesiątki przerażonych cerberów. I skąpało pomieszczenie we krwi.

Xiu szarpnęła się wściekle, wyrywając z objęć Tomasza. Odepchnęła go, klnąc i złorzecząc. Kapitan nie powiedział najważniejszego, nie dowiedziała się niczego, co mogłoby być pomocne w starciu z potworem. Było już jednak za późno, de Vorh natychmiast się otrząsnął i wykrzykując rozkazy, wybiegł na środek hali. Cerberzy doskoczyli do potężnej pierścieniowej instalacji. Zajmowali stanowiska wśród zwalistych generatorów i przekaźników. Zanim stwór się zbliżył, iskry wyładowań wystrzeliły z uruchamianych wytwornic. Broń de Vorha była gotowa.

Kapitan stanął wewnątrz okręgu tworzonego przez instalację. Po chwili wahania z rozmachem cisnął hełm i szeroko rozłożył ręce.

Mimo czerwieni wypełniającej halę widać było, że twarz żołnierza nabiegła krwią. Zakuty w metalicznie błyszczący pancerz, stał niczym dawny rycerz szykujący się na śmierć w boju. Potwór poruszał się niemrawo. Przystanął, jakby rozglądając się niepewnie. Ludzka sylwetka, odcinająca się cieniem w szkarłatnym blasku, migotała, momentami niknąc zupełnie. Jej ruchy pozbawione były płynności, a dodatkowo cała postać ciągle zmieniała kontur.

Wreszcie, sunąc tuż nad metalową posadzką, demon popłynął w kierunku starego żołnierza. Tomasz znów doskoczył do Xiu, siłą odciągając ją poza pierścień instalacji.

– Nie wiem, co te durnie zamierzają, lepiej schowajmy się w bocznym korytarzu – ryknął do Brunona, starając się przekrzyczeć hałas pracujących maszyn. – Xiu, rdza mać, uspokój się! Staremu i tak już nie pomożemy!

Ku zaskoczeniu pilota Chinka przestała wierzgać i pozwoliła zaciągnąć się w boczny korytarz. Natknęli się tam na dwóch strażników pilnujących przejścia do, jak się okazało, jakiejś ważnej części gmachu. Bruno, który zdążył zdjąć z pleców fuzję i z trudem hamował ochotę, by do kogoś postrzelać, uległ rozkazowi Xiu i nie pozabijał cerberów. Trzasnął kolbą wielkiej broni w hełm jednego z mężczyzn, posyłając go na ziemię. Drugi funkcjonariusz rzucił broń i niechlubnie zwiął, nie oglądając się za siebie.

Potwór był kilka kroków od kapitana, gdy strzeliły ku niemu pioruny wyładowań. Elektryczne błyskawice, narodzone w trzewiach

ogromnych agregatów, wyrwały się z przewodników, by uderzyć w szkarłatne monstrum. Nie były w stanie uczynić mu najmniejszej krzywdy, jednak tłukąc demona ze wszystkich stron, zatrzymały go w miejscu. De Vorh krzyczał. Błyskawice ślizgały się po pancerzu żołnierza, nie czyniąc mu krzywdy. Strój kapitana okazał się izolatorem przygotowanym z myślą o dzisiejszym dniu. Trzask wyładowań tnących powietrze był ogłuszający, do ukrytych w korytarzu nie docierało ani jedno słowo.

Smagany piorunami potwór dygotał, wisząc w powietrzu. Metalowa posadzka pod nim świeciła rozgrzana do czerwoności. Patowa sytuacja trwała parę chwil, Po czym sylwetka demona znikła w coraz szybciej pulsującym blasku. Czerwone światło, emitowane przez anomalie, stało się oślepiająco jasne. Bruno ryknął coś po niemiecku i pchnął pilota z dziewczyną, zasłaniając ich własnym ciałem. Potężna eksplozja zatrzęsa gmachem. Podmuchy rozprężanych gazów przepłynęły przez budynek, demolując wszystko na swej drodze. Potężne agregaty przewracały się w piorunach wyładowań, pierścieniowa instalacja rozsypała się niczym domek z kart. W powietrzu zafurkotały metalowe fragmenty urządzeń, masakrując uciekających w panice cerberów. Po chwili piekło się uspokoiło. Pulsujące światło nie znikło jednak, ciągle zalewało halę krwistą czerwienią, w centrum której unosiła się ludzka sylwetka. Stwór rozprawił się z pułapką kapitana. Znow był wolny.

Uniosłam się, ocierając krew z oczu. Cholera wie, czy to moja, czy

jakiegoś nieszczęśnika, którego rozerwał wybuch. Zacisnęłam zęby, z trudem panując nad mdłościami. Muszę przyznać, że zdrowo walnęło. Anomalia wyrwała dziurę w rzeczywistości, uwalniając parę megadzuli energii, a może otworzyła dziki korytarz w hiperprzestrzeni? Mniejsza z tym, podobne numery wycinały skurczybyki, z którymi miałam do czynienia w korytarzach Czarnego Słońca. Zawsze jednak byłam wtedy w kokpicie Gruchota, osłaniana multiwymiarowym pancerzem.

Bruno siedział oparty plecami o ścianę. Nie wyglądał najlepiej, paskudna gęba olbrzyma była biała jak kreda, nie licząc ciemnego strumyka krwi płynącego z ust. Tomasz krztusił się wymiotami, klęcząc obok kompana. No tak, gdyby nie wiedźmiński trening i przyzwyczajenie, pewnie też bym się miotła w drgawkach. Ludzki organizm źle znosił efekty wywoływane ingerencją w strukturę czasoprzestrzeni.

Nie miałam czasu, by się ze sobą pieścić. Sycząc przekleństwa, wyprostowałam się do pionu i splunęłam gorzką żółcią. Bruno uśmiechnął się z wysiłkiem. Czoło rosiły mu grube krople potu. Ruszyłam do niego, ale powstrzymał mnie zdecydowanym gestem.

– Żelastwo wbiło mi się w plecy – mówił z trudem, na ustach pojawiła się krwawa piana. – Wytrzymam. Załatw to cholerstwo. Lezie na dół.

Zauważyłam, że Bruno siedzi w powiększającej się kałuży krwi. Osłonił nas własnym ciałem, zdaje się, że w plecy wbiło mu się sporo złomu. Jeśli szybko nie dostanie pomocy, krew wypełni przebite płuca

i olbrzym zwyczajnie się utopi. Szkoda chłopca, ale nie mogłam nic zrobić. Kiwnęłam głową i złapałam zataczającego się Tomasza. Siłą pociągnęłam pilota do wyjścia.

Hala wyglądała, jakby przeszło przez nią tornado. Choć szkarłatna poświata zgasła, gdy potwór ruszył na dolne kondygnacje, pomieszczenie nadal tonęło w czerwieni. Eksplozja zmieliła ludzkie szczątki z pierścieniową instalacją w zbryzgane krwią kłębowisko powyginanej stali, dymiącego plastiku i iskrzących przewodów. Rozglądałam się nerwowo, lekceważąc jękliwe pytania półprzytomnego Tomasza.

Masywną sylwetkę de Vorha zauważyłam na granicy poboju. Dopadłam leżącego w kilku skokach.

Jeszcze żył! Oddychał płytko, charkotliwie. Eksplozja urwała mu obie nogi, osmalone kikuty drgały w kałużach krwi, ale twarz i ramiona, choć paskudnie poparzone, wyglądały na całe. Przed śmiercią uratował go bitewny pancerz i chyba przeznaczenie. Przeżył, żebym mogła wyciągnąć z niego więcej informacji, jak pokonać potwora, inaczej los Blizny był przesądzony.

– Kapitanie, słyszy mnie pan? – Dotknęłam ostrożnie poznaczonego bąblami policzka. De Vorh syknął z bólu, ale spojrzał na mnie przytomnie.

– Nie chciał ofiary – jęknął. – Myślałem, że mnie zabije i odejdzie. Przecież po to przybył, po zemstę. Jestem ostatnim z jego twórców. Ale on mną wzgardził. Okaleczył i odrzucił. Nie wchłonął jak pozostałych.

– Musi mi pan powiedzieć, jak załatwić tego potwora! To ostatnia szansa.

Kapitan wykrzywił się w grymasie bólu. Niech to otchłań pochłonie, stary pierdoła walnie w kalendarz, a ja niczego się nie dowiem.

– Artefakt bezinwazyjnie deformujący czasoprzestrzeń okazał się czymś więcej, niż początkowo myśleliśmy – odezwał się po chwili. – Był żywą istotą, przynajmniej tak się wydawało. Udało się nawiązać z nim kontakt. Trochę przypadkiem. Laborant się skaleczył, jego krew kapnęła na Obcego. Reakcja była natychmiastowa. Potem naukowcy zaczęli się z nim porozumiewać przy pomocy procesów chemicznych... Obcy nas mamił, obiecał zdradzić sekret zdolności, jakie posiadał. W zamian zażądał ofiar.

– Zabijaliście dla niego ludzi?

– Najpierw tak. Trzeba było zaszlachtować kilku tuż nad nim. Potem Obcy zabijał sam. Dawaliśmy mu zbrodniarzy, dezertarów w zamian za bezcenną wiedzę. Obcy po każdym zabójstwie świecił coraz mocniej, zaczął lewitować i rosnąć. Wygenerował ludzką postać. I nauczył się mówić. Któregoś dnia odezwał się głosem jednego z zabitych. Podawał strzępy informacji, kompletnie niezrozumiałych wizji, słów... Z czasem domyśliliśmy się, że nic sensownego z niego nie wyciągniemy – głos de Vorha zaczynał się rwać. – Ten potwór wchłaniał nie tylko ciała. Wchłaniał świadomość. Potrafił odtworzyć wspomnienia swoich ofiar. Pożerał ich dusze... Nie wiem, kim lub czym jest. Może demonem, w którego trzewiach zabici

przez niego ludzie nadal pozostają świadomi, cierpią wieczne katusze, trwają w krwawym piekle umysłu obcego stwora.

Poparzona dłoń kapitana odnalazła moją rękę i ścisnęła mocno. Żołnierz przyciągnął mnie, mówił coraz ciszej.

– Wydałem rozkaz, by przerwać projekt i zniszczyć Obcego. Za późno. Potwór zorientował się, co mu grozi i uciekł. W ciągu jednej nocy zabił prawie trzystu ludzi. Naukowców i większość żołnierzy. Udało się go ujarzmić w pierścieniu wyładowań magnetycznych, a potem wypchnąć w tunel hiperprzestrzenny, który sam wygenerował. Wtedy go pokonałem. Ale dziś nie. Jest o wiele potężniejszy... – De Vorhem wstrząsnęły drgawki, mimo to nie przestawał mówić. – Gdy potwór znikł w hiperprzestrzenni, wiedziałem, że nie zginął i kiedyś wróci. Wróci, by się zemścić i pożreć swego pogromcę. Czekałem na to piętnaście lat. Ale on mnie zlekceważył. Nie rozumiem...

Kapitan zastygł, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami, uścisk jego wielkiej dłoni był coraz bardziej bolesny.

– Po co demon zszedł na dolny poziom gmachu? Co tam jest, kapitanie? – spytałam.

– On nie żyje. – Tomasz położył mi rękę na ramieniu. Zdaje się, że doszedł już do siebie, bo przestał jęczeć i bełkotać.

Szarpnięciem wyswobodziłam się z uścisku umarłego.

– Rdza mać! Dlaczego oni nigdy się nie nauczą, by nie mierzyć skurczybyków ludzką miarą? – warknęłam, masując bolącą dłoń. – Potwór wcale nie przybył, by się mścić. Takie uczucia i reakcje są

typowe dla człowieka, dla pomiotu Obcych nic nie znaczą. Skurczybyk jest tu z innego powodu.

– Z jakiego? – Tomasz spojrzął na mnie czujnie.

– Pojęcia nie mam, ale szybko się dowiemy. Powód jest na dolnym poziomie. Chodźmy zobaczyć.

Krew spływała po ścianach korytarza. Nie był to jedyny trop, jaki zostawił potwór. Naznaczył drogę szkarłatnymi wykwitami w strukturze metalu. Chaotyczne linie czerwieni wrosły w ścianę niczym pasożyty. Korytarz wyglądał jak pulsująca, żywa tkanka.

Xiu i Tomasz dogonili potwora na jednej z niższych kondygnacji. Pożerał właśnie kolejnego obrońcę gmachu. Fontanna krwi trysnęła pod sufit, gdy człowiek został wchłonięty. Potwór majestatycznie popłynął w kierunku masywnego urządzenia błyszczącego polerowanym metalem.

– Reaktor! – syknął Tomasz, łapiąc Xiu za ramię. – Źródło energii zasilające stabilizatory grawitacyjne i systemy podtrzymania życia. Serce Stalowej Blizny. Co ten pomiot chce zrobić?

– Jak to co? Wlezie do środka i pożre energię – warknęła Xiu. – Dlatego tu przylazł. Nie z powodu kapitana, chciał nazreć się jak największą ilością dusz, a przy okazji znalazł pracujący reaktor. Widocznie potrzebuje do czegoś ogromnej energii.

– Widziałem taki sprzęt. Wewnątrz zachodzi niskotemperaturowa fuzja jądrowa. To jak miniaturowe słońce. Wiesz, jak silny będzie ten potwór, gdy je pochłonie?

– Rdza z nim! Gdy zniszczy reaktor, osiedle szlag trafi! Zginą tysiące ludzi. Potem polecą pożreć kolejną osadę. Musimy go zatrzymać. Natychmiast!

Reaktor otaczały pierścieniem słupy czujników. Poza tym nic nie chroniło kulistej konstrukcji. Nie było potrzeby, aby specjalnie zabezpieczać źródło mocy znajdujące się w siedzibie sił zbrojnych Korporacji.

Wypolerowany jak lustro korpus reaktora błyszczał czerwienią, odbijając płomienną poświatę potwora. Obcy zbliżał się powoli, płynąc nad podłogą. Krwiste pulsowanie znów przybrało na sile. Wewnątrz ludzka sylwetka drgała spazmatycznie, jakby targana sprzecznymi emocjami.

– Granaty mikrofalowe! – krzyknęła Xiu. – Ile ich masz?

– Trzy – odparł zaskoczony Tomasz, wyciągając z kieszeni bluzy metalowe walce, które pobrał ze zbrojowni.

Xiu bez słowa wyrwała mu je z rąk i ruszyła za potworem. W biegu wyszarpnęła pasek ze spodni i połączyła nim granaty. Tomasz deptał jej po piętach. Zatrzymali się kilkanaście metrów od Obcego. Dziewczyna wcisnęła granaty w dłoń pilota.

– Ja nie dorzucę. Celuj w reaktor, rozumiesz? Nie w skurczybyka, tylko w reaktor!

Tomasz nie rozumiał, ale nie odważył się dyskutować. Uruchomił zapalnik i z rozmachem rzucił granaty. Szerokim łukiem przeleciały nad stworem i uderzyły w korpus reaktora, dzwoniąc metalicznie. Xiu i Tomasz rzucili się do ucieczki, by znaleźć się jak najdalej, zanim

nastąpi eksplozja.

Nie było huku i fali uderzeniowej. Ładunek w absolutnej ciszy uwolnił impulsową dawkę mikrofalowego promieniowania. Temperatura w promieniu kilkunastu metrów w ułamku sekundy wzrosła o parę tysięcy stopni. Potwór cofnął się jakby zaskoczony. Korpus reaktora zajaśniał od gorąca. Procesory urządzenia w sercu Stalowej Blizny zarejestrowały gwałtowne przegrzanie, interpretując je jako katastrofę w kolonii. Natychmiast uruchomiły ostateczną, awaryjną procedurę bezpieczeństwa, mającą zapewnić ciągłą pracę reaktora. Stabilizator, wbudowany w reaktor, utworzył grawitacyjną sferę wokół urządzenia, od którego zależało życie i śmierć mieszkańców osiedla. Kurtyna grawitonów była najsilniejszą tarczą, jaką wymyślili ludzie. Korzystano z niej niezwykle rzadko, ponieważ pochłaniała koszarne ilości energii.

Człekokształtny stwór podpłynął do sfery i zastygł na chwilę bez ruchu. Rozbłysnął oślepiającą czerwienią, daremnie próbując pokonać barierę. Xiu i Tomasz patrzyli z przerażeniem. Wreszcie pilot pociągnął dziewczynę w stronę korytarza. Przebiegli tylko kilka kroków. Potwór obrócił się powoli w ich kierunku. Zatrzymali się jak zahipnotyzowani. Oboje wiedzieli, że nie mają szans na ucieczkę. Xiu przez chwilę ścisnęła bezużyteczny, lekki miotacz. Rzuciła go na ziemię. Jej dłoń odnalazła dłoń Tomasza. Dziewczyna po raz pierwszy tego dnia uśmiechnęła się do pilota. Odpowiedział uśmiechem. Potwór powoli sunął w ich stronę.

Śmierć nadchodziła pod postacią szkarłatnego demona. Nieraz już się o nią otarłam, potrafiła przybierać naprawdę paskudne formy. Ta specjalnie nie odbiegała od schematu. Jakkolwiek Mroczna Pani wyglądała, zawsze czułam, kiedy się zbliża. Zimna wypełniającego żyły i zapierającego dech w piersi nie dało się z niczym pomylić. Ciepło biło za to od Tomasza, uśmiechaliśmy się do siebie jak para zadurzonych nastolatków. Dziwne rzeczy dzieją się z człowiekiem, który wie, że za chwilę umrze. W jednej chwili wybaczyłam przystojniakowi wszystkie kręactwa. Choć za to, że potraktował mnie jak głupią laskę do zaliczenia, mimo wszystko powinien dostać porządny łomot. Odsunęłam od siebie złe myśli i chwyciłam go za rękę. Dopiero gdy krwawe błyski stały się oślepiająco jasne, odwróciłam głowę, spoglądając śmierci w twarz.

Potwór był kilka kroków od nas. Mimo hipnotycznie Pulsującego światła, dobrze widziałam nibyludzką postać unoszącą się w szkarłatnej sferze. Wewnątrz drgała bezdenna otchłań. Choć patrzyłam na potwora tylko parę sekund, dojrzałam, że w czerni pulsują zmieniające się kształty. W mroku wiły się ludzkie twarze, mężczyzn i kobiet w różnym wieku. Wydawało się, choć ledwie je dostrzegałam, że wykrzywają się w spazmach bólu i przerażenia. Oprócz ludzi były tam też inne istoty, ale mój umysł ledwie zdołał zarejestrować ich obraz. Nagłe zdałam sobie sprawę, że de Vorh miał rację, gdy nazwał tego stwora demonem. W tej krótkiej chwili wydało mi się, że i Obcy, i zamordowani ludzie pochodzą z jednego świata. Z piekła.

– Tu jesteś, mała – usłyszałam znajomy głos. – Zdaje się, że znalazłem cię w samą porę.

– Shao – szepnęłam. Nic więcej nie byłam w stanie powiedzieć. Przerazenie zacisnęło mi krtań.

Olbrzymia sylwetka mojego braciszka przysłoniła krwawy blask. Zupełnie jakby spadł z nieba. Pewnie użył raketowych silników i wylądował między nami a potworem. Rozłożył szeroko cztery stalowe ramiona i pochylił się jak zawodnik sumo szykujący się do starcia.

– Ostatnio walczyłem wręcz, gdy byłem jeszcze zwykłym człowiekiem – cicho stwierdził cyborg. – Siostrzyczko, zabieraj tego kochasia i wiejcie stąd. Spróbuję powstrzymać potwora, ale nie wiem, jak pójdzie.

Czterometrowa postać Shao zamigotała amorficzną przemianą. Pancierz błysnął bladym światłem i zawirował krystaliczną materią, płynnym metalem i językami plazmy. Tętnił w wielowymiarowej przestrzeni, spieniając rzeczywistość. Cudowna moc, otrzymana od prastarego Żelazniaka, dawała górniczemu cyborgowi nadnaturalne zdolności. Ludzki mózg mojego brata, wbudowany w maszynę, z trudem utrzymywał kontakt z rzeczywistością, pogrążając się w hiperprzestrzennej przemianie. Obawiałam się, że kiedyś od tego zwariuje.

Shao skoczył na demona całą masą kilkunastotonowego cielska. Tomasz pociągnął mnie, rzucając się do biegu w kierunku wyjścia. Prawie natychmiast fala anomalii rozpląnęła się po hali, ścinając nas

z nóg. Shao starł się z demonem. Tomasz wił się na podłodze, walcząc z torsjami i drgawkami, ale ja uniosłam się, by popatrzeć na niesamowitą walkę.

Potwór próbował wchłonąć Shao tak, jak to zwykle robił z ludźmi. Otoczył go pulsującą, krwistą mgłą. Cyborg wymachiwał ramionami, zadając ciosy mogące kruszyć skały. Z wirującego korpusu robota buchały białe płomienie – ostrza skryształizowanej przestrzeni. Miałam wrażenie, że umrę od samego patrzenia. Wielowymiarowe starcie, na skraju szaleństwa, nie było przeznaczone dla ludzkich oczu. Z nosa pociekła mi krew, musiałam odwrócić wzrok.

Nie zważając na krwotok, wstałam, podtrzymując Tomasza ciągle wijącego się w drgawkach. Ruszyliśmy do wyjścia. Obserwowałam świetlne refleksy odbijające się w ścianach hali. Czerwone błyski przerywane białym światłem. Nie wiem, jak długo szliśmy, nie byłam w stanie jasno myśleć. Mamrotałam imię brata, starając się skupić na liczeniu kropeł kapiących mi z nosa.

Upadliśmy tuż przy wyjściu z budynku. Tomasz skulił się, niezdolny do ruchu. Oparłam się plecami o ścianę i znów spojrzałam na pole bitwy. Shao trzymał czarną sylwetkę w uścisku czterech ramion. Pulsowanie czerwieni miało tak wysoką częstotliwość, że złata się niemal w jeden błysk. Demon jednak był bezsilny w konfrontacji z Shao. Ciało cyborga zdawało się nie pochodzić z tego wszechświata, było wielowymiarową hybrydą materii i energii.

– Słuchaj, Xiu – usłyszałam jak zwykle spokojny głos brata. – Sprowadziłem wsparcie. Do osiedla powinna już dotrzeć ekspedycja

ratunkowa Korporacji. Zajmą się wami. Ja muszę cię opuścić.

Załkałam. Nie byłam w stanie mówić.

– Potwór rozpruwa przestrzeń, chce zwiać. Pozwolę się wciągnąć, zobaczymy, gdzie mnie zabierze – mówił, nie zważając na moje zawrocie głowy. – Słuchaj, ten Żelazniak... On przekazał mi coś jeszcze. Ostrzeżenie przed niewyobrażalnym złem, przed nadchodzącą zagładą. Boję się, że ten potwór jest jej pierwszym znakiem. Cholernym jeźdźcem apokalipsy, czy czymś takim. Myślę, że potrzebuje energii, by rozpocząć jakiś potężny proces. Potrafi ją czerpać także z ludzkich dusz. Przetwarza każde jej źródło w energię psychokinetyczną, taką, którą można sterować mentalnie i wpływać na materię i czasoprzestrzeń. Obawiam się, że potwór jest czymś w rodzaju katalizatora, gdy osiągnie odpowiednie nasycenie energią, uruchomi przemianę, która grozi zagładą całemu Słońcu. Muszę się dowiedzieć czegoś więcej, to jedyna szansa. Do zobaczenia, mała.

Nie mogłam na to pozwolić. Nie mogłam pozwolić, żeby mnie zwyczajnie zostawił. Znów będę sama. I jak go odnajdę w milionach kilometrów korytarzy, w monstrualnie wielkiej tkance martwej gwiazdy? Ochroniliśmy osiedle, nie wystarczy, że przegnaliśmy demona? W głębi serca wiedziałam jednak, że nie. Trzeba skorzystać z możliwości zbadania zagrożenia. Jeśli Czarnemu Słońcu groziło coś strasznego, nie można liczyć się z kosztami. Kolejne fale deformujące przestrzeń wstrząsnęły rzeczywistością. Nim straciłam przytomność, ujrzałam, jak postać demona obejmuje Shao, otaczając go szkarłatną poświatą, a potem znika. Razem z moim bratem.

Rozdział trzeci

Czas Końca

Ekran komunikatora błyskał alarmowo w próbach nawiązania kontaktu. Ani myślałam odbierać. Ledwie przed paroma minutami Gruchot zostawił za sobą kolumnę transporterów wypełnionych uciekinierami, a za załomem żelaznego tunelu znów ktoś się czał. Ruch tu jak na orbicie matki Ziemi. Ciągle byłam zbyt blisko bazy Alfa – najstarszego osiedla na Czarnym Słońcu, można nawet powiedzieć, że miasta – dziś ostatniego miejsca, gdzie jeszcze mieszkali ludzie. Ciągnęły tu tabuny maruderów, chcących załapać się na któryś z promów opuszczających kolonię. Reszta zdążyła już się zabrać i zwiać, gdzie kolonie bakteryjne kwitną. W ciągu kilku tygodni miliony osadników zapakowały się na statki, zostawiając puste osiedla i dobytek, byle tylko ocalić życie.

Nie miałam czasu gadać z robiącymi w gacie górnikami mającymi setki próśb i życzeń. Zaraz się okaże, że muszę zabrać na pokład chorych, odholować zdezelowaną żniwiarkę albo odnaleźć rozdzieloną w panicznej ucieczce rodzinę. Nie mogłam pozwolić, by przez miękkie serce marnować czas. Musiałam się śpieszyć.

Minął rok, odkąd mój brat zniknął w hiperprzestrzennym korytarzu, spleciony w walce z demonem. Wiem, że Shao ciągle jest gdzieś wewnątrz Czarnego Słońca. Czuję, że mnie potrzebuje.

Poruszyłam niebo i ziemię, by go odnaleźć. Uruchomiłam wszystkie kontakty, żeby uzyskać dostęp do wojskowego systemu. Mogłam dzięki temu śledzić meldunki o występowaniu i aktywności anomalii na całym obszarze martwej gwiazdy. Dużo pomogli też bracia wiedźmini. Meldowali mi, jak szkolone wojsko, o każdym skurczybyku, który wylazł z żelaznej dziury i siał zamęt w okolicy. Miesiące śledzenia i analizowania danych. Tysiące kilometrów korytarzy pokonanych w trakcie poszukiwań. I nic.

Muszę przyznać, że Tomasz okazał wtedy anielską cierpliwość. Chyba naprawdę mu na mnie zależało. Bez słowa skargi znosił tygodnie rozłąki, gdy włóczyłam się po mrocznych holach i sztolniach. Kiedy wszystko zaczęło się chrzanić, nieomal siłą zmusił mnie, by opuścić głęboko położone stacje i przenieść się na leżącą na powierzchni Alfę. Potem załatwił miejsce dla dwojga na jakimś wahadłowcu, jednym z ostatnich mających lądować na Czarnym Słońcu. Dziś miałam porzucić Gruchota i zagubionego w korytarzach brata, by odlecieć w siną dal z moim przystojniakiem. Przynajmniej tak mu się wydawało. Przyznaję, że byłam bliska, by to zrobić, ale dosłownie w ostatniej chwili przyszła wiadomość od Wilka. Stary wiedźmin ciągle szukał guza we wnętrzu gwiazdy. Dawno nie było już kogo bronić, ale on po prostu nie potrafił żyć inaczej. Informacja była tylko zapisem koordynat i krótką notką: „Czerwień wgryza się w ściany. Pulsujące światło przenika przez żelazo. Przestrzeń się pieni”.

Nareszcie! To było to, na co czekałam długie miesiące. Tomasz nie

odezwał się ani słowem, gdy pakowałam manatki. Odsunął się, gdy próbowałam go pocałować. Przebrnęłam przez gęsty tłum, okupujący każdy metr kwadratowy Alfę, i wskoczyłam do Gruchota. Serce mi pękało, ale zagryzłam wargę do krwi, byle ból zagłuszył uczucia. Wiedziałam, że tym razem przegięłam, Tomasz odleci z Czarnego Słońca beze mnie.

Zacisnęłam rękę na drążku sterowym, pchając go mocno, Gruchot przyśpieszył jak wystrzelony z procy. Starłam się unikać patrzenia na błyskający ciągle ekran komunikatora. Skupiłam się na planach korytarzy, rzucanych przez komputer nawigacyjny na jeden z monitorów kokpitu. Skręciłam ostro w wąskie rozgałęzienie, opuszczając główny szlak. Mknęliśmy tunelem o prześwicie niewiele większym niż rozmiary Gruchota. Pancierz statku o włos mijał ostre, nieregularne wyłomy sterczące z żelaznych ścian. Koncentrując się na pilotażu, zapomniałam na chwilę o kłopotach. Jeden błąd, a przyrznę Gruchotem o ścianę i będą kłopoty. Rozgrzewałam się powoli, czułam, jak adrenalina przyśpiesza bicie serca. Korytarz skręcił gwałtownie i skierował niemal pionowo w dół.

Chyba wreszcie odleciałam na tyle, by zostawić konwoje uciekających daleko za sobą. Niestety, ekran komunikacyjny ciągle migotał.

– Rdza mać! To chyba sygnał alarmowy! – zauważyłam głośno.

Ktoś nadawał na pełnym paśmie, schematem używanym przez związanych z IronHeart tylko w przypadkach bezpośredniego

zagrożenia życia. Wahałam się chwilę, jednak kodeks honorowy zobowiązywał do sprawdzenia choćby, co się stało. Włączyłam komunikator. Z głośników ryknął niezrozumiały bełkot przerywany huraganem trzasków. Monitory wyświetliły kaskady chaotycznych symboli. Syknęłam wściekle. Naprawdę źle się działo. Jedyne system zapewniający komunikację w żelaznych trzewiach Czarnego Słońca zaczął szwankować kilka miesięcy temu. Wykorzystujący strumienie neutrin, przez dziesiątki lat pozostawał niezawodny i niezastąpiony. Pozwalał porozumiewać się mimo milionów ton metalu, potężnych oddziaływań grawitacyjnych i dziwacznych źródeł promieniowania dzielących rozmówców. Dla tych specyficznych cząstek wypełniających cały wszechświat takie drobiazgi nic nie znaczyły. Dlatego gdy zaczęły pojawiać się zakłócenia w systemie, w pierwszej chwili podejrzewano hakerski atak na serwery sterujące siecią informacyjną. Dopiero potem się okazało, że był to początek końca.

Wydałam komendę, by komputer namierzył źródło alarmu i zwolniłam szalony pęd Gruchota. Nie dowiem się, co się dzieje, jeśli sama nie polecę na miejsce. Mogli to być panikujący z głupiego powodu górnicy, ale może coś poważniejszego. Wariacka przejażdżka mocno mnie ożywiła i miałam ochotę na więcej. Postanowiłam, że poświęcę parę minut na rekonesans, dobrze mi to zrobi po tygodniach gnieźdzenia się w obozie uchodźców, komputer szybko wyświetlił namiary miejsca, skąd wezwano pomoc. Dziwnym zbiegiem okoliczności dzieliło mnie od niego tylko kilka kilometrów. Włączyłam systemy bojowe statku i obwód, którym mogłam

uruchomić przemianę Gruchota. Tego ostatniego wolałabym uniknąć, pełne panowanie nad tą cudowną mocą miał tylko Shao. Odkąd zabrakło go na pokładzie, nie używałam daru Żelazniaka.

Korytarz rozszerzał się, kilkakrotnie powiększając średnicę, aż wreszcie przeszedł w obszerny hol. Ogromne wyrobisko oświetlały błyski laserowej kanonady. Wyłączyłam reflektory i przyczaiłam się Gruchotem przy pofałdowanym sklepieniu. Nie ma co się pchać w zadymę, jeśli nie wiadomo, o co chodzi. Patrzyłam na migoczące kłębowisko, starając się zorientować w zamieszaniu.

Kilka zwinnych niszczycieli w barwach Korporacji IronHeart wściekle atakowało transportowce zdobione godłem tej samej firmy. Sunące powoli olbrzymy wyglądały niczym stalowe gaśienice nękane przez metalowe osy. W holu leżały żarzące się szczątki co najmniej trzech wielkich maszyn i paru statków bojowych. Ciężenie sprasowało je na żarzące się placki, z racji szczątkowej atmosfery stygnące bardzo wolno. Atakujący bez litości smagali pancerze transportowców laserowymi wiązkami, od czasu do czasu tłukąc torpedą lub dwiema. Niezgrabne transportowce odgryzały się tym samym, mozolnie posuwając się po chropowatym podłożu. To nie był koniec niespodzianek. Między walczącymi śmigały ohydne cielska Rzęciowych Larw. Ich gąbczaste odwłoki, sprawiające wrażenie niezwykle miękkich, błyskały metalicznie. Pomiot Obcych, jak zwykle, był wrogo nastawiony i gwałtownymi wyładowaniami plazmy próbował wgryzać się w pancerze pojazdów. Rzęciaków było dużo, bo aż kilkanaście, do tego zdawały się niezwykle ożywione.

Patrzyłam parę chwil na strzelaninę, zastanawiając się, co zrobić. Ani mi było w głowie wtrącać się w wewnętrzny konflikt między jednostkami Korporacji. Nie chciałam nawet wiedzieć, dlaczego tłuką się między sobą. Trwająca od miesięcy katastrofalna nadaktywność potworów błyskawicznie doprowadziła firmę na skraj przepaści. Niegdyś trzymała w garści połowę Czarnego Słońca, teraz jej struktury opanował chaos.

Żołdakom w niszczycielach musiało bardzo zależeć na rozwaleniu transportowców. Nie podejmowali walki z Rzęciakami, całą siłą ognia kierując przeciw powolnym statkom. Zniesmaczona bezsensowną bijatyką, w której trzy strony konfliktu próbowały się nawzajem pozabijać, już zamierzałam zawrócić Gruchota z powrotem do korytarza, ale zatrzymał mnie potężny wybuch. Torpeda musiała przejść przez grawitonową kurtynę jednego z transportowców, przebić pancierz i trafić wprost w źródło energii. Maszynę rozerwało na strzępy, zalewając hol oślepiająco białym światłem. Siła wybuchu uszkodziła stabilizatory sąsiedniego transportowca, ogromne ciężenie martwej gwiazdy natychmiast zaczęło miażdżyć niechronioną część statku. Kilka Larw pomknęło ku ofierze i łapczywie wpiło się w konający pojazd. Bryznęły strumienie stopionego metalu, gdy potwory smagały unieruchomioną maszynę plazmowymi jęzorami. Pożerały stal bogatą w domieszki metali szlachetnych. Na polu bitwy pozostał ostatni transportowiec, który, najwidoczniej uszkodzony, stanął w miejscu. Nie miałam ochoty patrzeć na egzekucję bezbronnego. Obróciłam Gruchota, używając tylko silników

manewrowych, by nie rzucać się w oczy, i odleciałam. Pora ruszać na ratunek bratu, daruję sobie przygody.

– Mamo! Mamooo! – Jednostajne trzaski dobiegające z komunikatora ucichły jak ucięte nożem. Zastąpił je przeraźliwy płacz dziecka.

Krew zastygła mi w żyłach. Musiałabym nie mieć serca, by nie zareagować na coś takiego. Silniki natychmiast rozbłysły pełną mocą, a pojazd zawrócił w miejscu. Miałam niewiele czasu, niszczyciele szykowały się do ostatniego przelotu nad uszkodzonym transportowcem. Czy ci głupcy nie wiedzieli, że na pokładzie jest dziecko? Na szczęście atak Larw odwrócił ich uwagę. Szkoda, że komunikacja tak szwankuje, nie mogę zażądać wyjaśnień, co tu się właściwie, rdza mać, dzieje. Tak czy inaczej, nie pozwolę zamordować bezbronego dziecka.

Wycelowałam w skupisko Larw i wystrzeliłam torpedę. Pojedyncza smuga pomknęła jak błyskawica. Wybuchła w pobliżu celu, wyrzucając chmurę białego pyłu. Paskudna głowica, jeden z kosztownych wynalazków z laboratoriów Korporacji, była prawdziwym cackiem. Nietypowa broń była oczywiście zakazana konwencjami. Co z tego, skoro była skuteczna jak diabli. Wyrzucony pył opadł prawie natychmiast ściągany ciężeniem i przysypał większość Larw. W chmurę dostały się też dwa niszczyciele. Przykro mi, już po nich.

Pył stanowiły drobiny metaloorganicznej substancji aktywującej się pod wpływem rozpylonego razem z nią ciekłego tlenu. Wszędzie,

gdzie przyłgnęła mieszanka, natychmiast wżerała się w metal. Gąbczaste Ręciawi wybuchły białym ogniem, wijąc się i drgając spazmatycznie. Poszycie niszczycieli trawiło się trochę wolniej, lecz już po chwili agresywna substancja dotarła do stabilizatorów grawitacyjnych. Piloci próbowali walczyć z ogarniającą pojazdy niesterownością, jednostki opadły na dno holu niczym liście, wirujące i unoszące się w podmuchach wiatru.

Wykorzystując moment zaskoczenia, odpaliłam cztery kolejne torpedy, wybierając cele jak popadło. Tym razem użyłam konwencjonalnych pocisków, broń chemiczna była strasznie droga, nie miałam wiele takich zabawek. Gruchot przemknął zygzakiem między kulami ognia, w które zamieniły się trafione Larwy i niszczyciel. Zawróciłam po ciasnej pętli i zmasakrowałam z bliska ostatnie dwa potwory. Nim wykonałam kolejny nawrót, szykując się do ostrzelania niszczycieli, zobaczyłam tylko błyski ich znikających w ciemności silników.

We krwi pulsował mi jeszcze bitewny żar. Kocham to uczucie. Ciągłe nabuzowana agresją, bez zastanowienia skierowałam Gruchota ku ocalałemu transportowcowi. Pojazd pozostawał nieruchomy między stygnącymi resztkami strzaskanych maszyn i dogorywających Larw. Zacumowałam przy ładowniach. Nim żądło wycelowało we włącz, pędziłam do przejścia, w biegu wbijając się w kombinezon. Złapałam jeszcze karabinek igłowy i już po chwili wpadłam na pokład transportowca.

Przebiegłam puste ładownie, kierując się w stronę mostka. Tylko

stamtąd mogło nadawać dziecko. Po drodze znalazłam kilka trupów. Nie dostrzegłam ran, ale nie było śladu tętna. Właściwie wyglądali na śpiących.

Martwi ubrani byli w kombinezony robocze, które widziałam już u naukowców w Stalowej Bliźnie. To był personel badawczy, nie wojsko czy najemnicy.

Pokonałam kolejnych kilkadziesiąt metrów, nim wreszcie dotarło do mojej pustej łepetyny. Jajogłowi nie padli trupem na skutek ataku niszczycieli czy natarcia Larw. Poszycie statku i systemy podtrzymania życia były nienaruszone, nie zabił ich wstrząs po wybuchu czy promieniowanie. Załatwiło ich coś, co mieli na pokładzie.

Co mi odbiło, by działać w kompletnym zamroczeniu? Przekląłam własną głupotę. Zdjęłam z pleców karabinek, odbezpieczyłam i ustawiłam „na bojowo”. Główny korytarz, prowadzący na mostek, zamykała gródź. Przebywający w kokpicie piloci i kapitan transportowca odcięli przejścia, chcąc odizolować się od reszty statku. Coś musiało ich niezłe wystraszyć, możliwe, że nawet bardziej niż atak niszczycieli i Larw. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby to samo cholerstwo jednak tam weszło i płakało jak dziecko do komunikatora. Powinnam natychmiast wrócić na Gruchota i lecieć na poszukiwanie brata. Co mnie napadło, żeby się wtrącać? Od kiedy to stałam się wrażliwa na zawodzenie bachorów?

Korytarz nagle przybrał czerwoną barwę. Jej źródłem były gradzie zamykające przejście do sterowni. Prześwitywał przez nie pulsujący

krwawy blask. Oddech z przerażenia zamarł mi w piersi. Nie byłam w stanie nawet drgnąć. Koszmar ze Stalowej Blizny powrócił. Szkarłatny potwór w ciągu dwóch godzin zabił kilkuset ludzi z korporacyjnego osiedla, a odchodząc, zabrał mi brata. Wtedy jego obecność zwiastował właśnie ten blask – dziś dla osadników będący symbolem strachu i śmierci.

Przez wrota zaczęła przenikać ludzka sylwetka otoczona krwawą poświatą. Znieruchomiałam. To było dziecko, w odróżnieniu od demona ze Stalowej Blizny, przechodzące przez materię z wyraźnym trudem. Nieduża postać nie migotała jak na starym filmie wyświetlanym z projektora braci Lumiere, przeciwnie, wyraźnie widziałam małą dziewczynkę. Dziecko wyciągnęło do mnie rękę w błagalnym geście. Ścisnęłam mocniej karabinek, ale nawet nie drgnęłam. To coś zabiło wszystkich pasażerów transportowca. Kolejny pieprzony eksperyment pojebów z Korporacji, który obrócił się przeciw twórcom. Potwór nawet w części nie wygląda na tak potężnego jak ten z Blizny, może seria z karabinku chociaż go obezwładni? Potem wystarczy wysadzić transportowiec, czyli zrobić to, co zamierzali piloci niszczycieli.

Nie byłam w stanie nacisnąć spustu. Upiorne dziecko przeszło wreszcie przez wrota i podpłynęło do mnie powoli. Wciąż trzymało uniesioną rękę, jakby chcąc dotknąć mojej twarzy.

– Mamo, to ty? – szepnęło, patrząc na mnie pytająco.

Broń wypadła mi z ręki.

*

Spodziewałem się, że Xiu nie opuści Czarnego Słońca. Spędziliśmy tu całe życie, świat poza martwą gwiazdą zawsze zdawał się nam niesłychanie odległy i niedostępny. Wiedziałem też doskonale, że moja siostrzyczka pod maską twardej wiedźminki jest sentymentalną i wrażliwą dziewczyną. Nie odejdzie, dopóki w korytarzach będą błakali się bezbronni górnicy i osadnicy. Będzie do samego końca przestrzegać honorowego kodeksu, z którego publicznie nieraz się naśmiewała. Bez wahania zaryzykuje życie, chroniąc ludzi przed pomiotami Obcych wyłazącymi z otchłani korytarzy. Poza tym nie ustanie, dopóki mnie nie odnajdzie. Dziś zamierzałem wybić jej to z głowy.

Wiedziałem, że ciągle szuka. Nieraz patrzyłem, jak błąka się Gruchotem po opuszczonych holach i zapomnianych sztolniach. Wiem, ile energii poświęciła, analizując strzępy informacji nadchodzące z całego Czarnego Słońca. Byłem tuż obok, gdy kłóciła się z Tomaszem, gdy ogarniała ją rezygnacja i zwątpienie. Wspierałem uczuciem i braterską miłością, nic więcej nie potrafiłem zrobić. Mogłem tylko podglądać rzeczywistość z otchłani gdzieś głęboko w hiperprzestrzeni. Czasem przenikałem bliżej, wtapiając się w żelazną ścianę korytarza albo unosząc się w zdegenerowanym gazie atomowym wypełniającym zagłębienia w wielkich holach. Nie chciałem nawiązywać kontaktu z siostrą, uznałem, że lepiej, abym pozostał dla niej martwy. Już na zawsze będę połączony ze

szkarłatnym potworem, którego uwięziłem na dnie piekła. Stałem się więźniem Czarnego Słońca, bez jakichkolwiek szans na uwolnienie.

Taki był koszt zwycięskiego pojedynku z potworem uwolnionym z Inkluzji przez Brunona i Tomasza. Naukowcy Korporacji odkryli tylko, że to demon rosnący w potęgę z każdą pożartą istotą. Na dodatek pochłaniał też energię wytwarzaną w reaktorach, ewidentnie zbierał siły, kumulował je, szykując się do wielkiej przemiany. Zniszczyłby osiedle w Bliźnie, gdyby nie wpadł w moje ręce. Byłem dla demona twardym orzechem do zgryzienia, nie mógł pochłonać mojego umysłu, by użyć go jako kolejnej porcji energii. Nie byłem żywą istotą. Poległem kilka lat temu i tylko mój mózg był utrzymywany w stanie sztucznej aktywności, by służyć jako bioprocessor sterujący górniczym cyborgiem.

Potwór rozgrzał się niczym wewnątrz atomowego pieca, darł strunową strukturę przestrzeni, próbując zmiażdżyć mnie powstającymi wyładowaniami energii. Stępił sobie tylko zęby. Wykorzystałem moc, jaką przekazał mi Żelaźniak, przyjmując wielowymiarową formę, która jest w stanie znieść wybuch jądrowy bez uszczerbku. Potem pozwoliłem się wciągnąć w korytarz.

Miałem nadzieję, że potwór zabierze mnie tam, skąd pochodził, pozwoli odkryć swoją tajemnicę. Tak też się stało. Bestia otworzyła przejście i zabrała mnie w głąb hiperprzestrzeni, gdzieś, gdzie nie istniały wymiary. I na dodatek nie otworzyła wyjścia. Znaleźliśmy się głęboko w otchłani. Ludzkość korzysta z hiperprzestrzeni tylko do natychmiastowych skoków tunelami, skracając w ten sposób

odległość między dwoma punktami. Nie znamy sposobów, by penetrować samą otchłań, nie traktujemy jej jak konkretnego miejsca. Właściwie nawet nie podejrzewaliśmy, że jest to możliwe. Potwór pokazał mi, że jednak jest. Spadliśmy do piekła.

Ludzkie zmysły natychmiast pchnęłyby mnie w obicia szaleństwa, na szczęście przywykłem już do postaci żelaźniaczej i oswoilem się z nowymi, obcymi doznaniem. W otchłani potwór ukazał swą prawdziwą naturę, przejrzałem go bez trudu. Był istotą stworzoną na podobieństwo maszyny, automatycznie uruchamianego i napędzającego się tworu. Pierwotnie wcale nie miał pożerać innych istot, wynikało to ze zbyt rozszerzonych warunków brzegowych algorytmu, który opisywał jego ewolucję. Jego twórcy po prostu nie dbali o bezpieczeństwo przypadkowo napotkanych organizmów żywych. Te przyciągały go jednak z ogromną siłą, ich jaźń dostarczała mu energii, karmił się duszami, wbudowując pożarte świadomości do swojej.

Nie myliłem się, to on odpowiadał za wielkie zagrożenie, o którym informacje wyciągnąłem kiedyś od Żelaźniaka. Musiałem szkarłatnego potwora unieszkodliwić, powstrzymać, a przynajmniej spowolnić. Stoczyłem z nim kolejny pojedynek w głębi hiperprzestrzeni. Zanurzyłem bestię w tachionowych oceanach o ujemnej energii, spętałem go łańcuchami grawitonowych wiązek. Nie mógł teraz otworzyć tunelu i wrócić na tamtą stronę, do rzeczywistości. Ciągle próbował się oswobodzić, zatem zanurzyłem się w umyśle demona i związałem z jego źródłem energii. Niczym

wampir łączywie spiłem nagromadzoną przez bestię moc. Zaświeciłem szkarłatnym blaskiem, który w otchłani ryczał falami drgań wzbijającymi przestrzenną pianę.

Nie potrafiłem go unicestwić, nie wiedziałem, czy to w ogóle możliwe, ale przynajmniej udało mi się go spętać. Potwora stworzono w ściśle określonym celu, do którego spełnienia starałem się nie dopuścić. Domyślałem się, jakie jest jego zadanie. Był aktywatorem, który uruchomił efekty zaprogramowane w strukturę gwiazdy. I to mu się udało. Teraz miał katalizować cały proces, nadając mu odpowiednie tempo i sterując kolejnością przemian. Póki co potrafiłem skutecznie mu to utrudnić. Dałem dzięki temu osadnikom czas konieczny do opuszczenia Czarnego Słońca. Przemiana się już rozpoczęła i nie potrafiłem jej cofnąć ani zatrzymać. Zło stopniowo się rozprzestrzeniało, zmieniając kolonię w piekło.

Z każdym dniem było coraz gorzej, panowanie nad uwięzionym przychodziło mi z rosnącym trudem. Demon czuł zmiany zachodzące w Czarnym Słońcu. Obaj wiedzieliśmy, że jest kwestią czasu, kiedy się uwolni i zrobi to, po co go stworzono. Pogodziłem się już z porażką, gwiazda zostanie stracona, przynajmniej dla ludzkości. Martwiłem się tylko o Xiu, wiedząc, że do końca nie opuści domu.

Przenikając przez żelazną materię w bezowocnym poszukiwaniu pomysłów na rozwiązanie problemu, natknąłem się na opuszczoną stację przeładunkową. Górnicy opuścili ją w panice, wystraszeni zbliżającą się falą zagrożenia. W zamieszaniu zgubiła się mała dziewczynka. Na szczęście zagłada ominęła kolonię i dziecko

przeżyło. Znalazłem je, zrozpaczone i przerażone. Dziesięcioletka sama wśród wielkich doków i hal magazynowych pustej, porzuconej bazy.

Obserwowałem dziecko z hiperprzestrzeni, zastanawiając się, co z nim zrobić, gdy nagle poczułem coś bardzo dziwnego. Głód. Trudny do wyobrażenia, przeszywający i odbierający zmysły. Ryknąłem wściekle, próbując zapanować nad zwierzęcą żądzą. W odbierającym świadomość błysku mój umysł zalała eksplozja czerwieni. Nim zdążyłem w jakikolwiek sposób zareagować, znalazłem się w rzeczywistości, klęcząc przed bezbronnym dzieckiem. Wbrew sobie złapałem je i uniosłem. Potworny żar szarpał mą duszą, ból i nienasycone pragnienie, które mogła zaspokoić jedynie świadomość tego dziecka. Dziewczynka krzyczała, oszalała z przerażenia. Patrzyłem na nią, skapaną w upiornym szkarłacie i dopiero po chwili dotarło do mnie, że to ja sam jestem jego źródłem.

Demon mnie opętał. Szarpnął łańcuchy, którymi go spętałem, i wdarł się do mojego umysłu. Śledził każdą moją myśl i wykorzystał chwilę nieuwagi, a teraz próbował za moim pośrednictwem pożreć to bezbronne dziecko. W pierwszej chwili chciałem się rozpaczliwie bronić, lecz zdążyłem się opanować. Pozwoliłem, by wypełnił mnie całkowicie i uznał się zwycięzcą.

Wąchał małą duszyczkę i czułem, że z każdą sekundą traci nad sobą kontrolę. Opętała go niewyobrażalna żądza, zatracił się w niej bez reszty. Odczekałem jeszcze chwilę, by całkiem pograżył się w szaleństwie, i jednym ruchem spętałem przerażone dziecko

mentalnymi więzami poluzowanymi przez potwora. W tej chwili staliśmy się zamkniętym układem, trójkątem mocy. Bestia zawyła wściekle, czując, jak jej własna energia przepływa przez dziecko. By rozerwać układ, musiałby wydostać własne ciało z hiperprzestrzeni i unicestwić dziewczynkę. Nie zamierzałem do tego dopuścić, dopilnuję, by spędził w otchłani całą wieczność.

Zapanowałem nad wierzgającym potworem, zacisnąłem pęta i znów zanurzyłem się w hiperprzestrzeni. W opuszczonym habitacie zostało samotne dziecko, zadziwiającym zbiegiem okoliczności obdarzone potężną mocą. Mała była wierzchołkiem trójkąta, przez który zamierzałem stopniowo uwalniać odebraną potworowi energię. Teraz trzeba było zabrać ją stąd jak najdalej.

Objawiłem się staremu wiedźminowi błakającemu się w okolicy. Wiedziałem, że powiadomi moją Xiu o ukazaniu się szkarłatnego demona. Niestety, pierwsi na miejsce przybyli naukowcy z pogrążonej w rozpadzie Korporacji. Na szczęście nim zdążyli dobrać się do dzieciaka, ściągnąłem im na kark renegatów, przerywając na chwilę chaos w systemie informacyjnym. Zbuntowane siły zbrojne Korporacji wściekle zaatakowały naukowców, myśląc, że na pokładzie transportują broń ostatecznej zagłady. Właściwie niewiele się mylili.

Potem wystarczyło już tylko sprowokować Xiu, a doskonale wiedziałem, jak grać na jej uczuciach. Nie myliłem się, zabrała dziewczynkę na pokład Gruchota.

*

Miała na imię Eva. Nawet na chwilę nie chciała puścić mojej dłoni, a potem przytuliła się mocno, jakby za wszelką cenę nie chcąc tracić kontaktu z drugim człowiekiem. Szkarłatne światło znikło zupełnie i upiorne dziecko zamieniło się w zwykłą dziewczynkę. Z umorusaną twarzą, ubrana w podniszczoną sukienkę, pozornie niczym nie różniła się od tabunów dzieciaków biegających po górniczych osiedlach. Osadnicy płodzili potomstwo masowo i bez opamiętania. Kiedyś byłam dokładnie takim jak ona szcylem bawiącym się w zakamarkach między hutami i magazynami, całe dni pałętającym się po dokach i stacjach przeładunkowych. Zaginięcie jednego z nich nie było niczym nadzwyczajnym nawet w spokojnych czasach, a co dopiero w zamieszaniu i panice towarzyszącym ewakuacji.

Jakim trzeba być sukinsynem, by wykorzystać okazję i przeprowadzić na bezbronnym dziecku plugawe eksperymenty? Gnojki, które to zrobiły, miały szczęście, że Eva wykończyła ich szybko i pewnie, choć nie do końca świadomie. Ja byłabym bardziej surowa.

Położyłam małą na fotelu w kokpicie Gruchota, a sama usiadłam na sąsiednim. Lepiej mieć ją na oku, nie wiadomo, czy panowała nad swoją mocą i byłoby nieciekawie, gdyby przez sen zamieniła się w potwora. Póki co, spała jak aniołek. Odcumowałam Gruchota i nie oglądając się za siebie, popędziłam w dalszą drogę. Do obszaru, w którym prawdopodobnie znajdował się Shao, został jeszcze spory

kawałek. Pchnęłam drążek sterowy, zmuszając transportowiec do ostrego przyśpieszenia.

– Ciociu, jestem głodna. – Sterowanie pochłonęło mnie do tego stopnia, że zapomniałam o młodej pasażerce.

– Nie jestem twoją ciocią, mam na imię Xiu – mruknęłam, zwalniając łagodnie i włączając automatycznego pilota.

Wprowadziłam szybko plan lotu i wypięłam przewód z wszczepu na karku. Wzięłam małą za rękę, zaprowadziłam do mesy. Eva zażyczyła sobie płatków na mleku, a na deser ciastko. Słodczy, oczywiście, nie miałam, ale mleko i płatki jadłam często, więc znalazły się w spiżarni. Mleko było zawiesiną syntetycznych tłuszczów i biomasy w wodzie, z dodatkiem substancji smakowych, płatki też nie miały nic wspólnego z prawdziwym ziarnem. Na Czarnym Słońcu naturalne produkty były deficytowe i niezwykle kosztowne.

Po posiłku wsadziłam dzieciaka pod prysznic i porządnie wyszorowałam. Młoda trajkotała opowieści o swoich starszych braciach i siostrach, kuzynach i koleżankach ze szkoły. Słowem nie wspomniała o tym, co przeżyła w czasie ewakuacji, i o tym, co spotkało ją ze strony naukowców. Chyba całkowicie usunęła ze świadomości koszmary, które ją dotknęły. Sprawiała wrażenie zwykłego dziecka z górniczej rodziny. Słuchając paplania, zastanawiałam się, co z nią zrobić. Poszukam jej rodziny na Alfie, ale nawet jak znajdę bliskich Evy, nie wiem, czy mogę ją po prostu oddać. Przecież nie jest już zwykłym dzieckiem. Ktoś zrobił jej

krzywdę i zmienił w potwora.

– Zbliżają się – niespodziewanie odezwała się Eva poważnym tonem, przerywając wesołe trajkotanie. – Moc czerwonego smoka rozproszyła ich lenistwo, są pobudzone i głodne. Chcą przetworzyć wszystko na swoje podobieństwo. On do nich mówi, a ja to wszystko znów słyszę. Zbliżają się, Xiu, uciekajmy!

Z przerażeniem spojrzałam na dziecko. Kontury twarzy dziewczynki rozmazały się, jakby materia ciała wpadła w drgania o ogromnej częstotliwości. Z oczu i ust błysnęło szkarłatne światło. Bez wahania złapałam małą za rękę.

– Eva! Nie ulegaj temu, zostań ze mną! – krzyknęłam.

Dziewczynka przekrzywiła główkę, prześwietlając mnie upiornymi oczami. Z wyraźnym trudem próbowała się skupić. Serce zamarło mi w piersi.

– Xiu? – szepnęła niepewnie.

Przytuliłam ją mocno. Czułam słabnące fale anomalii drażniące mi skórę i skręcające wnętrzności. W tej samej chwili ryknęła syrena alarmu, systemy Gruchota zarejestrowały zbliżające się niebezpieczeństwo. Skoczyłam biegiem do kokpitu. Usadziłam Evę w fotelu, bez zastanowienia przypinając pasami. Wyglądała już prawie normalnie, nawet patrzyła całkiem przytomnie. Tylko jej oczy ciągle błyszczały krwawym blaskiem.

Ledwie wpięłam się do systemów, Gruchotem szarpnęło uderzenie drgającej i zdeformowanej przestrzeni. Świat fiknął, omal nie zemdlałam. Mój organizm potrzebował chwili, by się przestawić.

Spojrzałam na małą. Nawet nie drgnęła, choć otoczenie wariowało pod wpływem działania anomalii. Ja zachowywałam przytomność dzięki wieloletniemu treningowi i morderczemu szkoleniu, ludzki umysł fatalnie znosił wszelkie fluktuacje przestrzeni i wypaczenia rzeczywistości. Gdyby Eva była zwykłym dzieckiem, wiłaby się w drgawkach albo leżała nieprzytomna. A ona się uśmiechała.

– Dalej nie można, Xiu. – Wskazała rączką główny monitor kokpitu. – Tam już nic nie ma. Stwory przenoszą Czarne Słońce na drugą stronę. Przygotowują je do przemiany.

– O czym mówisz, dziecko? – mruknęłam, uruchamiając systemy bojowe.

– Olbrzym o czterech rękach chce je powstrzymać, ale czerwony smok jest silniejszy. Zobacz, Xiu, ich jest zbyt dużo.

Poczułam uderzenie gorąca. Shao był cyborgiem z czterema ramionami i walczył ze szkarłatnym potworem. Czyżby ich starcie ciągle trwało? Ale skąd Eva o tym wie?

Pancerz Gruchota zazgrzytał jakby od potwornego wysiłku. Ekrany systemów technicznych błysnęły czerwienią alarmowych komunikatów. Stabilizatory działały pełną mocą, chroniąc pojazd przed ciężeniem, które nieoczekiwanie zaczęło wzrastać, jakby nie wystarczało, że grawitacja Czarne Słońca na co dzień jest mordercza. Coś niedobrego działo się z fizyką przestrzeni, oddziaływania grawitacyjne prące na poszycie były nieprawdopodobne. Przełączyłam moc reaktora na wspomaganie systemów stabilizacyjnych, zmniejszając jeszcze bardziej prędkość

Gruchota. Ciagle nie widziałam plugawego pomiotu Obcych, a on już nieomal mnie unieruchomił.

Przed nami był tylko żelazny korytarz, jak zwykle pogrążony w absolutnej ciemności. Nawet światła przednich reflektorów nic nie dawały, a nieustanne skany w pełnym zakresie widma także nie dostarczyły żadnych danych. Wystrzeliłam sondę uzbrojoną w plazmową flarę. Kula białego światła pomknęła tunelem i przestała nadawać po kilkuset metrach. Nim zgasła, przez mgnienie oka ujrzałam nadchodzącą zagładę.

Plugastwa wiły się niczym w monstrualnym wężowisku. Wielowymiarowe cielska, na przemian pulsujące materią i odkształconą przestrzenią, wypełniały korytarz. Splątane stwory brnęły przed siebie, pochłaniając materię, by się powielić. Niedobrze się robiło na sam widok. Ze strachu.

Pozostawione przez Obcych machino-byty, takie jak Żelaźniak czy Larwy, zdawały mi się przy tej potworności nieomal oswojone. W jednej chwili dotarło do mnie, że to naprawdę koniec. Wcześniej starałam się me dopuszczać do siebie tej myśli. Wzrost aktywności potworów trafiał się i dawniej, choć nigdy na taką skalę. Wszystko wskazywało na to, że Czarne Słońce ma dosyć obecności ludzi. Zasiedlaliśmy je przez ponad wiek i nadeszła pora, by odejść. Wypędzano nas stąd. Wszystko, co dotychczas obojętnie wędrowało korytarzami, jak jeden mąż wystąpiło przeciw ludziom. Wściekła fala anomalii wypełniająca korytarze, niszcząca habitaty i stacje przeładunkowe, do tego zmiany samej struktury Słońca, zupełnie

jakby nagle stawało się żywą istotą, jakby się budziło. Ktoś nazwał to zjawisko Czasem Końca, co tłuszcza natychmiast podchwyciła. Twierdziłam, że to histeria i bzdury, ale teraz musiałam przyznać, że to faktycznie koniec. Stracę dom, wszystko, co znam, a co najgorsze, nigdy nie odnajdę Shao.

Świadomość, że nigdy nie zobaczę brata, nie bolała już tak bardzo. Chyba w głębi serca zdażyłam się na to przygotować i pogodzić z utratą ostatniej bliskiej mi osoby. Jako jedyna nadzieja pozostawały niejasne słowa Ewy o czterorękim olbrzymie. Nie było jednak czasu, by się nad nimi zastanawiać. Natychmiast obróciłam Gruchota i przełączyłam reaktor, przerzucając moc na silniki. Znowu zamigotały ostrzeżenia. Szarpnęło, niemal wyrzucając mnie z fotela. Mała pisnęła, przestraszona. Znow zawył alarm. Gruchot zadygotał i zaczął powoli opadać na dno korytarza.

Reaktor był przeciążony. Prawie całą jego moc pochłaniały stabilizatory. Już miałam zakląć wściekle, ale w ostatniej chwili ugryzłam się w język. Miałam dziecko na pokładzie, musiałam zachowywać się odpowiedzialnie. Rzuciłam na główny monitor widok z wstecznych kamer. Kłębiące się węzowisko zdawało się pęcznić, puchnąć. Cholerstwo zbliżało się nieustannie. Widać nawet było migotanie przestrzeni rozrywanej nienaturalnymi oddziaływaniami wywieranymi na rzeczywistość przez ciała pomiotów. Włączyłam selektywnego zooma, zbliżając fragment obrazu. Zniekształcone i pozrastane odwłoki potworów, które znałam z wiedźmińskiej praktyki, a między nimi kształty zupełnie mi obce, dziwne

i złowrogie. Potwory łączyły się ze sobą, scalały w jedną strukturę. Do tego spajały z materią Słońca, tworząc razem z nim jedną hybrydę.

Gorączkowo przełączałam przepływ energii z reaktora, starając się znaleźć optymalny rozkład. Nic z tego, silniki były ledwie żywe.

– Szybciej, Xiu! Są blisko i chcą nas wchłonąć! Są głodne! Szybko! – wrzeszczała mała.

Spojrzałam na nią, nie odwracając głowy, dygotała jak w febrze, jej oczy pulsowały szkarłatnym blaskiem. Wiedziałam, że muszę natychmiast nas stąd zabrać. Wijące się ohydztwo było coraz bliżej, coraz mocniej biły w nas fale wzburzonej anomaliami przestrzeni. Z trudem hamowałam mdłości.

Nie było wyjścia. Uruchomiłam program przygotowany przez Shao. Przez poszycie Gruchota przepłynęła energia, aktywując przemianę pancerza w wielowymiarową strukturę. Podarowana memu bratu przez Żelaźniaka, niczym potężne zakłęcie zamieniała wysłużony transportowiec w statek nie z tego wszechświata. Gruchot zadrżał niczym żywa istota. Poczułam, jak włosy stają mi dęba od energii elektrostatycznej wypełniającej powietrze. Eva umilkła nagle, ucichły też wycia alarmów i trzeszczenie poszycia.

Pancerz Gruchota zamienił się w zmienną strukturę, wirującą i kłębiącą się płynnym metalem i zdeformowaną przestrzenią. Potężne ciśnienie, czy fluktuacje rzeczywistości, przestały mieć na niego wpływ. Stabilizatory, zupełnie odciążone, przeszły w tryb jałowy. Gruchot dostał porządnego kopa. Silniki zadygotały od kotłującej się w nich mocy. Pchnęłam dźwignę do oporu. Transportowiec wyrwał

z miejsca jak wystrzelony. Chyba w ostatniej chwili, bo ściany korytarza zaczęły się rozplýwać, morfując w wijące cielska potworów.

Westchnęłam z ulgą, spoglądając na Evę. Mała uśmiechała się niepewnie, a jej oczy świeciły szkarłatnym blaskiem.

*

Miło było patrzeć, jak Xiu radzi sobie z pilotowaniem Gruchota. Ożywiona żelaźniaczą mocą maszyna ze zdezelowanego grata zamieniła się w niezniszczalnego potwora. Mknęła pogrążonymi w mroku korytarzami, pulsując barwnymi płomieniami i wzburzając przestrzeń. Daleko w tyle pozostało ohydztwo pożerające Czarne Słońce. Cieszę się, że Xiu wreszcie zrozumiała, iż musi opuścić kolonię. Martwiło mnie natomiast, że moje zabiegi tylko nieznacznie opóźniały Czas Końca.

Nie poznałem mechanizmu, który steruje przemianą Czarnego Słońca. Właściwie przed dłuższy czas nie zdawałem sobie sprawy, co się dzieje, tak samo jak ludzie żyjący w gwieździe. Zaczęło się kilka miesięcy temu od zakłóceń w systemie łączności, ot, kolejne dziwaczne zjawisko, z którym osadnicy będą sobie musieli poradzić.

Niestety, to był dopiero początek. Niedługo później odkryto pierwszy obszar, w którym aktywność anomalii była zastraszająco wysoka i wciąż rosła. Pozostawione przez Obcych pomioty masowo wyłaziły z nieskończonych korytarzy Czarnego Słońca. Dotychczas poruszające się bez jasnego celu, nagle zaczęły łączyć się w grupy.

Wiedźmini i Siły Zbrojne Korporacji mieli mnóstwo roboty. Niestety, okazało się, że pomiotu jest niezwykle dużo i nawet mimo wspólnych akcji ludzie nie potrafią poradzić sobie z zagrożeniem. Ogłoszono pospolite ruszenie, zaciągając do pomocy górników i małe firmy. Bez powodzenia. Padły rozpaczliwie bronione bastiony, kolejne osady przestawały istnieć wraz z tysiącami mieszkańców. Do tego strefy, gdzie koncentrowały się anomalie, zaczęły się stabilizować, wszystkie działały już podobnie, całkowicie przekształcając materię w bezkształtną, atomową masę. Doszło do kolejnej tragedii, tym razem większej, gdy aberracja wykwitła obok stacji przeładunkowej. Zginęła masa ludzi, zniszczony został drogi sprzęt i zmagazynowany do transportu do Układu Słonecznego urobek.

Najgorsze dopiero nadchodziło. Pomioty Obcych ciągle powiększały obszary zniszczeń, pożerając wszystko, co napotkały na swej drodze. Zagładzie uległy kolejne osiedla. Zdesperowani górnicy początkowo jednak nie chcieli opuszczać domów, decydując się na walkę do samego końca.

Ku zaskoczeniu wszystkich pierwsza uległa IronHeart, której zarząd zdecydował o opuszczeniu Czarnego Słońca. Część firm i zbrojnych oddziałów podległych Korporacji wypowiedziała posłuszeństwo. Wybuchła wojna domowa, dodatkowo powiększając chaos i przynosząc kolejne tysiące ofiar. Czarne Słońce zapłonęło w wojennej pożodze. Atakowani przez pomiot Obcych osadnicy rozpoczęli ewakuację. Dziś na Czarnym Słońcu pozostała ostatnia stacja – leżąca na powierzchni gwiazdy baza Alfa.

Do niej zmierzała Xiu, chcąc ochronić dziewczynkę i siebie przed nadciągającą zagładą. Najwyższa pora, miałem nadzieję, że jeśli Eva odleci w głąb galaktyki, znacznie pomiesza szyki szkarłatnemu potworowi. Pozbawiony części mocy, może nie zdoła dokończyć dzieła.

Z niepokojem obserwowałem pędzącego Gruchota. Xiu nie była tego świadoma, ale od jakiegoś czasu ich śladem leciał zwinny Q-Skaut – wojskowa jednostka zwiadowcza. Szpieg miał na stałe włączone maskowanie, dlatego pozostał zupełnie niewidoczny dla systemów Gruchota. W połowie drogi do Alfę dołączyły do niego kolejne cztery jednostki. Intruzi należeli do tych samych sił, które atakowały transportery i z którymi Xiu szybko się rozprawiła, ratując Evę. Ciężkozbrojne niszczyciele czaiły się w bocznych korytarzach przed samą Alfą. Czekwały, aż Gruchot wleci w pułapkę.

Tak jak się obawiałem, na kilka kilometrów przed bazą Xiu dezaktywowała formę żelazniaczą. Nadnaturalną moc leciwej maszyny utrzymywaliśmy w tajemnicy, inaczej Gruchot zostałby nam odebrany, a spece z IronHeart rozebraliby go na części. Wszystkie technologie Obcych były niezwykle cenne, nie tylko Korporacja pragnęła poznać ich tajemnice. Nie wspominając o tym, że mogłaby również rozebrać mnie i dokładnie przebadać moją siostrę. Przy pomocy wiwisekcji najpewniej.

Piloci Q-Skautów cierpliwie czekali, aż Xiu się odsłoni. W chwilę po tym, gdy pancierz Gruchota znów stał się zwyczajny, ostrzelali pojazd salwą z wyrzutni plazmowych. Moja siostrzyczka miała dobry

refleks, transportowiec został trafiony tylko pierwszym pociskiem, przed kolejnymi się wywinęła. Natychmiast odpowiedziała laserowymi smagnięciami, stapiając kadłub jednemu z napastników. Niestety, plazmowa sfera, która dosięgła Gruchota, nadwreżyła stabilizatory grawitacyjne. Xiu miała niewiele czasu, by rozprawić się z przeciwnikiem i dotrzeć na Alfę, zanim straci ochronę przed ciężeniem Czarnego Słońca. Rozsądnie zrezygnowała z rozprawienia się z pozostałymi czterema napastnikami. Rzuciła się do ucieczki, zawracając po ciasnej pętli i kierując się w boczny korytarz.

Wpadła prosto w pułapkę. Elektromagnetyczna sieć rozciągnięta przez osiem niszczycieli zacisnęła się, unieruchamiając Gruchota. Precyzyjna laserowa salwa dla pewności zniszczyła silniki manewrowe i ostatecznie rozbroiła moją siostrę. Xiu została pokonana.

*

Gruchot konał. Po tylu latach, po tak wielu stoczonych bojach, straciłam go przez chwilę nieuwagi. Z całych sił ścisnęłam drążek sterowy, siedząc bez ruchu i tępo gapiąc się w ekran. Pokładowy komputer informował o kolejnych gasnących podzespołach i systemach transportowca. Eva mówiła coś do mnie, ale nie słuchałam, walczyłam z wypełniającym mnie gniewem, czułam, że jeszcze chwila, a przestanę nad sobą panować i wpadnę w szal. Byłam wściekła na siebie za bezmyślność i na sukinsynów za zniszczenie

mojego pojazdu.

Maszyną zatrzęsło, gdy korytarze abordażowe cumujących do Gruchota niszczycieli strzaskały wejściowe włazy. Chmara żołdactwa wtargnęła na pokład. Poderwałam się, sięgając po karabinek igłowy. Nie poddam się, niech mnie zabiją, ale przynajmniej jednemu bydlakowi naszpikuję durny łeb serią polimetalicznych igieł. Odbezpieczyłam broń i... moje spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Ewy.

Młoda miała oczy pełne łez, broda jej drżała. Nagle dotarło do mnie, co mówiła, gdy starałam się opanować gniew. Bała się i prosiła, żebym jej nie zostawiała. Chciała, by ją przytulić i ochronić przez złymi żołnierzami. Zamarłam na chwilę, patrząc na zrozpaczone dziecko, a potem cisnęłam broń na ziemię. Odpięłam młodą z fotela i przytuliłam. Nie mogłam dać się zabić w bezsensownej strzelaninie, musiałam zająć się Evą.

To nie byli zwykli, korporacyjni cerberzy. Do kokpitu wpadło czterech komandosów, prawdziwe maszyny bojowe – ciała poddane mutacjom i wzmocnione wszczepami i aktywnymi pancerzami. Ich ruchy były szybsze, niż rejestrowało ludzkie oko. W jednej chwili widziałam cztery stojące w wejściu masywne sylwetki, a po sekundzie leżałam na ziemi przyciśnięta do podłogi stopą jednego z żołnierzy. Przed twarzą zwisała mi lufa wielkokalibrowego miotacza. Eva leżała tuż obok, kurczowo trzymając mnie za rękę. Na szczęście. Nie chciałabym, aby w takim momencie zmieniła się w demona. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Maszyny do zabijania zastygły w bezruchu, mierząc do nas z armat. Śmieszne. Czterej komandosi mający siłę ognia jak dwie kompanie cerberów obezwładnili bezbronną Chinkę – półtora metra w kapeluszu, waga średniego kurczaka – i dziesięcioletnie dziecko. Całe szczęście, że zrezygnowałam z użycia broni, pewnie rozwaliliby mnie, zanim zdążyłabym mrugnąć. Szepnęłam małej, by była spokojna, że wszystko będzie dobrze. Komandosi ani drgnęli. Nie mogłam nawet spojrzeć żadnemu w oczy, nosili hełmy z zamkniętymi przyłbicami. Widziałam tylko swoje odbicie w polerowanej stali.

Minęło kilka minut, nim drzwi kokpitu znów się rozsunęły i do środka wszedł wysoki mężczyzna. Nie był wojskowym, nie nosił munduru ani pancerza bojowego, tylko zwykły, cywilny kombinezon. Zachowywał się jak osoba nawykła do wydawania poleceń, każdy jego ruch znamionował pewność siebie i władczość. Gotowa byłam się założyć, że ten szpakowaty starszy gość jest jednym ze zbuntowanych członków zarządu Korporacji.

Skinął nieznacznie żołnierzom, komandosi w idealnej synchronizacji rozsunęli się na boki. Opuścili broń, zamierając za plecami cywila.

– Kto ci zlecił uprowadzenie obiektu? – spytał lodowatym głosem.
– Wstań, niewygodnie ci będzie odpowiadać na pytania, leżąc na podłodze. Swoją drogą, muszę ci pogratulować brawurowego ataku i przejęcia artefaktu. Samotnie roznieść szwadron niszczycieli, to nie byle co. Ale odpowiedz, proszę, na moje pytanie. Kto za tym stoi?

Domyśliłam się, że gnojek Evę nazywa obiektem. Widocznie

bardzo mu na niej zależy, skoro wkroczył na Gruchota osobiście. Wstałam, a mała razem ze mną.

Natychmiast się do mnie przytuliła, odwracając plecami do napastników.

– Nikt mi nic nie zlecił. Jestem wiedźminką, odebrałam wezwanie pomocy i ruszyłam na ratunek. Chroniłam dziecko podróżujące atakowanym statkiem.

Mężczyzna patrzył na mnie zimnym, przeszywającym spojrzeniem.

– Czteryście miliardów kredytów rocznie – powiedział powoli. – Tyle zarabiała Korporacja na Czarnym Słońcu. Wszystko wzięło w łeb wraz z nadejściem Czasu Końca. Gdyby cofnąć katastrofę, ja i moi współpracownicy przejęlibyśmy interes. Naprawdę nam na tym zależy. Do szczęścia brakuje tylko cudownej broni, która pomoże cofnąć przemianę. Czegoś, co zgniecie Obcych kradnących nam martwą gwiazdę. Długo szukaliśmy tego narzędzia, aż wreszcie się udało. Odnaleziono to cudowne dziecko. – Mężczyzna obrzucił obojętnym spojrzeniem Evę. – Obiekt odnaleziono na opuszczonej stacji skazanej na zagładę. Fala plugastwa ominęła bazę prawdopodobnie dlatego, że to się tam znajdowało. Wiemy już, że sama może być źródłem anomalii i nieźle potrafi to wykorzystać, widzieliśmy, co uczyniła z twoim żalonym pojazdem. Rozumiesz zatem, wiedźminko, nie mogę uwierzyć, że znalazłaś tę istotę przypadkowo. Ten, kto ją ujarzmi, będzie miał w rękach potęgę mogącą uratować Czarne Słońce, a w przyszłości nim władać.

Przyznaj więc szybko i po dobroci, kto za tym stoi? Kto prócz nas wie o istnieniu dziecka?

– Nie mam pojęcia – warknęłam. Mała przytuliła się mocno, kryjąc twarz w fałdach mojej bluzy. – Wyniosłam dziewczynkę z ostrzelanego transportowca. Nic więcej nie wiem.

– Zdajesz sobie sprawę, jakie mam możliwości? Mogę wyciągnąć z ciebie dosłownie wszystko, nawet informacje, o których już dawno zapomniałaś. – Pochylił się, groźnie na mnie łypiąc. – Słyszałaś o oficerach przesłuchań z Io? Pomagali tłumić powstanie w koloniach Jowisza, przesłuchali tysiące buntowników. Mają opanowane metody zadawania bólu, jakich sobie nawet nie jesteś w stanie wyobrazić. Z okrucieństwa uczynili sztukę. Mam aż trzech do dyspozycji. Uwierz, wyciągną z ciebie całą prawdę w kilkanaście minut. Chcę jednak dać ci szansę bezbolesnego załatwienia sprawy, po prostu nie mam czasu się z tobą cackać, głupia wiedźminko. Gadaj, co wiesz!

– Miliard – szepnęłam cicho. – Dowiesz się wszystkiego za tę sumę. Mogę być naprawdę bardzo pomocna przy tym dziecku. Dużo o nim wiem, w dodatku mała mnie słucha.

Grałam na zwłokę. Musiałam jakoś dostać się z Evą na Alfę. Tam zwiejemy gnojom, a póki co trzeba uśpić ich czujność.

– Na początek powiedz mi tylko, kto cię najał – zażądał szpakowaty gnojek.

– Nikt. Naprawdę znalazłam małą przypadkowo – odparłam bez zastanowienia. To był błąd.

Mężczyzna milczał chwilę, patrząc na mnie badawczo, a potem

uśmiechnął się lodowato.

– Wierzę ci – szepnął. – Chciałem się tylko upewnić, że nikt więcej nie wejdzie nam w paradę. A z dzieciakiem sami sobie poradzimy, nie potrzebujemy mamki. Zabrać obiekt.

Ostatnie zdanie skierował do żołnierzy, którzy z nieruchomych rzeźb znów zamienili się w błyskawicznie poruszające się maszyny. Skurczybyk zupełnie mnie zaskoczył, nie wiedziałam co robić, a czułam, że zbliża się najgorsze. Jeden z komandosów złapał młodą i mocnym szarpnięciem wyrwał mi ją z ramion. Jednocześnie drugi szturchnął mnie kolbą miotacza. Znów wylądowałam na podłodze, uprzednio przeleciawszy przez cały kokpit. Sukinsyn chyba połamał mi żebra, nie mogłam nawet zawyc z bólu ani złapać oddechu. Czułam, że omdleвам, i chciało mi się rzygać. Pomimo wszystko uniosłam się, wyciągając rękę do Ewy. Młoda krzyczała histerycznie, szarpiąc się w wielkich łapach żołnierza. Ten, który mnie uderzył, odwrócił się do cywila, oczekując na rozkazy.

Gnojek nawet na mnie nie spojrział, już dla niego nie istniałam. Komandos zrozumiał. Uniósł miotacz, bez celowania nacisnął spust. Strzelił tylko raz. Siła trafienia rzuciła mną jak szmacianą lalką. Z bólu na chwilę przestałam cokolwiek widzieć, a gdy odzyskałam wzrok, ujrzałam tylko nadchodzącą śmierć. Przyszła po mnie. Mroczna Pani przybrała postać wysokiego żołnierza, jego twarz zasłaniał wojskowy hełm z polerowaną, metalową przyłbicą. Odbijałam się w nim tylko ja, reszta była ciemnością.

*

Przekłęci głupcy! Eva nie mogła cofnąć Czasu Końca. Była tylko przekaźnikiem, który miał wypromieniować część energii szkarłatnego potwora, pozbawić go mocy, spowolnić. Sama nie panowała nad emitowaną energią, nie potrafiłaby świadomie powstrzymać nawet pojedynczego Żelazniaka, nie mówiąc o zmasowanej fali szczepionych ze sobą potworów, które obecnie przejmowały korytarze. Mechanizmu procesu przemiany nawet ja nie rozumiałem.

Przez pazerność i żądzę władzy skrzywdzili moją Xiu. Kiedy trafił ją impulsowy pocisk, poczułem fizyczny ból. Ból natychmiast przerodził się we wściekłość. Nie mogłem wynurzyć się z otchłani, Eva była zbyt blisko. We dwójkę moglibyśmy ściągnąć do rzeczywistości szkarłatnego demona, a uwolniony potwór zacząłby niszczyć. Bezsilnie obserwowałem tragedię z głębi hiperprzestrzeni. Xiu wiła się na podłodze w śmiertelnych drgawkach, wysoka temperatura gotowała jej wnętrzności. Pocisk wypalił dziurę w piersi dziewczyny i błysnął impulsem elektromagnetycznym, silnym niczym porażenie pioruna. Paskudna broń, zabijała ze stuprocentową skutecznością.

Nie próbowałem panować nad gniewem. Bez chwili wahania otworzyłem energetyczny korytarz, przekazując Evie moc. Mała jakby na to czekała. Błyskawicznie uczyła się panować nad strumieniem energii dającym jej potęgę bliską potęgi szkarłatnego potwora.

Czułem, że pragnie, że to ją pociąga. W jednej chwili zamieniła się w krwistoczerwoną, upiorną postać. Żołnierz, który trzymał ją na rękach, nawet nie zauważył metamorfozy dziewczynki, jego organizm natychmiast przestał działać po niematerialnym, wielowymiarowym ataku. Zanim trup runął na podłogę, Eva lewitowała w powietrzu, świecąc pulsującym czerwono blaskiem. Padły strzały.

Przywódca renegatów rzucił się do ucieczki. Nim odbiegł kilka kroków, Gruchotem wstrząsnęła fala odkształconej rzeczywistości, zwalając z nóg wszystkich na pokładzie. Dziewczynka wyciągnęła ręce, kierując myśli we wszystkie źródła życia, jakie wyczuwała. Pożerała ludzkie istnienia z przerażającą sprawnością i ochotą. Zawirowała, wstrząśnięta euforią po przepływie niezwyklej energii ludzkich dusz. Dwa niszczyciele, przycumowane do Gruchota, zastygły, na zawsze pozbawione załogi. Bezradnie zawisły w przestrzeni kolejne dwa, sterowane już tylko przez pokładowe komputery. Na pozostałych jednostkach, znajdujących się w większej odległości, zmarło tylko kilka osób. Pozbawiony dowódcy szwadron natychmiast poszedł w rozsypkę wzmaganą przez panikę wśród załogi.

Po chwili Eva opanowała się, trochę z moją pomocą. Przywołałem ją do porządku, drastycznie odcinając przepływ mocy, zamykając nasz energetyczny trójkąt. Dziewczynka natychmiast się uspokoiła, czuła moje niezadowolenie, przecież stanowiliśmy jeden układ. Popłynęła do kokpitu, klękając przy konającej Xiu. Jeszcze nie wszystko stracone, przynajmniej dopóki mózg nie obumrze. Mała znów

zapłakała, dygocząc z żalu. Szeptalem uspokajająco, wiedząc, że wyczuwa moje emocje. Eva wsłuchiwała się w szept rozlegający się w jej umyśle. Chciałem, by poddała się mocy i pozwoliła jej swobodnie przepływać przez ciało. Znałem mechanizm, który potwór wykorzystuje do zabijania i niszczenia istot żywych, i domyślałem się, jak można by wykorzystać ten proces. Odwrócić.

Eva zawisała nad ciałem mojej siostry, a potem powoli na nie opadła, przytulając się z całych sił. Skupiła się wypromieniowując przekazywaną przeze mnie energię. Posłużyłem jako soczewka, ukierunkowując strumień.

Zniszczone komórki martwego już organizmu zaczęły się odradzać, odtwarzając nawet zwęglone organy. Przez ciało Xiu przepływały strumienie tachionów, cząstek elementarnych o ujemnej energii, istniejących tylko we wstecznie płynącym czasie. Przeczące swym istnieniem regule przyczynowości, odpowiednio sterowane, mogły czynić cuda ze zwykłą materią. I czyniły.

Ulatująca w nicość świadomość wróciła. Miałem nadzieję, że umysł Xiu zniesie bezpośredni kontakt z energią i fenomenami, do których ludzkie organizmy nie były stworzone. Tak jak w przypadku Ewy, zadziałałem jako filtr, by Xiu jakoś to zniosła.

– Cześć, mała. – Wykorzystując to że przez jej umysł ciągle przepływały strumienie energii, przekazałem do jej mózgu swój obraz. Objawiłem się w swojej dawnej, ludzkiej postaci. Ujrzała, czy raczej wyczuła, trzydziestoletniego Chińczyka w mundurze sił zbrojnych Ziemi.

– Shao, rdza mać, zdaje się, że oboje nie żyjemy! – stwierdziła z przejęciem. – Mało nie runęłam w piekielną otchłań, już nawet widziałam potwory drgające w rzekach płomieni. Całe szczęście, że mnie wyciągnąłeś. Zawsze mogłam na ciebie liczyć, ale nie spodziewałam się, że uratujesz mi dupę nawet po śmierci.

– Spokojnie – uśmiechnąłem się szeroko do mojej siostrzyczki. – Twoje ciało ulega właśnie regeneracji, to trudny proces i mózg może ciężko go znosić. Powiedzmy, że jesteś w stanie śmierci klinicznej. Nie mamy wiele czasu, chciałem ci coś pokazać.

Wiedziałem, że Xiu ma mi wiele do powiedzenia i z największym trudem się powstrzymuje. Uspokoilem ją, sterując przepływem mocy i stabilizując pracę mózgu, a potem zacząłem wizualizować to, co udało mi się wyciągnąć z potwora. Musnąłem niejedną pożartą przez niego świadomość i wiele się dowiedziałem. Xiu zdawało się, że otacza ją ciemność. Sprawilem, by odniosła wrażenie łagodnego spadania, coraz głębiej i głębiej w nieskończony mrok. Wokół niej rozbłysły gwiazdy, które obracały się wraz z całym nieboskłonem. Wpierw powoli, potem coraz szybciej i szybciej. Dodałem do tego wrażenie lekkości i lotu.

– Co się dzieje? Mam wrażenie, że czas płynie znacznie szybciej – szepnęła siostra.

– Za dwadzieścia milionów lat – powiedziałem. – Wtedy to się zacznie.

Ujrzeliśmy niewielką gwiazdę otoczoną kolosalną konstrukcją. Płynnie przybliżyłem obraz, nie bacząc na przekleństwa Xiu,

oszołomionej widowiskiem. Instalacja, o rozmiarach liczonych w milionach kilometrów, tylko fragmentami stworzona była z materii. W większej części pulsowała wyładowaniami plazmy, która razem z resztą konstrukcji tworzyła kanciaste, geometryczne struktury. Oplatały ognistą kulę niczym ażurowy klosz podpięty do gigantycznych cylindrycznych ogniów wielkości planet. Wokół astronomicznie wielkiej struktury migotały półprzezroczyste ciała budowniczych unoszących się w kosmicznej pustce. Wyglądający niczym kilkumetrowe ważki, pulsujące wewnętrznym blaskiem, poruszali się z niebywałą elegancją i gracją.

– Obcy – szepnęła Xiu. – Są piękni.

Pozwoliłem siostrze jeszcze chwilę podziwiać kosmiczną budowlę i jej twórców, po czym oznajmiłem:

– To nie są Obcy. Tak będą wyglądały istoty, w które wyewoluują ludzie za dwadzieścia milionów lat. Natomiast ta niewielka gwiazda to nasze stare, dobre Słońce, wokół którego kiedyś krążyła Ziemia.

– Po co zbudowali, czy właściwie zbudują, tę niesamowitą instalację? – Xiu nie sprawiała wrażenia zaskoczonej.

– Trudno zrozumieć naszych następców, dzieli nas bardzo dużo i nie chodzi tylko o czas. – Wzruszyłem mentalnymi ramionami. – Domyślam się jednak, co ich skłoniło, by zająć się starym Słońcem. Bardzo dawno ludzkość opuściła rodzimy układ i rozpiezchła się po całym wszechświecie. Czemu znów je odszukała? Podejrzewam, że to ich najświętsza relikwia, gwiazda, która dała życie istotom rozumnym. Nasi prawnukowie postanowili uczynić ją świętością, sprawić, by

stała się najważniejsza we wszechświecie. Do budowy przystąpili z ogromnym rozmachem, miliardy przybywały, by ją zobaczyć. To największy cud w historii ludzkości. Zdecydowali, że obdarzą starą gwiazdę świadomością.

Obrazy, które wyłowiłem z pamięci istot tworzących jaźń potwora, pozwalały mi pokazać Xiu kolejny etap wielkiego planu naszych potomków. Instalacja zbudowana wokół Słońca powoli ruszyła z miejsca, stopniowo nabierając prędkości. Astroinżynierowie latali wokół bezustannie, wyglądając niczym robaczki świętojańskie tańczące wokół ogniska. Słońce zamigotało i zaczęło się zmieniać.

– Co oni robią?

– Pchnęli Słońce w otchłań czasowego nurtu. W każdej sekundzie gwiazda starzeje się o setki tysięcy lat. Kosmiczna konstrukcja nabiera prędkości, za chwilę przyspieszy miliony razy. Operacja trochę potrwa, nasze ciało niebieskie przejdzie kolejne etapy starzenia, stanie się czerwonym olbrzymem, odrzuci zewnętrzne powłoki i zamieni się w białego karła, który będzie się wypalał, a potem stygł, by ostatecznie umrzeć i zmienić się...

– W Czarne Słońce – szepnęła.

Czułem emocje targające Xiu. Z zapartym tchem obserwowała przyspieszoną przemianę gwiazdy, która właśnie stygła, zamieniając się w czarnego karła. Instalacja zwolniła obroty, by wreszcie się zatrzymać. Chmara astroinżynierów uzbrojona w ogromne maszyny ze wszystkich stron ruszyła w kierunku martwego słońca. Urządzenia wylądowały na zastygłej, martwej gwiazdzie.

– Praca potrwa długie lata – powiedziałem. – Według ściśle opracowanych planów nasi prawnukowie wyryją wewnątrz gwiazdy miliony kilometrów korytarzy. Umieszczą w nich dziwaczne istoty, machino-byty stworzone z martwych, rozumnych istot sprzężonych z hybrydowymi, sztucznymi układami. Dobrze je znasz, przez lata z nimi walczyłaś. Wewnątrz żelaznej materii zatopią też Inkluzje, mechanizmy sterujące i kontrolujące system tworzenia korytarzy. Wśród nich jedną, wyjątkową, tę najważniejszą. Szkarłatną Inkluzję, która aktywuje i dokończy proces.

– Po co to wszystko? Czemu to ma służyć?

– Korytarze mają być odpowiednikami włókien nerwowych, przez które będą płynąć prądy o ogromnej mocy. Potwory, takie jak Żelaźniaki, przygotowują gwiazdę i dokonają jej stopniowej przemiany. Czarne Słońce stanie się wielkim umysłem, obdarzonym świadomością i niewyobrażalną potęgą. Narodzi się bóg. Xiu zamarła ze zdumienia.

– Już prawie się dokonało – mówiłem dalej. – Nasi prawnukowie znów otworzą wrota czasu i wepchną w nie martwą gwiazdę. Muszą pozwolić, by Żelaźniaki i Inkluzje przygotowały Słońce do ostatecznej przemiany. Proces metamorfozy wygasłej gwiazdy w obdarzoną świadomością istotę zaplanowano jako wieloetapową, powolną reakcję. Dopiero po milionach lat Szkarłatna Inkluzja miała się przebudzić i aktywować ostateczny proces.

Moja siostra przez długą chwilę milczała, czułem jednak, jak intensywnie pracuje jej mózg. Spryciara, chyba zaczynała rozumieć...

– Czas Końca to właśnie ostateczne obudzenie świadomości? Najważniejszy krok do narodzin boga? Chyba nadchodzi nieco zbyt szybko. Domyślam się, że popsuliśmy plany naszych potomków i przebudziliśmy Inkluzję o dwadzieścia milionów lat przed czasem – Xiu zachichotała nerwowo. – Kapitan de Vorh ze swoją ekipą wygrzebał go i nakarmił ludzkimi duszami, wprowadzając chaos w programie tego szkarłatnego stwora. Gdy udało się go wepchnąć z powrotem w Inkluzję, Tomasz z Brunonem znów ją wygrzebali i obudzili demona po raz kolejny. Ale to nie wszystko, prawda, Shao? Przez sto lat drążyliśmy korytarze, używając Słońca jako ogromnej kopalni. A ono nigdy nie służyło jako źródło metali, jak myśleliśmy. Wypalone przez nas wyrobiska, sztolnie i hole dodatkowo zaburzają umysł przyszłego boga.

Zamiast wspaniałej istoty powstanie kosmiczny potwór, szalony i zły. Wszystko dzieje się nie tak, jak zaplanowali nasi potomkowie. Cholerne mądrale, nie wzięli pod uwagę, że możemy znaleźć Czarne Słońce i wszystko spieprzyć?

– Widocznie nas nie docenili. Czy przyszłoby ci do głowy, że neandertalczyk wpuszczony do automatycznej stoczni budującej supernowoczesny krążownik może w jakiś sposób mu zaszkodzić? Gołymi rękoma zatrzyma stutonowego, budowlanego bota? Zmieni mu program i zamiast krążownika powstanie wielka pułapka na mamuty? Chyba projektanci nowego boga zbyt skupili się na swoim zadaniu, by traktować nas poważnie. W ogóle cały ten projekt to szaleństwo, chory pomysł fanatycznej religijnej sekty z odległej

przyszłości. Robię, co mogę, by go przerwać, ale skala i rozmach tego wariactwa znacznie mnie przerastają. – Przyznanie się do niemożności nigdy nie było trudniejsze. Milczałem przez chwilę.

– A teraz słuchaj, Xiu. Potwór aktywował przemianę i katalizuje ją, ukierunkowuje i przyspiesza proces. Pożerając dusze, przekroczył próg energetyczny i teraz sam jest źródłem wielkiej potęgi. Czerpie moc, przebywając w hiperprzestrzeni. Wykorzystuje drgania superstrun, z których zbudowana jest przestrzeń, i przetwarza je na energię psychokinetyczną. Dzięki niej ma możliwość wpływania na materię w czterowymiarowej czasoprzestrzeni. Nie rób takiej zdziwionej miny, miałem czas, by porządnie podszkolić się z fizyki. W sumie niczym innym ostatnio się nie zajmuję. Teraz najważniejsze. Eva będzie emitować część energii potwora, którą uda mi się mu odebrać. Tak się złożyło, chciałem uratować to dziecko, ale nie do końca wyszło. Teraz ja, mała i bestia stanowimy jeden układ. Wykorzystamy to. Musisz zabrać Evę jak najdalej, w drugi koniec galaktyki. Będę wysyłał przez nią całą energię, jaką zdołam wydrzeć potworowi z Inkluzji. Mała musi opanować tę moc i wypromieniować ją w nicłość. Z czasem nauczy się, jak z niej korzystać. Uważaj, to potężna i niebezpieczna siła. Dziewczynka stanie się źródłem psychokinetycznej energii zdolnej zmieniać świat. Z tego, co wiem, naukowcy Korporacji dopiero próbują tworzyć technologie pozwalające na coś takiego. Kto pierwszy nauczy się, jak wydajnie i sprawnie korzystać z tego sposobu panowania nad materią, osiągnie niezwykłą władzę i potęgę. Musisz chronić Evę nie tylko przed

potworem, ale i przed ludźmi. Mimo rozłamu w swoich szeregach IronHeart jest nadal znaczącą siłą. Oni wiedzą o dziewczynce i podejrzewają, czym może być. Będą was szukać. Eva musi znaleźć się jak najdalej od Czarnego Słońca. Spróbujemy odebrać potworowi energię i go osłabić, dzięki czemu przerwiemy proces przemiany, może uda się uratować Czarne Słońce.

Xiu zadrżała, patrząc na martwą gwiazdę otoczoną ażurową konstrukcją błyskającą piorunami plazmy. Płonące wielowymiarowym ogniem maszyny właśnie wgryzały się w jej powierzchnię.

– Zrobię co trzeba, braciszku.

*

Znalazłem Gruchota właściwie w ostatniej chwili. Zanim Xiu spakowała manatki i wyruszyła na poszukiwanie brata, wpiąłem w centralny komputer urządzenie namierzające. To była tradycyjna, stara boja radiowa. Żadne cuda, technologia pamiętająca jeszcze XXI wiek – warto było spróbować, czasem niestandardowe ruchy potrafią przynosić zaskakujące rezultaty. Mimo to boja nie odzywała się przez całą dobę. Czekanie kosztowało mnie sporo nerwów i gotówki. Kapitan międzygwiazdowego wahadłowca kazał słono płacić za każdą godzinę zwłoki. Wreszcie zgodził się zostać, gdy pokazałem mu zdjęcia, jakie wykradłem z jego prywatnych folderów w komputerze statku. Nie miałem żadnych skrupułów, gdyby trzeba było,

zaszantażowałbym samego diabła, zrobiłbym to bez wahania – po prostu nie mogłem zostawić mojej małej Xiu.

Nazywam się Tomasz Koniecpolski i jestem głupcem, który zapalał gwałtownym uczuciem do wiecznie wkurzonej chińskiej wiedźminki. Tak naprawdę nie jestem kompletnym idiotą, doskonale wiedziałem, że pod maską agresywnej i gwałtownej wojowniczkii kryje się zwykła, czuła i wrażliwa dziewczyna. Niestety, przyzwyczajenie się do jej trudnego charakteru wymagało sporo cierpliwości i samozaparcia. Na początku naszej znajomości było najtrudniej, uciekłem po pierwszej nocy, tak się wystraszyłem. Przeczuwałem, że przed opuszczeniem Czarnego Słońca wytnie mi ten numer, rozumiałem, że nie mogła tak po prostu porzucić brata. Musiała spróbować po raz ostatni. Pozostawało mi poczekać i mieć nadzieję, że nie zginie marnie w mrocznych korytarzach.

Nieomal oszalałem z radości, gdy milcząca dotąd boja odezwała się sygnałem alarmu. Zdziałało, ot tak, zupełnie jakby na chwilę znów otworzył się kanał komunikacyjny. Wskoczyłem w kupiony za bezcen górniczy łazik i ruszyłem naprzeciw mojej małej. W samą porę. Znalazłem Gruchota z całkowicie strzaskanymi silnikami i porytym poszyciem. Ukochana maszyna Xiu nadawała się na złom. Wczepione w nią były dwa nieruchome niszczyciele. Nie zastanawiając się ani chwili, przycumowałem łazika i wbiegłem na pokład Gruchota, gdzie natknąłem się na kilka bitewnych pancerzy leżących w kałużach krwi. Widziałem kiedyś coś podobnego, na Stalowej Bliźnie, przez którą przeszedł szkarłatny potwór. Zaparło mi

dech z przerażenia, jak w amoku pogałem prosto na mostek. Xiu leżała na podłodze w centrum kokpitu, a przy niej klęczała jakaś dziewczynka.

Dzieciak spojrział na mnie groźnie. Poczulem nieprzyjemny dreszcz, zupełnie jakby smarkula mogła mi cokolwiek zrobić. Powiedziałem coś uspokajającego i ukląknłem przy Xiu. Miała twarz umazaną krwią i sadzą, a w jej kombinezonie ziała wypalona dziura odsłaniająca piersi i brzuch. O dziwo, skóra nie była nawet oparzona. Wziąłem dziewczynę na ręce i każąc małej iść za sobą, opuściłem Gruchota. Ułożyłem nieprzytomną Xiu w pokładowej medkabinie i na łeb na szyję popędziłem na Alfę.

Kapitan wahadłowca czekał cierpliwie, choć na stacji panowało kompletne zamieszanie. Przerażeni uchodźcy nie ułatwiali ewakuacji, alarmy wyły praktycznie nieprzerwanie. Z wnętrza Czarnego Słońca dochodziły niepokojące informacje. Potwory przemieniały gwiazdę i coraz szybciej zbliżały się do powierzchni. Koniec był bliski. Dowódca z trudem panował nad własną załogą, bunt wisiał w powietrzu. Ramię w ramię z nimi awanturowali się pasażerowie statku, domagając się natychmiastowego odlotu. Miałem to gdzieś. Nawet nie spojrzałem na kapitana, dopóki Xiu nie została przeniesiona na pokład wahadłowca.

Po drodze udało mi się trochę porozmawiać z Evą, dziewczynką znaną na Gruchocie. Dziwne dziecko. To, co mówiła, było bardzo niepokojące.

– Xiu niedługo się obudzi, nie martw się, wujku – trąkotała. –

Czteroręki olbrzym tak mówił. Nic jej nie będzie. Musimy szybko odlecieć z Czarnego Słońca, zanim szkarłatny potwór dowie się, gdzie jestem. Wiesz, on mnie tropi i chce zjeść – dodała konspiracyjnym szeptem.

Udało mi się tylko poznać jej imię i dowiedzieć, że pochodzi z jednej z wolnych, górniczych osad. Gadała o potworach i czterorękim olbrzymie, który z nimi walczy. Wtedy jeszcze nie podejrzewałem, że z tym ostatnim wiele wspólnego ma niejaki Shao.

Staliśmy na tarasie widokowym pasażerskiej części wahadłowca. Statek manewrował na orbicie Czarnego Słońca, czekając na zwolnienie korytarza prowadzącego do najbliższego otwartego tunelu hiperprzestrzennego. Mała się rozkręciła, złapała mnie za rękę i zaczęła opowiadać o górniczej kolonii i jak się bawiła w chowanego z siostrami, potem płynnie przeszła do bełkotu o czerwonym potworze, jakichś koszmarach o pożeraniu dusz, niezwyklej, szkarłatnej energii, głodzie zmuszającym do zabijania. Powoli zaczęło mnie to męczyć.

– Słuchaj, Evo, nie wolno opowiadać swoich fantazji komu popadnie. Nie wolno kłamać – powiedziałem spokojnie.

– Ale ja nie kłamię! – powiedziała szczerze zaskoczona. – Wszystko, co opowiadam, to prawda!

– Jeśli dalej będziesz bajdurzyła jak nakręcona, ktoś może nie wytrzymać i sprawić ci lanie. Kto wie, może nawet to będę ja!

– To nie najlepszy pomysł – usłyszałem za plecami znajomy głos. – Odradzam denerwowanie młodej. Może być groźna, i to bardzo.

– Xiu! – wrzasnęła Eva, wieszając się na szyi wiedźminki.

Xiu była blada i miała podkrążone oczy. Ubrana w za duży szpitalny szlafrok wyglądała krucho jak lalka z chińskiej porcelany. Podeszedłem i objąłem ją ramieniem. Przytuliła się na chwilę, uśmiechając ciepło.

– Co tam oglądacie? – spytała, wskazując wielki ekran wiszący na tarasie.

– Dom. Chyba widzimy go po raz ostatni.

Wahadłowiec zdążył już opuścić orbitę i szybko oddalał się w głąb galaktyki. Na tle migoczących gwiazd odcinała się absolutnie czarna sylwetka wygasłego słońca. Wokół niej błyskały światła startujących i manewrujących statków. Martwa gwiazda malała szybko, a ciemność panująca na jej powierzchni błyskawicznie zlała się w jedno z kosmiczną pustką.

Po chwili Czarne Słońce znikło.

Rozdział czwarty

Stółek kobiet

Stałem na widokowym tarasie pierścieniem otaczającym cylindryczną machinę ze stali i tworzywa. Podziwiałem pokrywające urządzenie niezwykle zdobienia przedstawiające wijące się gady z nietoperzowymi skrzydłami. Ciągle nie mogłem przywyknąć do zwyczajów panujących na okręcie. To barokowe rozpasanie, symbolika, rytuały i nazewnictwo. Dzierżącą despotyczną władzę kapitan tytułowano Panią, a czasami po prostu Najjaśniejszą, od nazwy okrętu. Sektory nazywano Warstwami, a hiperprzestrzeń Bezmiarami. W tych salach natomiast wszędzie namalowano smoki. Ech, ręce opadały.

Smocze Leża były jednym z kluczowych miejsc na pokładzie „Najjaśniejszej”, naprawdę dużego okrętu, którego niedawno stałem się obywatelem. Nie członkiem załogi, ale obywatelem, bo „Najjaśniejsza” stanowiła samodzielne państwo. Całe szczęście potrzebowano tu wykwalifikowanego personelu i znalazło się miejsce nawet dla takiego starego weterana i kaleki jak ja.

Machinalnie wsunąłem do ust kapsułkę z neocytyzyną, syntetycznym alkaloidem, którym szprycowano żołnierzy Ziemi. Przegryzłem i połknąłem. Z własnej woli brać takie świństwo, tfu! Do

czego się doprowadziłem. Oparłem się o filar pnący się kilkadziesiąt metrów w górę i podtrzymujący wysokie sklepienie Smoczych Leży. Czekałem na falę energii, która pozwoli zapomnieć o bólu. Nowe płuca i mechaniczne serce wszczepiono mi już ponad rok temu i od dawna mogłem normalnie funkcjonować, ale uporczywy ból ciągle powracał. Wtedy znów czułem się jak po wybuchu na Stalowej Bliźnie, gdy tuzin odłamków pokieroszował mi ciało. Ja, Bruno Brauer, niegdyś sierżant Sił Stabilizacyjnych Układu Słonecznego, weteran dziesiątek bitew i potyczek, czułem się słaby jak niemowlę. Przynajmniej wtedy, gdy przestawało działać biochemiczne wspomaganie. Miałem nadzieję, że wreszcie dojdę do siebie, bo zaczynało mnie to wkurzać.

Błogie uczucie nadeszło łagodną falą, tak, że dopiero po chwili zorientowałem się, że szczerzę zęby w kretyńskim uśmiechu jak naćpany gówniarz. Potrząsnąłem głową i zacisnąłem ręce na barierkach, aż stal zatrzeszczała. Wolałbym wytrącić butlę porządnego spirytusu, zamiast szpikować się wojskowymi dragami jak najgorszy ćpun z Zewnętrznych Warstw. Niestety, byłem na służbie, a mój szef, psychotron Erin, nie życzył sobie, bym chodził za nim ubzdryngolony. Ponoć robiłem się wtedy agresywny. Śmieszne, przecież właśnie za to mi płacił. Miałem pilnować jego wątego tyłka, byłem przybocznym, opiekunem i ochroniarzem. Rozwalałem łby głupcom, którzy zbyt ochoczo okazywali mu swoją niechęć.

Patrzyłem na cylindryczne urządzenie ozdobione smokami, zastanawiając się, czy Erin już skończył. Powinien wyjść z Leża dwie

godziny temu, znów zbyt długo siedział w Bezmiarach. Wykańcza się zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Jeśli nie da sobie trochę luzu, pewnego dnia padnie trupem. A ja będę tu na niego czekał do usranej śmierci. Z tego, co wiem, psychotroni wnikali mentalnie w hiperprzestrzeń najwyżej raz na tydzień. Odwalali robotę, a potem objali się, szlajając po knajpach i centrach rozrywki. Stać ich było, zarabiali krocie. Niestety, trafiłem na najbardziej świętoszkowatego skubańca z całej tej hałastry. Erin nie miał czasu na rozrywkę, ciągle coś kombinował z tą swoją popieprzoną dziewczyną, Kailą. Oboje byli jakimiś cholernymi pracoholikami, bez przerwy w akcji.

Narkotyki pobudziły serce do wzmożonego wysiłku, nadnercza wpompowały w moją nanokrew dodatkową porcję adrenaliny. Ból zniknął bez śladu zastąpiony poczuciem siły i pewnością siebie. Miałem ochotę na małą rozróbę, ale przemykający wokół technicy obsługujący Leża nie wydawali się godnym uwagi przeciwnikiem. Unikali mojego prowokującego spojrzenia. Co się dziwić, byli w robocie, a nie na imprezie. Zacisnąłem zęby, próbując stłumić agresję. Wbiłem wzrok w największego smoka namalowanego na cylindrze, mieniącego się granatem i groźnie szczerzącego pysk. Po soczystej dawce drażgu te stwory nawet zaczynały mi się podobać. Malujący je artysta wkomponował w ich wizerunki sporo ekspresji, bestie wyglądały nieomal jak żywe, były złe i wściekłe. A najzabawniejsze w tym wszystkim, że w tej maszynie faktycznie siedziały istoty, którym wydawało się, że są smokami. Wyhodowane w laboratoriach badawczych „Najjaśniejszej” organiczne twory,

stworzone na podwalinie prawdziwych, wypreparowanych mózgów gadów, które poddano modyfikacjom genetycznym i hormonalnym. Obdarzone wzmocnionymi i rozbudowanymi zmysłami psychokinetycznymi pełniły funkcje nośników i polaryzatorów, towarzysząc psychotromom w mentalnych podróżach w hiperprzestrzeń. Pograżone w wiecznym śnie, obdarzone były świadomością, siłą rzeczy powiązaną z ich gadzią naturą. Mówiąc wprost, w Leżach spoczywały mózgi prawdziwych smoków, no może stworów, którym się wydawało, że nimi są. Psychy, jak potocznie tłuszcza nazywała psychotromów, byli kolesiami mającymi tak nawalone we łbach, że zawodowo zajmowali się pracą w Bezmiarach. Fizycznie łączyli się z organizmami smoków, powierzając im swoją jaźń, swoją duszę. Bestie wciągały ich w hiperprzestrzeń. Oczywiście odbijało się to na kondycji fizycznej psychotromów, wpięcie w system Leży niezwykle nadwierało ludzki organizm i umysł. Wspomaganie biochemiczne i cybernetyczne wszczepy niewiele pomagały, nadając im za to aparycję żałośnie zabiedzonych cyborgów. Jednym słowem, Erin miał paskudną robotę.

„Najjaśniejsza” płynęła przez gęste chmury mgławicy refleksyjnej i opierała swoją potęgę ekonomiczną na eksploatacji tego niezwykłego, kosmicznego obszaru, w którym rodziły się i umierały gwiazdy. Ciągące się na sto lat świetlnych kłębowisko pyłu i gazów faktycznie było złożem prawdziwych skarbów. Można było wyłowić z niego sporo cennych rzeczy, od drobin metali, poprzez diamentowy pył, aż do bardziej skomplikowanych substancji, łącznie ze związkami

organicznymi. Problemem było namierzenie korzystnego obszaru oraz wyciągnięcie z pyłu i zastygłych gazowych chmur wartościowych składników. Z myślą o tej robocie Najjaśniejsza stworzyła smoki i „dosiadających” ich psychotronów. Przenosząc się mentalnie do hiperprzestrzeni, siłą umysłu przeczesywali obszar w okolicy wędrującego okrętu i wyszukiwali złoża. Potem dokonywali wstępnego przesiewu. I to było najlepsze! Sprzężony układ smok-psychotron władał na tyle dużą siłą psychokinetyczną, że potrafił w pewien ograniczony sposób wpływać na czasoprzestrzeń i materię. Każdy smok zaopatrzony był w soczewkę psychokinetyczną, cybernetyczne ustrojstwo wbudowane bezpośrednio w mózg i zwielokrotniające mentalną siłę bestii. Kierowana przez umysł psychotrona była w stanie oddziaływać w trójwymiarowej przestrzeni. Zespoły smok-psychotron odnajdywały cenne złoża, a potem postępowały zależnie od rodzaju tego złoża. Jeśli były to metale, duet smok-psychotron tworzył wokół obszaru pole magnetyczne, oddzielając złoże od bezwartościowego pyłu. Jeśli ocean alkoholu metylowego, człowiek i smok parli na niego grawitacyjnym sitem molekularnym, na którym osiadały tylko określone cząsteczki. Potem znakowali grawitacyjnymi bojami oczyszczony obszar, do którego przybywała flota drobnicowców z „Najjaśniejszej”.

Robota była ciężka i niewdzięczna. Psychiczej i fizycznej dewastacji nie rekompensowały pokaźne pensje i opieka samej pani kapitan. Nikt nie lubił psychotronów. Wyglądali paskudnie i dziwnie się zachowywali, niestety, takie były koszty pracy w hiperprzestrzeni.

Szary obywatel „Najjaśniejszej” nie do końca rozumiał, że ubrane w białe stroje, trzęsące się i wychudzone cyborgi faktycznie cierpią katusze. Ich chwiejność emocjonalna, ataki agresji i kontrastujący z tym wszystkim dobry humor, wywołany biochemicznie przez wspomaganie, odbierane były jako objaw rozpasania rozpieszczonych bogaczy, którzy niewiele robili, za to obnosili się ze swoimi fortunami i nie stronili od narkotyków. Zwykli robotnicy, stanowiący większą część załogi, szczerze ich za to nienawidzili. To dlatego byłem potrzebny. Ktoś musiał chronić Erina przed pobiciem czy linczem, grożącymi mu poza Smoczymi Leżami.

– Nad czym tak dumasz, Bruno? – za plecami usłyszałem znajomy głos. – Lepiej mi pomóż, bo coś nie najlepiej się czuję.

Za moimi plecami stał, chwiejąc się wyraźnie, Erin we własnej osobie. Ubrany był w tradycyjny, oślepiająco biały strój psychotrona. Ubiór przypominał nieco starożytne kimono, luźna szata sięgająca ziemi – to po to, by nie było widać wszczepów i blizn. Facet był blady, rysy miał wyostrome, jakby od tygodnia ostro doił wóde i nie zmrużył oka. Wyglądał naprawdę słabo. Złapałem go za ramię, powstrzymując przed upadkiem. Syknął z bólu. No tak, rany po biołączach, którymi sprzęgano go ze smokiem. Objąłem go w pasie, starając się być w miarę delikatny.

– Gdzie jest Kaila? – spytał.

– Nie pojawiła się. – Wzruszyłem ramionami.

Dziewczyna mojego szefa mocno mnie irytowała. Facet kochał ją na zabój, świata poza nią nie widział. Nie wiem zresztą dlaczego, nie

była ładna, cycki i tyłek miała raczej małe, niepozorne. Ani za co złapać, ani się do czego przytulić. Phi! W dodatku owinęła sobie Erina wokół palca i dyrygowała nim jak sztubakiem. Żal było patrzeć.

– Daj mi coś, co postawi mnie na nogi – poprosił mój pracodawca.

Patrzył na mnie zażawionymi oczami o przekrwionych białkach.

– O co ci chodzi, szefie? – bąknąłem niepewnie.

– Daj spokój, wiem, że zawsze masz jakiś narkotyk. – Przewrócił oczyma. – Zaraz będzie tu cholernie wesoło. Podejrzewam, że ogłoszą alarm. Razem z Jackiem znaleźliśmy coś ciekawego. Potrzebne będzie wsparcie pozostałych psychów, zapowiada się długotrwałe nurkowanie w hiperprzestrzeni. Nie mam już sił, boję się, że mnie odsuną, a tego bym sobie nie darował. To przecież nasze znalezisko.

Wyciągnąłem z kieszeni kilka kapsułek.

– Mam tylko neocytyzynę i psychodrynę. Myślę, że to drugie może ci pomóc. Chyba cię nie zabije. – Podałem mu białą pigułkę.

Połknął ją bez słowa, szarpnięciem wyzwalając się z mojego uścisku. Obrócił się na pięcie i chwiejnym krokiem ruszył ku windzie prowadzącej na dolny poziom, skąd właśnie przyszedł. Najwidoczniej chciał znów wrócić do Leży i połączyć się ze swoim smokiem.

– Czekaj! Po co ten pośpiech? – Złapałem go za ramię, w ostatniej chwili ratując przed upadkiem. – Jeszcze nie ogłoszono żadnego alarmu. Człowieku, opanuj się! Chodźmy do kantyny, musisz coś zjeść. Przydałaby ci się biodnowa i choćby krótka drzemka. Chcesz paść trupem?

– Daj spokój, przecież sam też niespecjalnie dbasz o zdrowie. Skąd

nagle ta troska o moje?

– Jak tak dalej pójdzie i się wykończysz, stracę robotę.

Erin uśmiechnął się nieznacznie i lekceważąco machnął ręką.

W tej samej chwili cylinder Smoczych Leży zaczął się obracać. Z ukrytych głośników ryknął sygnał ostrzegawczy. Kończył się cykl, psychotroni opuszczali hiperprzestrzeń. Rozpoczął się okres wypoczynku i odnowy, zarówno dla smoków, jak i dla ich jeźdźców. Leża przechodziły w stan uśpienia.

– Co to ma znaczyć, do cholery!?! – wrzasnął Erin. – Dlaczego teraz?

Na tarasie, na którym staliśmy, zaroilo się od techników i przedstawicieli innych służb pomocniczych. Wszyscy się gdzieś śpieszyli, kilku nawet minęło nas w pełnym biegu. Znajdowaliśmy się w węźle komunikacyjnym, skąd prowadziły windy i korytarze do poszczególnych modułów Leży. Zawsze czekałem tu na swojego psychotrona, bo wszędzie stąd było blisko. Teraz, niestety, trochę zawadzaliśmy.

Dotychczas nie widziałem tu takiego tłumu ludzi, oglądało na to, że faktycznie coś się szykuje. Erin stał, mrugając załzawionymi oczyma i gapił się na obracającą się maszynę ze smokami. Po chwili zastygła w nowym położeniu, a ze ścian wysunęły się trapy i przewody, wpijając się w gniazda na jej powierzchni.

– Tu jesteś! – Niespodziewanie z tłumu wybiegła młoda kobieta i bezbłędnie ruszyła do Erina.

Dziewczyna ubrana była w obcisły kombinezon technokinetyka,

jej twarz błyszczała od potu, a blond włosy rozsypały się w nieładzie na ramiona. W wygolonej do połowy głowie błyszczało złote gniazdo wszczepu. Całości dopełniały rozbiegane oczy, niebędące w stanie skoncentrować się na jednym punkcie choćby na sekundę. Dziewczyną wstrząsały nerwowe tiki, sprawiała wrażenie epilepticzki w czasie ataku. Kaila pełniła funkcję nawigatora na mostku „Najjaśniejszej”, bardzo często sprzęgała się z pokładowym systemem. Ludzki organizm nie znosił tego najlepiej, czego była dość drastycznym przykładem. Odsunąłem się kilka kroków, ale i tak słyszałem ich rozmowę.

– Jednak przyszłaś. – Erin uśmiechnął się do Kaili. Nie wiem, co on w niej widział, ale nawet do siebie pasowali. Dwójka dość młodych ludzi o ciałach nieomal całkowicie zdewastowanych przez niebezpieczną i nie do końca przebadaną technologię.

– Nie mogłam wcześniej. Wróg jest na pokładzie, wczoraj znów zginął jeden technokinetyk – powiedziała zachrypniętym głosem. – To ogromna strata dla okrętu. Mamy też doniesienia z Zewnętrznych Warstw, że giną tam ludzie. Wśród emigrantów zawsze trafiali się mordercy, ale nigdy na taką skalę.

– Nie jesteśmy w stanie ich wytropić. – Erin pokręcił głową. – Nie widzę ich z Bezmiarów, nawet Jacek nie może nic wywęszyć. To muszą być agenci potrafiący się doskonale maskować. Wróg opanował nieznaną nam technologię. Musimy czekać, aż powinie im się noga, trzeba ciągle patrolować „Najjaśniejszą” z Bezmiarów.

– Jest jeszcze to coś, co wykryłeś dzisiaj rano. – Dziewczyna

zamknęła oczy, jakby wpadając w zadumę. Zamarła w bezruchu. Już myślałem, że dostała jakiegoś ataku, ale przemówiła po chwili jak gdyby nigdy nic. – Źródło na pograniczu mgławicy.

– Trzeba je obserwować, nie spuszczać z oka! Dlaczego ogłoszono przerwę techniczną w Leżach? – zdenerwował się Erin.

– To życzenie Pani – poważnie odparła dziewczyna. – Szykują się poważne kłopoty i siły bezmiarowe muszą być w pełni sprawne. Zarówno smoki, jak i psychotroni mają odpocząć i być w doskonałej kondycji, gdy zajdzie potrzeba. To się tyczy także ciebie. Nici z naszej randki, masz natychmiast udać się do centrum medycznego i doprowadzić do normalnego stanu.

Śmiać mi się chciało. Co miał znaczyć normalny stan w przypadku tego strzępu człowieka? Pewnie chodziło o to, by wytrzymał kolejne nurkowanie i nie zszedł w jego trakcie na udar mózgu.

Gadali jeszcze parę chwil, spierając się co do przymusowego odpoczynku Erina. Wreszcie dziewczyna znów zamarła, zamykając oczy, bez słowa wyjaśnienia okręciła się na pięcie i znikła w tłumie. Irytowała mnie coraz bardziej. Traktowała psychotrona jak zabawkę, mając gdzieś jego uczucia.

Po odejściu Kaili Erinowi wyraźnie popsuł się humor, ale próbował tego nie okazywać. Zażądał, byśmy poszli do knajpy napić się czegoś mocniejszego. Co mnie podkusiło, by dać mu psychodrynę? Będzie teraz pobudzony przez parę godzin. Oczywiście, ani mi było w głowie iść z nim do publicznego baru, jak nic skończyłoby się bijatyką. O ile nic nie miałem przeciw spraniu paru

mord, to bałem się, że Erin też może oberwać, a w jego stanie mogłoby to być niebezpieczne dla życia. Stosując zatem delikatną perswazję, powiodłem go w kierunku centrum medycznego.

– Chodź już, Erin, bo jeśli mi tu zasłabniesz, a potem się wyda, że dawałem ci narkotyki, Kaila łeb mi urwie. – Trzymałem go za ramię, nieomal unosząc z posadzki.

Przeszliśmy przez bramę Leży, wchodząc do centralnego holu. Psychotron wreszcie zrezygnował z awantury, pozwalając się prowadzić jak marionetka. Przechodnie niechętnie schodzili nam z drogi, widząc naćpanego psycha prowadzonego przez ochroniarza. Gdyby nie ja, z pewnością zaliczyłby co najmniej kilka szturchańców. Wystarczył jednak sam mój wygląd, by darowali sobie przejawy niechęci wobec bogatego darmozjada, za jakiego z pewnością mieli Erina.

– Co to za źródło, o którym wspomniała Kaila? – spytałem z głupia frant.

– Och, mówiłem ci przecież. Zaobserwowałem je razem z Jackiem – ożywił się, na chwilę zapominając o dziewczynie. – Niezwykłe źródło energii psychokinetycznej, o bardzo wysokiej intensywności promieniowania. Ewidentnie towarzyszy naszej flocie drobnicowców, która wraca na „Najjaśniejszą”. Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś takiego. Bardzo dziwne, mówię ci. Najpóźniej jutro dotrze do okrętu.

Flota drobnicowców z granic mgławicy! Na śmierć zapomniałem. Miała nią przylecieć moja stara, dobra znajoma. No tak, mogłem się tego spodziewać. Razem z nią, jak zwykle, przybywają kłopoty.

*

Stałam w kolejce do bufetu razem z kilkunastoma członkami załogi „Pluskwy 12”. Chłopaki nie byli zbyt gadatliwi, właściwie smutasy z nich jakich mało. Zupełnie mnie to nie dziwiło, robotę mieli niewdzięczną i ciężką. Zamknięci miesiącami w ciasnym drobnicowcu, w brudzie i niewygodzie, odmierzali czas wachtami, marząc o jak najszybszym powrocie na macierzysty okręt. Ich statek zabierał materiał wyodrębniony z chmur mgławicy będącej pozostałością po wybuchu supernowej. W kłębowisku gazu i pyłu znajdowała się masa cennych substancji, łącznie z ciężkimi i rzadkimi metalami. Pod tym względem bardzo przypominali mieszkańców Czarnego Słońca, tylko my mieliśmy wszystko w jednym miejscu, a oni zbierali złoże rozrzucone na sto lat świetlnych.

Załoga zachowywała się jak górnicy z Czarnego Słońca, którzy zbyt długo przebywali w jednej z biednych, choć przynajmniej wolnych osad. Ci też szybko wpadali w depresję, przygniecenii ciasnotą, wszechobecnym mrokiem, przenikającym wszystko zapachem metalu i smarów, ciężką, słabo płatną pracą i nikłą szansą na poprawę losu.

Stojący w kolejce przede mną mężczyźni byli zarośnięci i ubrani w brudne, pogniecione kombinezony. W jadalni unosił się przykry zapach potu zmieszany ze smrodem paskudnych potraw dochodzącym z kuchni. Chłopaki porozumiewali się mruknięciami i warknięciami.

Wszyscy mieli się już serdecznie dość. Całe szczęście, że rejs zbliżał się ku końcowi.

Czekałam na końcu kolejki z dwóch powodów. Po pierwsze, nie w smak mi było stać w tłumie spoconych i brudnych samców, po drugie, było mi trochę głupio. Przy ladzie stała kasa, do której będę musiała wsunąć kartę, by zapłacić za żarcie. Obawiałam się, że nie starczy nawet na jedno danie. Całe szczęście, że z Evą nie jadłyśmy zbyt wiele.

Forsy zaczęło brakować już w okolicy Stacji Helena w sektorze Aleksandria, największej bazie przesiadkowej w centrum galaktyki. Zgodnie z obietnicą daną Shao próbowałam zabrać Evę jak najdalej od Czarnego Słońca. Nie zdawałam sobie jednak sprawy, że podróże są tak kosztowne. Każdy lot wahadłowcem przez hiperprzestrzenny tunel pożerał małą fortunę. Całe szczęście, że w czasie krótkiej, choć owocnej, wiedźmińskiej kariery sporo zarobiłam. Na ostatni skok, który miał ostatecznie oddzielić nas od szkarłatnego potwora, wydałam resztę pieniędzy. Na bilet dla Tomasza już nie starczyło. Zresztą, twierdził, że to nic, bo powinien wrócić do Układu Słonecznego, gdzie czekały na niego niedokończone sprawy. Zostawił mnie samą. Rdza mać!

Eva wpadła do jadalni biegiem i w podskokach. Jak zwykle dobrze się bawiła. Temu dziecku zupełnie nie przeszkadzał ścisk, smród i brud, widać, że wychowała się w biednej, górniczej osadzie. Doskwierał jej jedynie brak rówieśników do zabawy, bo ze mną nie zawsze dało się poszaleć.

– Xiu! – Podbiegła i przylgnęła do mnie, obejmując z całych sił. – Jestem głodna!

Marynarze nie zwracali na nas uwagi, choć wiedziałam, że krzyki i śmiech dziecka grają niektórym na nerwach. Jednak za przelot zapłaciliśmy osobiście kapitanowi, który objął nas swoim patronatem. Chłopaki bali się go jak diabła i chyba tylko dzięki temu nie byłam bez przerwy zaczepiana.

Akurat nadeszła nasza kolej. Wsunęłam kartę w czytnik i z drżeniem serca czekałam na rezultat. Trzy, pieprzone, plastikowe dolary! Zazgrzytałam zębami. Jedyne, co mogłam dostać za tę fortunę, to kanapka z pastą smakową lub talerz śmierdzącej zupy o niewiadomym składzie. Wybrałam to pierwsze, wzięłam dwa jednorazowe talerzyki i nóż. Złapałam małą za rękę i pociągnęłam do stolika w kącie jadalni. Przekroiłam kanapkę na dwie części, jedną dając Evie.

Mądra dziewczynka. Nie skomentowała ani słowem, domyśliła się, że jest krucho. Łapczywie wbiła ząbki w gumowate ciasto udające chleb i z apetytem zaczęła jeść. Siedziałam zasepiona, nerwowo zaciskając zęby. Podsunęłam małej swoją część kanapki. Dziś już nic innego nie będzie. Czym ją nakarmię jutro? Byłam wściekła. Na siebie, na podłe życie i cały pieprzony świat. No i na Tomasza, który wysłał nas na to zadupie, a sam szlaja się diabli wiedzą gdzie.

– Jak wygląda wujek, który na nas czeka? Chciałabym sama go rozpoznać! – Eva próbowała odwrócić moją uwagę, wiedziała, kiedy wpadam w gniew, i znała już kilka metod, by mnie z niego

wyciągnąć.

– Taki wielki sukin... chłop – mruknęłam. – Sięgam mu gdzieś do piersi. Bruno zwykle paraduje ogolony na łyso, a na łbie ma paskudne, czerwone blizny po wojskowym wszczepie. Gęba kanciasta, z tępym wyrazem, gapi się jak cielę swoimi bladoniebieskimi oczyma. Złamany i przekrzywiony nos, co tam jeszcze... hm, wielkie zębiska w szerokiej paszczy. Bo najbardziej lubi pożerać dzieci.

Eva zachichotała. Uśmiechnęłam się, a potem wyszczerzyłam zęby, groźnie klapiąc szczęką.

– Wiesz, jeden z marynarzy opowiadał mi o okręcie, na który lecimy – młoda oznajmiła konspiracyjnym szeptem. – Mówił, że włada nim kobieta, której wszyscy się boją. Wie wszystko, jest surowa dla poddanych i bezlitosna dla wrogów. Nazwał ją czarownicą, ale gdy to mówił, rozglądał się na wszystkie strony.

Pokiwałam głową.

– Ty jej tak nie nazywaj – powiedziałam. – Musimy tytułować ją Panią lub Najjaśniejszą, nosi imię takie samo jak okręt. Nie wolno nazywać jej inaczej.

– Kiedyś, zupełnie sama, pokonała potęgę Ziemi i spaliła wrogiego generała – mówiła przejęta dziewczynka. – Na każde zawołanie ma prawdziwe smoki, które dają jej ogromną moc.

Też o tym słyszałam. „Najjaśniejsza” jest jednym z okrętów-państw, których cała flota penetruje gęste chmury mgławicy. Razem tworzą Przymierze, związek wolnych narodów zamieszkujących sektor. Są jedynym uniezależnionym politycznie i gospodarczo od

Ziemi sojuszem w tej części galaktyki. Dzielnie i nie przebierając w środkach okręty strzegą swojej swobody. Od lat Przymierze stoi kością w gardle Ziemianom, dążącym do dominacji w całej galaktyce. Flota statków-państw stanowi nie tylko poważną siłę militarną, ale też ekonomiczną. Handluje z sąsiednimi sektorami, zaopatrując je w metale i produkty wytworzone ze złóż wydobytych z mgławicy. Kiedy wreszcie doszło do militarnej interwencji Ziemi i próby rozbicia Przymierza, kapitan „Najjaśniejszej” zniszczyła wroga i zabiła dowódcę ziemskiej armii. Od tamtej pory jest legendą nie tylko w Przymierzu, ale na wszystkich światach walczących o niepodległość. Ponoć zwycięstwo Pani zawdzięczała niezwyklej technologii, którą opracowano na jej okręcie. Chodziły pogłoski, że jej służby specjalne potrafią mentalnie przenikać w hiperprzestrzeń i z tego poziomu oddziaływać na rzeczywistość. Podobno oddziały „Najjaśniejszej” stanowiły sztucznie wyhodowane smoki. Zdaje się, że kapitan „Najjaśniejszej” dbała o to, by być postacią tajemniczą i faktycznie stać się legendą. Taki styl. No cóż, jak dla mnie to dziecinada. Z drugiej strony, te bajania o smokach były bardzo intrygujące. Jeśli kapitan „Najjaśniejszej” dysponowała aż tak zaawansowaną technologią, dziwne, że już dawno nie padła ofiarą Ziemian, którzy chyba by pękli, gdyby w galaktyce znajdowała się wrogo do nich nastawiona siła mająca przewagę naukową i techniczną.

– Xiu, o czym myślisz? – Eva sprowadziła mnie z powrotem na pokład „Pluskwy”. – Znow się martwisz?

– Nie. Zastanawiam się tylko, w jaki sposób przejąć „Najjaśniejszą” i zostać mgławicowym piratem. Chciałabyś być kapitanem pirackiego okrętu?

Eva roześmiała się z radością. Podsunęłam jej kubek wody, która na szczęście była tu bezpłatna. Miło mi się robiło, gdy dziewczynka była zadowolona i wesoła. Dobrze, że tak niewiele było trzeba, by ją uszczęśliwić.

Już ponad rok temu opuściliśmy Czarne Słońce. W tym czasie przywiązałam się do młodej. Opieka nad nią zmuszała mnie do opanowania, co chyba całkiem dobrze na mnie wpływało. Coraz łatwiej radziłam sobie z wybuchami gniewu i agresją. Zrobiłam się bardziej wrażliwa i uczuciowa. Przynajmniej tak mi się wydawało.

W mesie zabrzmiał gwizd alarmu wzywający marynarzy na stanowiska. Większość z nich i tak skończyła już jeść i opuściła pomieszczenie. Pozostali bez pośpiechu wstali od stołów, zbierając naczynia i wyrzucając je do zsypu. Szykował się jakiś manewr wymagający obecności całej załogi. Wnioskując po braku emocji u chłopaków, pewnie nie było to nic poważnego. Zbierali się z obojętnymi minami, jeden przeciągnął się i ziewnął rozdzierająco.

Wtem do mesy wbiegł nawigator, mężczyzna z wszczepem w skroni, ubrany w czysty i schludny mundur.

– Chłopaki! To już „Najjaśniejsza”, jeszcze dziś cumujemy! – oznajmił głośno, podchodząc do lady i wsuwając kartę w czytnik.

Zawrzało. Rozległy się śmiechy, w mesie wybuchł gwar. W sekundę zmęczeni mężczyźni przeszli metamorfozę, z ponuraków

zamienili się w gadatliwych i roześmianych chłopaków. Wreszcie wracali do żon czy dziewczyn, dobrego żarcia i miękkiego łóżka. Wracali do domów. Eva z ciekawością patrzyła na harmider, jaki wybuchł w jadalni i na korytarzu. Uśmiechnięty nawigator zabrał tacę z dwiema butelkami i półmiskami przysmaków i pomaszerował z powrotem na mostek. Szykowała się tam pewnie mała feta z okazji szczęśliwego powrotu z połowów.

Zabrałam małą do naszej kajuty, chyba najciaśniejszej na całym statku. „Pluskwa 12” była jednym z dwóch setek drobnicowców wracających w wielkim konwoju na macierzysty okręt. Załapałyśmy się na ten rejs trochę przypadkiem, wsiadając na międzyukładowej stacji przeładunkowej znajdującej się na granicy mgławicy.

Żałowałam, że na przemysłowym statku nie ma punktu widokowego ani nawet monitorów informacyjnych w kajutach. Niestety, nie był to pojazd przeznaczony do transportowania turystów, kapitan zabrał nas na pokład dopiero po sowitej łapówce. Zaskakująco dla mnie wysokiej, to dlatego nadspodziewanie szybko się spłukałam. Tak czy inaczej, nie mogłyśmy sobie popatrzeć na „Najjaśniejszą”, okręt mający rozmiary zbliżone do Merkurego.

„Najjaśniejsza” była ogromnym, mocno nieregularnym owalem, który rozrastał się w trakcie wielu lat lotu. Nabudowywano na niego kolejne warstwy bez wcześniejszych planów, zupełnie spontanicznie. Wyglądał przez to trochę jak ogromne śmietnisko. Ponoć oświetlały go miliony reflektorów i latarni, przez co przypominał kiczowaty, kosmiczny klejnot. Był właściwie dość podobny do innych kolosów

tworzących Przymierze i penetrujących mgławicę zwaną przez Ziemiaków Głową Czarownicy. To dlatego, że mająca sto lat świetlnych długości chmura gazów i pyłu oglądana z Ziemi wyglądała jak głowa wiedźmy. Miała twarz w kształcie półksiężyca, z charakterystycznym haczykowatym nosem i zakończoną ostrym podbródkiem.

Nie wiadomo, jak naprawdę wygląda legendarna władczyni „Najjaśniejszej”, w serwisach informacyjnych i holofilmach propagandowych przedstawiano ją zawsze ze złotą maską na twarzy i w groteskowo przerysowanym czarnym płaszczu ozdobionym świecącymi klejnotami, mającym symbolizować kosmos. Jak mówiła Eva, pani kapitan była surowym dowódcą, właściwie tyranem dzierżącym absolutną władzę na okręcie. Założyłam, że jeśli mimo dziwactw, tych swoich niby-smoków, teatralności i robienia wokół swojej osoby otoczki wyjątkowości, i tak budzi respekt wśród Ziemiaków, to musi coś w tym być. Jej okręt może być ciekawym miejscem jako azyl, a przynajmniej będziemy tam poza zasięgiem agentów IronHeart.

Siedziałyśmy w kajucie, cierpliwie czekając na rozwój wydarzeń. Jak zwykle w wolnych chwilach bawiłam się z małą w gry zręcznościowe. Często do zabaw wprowadzałam ćwiczenia, od najbardziej prostych, aż do nauki całkiem skomplikowanych, wiedźmińskich sztuczek. Do tego Eva coraz częściej i śmieiej używała energii, którą stale przepuszczał przez nią Shao. Próbowaliśmy uczyć się panowania nad psychokinezą, opanowania sposobów jej wykorzystania przez oddziaływanie na materię i przestrzeń.

Próbowała też wnikać w hiperprzestrzeń, jak to robił mój brat, ale na razie bez powodzenia. Świetnie za to opanowała sposób kontrolowanej przemiany w miniaturową wersję szkarłatnego potwora. Płonęła wtedy krwistą barwą, a przestrzeń wokół niej dygotała, wzburzana napięciami i pobudzonym dygotaniem superstrun. Wszystkie te eksperymenty nawet dla mnie były trudne do zniesienia, a przecież jestem wyszkolonym wiedźminem, dobrze znoszącym efekty uboczne towarzyszące wszelkim anomaliom. Kiedy młoda ćwiczyła, będąc w tym samym pomieszczeniu, kończyło się to dla mnie zawsze potwornym bólem głowy, mdłościami i wściekłym pieczeniem oczu. Ludzkie zmysły nie zostały stworzone, by znosić takie zjawiska. Eva oczywiście świetnie się wtedy bawiła, zupełnie nie odczuwając przykrych efektów swoich wyczynów.

Próbowałam dawać jej ogólne wskazówki, ćwiczyć ciało i umysł tak, jak mnie wyszkolono, z resztą musiała poradzić sobie sama. Poza tym uczyła się błyskawicznie. Zdolna dziewczynka.

Z konsternacją zauważyłam, że coraz częściej zaczynałam myśleć o niej jak o własnym dziecku. Zawsze, gdy się na tym łąpałam, robiło mi się przykro. Nigdy nie będę mieć dzieci. Moje ciało wielokrotnie szpikowano takim obłądnym miksem syntetycznych hormonów, neurostymulatorów, nanoidów czy zwykłych halucynogenów, że gdybym w ogóle urodziła, to co najwyżej zmutowanego potworka. Zresztą, nawet o tym nie było mowy, bo w czasie swojej zawodowej kariery przeszłam tyle kontuzji, bezpośrednich spotkań z czasoprzestrzennymi anomaliami, promieniowaniem i Żelazniak

wie, czym jeszcze, że byłam jałowa jak powierzchnia Księżyca.

Rdza z tym! Teraz jedynym celem mego życia była opieka nad Evą i niedopuszczenie, by kiedykolwiek wpadła w łapy szkarłatnego potwora. Reszta nie miała już znaczenia. Powoli zapominałam o przyjemności sterowania transporterem wariacko pędzącym w wąskich korytarzach, o gorącu wypełniającym żyły w czasie walki, o blasku wybuchów i tnących przestrzeń smugach laserów. To już na zawsze pozostanie odległą przeszłością, coraz bardziej zacierającym się wspomnieniem.

W trakcie zabawy poczułam lekki wstrząs. „Pluskwa 12” zacumowała w doku „Najjaśniejszej”. Mimo to nie przerywałyśmy gry, jeszcze nie nadeszło pozwolenie opuszczenia pokładu. Czułam rosnący niepokój. Miałam nadzieję, że Bruno już na nas czeka, bo jeśli nie... Jeśli mu się coś stało, nie ma go na okręcie lub siedzi w kiciu, czego można się po nim spodziewać, zostaniemy bez środków do życia. Same w obcym świecie.

Drzwi kajuty otworzyły się wreszcie i stanął w nich jeden z podoficerów. Kazał nam się natychmiast zbierać i iść precz, bo „Pluskwę” czeka teraz wyładunek, a potem sprzątanie pokładu. Koniec rejsu.

Pazerny na forszę kapitan drobnicowca, który z taką chęcią wziął łapówkę, nawet nie pofatygował się, by nas teraz pożegnać. I tak okazał się gentlemanem, nie rzucił nas załozce do zabawy, ani, po zainkasowaniu forsy, nie wywalił w kosmiczną pustkę. Słyszałam, że emigrantom czasem przydarzały się takie przykre niespodzianki ze

strony przewoźników.

Nim zdążyłam się obejrzeć, stałyśmy na stalowej platformie, w wielkiej hali przeładunkowej pełnej pokranych botów kroczących z towarem, ruchomych chodników, dźwigów i wózków. Z gwizdem i rykiem silników, przy akompaniamencie klnących magazynierów, wśród ogłuszającego łomotu, tłum maszyn krzątał się wokół „Pluskwy”. Musiałam przyznać, że robota szła tu gazem. Poczułam się zupełnie zagubiona, stojąc między tym pędzącym w różnych kierunkach żelastwem. Poprawiłam osuwający się z ramienia worek, drugą ręką mocniej ścisnęłam dłoń dziewczynki. Eva z ciekawością gapiała się na krzątanie magazynierów i niezwykle maszyny.

– Czego tak stoicie?! – Nie wiedzieć skąd pojawił się przy nas barczysty bosman z „Pluskwy”. – Życie wam niemiłe? Zjeżdżać stąd i to już!

Spojrzałam na niego groźnie, lecz bez słowa pociągnęłam młodą, ruszając, jak mi się wydawało, do wyjścia z hali.

– Dokąd, głupia sikso?! – ryknął bosman. – Marsz do oficera emigracyjnego! Tam, gdzie pokazują żółte strzałki, do biura komendy magazynu! Ruszać się!

Miał szczęście, że czułam się tu trochę zagubiona, inaczej usłyszałby wiązanekę, której nie zapomniałby do końca życia. Darowałam sobie jednak awanturę i nie chcąc przeszkadzać załodze „Pluskwy” i magazynierom, ruszyłam, kierując się żółtymi strzałkami na podłodze.

Ze ściany wysokiej hali wyrastał budynek portowy. Przysadzisty,

z masą okien o przyciemnianych szybach. Fasada terminalu ozdobiona była ornamentami wypalonymi w metalowych płytach grubymi nitami zamocowanych do budynku. Kiedy podeszliśmy z Evą bliżej, okazało się, że rysunki przedstawiają statki kosmiczne otoczone wijącymi się węzopodobnymi smokami. Wyglądało to zaskakująco, dotychczas nie spotkałam się, by na stacjach ozdabiano w ten sposób budynki użyteczności publicznej, w ogóle nie przypominam sobie, czy kiedykolwiek widziałam tak upiększane konstrukcje. Na stacjach i w bazach należących czy to do Ziemi, czy do Korporacji, zwykle najważniejsza była funkcjonalność, dominował minimalizm, wręcz asceza. Tu jednak stano chyba na efekt zgoła przeciwny. Moim zdaniem dość tandetny, ale co ja tam mogę wiedzieć o sztuce i pięknie.

Automat urzędniczy skierował nas do sali, w której miałyśmy czekać, dopóki oficer emigracyjny nie znajdzie dla nas czasu. Sala miała ściany wykonane z polerowanej na lustro stali z wtopionymi barwnymi zdobieniami. Naprzeciwko wejścia znajdował się gabinet z portretem pani kapitan nad drzwiami. Z obrazu, malowanego błyszczącymi i mieniącymi się metalicznie farbami, patrzyła na nas kobieta o twarzy ze złota. Miała idealnie symetryczne rysy twarzy i duże, przyciągające wzrok oczy. Lekko pociągła, doskonała twarz mogłaby służyć za wzór piękna, gdyby nie emanująca z niej surowość. Stałam chwilę, nie mogąc oderwać spojrzenia od niezwyklej kobiety. Miałam wrażenie, że patrzy tylko na mnie, że przenika mnie wzrokiem. Najjaśniejsza z obrazu była straszna i zimna jak

powierzchnia Plutona.

Oprócz naszej dwójki w sali siedziała już rodzina z czwórką dzieciaków i dwóch ponurych typów o rozbieganym spojrzeniu zawodowych złodziei. Znaczyło to, że flota „Pluskiew”, oprócz ładunku złowionego w mgławicy, dość często przywoziła emigrantów i ja z Evą nie byłyśmy wyjątkami.

Mogłam się domyślić, że Przymierze, niezależne od ziemskiego imperium, przyciąga uciekinierów ze wszystkich zamieszkałych światów. Musiała tu zjeżdżać masa wyjętych spod prawa oprychów, rebeliantów i buntowników, ściganych listami gończymi po całej galaktyce i okolicach. Znajdowali tu azyl przed surowym prawem Ziemi. Ciekawa byłam, czego Przymierze oczekiwało w zamian za ochronę.

Czekałyśmy na łaskawe objawienie się urzędnika ponad trzy godziny. W tym czasie potrenowałam z młodą sztukę koncentracji tai chi. Przydawało się to zarówno w walce, jak i w nudnej poczekalni. Staralam się szkolić Evę w różnych, znanych mi, sztukach panowania nad umysłem. Począwszy od tradycyjnej medytacji, poprzez stosowaną przez pilotów szkołę polaryzacji myśli Błysk, aż do wojskowych technik radzenia sobie z emocjami. Byłam przekonana, że z pewnością jej się to przyda do panowania nad szkarłatną mocą.

Oficer emigracyjny był grubym i łysym mężczyzną z wszczepami w przegubach rąk. Nie widziałam jeszcze takiego sposobu podpinania się pod system techniczny czy informacyjny. Granatowy, zbyt ciasny mundur urzędnika znaczyły plamy potu. Obrzucił nas obojętnym

spojrzeniem, wsunął do wszczepów neurowody i beznamiętnym głosem uraczył powtarzaną pewnie setki razy przemową.

– Najjaśniejsza, nasze schronienie i opoka, udzieliła mi prawa przemawiania w jej imieniu i podejmowania decyzji dotyczących waszych dalszych losów. Pani, w swej wielkiej łaskawości, ofiaruje wam możliwość życia i pracy na pokładzie okrętu. Jeśli okażecie przydatność, istnieją szanse, że zostaniecie zaszczycony przyznaniem statusu obywatela. Może stać się to bardzo szybko, jeśli szczerze odpowiecie na zadane przeze mnie pytania. Ostrzegam, że Najjaśniejsza widzi i wie wszystko, nie warto zatem kłamać. Wszelkie próby działalności przeciw okrętowi traktowane są jak atak na osobę pani kapitan. Nasze prawo nie zna większej zbrodni. Za taką działalność mogą być uznane próby mataczenia w trakcie tej rozmowy. Radzę więc dobrze przemyśleć każdą odpowiedź. Zdajcie się na mądrość i sprawiedliwość Najjaśniejszej i powierzcie jej swoje sekrety. Pani kapitan potrafi być niezwykle łaskawa i wspaniałomyślna. Jeśli dopuściliście się przestępstw w światach, z których przybywacie, mogą one zostać uznane za zupełnie nieistotne tutaj. Zaczniecie nowe życie z czystym kontem.

Chrzanił w tym tonie przez jakiś czas, na zmianę strasząc lub obiecując szczęśliwy i dostatni żywot. Musiałabym tylko wyznać wszystkie swoje grzechy. O pani kapitan mówił w absurdalnie ugrzeczniony i patetyczny sposób. Wyglądało na to, że na pokładzie okrętu panuje kult jednostki, podobno dość typowy dla totalitarnych systemów sprawowania władzy. Coś mi się wydaje, że tu czczenie

przywódcy zahaczało o parareligię. Pani chyba sama uwierzyła, że jest okrętem, wielkim, mądrym i potężnym. Tłumaczyłoby to groteskowy i kiczowaty przepych panujący na pokładzie. Wariaci mają swoje zboczenia, a kapitan, sądząc po złotej masce, lubiła obnosić się z bogactwem.

W końcu grubas zażądał podania numerów ID. Czyżby mieli tu dostęp do obywatelskich baz danych Ziemi? Nie chciałam, by wiedzieli, że jestem wiedźminką, że pochodzę z Czarnego Słońca. Lepiej było się do tego nie przyznawać, agenci Korporacji od miesięcy deptali mi po piętach. Bezpieczniej byłoby zachować anonimowość. Bez dłuższych rozmyślań odmówiłam podania numeru.

Urzednikowi nawet powieka nie drgnęła.

– Dostajecie czasowy przydział do obozu przejściowego w Zewnętrznej Warstwie – oznajmił natychmiast. – Odrzuciłaś dłoń wyciągniętą przez Najjaśniejszą. Twoje kwalifikacje i przydatność zostaną zatem określone w późniejszym terminie. Transporter czeka, proszę się pośpieszyć. Korytarz czerwony.

– Mam znajomego na „Najjaśniejszej” – powiedziałam. – Chciałabym go powiadomić o swoim przylocie. Jak mogę się z nim skontaktować?

Grubas nie raczył nawet na nas spojrzeć, z sufitu opadła biała płyta, oddzielając nas od siebie. Koniec gadki.

Szybko przeszliśmy do placu przed budynkiem, gdzie czekał na nas transporter. Wewnątrz siedziało już dwóch oprychów z poczekalni, rodzinka z dziećmi znikła bez śladu.

Podejrzewałam, że nie mieli nic do ukrycia i na własne życzenie zostali dokładnie prześwietleni, oficer emigracyjny mógł spojrzeć w ich życiorysy i zdecydować o przyznaniu wyższego statusu. W ciągu paru chwil dowiedział się o nich wszystkiego, poznał ich zawody, ścieżki kariery, upodobania, predyspozycje, profil psychologiczny, a nawet przebyte choroby. Obawiałam się, że w obozie przejściowym, gdzie trafiają tacy jak ja, niechętni do ujawniania prawdy o sobie, nie będzie luksusów, ale miałam nadzieję, że Bruno szybko nas znajdzie i stamtąd wyciągnie.

Podróż nie trwała długo. Pojazd się zatrzymał i przeszliśmy korytarzem do kolejnej poczekalni. Na szczęście tu już na nas czekali. Czterech uzbrojonych w pałki elektryczne policjantów przetrząsnęło nam bagaże, prześwietliło detektorami, obmacało i przepchnęło do suchej komory dezynfekcyjnej. Kilka sekund w strumieniu mikrowyładowań i otworzyły się wrota do obozu.

Od razu uderzył mnie znajomy odór smarów, stęchlizny i gnijących odpadów. Śmierdziało tu jak na wysypisku śmieci, prawie jak w domu. Wejście znajdowało się na platformie, dość wysoko – miałam dobry widok na obóz. Przed nami rozciągał się wielki plac wypełniony ciasno poustawianymi, blaszanymi budami. Chaotyczne kłębowisko przeplatane linkami, na których suszyły się szmaty, zapewne ciuchy. Całość skąpana była w zaskakująco ciepłym, żółtym świetle. Mój wzrok piał się w górę, po ścianach wielkiej komory, czy raczej owalnej hali, jak zwał, tak zwał. Do ścian zamocowano wijące się ślimakiem schody, przy których znajdowały się wejścia do setek

boksów mieszkalnych i korytarzy prowadzących do dalszych sektorów obozu. Patrzyłam na to mrowisko, coraz wyżej i wyżej, aż do sklepienia komory. Sufit wielkiego pomieszczenia był ogromną, złotą twarzą kobiety, która nieruchomym wzrokiem patrzyła w dół, na slumsy. Oświetlały ją dziesiątki reflektorów, których światło odbijało się od gładkiej powierzchni płaskorzeźby, dając niezwykły efekt, jakby twarz Pani świeciła niczym słońce. Stałam z zadartą głową, ze zdumieniem patrząc na ten niezwykły przykład megalomanii. Rdza mać, Najjaśniejsza chyba rzeczywiście uważa się za boginię.

Wokoło kręcili się ludzie. Większość snuła się leniwie, najwyraźniej nie mając co ze sobą zrobić. Obawiałam się, że to normalne w obozach przejściowych.

Przy wejściu czekała na nas policjantka w pozbawionym ozdób kombinezonie, z paralizatorem u pasa. Dziewczyna bez słowa zapięła nam na przegubach przezroczyste bransolety z widocznym wewnątrz chipem.

– To klucz do kwater i wrót na poziomy. Na razie nie będziecie mogły opuścić tego sektora, bransoleta otwiera tylko windy wewnętrzne, wejścia do urzędu emigracyjnego, posterunku policji i stołówki – wytłumaczyła bez zbędnych ceregieli. Oczywiście nie raczyła się nawet przedstawić. – Klucz uprawnia do dwóch posiłków dziennie. Za dwie doby zostanie wam przydzielony oficer prowadzący. Zgłosicie się do niego w urzędzie. Pomoże wam znaleźć pracę i urządzić się na „Najjaśniejszej”. Tu jest adres kwatery. Powodzenia.

Policjantka zaszalutowała i odeszła, po paru chwilach znikając w tłumie. Zostałyśmy same.

*

Erin szedł niepewnie, trzymając Kailę za rękę. Na głowie założony miał moduł operacyjny, jakich zwykle używają piloci specjalistycznych maszyn. Błyszczące metalicznie urządzenie zasłaniało mu połowę twarzy, w tym jedno oko, nadając mężczyźnie wygląd koślawego, starodawnego androida. Wykorzystując moduł, psychotron pozostawał w stałym kontakcie z Jackiem, swoim smokiem. Bestia przebywała w hiperprzestrzeni, penetrując stamtąd pokład „Najjaśniejszej”. Szła śladem zaburzeń przestrzeni świadczących o niedawnych aberracjach wytworzonych w tym sektorze okrętu. Zdaje się, że wreszcie udało się namierzyć dotychczas nieuchwytnych agentów Ziemi odpowiedzialnych za liczne morderstwa i dywersje.

Kontakt z umysłem będącym po tamtej stronie wymagał od psychotrona sporego wysiłku. Nie tak wielkiego, jak wtedy, gdy łączył ciało z systemem nerwowym smoka i nurkował w hiperprzestrzeni, ale i tak połączenie przez moduł robiło niezłe spustoszenie w jego umyśle. Zauważyłem, że mięśnie twarzy ściągają się Erinowi w skurczach, a potem psychotroном wstrząsają drgawki.

No tak, to musiało boleć. Nawet Kaila, dająca mu oparcie, co jakiś czas zaciskała szczęki, wyraźnie walcząc z efektami ubocznymi

przebywania w towarzystwie koleśia, przez którego przepływa falami czasoprzestrzenna anomalia. Też powinienem cierpieć, ale od dawna nic nie czułem. Zawsze miałem wrodzoną odporność, a wydarzenia na Stalowej Bliźnie ostatecznie mnie wyprały i jakieś tam aberracje, wynaturzenia czasoprzestrzeni i podobne pierdoły nic dla mnie nie znaczyły. Medycy twierdzili, że to niezwykle i sam jestem cholernym ewenementem.

Patrzyłem na idącą przede mną parę, próbując zrozumieć, co ich skłoniło, by doprowadzić się do takiego stanu. Oboje mieli w przybliżeniu po dwadzieścia kilka lat, a organizmy zniszczone niczym para starców. Sam w sporym procencie byłem cyborgiem, ale stary wojak to co innego, lata rozrób i ponieważ robiły swoje. Natomiast jak patrzyłem na Erina, to aż robiło mi się przykro. Chudy, ledwie trzymający się na nogach, po prostu strzęp człowieka. Tak samo Kaila, ale ją miałem gdzieś. Pochrzaniona, wiecznie nabzdyczona suka. Naszpikowała się wszczepami niczym zwariowany fetyszysta, a po zachowaniu można się było domyślić, że naprawdę bardzo przesadza z narkotykami. Jeśli nawet mnie to raziło, to znaczy, że było z nią bardzo źle.

Szedłem kilka kroków za nimi, rozglądając się uważnie. Tym razem wymusiłem na szefie, by pozwolił mi zabrać broń. Niestety, służby ochrony Leży wydały mi tylko teleskopową pałkę i mały miotacz na gumowe kule. Nie za bardzo mi chyba ufali. Mimo że służyłem Erinowi prawie od roku, ciągle mieli mnie za nieznównowżonego psychicznie rozrabiakę. Bali się, że pozabijam

przypadkowych przechodniów, czy co?

Znajdowaliśmy się w chyba najbardziej plugawym zakamarku okrętu, na wysypisku leżącym w zewnętrznym pierścieniu, przy granicy z obozami dla przesiedleńców. Ponoć było tu naprawdę niebezpiecznie. Przemytnczy, złodzieje, mordercy i zbrodniecy kręcili się po okolicy równie często, co zwykli zbieracze śmieci. Widoczny w oddali, pomiędzy stertami odpadów, walcowaty korpus był ogromną rozdzielnią i spalarnią. Automaty segregowały tam odpady.

Erin prowadził nas skrajem wysypiska, klucząc między stertami złomu i rupieciami. Powoli kierowaliśmy się w stronę blaszanych baraków przycupniętych przy ścianie komory, na skraju wysypiska. Z tego, co mówiła Kaila, wynikało, że żyły tam najgorsze męty. Uśmiechnąłem się. Nasza wyprawa mogła skończyć się porządną bijatyką, długo czekałem na coś takiego.

Nie byłem głupi, za jakiego powszechnie mnie uważano. Nie miałem też samobójczych zapędów, dbałem o własny tyłek i nie szukałem guza dla rozrywki. Mimo wszystko ciągnęło mnie do awantury, do prawdziwej walki. Im dłużej trwał w moim życiu spokój, tym bardziej marzyła mi się rozróżba. Nie byłem już młodzieniaszkiem, zdrowie też już nie to, ale trudno wyzbyć się starych przyzwyczajęń.

– Dlaczego nie zgłosiliśmy sprawy służbom ochrony? – spytałem z głupia frant. – Po co się w to pchamy?

– Ech, policjanci to banda durniów. – Kaila machnęła ręką. – Jak niby mają poradzić sobie z tak skomplikowaną i trudną technicznie

sprawą, jak ataki specjalnych agentów, niewidzialnych i nieuchwytnych? Tym muszą zająć się fachowcy, znający się na anomaliach i Bezmiarach, czyli my.

– A dlaczego nie poprosiłaś policji chociaż o wsparcie?

– Wyobrażasz sobie tu oddział gliniarzy? Poza obozami emigrantów, w najbardziej zapuszczonych zewnętrznych sektorach okrętu? Nie przeszlibyśmy nawet połowy drogi, a doszłoby do zamieszek. Nie chcę prowokować rozlewu krwi – powiedziała, nerwowo odrzucając grzywkę. – Panuje tu zawieszenie broni, krucha równowaga pomiędzy organizacjami przestępczymi i policją. Gliniarze dają im wolną rękę. Ta okolica, a właściwie cała Zewnętrzna Warstwa, to królestwo żeńskiego gangu Najmroczniejszych, zwanych popularnie Mrocznicami. Nawet oficjalna władza musi liczyć się z potęgą tej bandy.

– Nawet Pani z nimi nie zadziera? – spytałem.

Kaila spiorunowała mnie wzrokiem.

– Nie boisz się, że Mrocznice i nam mogą skopać tyłki? – nie dawałem za wygraną.

– Zamknij się, cymbale – warknęła. – Zamiast trząść się ze strachu przed grupą smarkul z przedokręcia, lepiej miej oko na okolice. Nie martw się bandytami, jakoś damy sobie z nimi radę. Uważaj, byśmy nie wpadli na tych sukinsynów mordujących niewinnych ludzi.

Skrzywiłem gębę w pogardliwym uśmiechu. Nie lubiłem tej nadętej lali, miło było czasem pograć jej na nerwach.

Po paru minutach zatrzymaliśmy się przed jednym z paskudnych

baraków stojących na granicy wysypiska.

Siedzący przed wejściem kompletnie nawalony typ nawet nie zwrócił na nas uwagi. Erin zatrzymał się i zdjął moduł operacyjny. Rozejrzał się, mrużąc oczy. Podtrzymałem go, bo zachwiał się i nieomal runął między walające się odpady.

– To tylko zawroty głowy, zaraz miną – mruknął, odpychając moją rękę. – Wiecie, moduł przesyłał mi informacje od Jacka, razem z jego myślami i uczuciami. Och, zupełnie nieprzetworzone, surowe strumienie danych z hiperprzestrzeni. Potrzebuję chwili, by dojść do siebie.

Podąłem mu piersiówkę wyciągniętą z kieszeni bluzy. Bez słowa pociągnął tęgi łyk i oddał mi butelkę. Nawet nie mrugnął. Twardziel z tego chłopaka, to był spirytus odpadowy rozcieńczony wyciągiem z gunfenoiny. Niezłe świństwo, które łykałem w chwilach zadumy lub wyjątkowych nerwów.

– Tam – wskazał wejście do baraku, przed którym staliśmy. – W boksie po prawej. Bez obaw, wszyscy w środku są martwi.

Wszedłem jako pierwszy. W krótkim korytarzu znajdowało się tylko czworo drzwi. Stałem przed pierwszymi z prawej i pytająco spojrzałem na Erina. Skinął głową.

Kopnąłem – blaszane wrota z łomotem runęły na podłogę. Wpadłem do środka z uniesioną bronią, gotów wpakować gumowe kule we wszystko, co się poruszy. Jednak wewnątrz był tylko trup siedzący w fotelu, jak powiedział Erin, koleś był sztywny i nieskory do gwałtownych ruchów. Półmetrowe pociski igłowe przyszpilały go

do siedziska, ściskany w martwej garści garłacz impulsowy bezwładnie opierał się o kolana. Twarz była umazana krwią, w pustych oczodołach ziały czarne dziury. Wyglądało na to, że ktoś wydłubał gościowi oczy.

Nie był sam. Na podłodze leżało jeszcze dwóch. Jeden rozkrzyżowany, z łbem rozwalonym w drobny mak i z karabinkiem igłowym pod ręką, drugi zwinięty w kłębek, trzymający się za brzuch. Od razu rzucił mi się w oczy metaliczny błysk na wnętrzach dłoni pierwszego. Wojskowe wszcypy. Obaj zabici spoczywali w kałużach już zaschniętej, poczerniałej krwi. Wystarczył mi jeden rzut oka. Wyglądało, że kolesie pozabijali się nawzajem, choć to akurat mogły być pozory.

W drzwiach stanął Erin i zbladł jeszcze bardziej niż zwykle. Na Kaili makabryczny widok nie zrobił najmniejszego wrażenia. Podeszła do siedzącego i sięgnęła do kieszeni jego kombinezonu. Psychotron otrząsnął się szybko i też wszedł, starając się ominąć kałuże krwi. Przeszedł na tył pomieszczenia, klękając przy dziwnym malunku zrobionym białą farbą na podłodze.

Cofnąłem się na korytarz, wypadało mi zająć się ochroną tej dwójki. Nie chciałem, by ktoś zaskoczył nas w tej parszywej klitce. Stałem w wejściu, czujnie nasłuchując odgłosów dobiegających z zewnątrz. Póki co, poza bełkotliwym mamrotaniem ćpuna przy wejściu, panowała cisza.

– Co tam masz? – drżącym głosem spytała Kaila, dygocząc w jednym ze swoich narkomańskich ataków.

– Wygląda na jakieś okultystyczne bzdety – mruknął Erin, nie zwracając uwagi na dziwne zachowanie dziewczyny, która po ataku dygotów zastygła w bezruchu, z ogromną częstotliwością trzepocząc rzesami. – Pentagram, jakieś symbole, są też ślady krwi. Składali ofiary, czy co? Tylko że to właśnie w tym miejscu wytwarzała się anomalia, fizyczne rozdarcie czasoprzestrzeni, jak przy wnikaniu umysłu w Bezmiary. Identyczne ślady są w Leżach. Agenci wroga do przechodzenia w Bezmiary używają okultyzmu? Dziwne.

Kaila tymczasem zdążyła oprzytomnieć i znowu zabrała się za przeszukiwanie trupów. Mamrotała przy tym coś do siebie. Na Czarne Słońce, co ta dziewczyna brała? Uklękła przy zabitym z przestrzelonym brzuchem. Wskazała gniazdo z tyłu głowy trupa, też kiedyś takie miałem. Obróciła ciało na plecy.

– Tych dwóch pochodziło z Układu Słonecznego, piloci lub żołnierze – mówiła ciągle drżącym głosem. Rozdarła koszulę na piersi zabitego. – O tu, na piersiach ma wszczep kamuflujący, takie same znalezione przy szpiegach po słynnym ataku na „Najjaśniejszą”.

Ciekaw byłem, skąd to wiedziała. Podeszedłem do niej.

– Założę się, że dokładne badanie znalazłoby więcej wojskowych gadżetów.

– Ten bez głowy był snajperem – powiedziałem, wskazując na dłoń pokrytą błyszczącymi końcówkami wszczepów. – Łączył się z bronią. Tacy kolesie potrafią z odległości kilku kilometrów trafić muchę między oczy.

Kaila odsunęła się, robiąc mi miejsce. Nie umknęło mojej uwadze,

że wcześniej porozumiała się spojrzeniem z Erinem.

– Podejrzewam, że ten drugi to Oko – powiedział Erin po chwili. – Podoficer wsparcia, obsługujący system informacyjny. Zawsze działają w duetach ze snajperami, jeden namierza, drugi zabija. To komandosi jednej z jednostek specjalnych. Zobaczmy której.

Ukląłem przy bezgłowym i szarpnięciem rozerwałem mu kombinezon na prawym ramieniu. W jednostkach specjalnych tatuaż z symbolem formacji to wielowiekowa tradycja. Komandosi są z nich cholernie dumni, szpanerzy. Jednak snajper w miejscu, w którym powinien być tatuaż, skórę miał gładką. Zbyt gładką.

– No dobra, zatem co tu się właściwie stało? – spytałem. – Wytlukli się wzajemnie? Tak po prostu? I po co, i jak wyłupiono jednemu z nich oczy?

– Możliwe, że był tu jeszcze ktoś, kto wymordował całą tę trójkę – odparł Erin.

– Trzech speców od zabijania? W tym jeden z wydłubanymi oczami? To chyba symboliczne, co? W dodatku zabójca zwiął, nie otwierając drzwi, bo gdy je wyłamywałem, zamknięte były od wewnątrz.

Psychotron wzruszył ramionami.

W tym czasie Kaila zabrała się za trzeciego zabitego, przyszpilonego do fotela. Rozpięła mu kombinezon z wysokim kołnierzem otaczającym szyję.

– Ten też ma wszczep w rdzeniu kręgowym – powiedziała. – I aktywny tatuaż na szyi. Spójrz, Bruno. Mówi ci to coś?

Po raz pierwszy zwróciła się do mnie po imieniu. Przekrzywiła przy tym głowę, patrząc na mnie tymi swoimi obłąkanymi oczyma. Rzadko się zdarzało, że zatrzymywała na czymś dłużej rozbiegany wzrok.

Spojrzałem na obrazek przedstawiający błyszczące metalicznie serce. Tatuaz nadal pulsował rytmicznie, udając prawdziwy, miniaturowy organ, nawet po śmierci nosiciela. Zamarłem, czując, jak w trzewiach rozpała mi się strach. Rzadko się bałem, ale ten symbol zrobił na mnie wrażenie.

– To cerber Korporacji IronHeart – powiedziałem, powoli cedząc słowa. Miałem nadzieję, że nie zauważyli drżenia w moim głosie. – I to z samej elity, z formacji Pięć, czyli sił specjalnych.

– Co to za Korporacja IronHeart? – spytał Erin. – Nigdy nie słyszałem.

– Należało do niej Czarne Słońce – powiedziała Kaila. – Ciekawa sprawa, myślałam, że już nie istnieje. Współpracowała z Ziemią. Po katastrofie Czarnego Słońca Korporacja powinna zbankrutować, ale najwyraźniej tak się nie stało. Mamy tu zatem agentów, którzy się nawzajem pozabijali lub zostali zamordowani przez kogoś jeszcze. O co tu może chodzić?

Za to ja zaczynałem coś podejrzewać. IronHeart poszukiwała Xiu i dziewczynki, która znajdowała się pod jej opieką. Tyle przynajmniej powiedział mi Tomasz, kiedy ostatni raz mieliśmy kontakt. Wtedy uznałem, że to kompletna bzdura – ostatecznie, dlaczego Korporacja miałaby się interesować jakąś znajką, którą przygarnęła bezrobotna

wiedźminka? Tomasz nie umiał powiedzieć na pewno, ale po opuszczeniu Czarnego Słońca wypytywano go o Xiu i dziewczynkę. Często. Nieoficjalnie, rzecz jasna. Podobno znajda jest wyjątkowa, umie wywołać bez wspomagania technicznego anomalie hiperprzestrzenne. No i Tomek podejrzewał, że jest śledzony, a to znaczyło, że za wiedźminką też ciągnie się ogon. Jeden z agentów IronHeart musiał ją wyprzedzić i zamelinować się na „Najjaśniejszej”. Ale został zamordowany, zanim dopadł Xiu. Co nie znaczy, że był sam. Na pokładzie może być więcej takich, co polują na wiedźminkę i jej podopieczną. Na dodatek ta znajda musi być ważna, skoro agenci likwidują się wzajemnie. Nie chcą konkurencji. Poza tym ta rzeźnia oznaczać mogła tylko jedno – dziewczyna niedługo się pojawi lub już dotarła na „Najjaśniejszą”. Rdza mać, obiecałem Tomaszowi, że zaopiekuję się Xiu i tym dzieciakiem. Powinny przylecieć ostatnim rejssem drobnicowców, ciekawe, czy już dotarły na „Najjaśniejszą”. Muszę sprawdzić, gdy tylko będę miał chwilę wolnego.

*

Nasz przydziałowy barak stał bezpośrednio przy niewielkim placyku ciasno otoczonym bliźniaczymi budami. Budynki tworzyły pierścienie będące odpowiednikiem dzielnic czy sektorów w przestronnej komorze pełnej tysięcy baraków. Budy nie były zbyt wielkie, a sądząc po liczbie zakratowanych okien, w środku musiały znajdować się najwyżej cztery pomieszczenia. Domyślałam się, że po

jednym na rodzinę. Przed barakiem siedziały dwie czarnoskóre dziewczyny. Ich wyzywający ubiór i równie wyzywający mocny makijaż sugerowały, że obie są córami Koryntu. Nim udało nam się wejść do baraku, jedna z nich wstała i zastąpiła mi drogę.

– Nowa? – spytała. – Pewnie do dwójki. Sukeę, która tam mieszkała, zabrali już trzy dni temu, jej łóżko stoi puste. Ależ ta dziwka krwawiła. Pewnie cały boks jest umazany juchą. Myślała, kurwa jedna, że jak służyła w armii i zabijała ludzi, to wszystko jej wolno.

Bez słowa ominęłam dziewczynę, ale jej koleżanka zablokowała mi przejście.

– Nie chciała słuchać rad, płacić haraczu i zdarzyło się jej dwukrotnie obrazić Najmroczniejsze. – Druga Murzynka była masywniejsza i wyższa od pierwszej, sięgałam jej zaledwie do ramienia. Prawdziwa gorylica. – Nazwała je pazernymi dziwkami i splunęła na widok tego znaku.

Dziewczyna wskazała na wisior między wielkimi piersiami. Do złotego łańcucha, założę się, że zrobionego z taniej imitacji cennego kruszcu, i o absurdalnie grubych ogniwach, przyczepiony był koślawo wykonany wizerunek dłoni ściskającej nieregularną kulę. Można się było domyślić, że godło gangu ma symbolizować panowanie Mrocznic nad całym okrętem. Megalomanii ciąg dalszy. Wszyscy tu są opętani manią wielkości, czy co?

– Najmroczniejsze władają całym okrętem? – spytałam bez ogródek.

– Pewnie – parsknęła mniejsza kobieta. – Jesteśmy prawdziwą i jedyną potęgą na „Najjaśniejszej”. To my stanowimy prawo, a nie ta czarownica siedząca w złotym Pałacu.

Zmrużyłam oczy, uśmiechając się łagodnie. Miałam pomysł. Skoro gang trzymał w garści ten bajzel, mógł mi się przydać. Nie zamierzałam wegetować na samym dnie, w brudzie i smrodzie, czekając, aż Bruno mnie odnajdzie. Idąc między barakami, zauważyłam, że spora część ludzi musiała żyć tu od lat. Większość była naćpana, w ich oczach widziałam tylko beznadzieję i znużenie. Władze nie śpieszyły się, by przydzielić im pracę i wpuścić na wewnętrzne poziomy. Pewnie brali najcenniejszych fachowców, szumowiny zostawiając na pastwę losu.

– Powiedzcie, dziewczyny, co trzeba zrobić, by zostać jedną z was? – spytałam.

Murzynki spojrzały na siebie i wybuchły śmiechem.

– Słyszałaś, Qq? – mniejsza zwróciła się do kompanki. – Ta mała chciałaby zostać Mrocznicą! Może dziewczynka, która jest z tobą, też się przyłączy?

Mocno zacisnęła mi dłoń na ramieniu. Jej długie, plastikowe paznokcie boleśnie wpiły mi się w ciało. Spoważniała w jednej chwili.

– Nie tak łatwo zostać Mrocznicą, my nie przyjmujemy byle kogo. W szczególności świeżych suk, które dopiero co wlażyły na pokład. Trzeba cię sprawdzić, zobaczyć, co potrafisz. My dwie staramy się o przyjęcie już od czterech lat. Jeśli będziesz grzeczna, to kto wie, może polecimy cię naszej Caporegime.

Ech, to były tylko nowicjuszeki stroszące piórka i grające wielkie gangsterki. Chyba nie były nawet soldati – zwykłymi członkiniami gangu. Miały za to kontakt do Capo, lokalnej przywódczyni gangu. Dobrze byłoby to jakoś wykorzystać i dotrzeć przez nie wyżej.

– Dobra, żółta, dość gadania, dawaj, co tam masz. – Wielka Qq odepchnęła kompankę i gwałtownym szarpnięciem wyrwała mi worek z rzeczami. – Pobierzesz ze stołówki żarcie na wynos i tutaj przyniesiesz. Jestem głodna. Potem posprzątasz nam w boksach. Twoja mała świetnie nadałaby się do burdelu, wiesz? Takie młodziutki są na wagę złota. Muszę nad tym pomyśleć.

Podła mój worek towarzyszyce i spojrzała na mnie groźnie.

– Co tak stoisz? Leć pędem do stołówki! Pobierz całodzienny przydział, weź trochę suszonej wołowiny, jakieś słodczy. Ruszaj się!
– Szturchnęła mnie wielkim łapskiem, że nieomal się przewróciłam.

– Tylko spokojnie – szepnęłam Evie. – Dam sobie radę.

Lubiłam nosić masywne, wojskowe buty. Były wygodne i funkcjonalne, a okute metalem czuby doskonale się sprawdzały w sytuacjach takich jak ta. Cofnęłam się krok i z wysokoku kopnęłam ją wprost w brzuch, poniżej wielkich cyców. Trafienie w splot słoneczny powinno powalić każdego twardziela. Tym razem nie było wyjątku, Murzynka jęknęła i zgięła się w pół.

Druga dziwka też wrzasnęła, tyle że ze wściekłości. Cisnęła mój worek. Błysnął nóż. Z twarzą wykrzywioną gniewnym grymasem skoczyła na mnie. Cofnęłam się kilka kroków, dając Evie uspokajający znak ręką. Sama nie byłam tak spokojna, nie dało się nie

zauważyć, że czarna cholera nie pierwszy raz ma nóż w ręku. Zaatakowała błyskawicznie, tnąc szerokim zamachem wprost w moją twarz. Wygięłam się gwałtownie, aż kręgosłup zatrzeszczał. Ostrze ze świtem przecięło powietrze tuż przed moim nosem. Murzynka obróciła rękojeść w dłoni, zmieniając ułożenie noża i natarła z furją, tnąc raz po raz. Brzuch, twarz, piersi, bok, znów twarz. Robiłam uniki w oszalamiającym tempie, starając się nie spuszczać oczu z ostrza, które zamieniało się w błyszczącą metalicznie smugę. Skok w bok, przysiad i obrót, odbić dłoń. Rdza mać, nie dam rady wiecznie o parę milimetrów mijać się z ostrzem. Jeszcze parę chwil i ta wściekła suka potnie mnie na plasterki! Dość! Skoczyłam na przeciwniczkę. Z rozmachem trzasnęłam piętą w środek jej stopy, oburącz blokując rękę z nożem. Murzynka wrzasnęła, wypuszczając nóż z dłoni. Bez skrupułów zgięłam nogę w kolanie i z impetem poprawiłam, miażdżąc tę samą stopę. Odepchnęłam dziwkę, która wyjąc z bólu, usiadła na ziemi.

– Jak zauważyliście, jestem grzeczna, dziewczyny. Nie biłam was po twarzy, nie okaleczyłam. Możecie ciągle przyjmować klientów – powiedziałam, podnosząc worek. Eva pokręciła głową, wykrzywiając usta w wymuszonym uśmiechu. Chyba trochę się wystraszyła. – Nie interesuje mnie usługiwanie takim szmatom. Dobrze się bawiliście, donosząc Caporegime na tę biedną dziewczynę, która mieszkała tu przede mną? Jak bardzo nakłamałyście, że gang przysłał tu siepaczy? Powiedzcie Capo, że w jej rejonie pojawiła się prawdziwa wojowniczką, która chce rozmawiać. A teraz precz.

Nasz przydziałowy boks nie był zabryzganym krwią, jak twierdziła jedna z Murzynek. W niewielkim pomieszczeniu oświetlonym lampą fluorescencyjną stało piętrowe łóżko, mikroskopijny stolik i blaszana szafka. Wrzuciłam do niej worek z ubraniami.

Chciałam od razu zabrać małą do stołówki, skorzystać z przydziałowego jedzenia, bo żołądek przylgnął mi chyba do kręgosłupa. Przy okazji mogłabym rozejrzeć się po okolicy, rozpoznanie terenu to podstawa. Jednak zanim zdążyłyśmy wyjść, w otworze naszego boksu stanęła starsza kobieta. Wyglądała na naprawdę zmęczoną życiem, podkrążone oczy i brunatne plamy wątrobowe na twarzy wiele mówiły o jej zamiłowaniu do używek. Z prawdziwego papierosa w jej dłoni unosiła się smuga dymu. Nigdy nie paliłam tytoniu, na Czarnym Słońcu był towarem zupełnie niedostępnym.

– Cześć – powiedziała mocno zachrypniętym głosem. – Jestem Hana, mieszkam obok. Widziałam jak załatwiłaś siostry Q. Tym wstrętnym sukrom należał się mały łomot, zbyt im palma odbiła.

– Nazywam się Xiu. – Skinęłam głową. Hana od razu wydała mi się sympatyczna. – Dziewczyny naprawdę są z gangu?

– Chciałyby. – Kobieta zaciągnęła się papierosem, po chwili wypuszczając błękitną chmurę. Wyczułam zapach wanilii. – Podejrzewam, że Siostry nigdy ich nie zaakceptują. Wykorzystują takie głupie, tanie dziwki, ale do samego gangu przyjmują tylko naprawdę wartościowe dziewczyny.

Zaprosiłam Hanę do środka, wskazując łóżko. Kobieta usiadła,

zakładając nogę na nogę. Trafiło mi się darmowe źródło informacji, więc należało skorzystać. Na szczęście, nie trzeba było Hany zbyt mocno ciągnąć za język, wyraźnie cierpiała na brak towarzystwa i słuchaczy. Nawet nie była specjalnie ciekawa, kim jestem, cieszyło ją, że może sobie pogadać.

Okazało się, że trafiłam do najgorszej części okrętu – „Najjaśniejsza” około stu lat temu była zwykłym, całkiem sporym, ale nie tak wielkim statkiem wydobywam. Rosła jednak powoli, rozbudowując się zupełnie chaotycznie. Miała przez to strukturę nieregularnych warstw, które stopniowo przebudowywano i zmieniano im przeznaczenie. Stare warstwy zdążyły już okrzepnąć i zamienić się w obfitujące w dobrobyt wymarzone przez emigrantów miejsca zamieszkania. Im głębiej w „Najjaśniejszą”, tym bezpieczniej i pewniej.

W samym środku okrętu znajdował się napęd grawitacyjny i baterie zasilających go reaktorów, serce „Najjaśniejszej”. Wstęp tam mieli tylko wyspecjalizowani technicy i inżynierowie, którzy na okręcie stanowili uprzywilejowaną klasę obywateli. Kolejna warstwa była Pałacem, siedzibą pani kapitan i jednocześnie punktem dowodzenia. Stacjonowali tam nawigatorzy i piloci, ponoć żyjący w niezwykłym luksusie i dobrobycie. Dalsze warstwy przenikały się, zachowując jednak w pewnym stopniu wyspecjalizowane przeznaczenie. Była więc warstwa naukowa, pełna laboratoriów i hal badawczych. Tam wyhodowano smoki i badano fizykę czasoprzestrzeni. Były warstwy zamieszkałe przez specjalistów

różnych dziedzin, cennych fachowców i mistrzów rzemiosł. Była też warstwa rozrywkowa, pełna niezwykłych knajp i urzędów do sprawiania przyjemności. Sąsiadowała z warstwą sztuki wysokiej, gdzie żyli artyści. Bliżej zewnątrz znajdowały się warstwy, gdzie żyło się trochę ciężiej, lecz i tak bez porównania lepiej niż na większości ziemskich kolonii. Znajdowały się tam sektory hodowlano-rolnicze, z cieplarniami i plantacjami. Tam również znajdowały się magazyny żywności. Jednak skarb i faktyczne źródło bogactwa „Najjaśniejszej” stanowiła warstwa robotnicza. Żyły tu miliony ludzi zajmujących się przetworzeniem i produkcją dóbr z materiałów wyłowionych w mgławicy. Tam też ulokowano Smocze Leża, najdziwniejszą część statku, efekt odkryć i badań dokonanych w warstwach nauki. Dalej znajdowały się strefy militarne i portowe, gdzie stacjonowały siły zbrojne „Najjaśniejszej” i flota drobnicowców. I na samym przedokręciu zewnętrzna warstwa, która w większej części była magazynami i halami portowymi, z umieszczonymi gdzieś obozami przejściowymi dla emigrantów o niepewnej przeszłości lub mogącymi stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa statku.

Obozy traktowano trochę po macoszemu, zapewniając jednak przesiedleńcom podstawowe warunki do życia i dach nad głową. Niestety, niezbyt dbano tu o przestrzeganie prawa, przymykając oko na panoszące się gangi i ogólny bajzel. Ludność zasiedlająca obóz oficjalnie zajmowała się drobnymi pracami, w rzeczywistości natomiast będąc jedną wielką fabryką nielegalnych używek

i ośrodkiem przemytniczym. Hana twierdziła, że to celowy zabieg Pani. Tak wielka struktura jak „Najjaśniejsza” musiała mieć wentyl bezpieczeństwa, miejsce, gdzie zbierają się szumowiny, gdzie można głośno mówić, co się myśli i nie bać się majestatu surowej kapitan. Często zsyłano tu niepokornych obywateli z głębi statku, tych zbuntowanych i niezadowolonych. Obozy miały być szambem na zbierające się nieczystości. Dlatego panował tu taki syf.

Nic nadzwyczajnego, w Czarnym Słońcu trafiałam do osad, przy których panujące tu bezprawie nie wydawało się takie straszne. Spędziłam kiedyś kilka dni w Nowej Sodomie i jakoś nic mi się nie stało. Trzeba mieć oczy dookoła głowy i nie wahać się przed stosowaniem przemocy. Do prymitywów, takich jak te dwie Murzynki, przemawiała tylko siła.

Hana wypowiadała się o Mrocznicach z dużym szacunkiem, co nie przeszkadzało jej nazywać członkinie gangu wściekłymi sukami i niewydymanymi lalami. Podziemna organizacja zrzeszająca kobiety z marginesu ponoć naprawdę miała przedstawicielki na całym okręcie. Hana twierdziła, że także w Pałacu i w Smoczach Leżach. Zdaje się, że pomysł, by się przyłączyć, nie był taki zły. Perspektywa życia z Evą w tych slumsach wcale nie wydawała się zachęcająca.

Hana twierdziła, że Najmroczniejsze nie tylko zbierają haracze, handlują narkotykami i zarządzają burdelami, w ich asortymencie usług było również szpiegostwo przemysłowe, komunikacyjne i wojskowe. Wierzyła, że są jedyną siłą zdolną powstrzymać morderców, którzy ostatnio pojawili się w obozie. Wyjątkowe

sukinsyny zabiły masę ludzi, poddając ich torturom. Jak dotychczas pozostali nieuchwytni. Na nic zdały się zabiegi kapitan, akcje jej służb specjalnych, a nawet psychotronów. Tajemniczy wróg grasował po całym okręcie, największe spustoszenie czyniąc w Zewnętrznej Warstwie. Podejrzewano agentów Ziemi, która uparcie próbowała dobrać się do Przymierza, ale Hana twierdziła, że to może być zbuntowany lub oszalały psych. Tylko modyfikowane chirurgicznie i biochemicznie cyborgi zdolne były do wpływania na rzeczywistość z hiperprzestrzeni. Mogli przecież dzięki temu bezkarnie i bez pozostawiania śladów zabijać. Wiecznie naćpani i chwiejni psychicznie degeneraci nie byli specjalnie lubiani przez lud okrętu i tradycyjnie przypisywano im winę za wszystkie nieszczęścia.

Wzruszyłam ramionami. Nie mogłam teraz przejmować się takimi sprawami. Musiałam najpierw jakoś się urządzić. Dowiedzieć się jak najwięcej o zwyczajach panujących na okręcie. Przerwałam Hanie ciąg epitetów, którymi obrzucała psychotronów, i zapytałam o to, co mnie najbardziej intrygowało, o Panią.

Hana odruchowo spojrzała w okno, w złotą twarz błyszczącą na sklepieniu hali, a potem wzruszyła ramionami. W obozie można było bezkarnie się prostytuować, produkować narkotyki, narzekać na głupotę szefa sekcji Zewnętrznej Warstwy, podłe żarcie, zbyt niski poziom tlenu czy właściwie cokolwiek, prócz złego mówienia o pani kapitan. Nawet dla Mrocznic była osobą, o której lepiej po prostu nie rozmawiać. Otwartą krytykę Pani uważano za lekkomyślne narażanie życia. Niejeden, który się tego dopuścił, źle skończył. Na statku nie

istniała oficjalna opozycja, panowała tu władza absolutna, a z kapitan liczyły się nawet szumowiny żyjące na marginesie. Hana twierdziła, że im głębiej w „Najjaśniejszą”, tym kult Pani był silniejszy. W Pałacu uchodziła nieomal za boginię, jej rozkazy traktowano niczym objawienie, a każde słowo analizowano jak przejaw nieskończonej Mądrości. Robotnicy i rolnicy z wewnętrznych warstw składali przed jej wizerunkami drobne ofiary, a transmisje z mostka czy spotkań z innymi kapitanami Przymiera traktowano niczym święte msze. Tam niepotrzebna była nawet tajna policja, która i tak oczywiście istniała, wszelka niepraworządność spotykała się ze społecznym ostracyzmem, a winnych, niczym bluźnierców, natychmiast wydawano władzom.

Wszystko to było niezmiernie ciekawe, ale głód dawał mi się we znaki i wreszcie przeprosiłam Hanę, by zabrać Evę do stołówki na przydziałowe żarcie. W baraku panował harmider, ale można było spokojnie przekąsić swoje porcje żywnościowe pod okiem kilku masywnych osobników pilnujących porządku. Zupa o smaku owocowym nie była zła, choć oczywiście całkowicie syntetyczna. Za to, ku mojemu kompletnemu zaskoczeniu, dostałyśmy też po porcji prawdziwego mięsa. Na Czarnym Słońcu coś takiego uchodziłoby za przysmak. Jadłam mięso trzy razy w życiu. Na osiemnaste urodziny, gdy zafundował mi je Shao, i dwa razy, gdy Tomasz zabrał mnie do koszmarnie drogiej knajpy. Całe życie żywiłam się głównie białkową masą uzyskaną z glonów i podrasowaną syntetycznymi dodatkami smakowymi i zapachowymi. A tu coś takiego! Spojrzałam na portret

pani kapitan wiszący w baraku stołówki. Suka była surowa i groźna, ale dbała nawet o motłoch. Nic dziwnego, że niektórzy faktycznie ją wielbili.

Poszliśmy na spacer po okolicy. Niestety, nie było zbyt ciekawie, wszędzie kręcili się podejrzani osobnicy, trzy razy zaczepiały nas nawalone ćpuny, a wszystko to na głównych traktach łączących co większe place. Strach pomyśleć, co się dzieje w wąskich przejściach między budami i w korytarzach łączących poszczególne hale. Eva szybko się zmęczyła, więc pomaszerowałyśmy do naszego nowego domu. Zresztą i tak zbliżał się wieczór, blask bijący od złotego oblicza powoli przygasał.

Siostry Q czekały na nas przed barakiem. Zwolniłam i rozejrzałam się uważnie. Chyba przyszły same, nie zauważyłam, by w okolicy ktoś się czaił. Obie nie wyglądały na pokrzywdzone, nadal ubrane były w tandetne, wyuzdane kiecki. Raczej nie szykowały się do bójki, ale na wszelki wypadek kazałam Evie zostać z tyłu.

– Pięknie nas załatwiłaś, laleczko – z daleka huknęła Qq. – Podejdź no, pogadamy.

Zbliżyłam się, ale zachowując rozsądną odległość.

– Nie chowamy urazy – odezwała się mniejsza Murzynka. – Podskoczyliśmy ci, a ty skopałaś nam tyłki. Normalna sprawa, nie ma powodu robić z tego afery.

– Nie będziecie mi się naprzykrzać, dziewczyny? – mruknęłam.

– Pokój, laleczko – pojednawczo oznajmiła Qq. – W naszym rewirze włos ci z głowy nie spadnie.

Uścisnęłam wyciągnięte dłonie, oczywiście ciągle mając się na baczności. W razie czego skręciłabym jednej lub drugiej nadgarstek. Uśmiechnęłam się lekko.

– Jedna prośba – odezwała się mniejsza.

Spojrzałam pytająco, Murzynka zagryzała wargę, robiąc niepewną minę. – Dobrze by było, gdyby się to nie rozeszło. Ok? Wiesz, miałybyśmy przerabane, gdyby Capo dowiedziała się, że rozwaliła nas żółta smarkula. Rozumiesz? Całkowita utrata respektu. Wywaliłyby nas z gangu.

– Nikt się nie dowie – odetchnęłam. Dziewczyny chyba naprawdę nic nie kombinowały.

– Przecież nikomu nic się nie stało i oczywiście nikt nic nie widział – mrugnęłam do Qq.

Wielka Murzynka machnęła ręką, szczerząc oślepiająco białe zęby. Odpowiedziałam uśmiechem i odwróciłam się do stojącej z tyłu Ewy.

To był błąd. Jak mogłam być tak głupia i naiwna? Usłyszałam charakterystyczny trzask wyładowania i w tej samej chwili ciałem wstrząsnęły mi drgawki. Ból był piekielnie dotkliwy, czułam, że każdy mięsień drży i dygocze. Nie byłam w stanie nawet jęknąć, bezwładnie runęłam na ziemię. Ciągle pozostawałam przytomna, choć nie mogłam się nawet poruszyć. Strużka śliny popłynęła mi po policzku. Miałam szczęście, że nie przegryzłam sobie języka.

Któraś z sióstr Q poczęstowała mnie solidnym kopniakiem w plecy. Po chwili jeszcze jednym.

– Zaszlachtuję cię, suko. – Mniejsza uklękła tuż przy mnie.

Poczułam na policzku dotyk zimnego ostrza. – Zarżnę cię, jak tamtą. Cięłam jej buźkę chyba przez dwie godziny, aż nie został nawet kawałek całej skóry. Potem odcięłam język, którym tak lubiła mleć, i przeszłam niżej. Piersi, brzuch, wreszcie wepchnęłam jej nóż w cipe, po rękojeść, i rozplatałam sukę aż do gardła. Zafunduję ci to samo.

– Trupa wyrzucimy na wysypisko, tam, gdzie kończą takie jak ty – dodała Qq. – Nawet jeśli cię znajdą, to przecież w okolicy grasuje nieuchwytny morderca. Pójdiesz na jego konto.

Spojrzałam na Evę. Dziewczynka była blada jak trup, stała bez ruchu, patrząc na Murzynki szeroko otwartymi oczyma. Próbowałam coś powiedzieć, ale bez skutku. Musiałam się skupić, niemoc da się pokonać. Moje ciało znosiło znacznie gorsze rzeczy niż paraliż. Stopniowo uspokoiłam oddech, jak przy treningu tai chi. Starożytna technika panowania nad ciałem i umysłem znów się przydała. W chińskiej tradycji duchowość tworzyła z fizycznością jedno. Umiejętność panowania nad umysłem była równoznaczna z całkowitym panowaniem nad ciałem.

– Małą sprzedamy do burdelu – mruknęła drobniejsza z kobiet. – Ale nam się trafiło! Dostaniemy za ten cukiereczek kupę kasy. Dobra, ty bierz dzieciaka, a ja żółtą sukę. Do zaułka za barakami, nie będziemy tu robiły widowiska.

Qq postąpiła kilka kroków w kierunku Ewy. Dziewczynka opuściła głowę, patrząc na wielką Murzynkę i groźnie mrużąc oczy. Kobieta uniosła pałkę elektryczną i pogroziła nią Evie.

– Nie podskakuj, gówniaro, bo najpierw oberwiesz prądem jak ta

żółta suka, a potem tak ci skopię dupsko, że przez rok nie usiądziesz. Choć no tu! Już!

Eva odskoczyła kilka kroków, prychając jak kotka. Qq uniosła pałkę. Drobniejsza z sióstr, która właśnie próbowała przewiesić mnie sobie przez ramię, rzuciła mną z powrotem o ziemię. Zamortyzowałam upadek, dyskretnie podpierając się ręką. Paraliż powoli ustępował, ale by w pełni odzyskać sprawność, potrzebowałam odrobinę więcej czasu. Najlepiej kilka dni. Qq ustawiła w paralizatorze spore natężenie prądu, tak duże, że mogłoby nawet zabić dziecko. Niech to rdza! Byłam bezsilna.

Eva zamarła, otwierając szeroko oczy. Czerwony blask zaczął pulsować w nich coraz szybciej i szybciej. Skóra na twarzy rozżarzyła się, jakby we wnętrzu dziecka zapłonęły ognie piekielne. Po chwili wokół jej drobnej postaci zabłysła szkarłatna poświata. Zebrałam siły i uniosłam się na klęczki. Mięśnie dygotały mi jak w febrze, zacisnęłam zęby.

– Co to za sztuczki, dzieciaku? – warknęła Qq, przerzucając pałkę z ręki do ręki.

Mniejsza Murzynka stanęła obok towarzyszki, znów dobywając noża.

– Dość tego – warknęła. – Już cała okolica nas obserwuje. Musimy zrobić z nimi porządek, bo nasza reputacja ucierpi. Zabijemy je obie. Tu i teraz. Będę musiała zapomnieć o zabawie w wyrzynanie, szkoda.

Poderwałam się i rzuciłam do ataku. Wystarczyło kilka kroków. Raz, dwa i skok. Buciozem wprost w plecy Qq. Niestety, mięśnie

odmówiły mi posłuszeństwa już po drugim wybiciu. Zamiast przewrócić Murzynkę, wpadłam na nią bezwładnie. Qq z rykiem złości obróciła się, uderzając mnie łokciem w głowę. Na szczęście nie trafiła w twarz tylko w czoło. Runęłam na plecy z szeroko rozrzuconymi ramionami.

Nożownicza w tej samej chwili doskoczyła do Ewy, celując w szyję. Mała złapała rękę z nożem, unieruchamiając ją w stalowym uścisku drobniutkich palców. Ja tymczasem próbowałam zasłonić się przed wściekłymi kopniakami Qq. Zwinęłam się w kłębek, rozpaczliwie chroniąc rękoma głowę. Miałam wrażenie, że ktoś tłucze mnie młotem pneumatycznym. Po każdym kopniaku zdawało mi się, że kości kruszą mi się w drobny mak.

Nie widziałam, jak Eva uniosła się nad ziemię. Słyszałam to później z opowieści Hany. Młoda ciągnęła w górę coraz bardziej zaskoczoną Murzynkę. Z ust dziecka wystrzelił snop czerwonego światła. Blask zalał nożowniczkę krwistą poświatą. Murzynka krzyknęła. I zmarła.

Mały potwór odrzucił martwe ciało i podpłynął do skamieniałej ze strachu Qq. Zabrzmiało basowe warknięcie. Zupełnie nieludzki, mrozący krew w żyłach dźwięk. Eva dotknęła tylko wielkiej Murzynki, natychmiast odbierając jej życie. Ledwie zdążyłam się odsunąć, bezwładne ciało zważyło się tuż obok... A młoda najwyraźniej przetwarzała dusze na energię niczym szkarłatny potwór.

– Eva! – wrzasnęłam, czując gorąco bijące od czerwonej aureoli. – Już starczy!

Uniosłam się z trudem i po chwili udało mi się stanąć. Podeszłam do dziewczynki i przycisnęłam ją do piersi. Nie wiedziałam, czy to jeszcze moje dziecko, czy już szkarłatny demon.

Niespodziewanie gorąco ustało.

– Zabiłam je, Xiu – szepnęła Eva. – Kiedy się zezłoszczę, nie potrafię inaczej.

– Już dobrze – powiedziałam spokojnie. Oczy młodej przestały świecić, znów zrobiły się niebieskie. – Później o tym porozmawiamy. Teraz musimy stąd wiać.

Rozejrzałam się. W drzwiach baraków stały kobiety. Patrzyły. Jedne z przerażeniem, inne z ciekawością.

– Czarownica, czarownica – rozległy się szepty. Splunęłam krwawą śliną. Nasz pierwszy dzień na pokładzie „Najjaśniejszej” zbliżał się ku końcowi.

*

Wierzchem dłoni przesunąłem po puszystych, czarnych jak kosmiczna pustka, włosach. Musnąłem łopatkę, delikatną skórę na plecach, wreszcie docierając do pośladków. Idealnych, doskonałych. Jeszcze chwila i przy tej laseczce zacznę pisać wiersze.

Patrzyła na mnie spod półprzymkniętych powiek. Oczy o zupełnie czarnych tęczówkach przenikały na wskroś, przyciągały z niewyobrażalną siłą. Gdy w nie patrzyłem, nic innego się nie liczyło. Spotkałem ją wczoraj po południu i w ciągu jednego wieczora i nocy

całkiem mną zawładnęła. Rzuciłem dla niej wszystko, zapomniałem o obowiązkach. Od dziś liczyła się tylko ona, tylko dla niej żyłem. Diablica. Demon w skórze najpiękniejszej, najcudowniejszej kobiety, jaką kiedykolwiek spotkałem.

Dla niej nie byłem olbrzymem z paskudną gębą, głupim i pozbawionym wyobraźni. Nie widziała we mnie tępej góry mięśni, bandyty, potwora zabijającego bez skrpułów, nieczującego nic, ani współczucia, ani miłosierdzia. Byłem dla niej mężczyzną. Z bagażem doświadczeń, którego los ukształtował tak, a nie inaczej. Widziała we mnie wrażliwego i czułego człowieka. Tego, kim byłem naprawdę.

Zanurzyłem dłoń w burzy włosów i powoli zacisnąłem pięść. Przyciągnąłem kobietę do siebie, gwałtownie i mocno. Wpiłem się w jej usta gorączkowo, napotykając rozchylone, chętne wargi. Gorące i wilgotne.

Obróciła się i pchnęła mnie w tors delikatną, białą dłonią. Opadłem na łóżko posłuszny jak uczeń. Usiadła na mnie okrakiem, okrywając kaskadą włosów. Językiem smagała me usta, policzki, szyję i pierś. Cofnęła się niżej. Po chwili dotarła do celu, pieszcząc go ustami, długo i intensywnie. Jęknąłem.

Nagle przerwała i dosiadła mnie gwałtownie. Poruszała biodrami agresywnie i szybko, jakby toczyła ze mną walkę. Odchyliła się, wyprężyła jak struna. Jej pełne piersi podskakiwały rytmicznie, hipnotyzujące. Złapałem je oburącz, ściskając delikatnie.

Agana była wysoką, szczupłą dziewczyną o niezwykle jasnej karnacji, zabójczo kontrastującej z czarnymi włosami i oczami.

Podkreślała ten kontrast ostrym makijażem – jej usta też były czarne. Objąłem ją, wpijając się po raz kolejny w ciemne wargi. Odpowiedziała namiętym, głębokim pocałunkiem. Ciągłe gwałtownie poruszała biodrami, coraz szybciej i szybciej.

Spotkałem ją w knajpie, w której przysiadłem na chwilę w drodze do ośrodka emigracyjnego, gdzie chciałem dowiedzieć się czegoś o Xiu. Chciałem wypić tylko kilka kolejek. Erin znikł w kwaterze Kaili, rozkazał mi pojawić się dopiero rankiem. Wiedziałem, że minęło już południe i powinienem od dawna chronić psychotrona, ale miałem to gdzieś. Od wczoraj nic się już nie liczyło, tylko Agana.

Szybciej, mocniej. Ścisnęła mnie biodrami, zamierając na sekundę. Krzyknęła, wpijając palce w moją pierś. Gwałtownie potrząsnęła głową. Czarne kosmyki rozlały się w ciemność, która pochłonęła cały pokój. Znaleźliśmy się w absolutnej pustce, w której byłem tylko ja i Agana, Wstrząsnęły mną fale orgazmu, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczyłem. Mocno zacisnąłem powieki.

Gdy je otworzyłem, znów byliśmy w mojej niewielkiej, brudnej kwaterze. Dziewczyna, ciągle siedząc na mnie, pochyliła się i dotknęła ustami mojego ucha.

– Chcesz być ze mną? Na zawsze? – spytała szeptem.

– Tak – nie wahałem się ani sekundy. – Dam ci wszystko, czego zapragniesz. Uczynię cię najszczęśliwszą kobietą w całym wszechświecie.

– Daj mi je – powiedziała, unosząc się i patrząc mi głęboko w oczy. Znów utonąłem w czarnej pustce.

– Co takiego?

– Chcę tę małą dziewczynkę i jej opiekunkę. Doskonale wiesz, o kim mówię.

Zamarłem, kompletnie zaskoczony.

– Mój władca przybył na „Najjaśniejszą”, wiedząc, że tu jesteś i, prędzej czy później, one do ciebie trafią – mówiła. – Znikły, przepadły jak kamień w wodę. Szuka ich cała armia, wszyscy agenci Ziemi i IronHeart. Dziecko jest kluczem do niezwykłej technologii, wie, jak ujarzmić energię, która zmieniła Czarne Słońce, i może zmienić oblicze wszechświata. Muszę ją mieć. Daj mi je obie.

– Kim ty jesteś?! – Próbowałem się poderwać, ale nie mogłem nawet drgnąć.

– Duchem zamordowanej dziewczyny, zabawką psychopaty, eksperymentem przeklętego naukowca, sama nie wiem – odparła, uśmiechając się smutno. – Człowiek, który mnie stworzył, już nie żyje. Wysłałam go do piekła, gdzie jego miejsce, teraz jestem wolna. Gdy się uwolniłam, chciałam umrzeć, ale to przecież już się stało. Nie mogę skonać dwa razy, nie potrafię. Dziś znalazłam ciebie, jedyne go człowieka, który jest w stanie znieść moją bliskość. Inni wpadają w szaleństwo, gniją i czezną, gdy tylko ich dotknę, gdy jestem w pobliżu. Taki koszt bycia cholerną anomalią, półczłowiekiem, umęczoną duszą splecioną na stałe z hiperprzestrzenią. Miałam być superagentem, niezniszczalnym i niewykrywalnym, szpiegiem doskonałym, a ten sukinsyn zmienił mnie w potwora. Kazał zabijać niewinnych ludzi, niszczyć ich ciała i umysły. Gdy zdychał,

wydrapałam mu w podzięce oczy. Moje dalsze istnienie nie ma sensu, chyba że znów stanę się normalną kobietą. Nie patrz tak, to możliwe. Chcę być z tobą, kochany, już na zawsze, ale jako prawdziwa kobieta, a nie przeklęty upiór. To dziecko wie, jak opanować energię, dzięki której przywrócono mnie do życia i wpleciono w strukturę czasoprzestrzeni. Muszę poznać sposób na opanowanie tej energii. Wtedy znów będę mogła stać się zwykłym człowiekiem. Będziemy żyć razem, jak zwykli ludzie.

Nie mogłem poruszyć nawet jednym mięśniem. Byłem oszołomiony. Jedyne, do czego byłem zdolny, to patrzeć w jej oczy. W dwie czarne otchłanie.

– Kochasz mnie? Powiedz – szepnęła.

Przestałem walczyć. W jednej chwili poczułem potworny ból na myśl, że ta kobieta mogłaby odejść. Tak, zrobię dla niej wszystko. Jeśli skinie palcem, puszcze z dymem cały ten pieprzony okręt, będę zabijał bez najmniejszych skrupułów. Wyrwę serce rodzonej matce, sprzedam najbliższego przyjaciela. Nic nie ma znaczenia, liczyła się tylko Agana.

– Kocham – powiedziałem.

Poczułem, że już mogę się ruszać. Nic mnie nie krępowało. Dziewczyna ciągle na mnie siedziała, pochylona tak, że jej włosy okrywały nas czarnym całunem. Nie poruszyłem się, nie chcąc tracić tej bliskości.

Łomot w drzwi przerwał czar. Agana nawet nie mrugnęła, ciągle patrzyła na mnie hipnotycznie.

– Bruno! Jesteś tam?! – wrzasnął znajomy głos. Ze zdumieniem zdałem sobie sprawę, że to Erin. – Zalałeś pałę na amen, czy co? Wiesz, która jest godzina? Wstawaj! Pobudka, żołnierzu!

Spojrzałem pytająco na Aganę.

– Odnajdź je dla mnie – szepnęła. – I nikomu nic nie mów.

Rozłożyła ręce i uniosła się w powietrze. Zawisała nade mną w upiornej pozie, z chmurą włosów falujących leniwie, jakby znajdowała się w nieważkości. Mrugnęła, uśmiechając się zalotnie, a w tym uśmiechu była obietnica miłości i rozkoszy, których jeszcze nie zaznałem. Rozpłynęła się, znikając bez śladu. Poderwałem się gwałtownie, siadając na łóżku. Rozejrzałem po kwaterze. Burdel był tu jak zwykle, ale nawet śladu obecności Agany, jej ubrania znikły. Miałem w głowie kompletny chaos. Nie wiedziałem co robić. Wycić, walić głową w ścianę, zabić się? Już tęskniłem za dziewczyną, ale jednocześnie byłem świadom, że ze mną jest coś nie tak. Cholernie nie tak.

Erin znów załomotał w drzwi. Chłopak łatwo się nie poddawał. Otworzyłem bez pośpiechu.

– Coś masz markotną minę – mruknął. – Kac? Wychlałeś to świństwo, którym mnie wczoraj częstowałeś?

Wszedł, z niesmakiem rozglądając się wokół.

– Nigdy tu nie sprzątasz? – spytał.

W oślepiająco białym kimonie i z chorobliwie bladą, szczupłą twarzą wyglądał jak trup wyciągnięty z kostnicy.

– Będziesz stał tak na golasa cały dzień? – spytał, składając ręce

z tyłu i stając w rozkroku. – Mamy robotę. Ubieraj się.

Złapałem ciuchy, starając się pozbierać myśli. Ciągle miałem mętlik w głowie, wszystko działo się zbyt szybko.

– Przyszedłeś tu sam? – spytałem, wciągając spodnie. – Nie bałeś się? Nikt cię nie zaczepiał?

– Jakieś stare babsko mnie opluło, a dzieciaki obrzuciły śmierdzącym świństwem. – Wzruszył ramionami. – Bez przesady, musiałem tylko przejść przez jeden korytarz. Nie każdy spotkany człowiek ma ochotę mnie zamordować. Zresztą, nie mogę przez resztę życia trząść się w obawie przed atakiem.

Skinąłem głową, nawet nie słuchając, zastanawiałem się co robić.

– Pierwszy raz zdarzyło ci się nie stawić na służbie – mówił dalej. – Rozumiem, też masz prywatne życie. Czuję zapach, hmm, kobiety. I coś jeszcze, jakby drgania po mikroanomalii, wiesz, to taki metaliczny smak powietrza i dziwne wrażenie, że obraz jest zniekształcony, od czego aż kręci się w głowie. Może mam to po lekach, mniejsza z tym. O nic nie pytam, co tu wyprawiasz, to twoja sprawa. Postaraj się jednak nie spóźnić, szczególnie teraz, kiedy mamy falę tajemniczych morderstw i potężne źródło hiperprzestrzennej energii na pokładzie. Jednym słowem, kupę roboty.

Podjąłem decyzję. Muszę jak najszybciej odnaleźć Xiu. Służba bodyguarda psychotrona bardzo mi w tym przeszkadzała. Postanowiłem złożyć rezygnację. Złapałem wdech, by powiedzieć o tym Erinowi.

– Nic nie mów – uniósł rękę. – Dobra. Będziesz częściej dostawał

wolne. Rozumiem, kobieta. A teraz słuchaj. Wczoraj wieczorem mieliśmy na pokładzie anomalie, coś niesamowitego, dwanaście stopni w skali Hawkinga. To zapłonęło źródło, które wykryłem na skraju mgławicy. A teraz jest na „Najjaśniejszej” i wykorzystuje do czegoś energię! Musimy ustalić, jaki ma to związek z ostatnimi morderstwami. Aha, zgadnij, w której części okrętu miała miejsce anomalia?

Wzruszyłem ramionami, odruchowo robiąc tępą minę. Znowu przybrałem maskę przygłupa, najłatwiejszy sposób na uzyskanie informacji bez wysiłku.

– W obozie emigrantów, w Zewnętrznej Warstwie – oświadczył Erin entuzjastycznie. Dawno nie widziałem go w takim stanie, tryskał energią. Widać, że wczorajszą noc spędził z dziewczyną i podładował akumulator. – Kaila sprawdzi co i jak, ma jakieś wejścia u Mrocznic. Na pewno ktoś coś widział. Z chęcią przeszukałbym cały okręt z Bezmiarów, ale mam czasowy zakaz. Ponoć za długo tam ostatnio siedziałem i jak przedawkuję, to albo zwariuję, albo padnę trupem. Mamy inne zadanie.

Otworzyłem usta, robiąc minę idioty. Źródło hiperprzestrzennej energii wytwarzające lokalne anomalie to mogła być podopieczna Xiu. O ile dobrze zrozumiałem, co mówił Tomasz o umiejętnościach znajdy. A gdzie była ta mała, była również Xiu. Jeśli będę trzymał się psychotrona, może szybko odnajdę dziewczyny.

– Obejrzymy sobie dokładniej szczątki ofiar i odwiedzimy ocalałych. Musimy dowiedzieć się jak najwięcej o morderstwach

i atakach. Jeden z ocalałych jest w szpitalu, sztucznie utrzymywany przy życiu, a drugi w wariatkowie. Zbadamy mieszkania ofiar i ich rzeczy. Chcę, żebyś był obecny przy przesłuchaniach i oględzinach. Wiesz dużo o Ziemianach i tych gościach z IronHeart, a ja nigdy nie wystawiłem poza „Najjaśniejszą”, nie znam się na obcoświatowcach. Nigdy nie sądziłem, że to powiem, ale twoja wiedza, Bruno, może bardzo się przydać. Spróbujemy ustalić, co tu się dzieje. Co robili ci tajni agenci i czego szukali. Kaila i ja obawiamy się, że „Najjaśniejszej” może grozić niebezpieczeństwo.

– Dlaczego nie zgłosicie tego władzom? – spytałem.

– Komu? Może od razu samej Pani? – Erin pokręcił głową. – I niby co zgłosimy? Że znów ktoś majstrował w Bezmiarach? Jeszcze wyjdzie na to, że psychotroni coś kombinują i mają konszachty z Ziemianami. Póki nie wiemy, o co chodzi, zajmiemy się tym sami. Jasne?

Skinąłem głową i sięgnąłem po teleskopową pałkę, wsuwając ją w kieszeń na udzie.

– Jestem gotowy. Dokąd idziemy? – spytałem, stając na baczność.

*

Mrocznice przyszły rankiem. Zatrzymały się przed wejściem do baraku, wzywając nas przez jedną z mieszkanek. Wstałam z łóżka, uspokajająco pogłaskałam Evę po głowie. Młoda nie sprawiała wrażenia wystraszonej, zabójstwo, którego dopuściła się wczoraj

w nocy, spłynęło po niej jak gaz atomowy po pancerzu Gruchota. Uśmiechała się do mnie jak gdyby nigdy nic. Kochałam tę dziewczynkę, ale czasem mnie przerażała. W przypiływie czułości pocałowałam ją w policzek. Rzadko okazywałam uczucia, zdecydowanie za rzadko.

– Nie bój się, Xiu – powiedziała Eva. – Obronę cię.

Odwróciłam się, skinieniem głowy dając znak Hanie, by zaopiekowała się młodą. Kobieta wczoraj bardzo nam pomogła. Razem usunęliśmy ciała, a potem poszliśmy na drugi koniec obozu do mieszkania jej szwagierki, Joanny. Tu, pod opieką dwóch starszych pań, spokojnie przenocowałyśmy bez obaw, że ktoś będzie nas niepokoić.

Okazało się, że Joanna starała się kiedyś o przyjęcie do gangu i całkiem dobrze orientuje się w jego prawach i zwyczajach. Twierdziła, że zabójstwo nowicjuszek w obronie własnej wcale nie było jednoznaczne z wyrokiem śmierci. Jeśli Caporegime okazałaby łaskę, mogłam odpracować w gangu swoje winy, zajmując miejsce zabitych. Musiałabym tylko okazać swoją przydatność, pokazać, że dam sobie radę i sprawdzę się w organizacji. Trzeba było zademonstrować, ile jest się warta. Mrocznice nie pały o chotę do mordowania kogo popadnie, choć musiały dbać o opinię groźnych i potężnych. Dzięki konsekwentnej i zdecydowanej postawie ten żeński gang wyparł i zepchnął do marginesu wszystkie przestępcze organizacje w obozie i większej części „Najjaśniejszej”. Był starym gangiem o długoletniej, kultywowanej od pokoleń tradycji, która

z czasem przybrała formę skomplikowanych rytuałów i zawilego kodeksu. Joanna знаła sporą jego część i dużo się od niej dowiedziałam. Między innymi to, jak można poradzić sobie z Caporegime. Postanowiłam spróbować.

Szybko nas znalazły, zdaje się, że nic się przed nimi na „Najjaśniejszej” nie ukryje. Może rzeczywiście były faktycznymi władczyniami okrętu. Wyszłam przed barak naprzeciw trzem kobietom. Od razu domyśliłam się, która rządzi. Wysunęła się o parę kroków przed pozostałe, które sprawiały wrażenie gwardii przybocznej. Czyżby odwiedziła mnie osobiście jakaś mafijna szycha?

Nie wyglądała imponująco, ani odrobinę groźnie, bardziej jak sterana życiem narkomanka. Ubrana była w jednolity, szary kombinezon pozbawiony jakichkolwiek oznak i ozdób. Połowę głowy miała wygoloną do skóry – błyszczało tam złote gniazdo wszczepu, najwyraźniej kobieta często sprzęgała się ze sprzętem, może, zanim zniszczyły ją narkotyki i nielegalne wszczepy, była pilotem? Z drugiej strony głowy długie blond włosy opadały na lewe ramię. Nie była ładna, choć jej twarz o łagodnych rysach i ustach chętnie układających się w lekki uśmiech, budziła sympatię. Niestety, poza tym była chorobliwie blada, co chwilę całym jej ciałem wstrząsały drgawki. Ewidentnie układ nerwowy miała w rozsypce. Upiornie przewracała oczyma, odsłaniając same białka. Konwulsje powtórzyły się kilka razy, zanim w ogóle się do mnie odezwała. Biedna narkomanka, stała nad grobem. A jednak musiała cieszyć się ogromnym autorytetem albo była bardzo przydatna, skoro Najmroczniejsze jeszcze się jej nie

pozbyły.

– Jestem Najmroczniejsza – powiedziała bez ogródek.

Zdębiałam. Taka młoda kobieta była szefem podziemnej organizacji? Nie Capo, nawet Donna, tylko samym Ojcem, tfu! samą Matką Chrzestną gangu! Poczułam ciarki przebiegające po grzbiecie.

Dziewczyna wskazała kolejno swoje przyboczne. Wpierw błękitnoskórą wenusjanę o wielkich, błyszczących oczach i doskonałej filigranowej figurze, ubraną w niesłychanie wyuzdany skórzany strój składający się z samych pasków i ćwieków. A potem – masywną i kręłą kobietę w luźnej szacie błyszczącej feerią barw.

– Donna Emma i donna Manuela Luiza Massimino.

Ukloniłam się, a właściwie dygnęłam jak pensjonarka. Rozumiałam tylko, że kopnął mnie zaszczyt i zainteresowały się nami najbardziej wpływowe postacie półświatka. Stałam przed najwyższą władzą i to z jakiego powodu? Zabicia dwóch podrzędnych prostytutek? Nie. Wiedziałam, że chodzi o widowiskowy mord w wykonaniu Ewy. Musiałam to wykorzystać, okazać tupet i wyrwać jak najwięcej.

– Jestem Xiu z Czarnego Słońca – powiedziałam. – Czego chcesz, Najmroczniejsza?

– Twoja podopieczna zabiła wczoraj dwie nasze nowicjuszki. Oczekuję wyjaśnień i zadośćuczynienia – powiedziała kobieta, mrugając w ataku kolejnego nerwowego tiku.

– Z pewnością już wiesz, że zabiłam je w obronie własnej – powiedziałam. – Winne też były bezsensownego, okrutnego

morderstwa dziewczyny zajmującej wcześniej moją kwaterę.

– Ktoś upoważnił cię do ferowania wyroków i ich wykonywania?

– Najmroczniejsza zrobiła groźną minę.

– Nie. – Znów pochyliłam głowę. – Ich śmierć była wypadkiem, nie chciałam ich zabijać, tylko chronić dziecko.

– Chcemy ofiary krwi za tę zbrodnię – odezwała się błękitnoskóra Emma. – Tak stanowi nasze prawo. Zapłacisz głową, Xiu z Czarnego Słońca.

– Zabiłam je w obronie własnej i zgodnie z waszymi zwyczajami mam prawo odpokutować za ten nieszczęśliwy wypadek – powiedziałam, ciągle pozostając w ukłonie.

Wiedziałam, że szefowe gangu nie przyszły tu same, kątem oka dostrzegałam ruch w wąskich przesmykach między barakami. Otaczały nas Mrocznice. Rozmowa była przedstawieniem, po trosze dla odwrócenia mojej uwagi, a częściowo jako pokaz władzy. Domyślałam się jednak, że nie zamierzają mnie po prostu zgładzić. Nie przybyłyby zobaczyć mnie osobiście, jeśli tak miało się to zakończyć. Interesowała je Eva i to była moja szansa.

– Czy wiesz, że aby dostąpić zaszczytu pokuty, musisz wpierw udowodnić, że jesteś tego godna? – spytała szefowa gangu. Obróciła gwałtownie głowę, szepcząc coś do siebie, by po chwili znów zwrócić się wprost do mnie. – Nie przyjmujemy w szeregi wariatek zabijających bez opamiętania.

Dobre sobie, sama jedną nogą była w świecie swoich narkomańskich majaków, a sugerowała, że to ja jestem wariatką.

Wyprostowałam się, patrząc jej w oczy.

– Udowodnię, że potrafię trzymać emocje na wodzy – powiedziałam głośno. – Pokonam cię w uczciwym pojedynku, ale nie zabiję. Przyjmiesz wyzwanie, Mrocznico?

Wokół rozległ się szmer. Z ukrycia wyszło kilkanaście kobiet w różnym wieku. Wszystkie uzbrojone po zęby, zarówno w profesjonalne, wojskowe miotacze, jak i w samoróbki. Stapałam po cienkim lodzie. Cała ta pokręcona Najmroczniejsza mogła z obawy przed przegraną kazać mnie zgładzić i nawet interwencja Ewy niewiele by pomogła. No cóż, kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa. Patrzyłam na przeciwniczkę, czekając na decyzję.

Kobieta niedbałym gestem poprawiła włosy, spojrzała na mnie całkiem przytomnie i uśmiechnęła się. Łagodnie i przyjacielsko.

– Zgoda – powiedziała. – Zmierzymy się tutaj, dziś wieczorem. Jako wyzwana mam prawo wybrać broń. Niech to będą bastardy. Zgodnie z regułami dostaniesz swój wcześniej, żebyś mogła poćwiczyć. Walczymy, aż jedna z nas polegnie lub się podda.

Dziewczyna spojrzała w górę, na wielkie oblicze Pani, i wymamrotała coś do siebie. Jakby czymś zaaferowana, odwróciła się i odeszła, po chwili znikając między barakami. Dwie przywódczynie odeszły razem z nią. Uzbrojone kobiety chwilę mi się przyglądały, a potem rozplynęły się między budami. Audiencja skończona.

Czym są te bastardy? Nigdy nie słyszałam o takiej broni. Znałam się na broni stosowanej w przestrzeni kosmicznej i gęstych atmosferach gazowych olbrzymów, umiałam pilotować każdy typ

lekkiego statku, wiedziałam, jak się steruje bitewnym botem, ale nigdy nie byłam szkolona w walce na pokładzie. Walki wręcz uczył mnie Shao, sama też trochę trenowałam, ale raczej dla utrzymania kondycji niż z faktycznej potrzeby. Po cholere to wiedźminowi do szczęścia? Przecież nie rzucę się na potwora z policyjnym paralizatorem czy z pałką elektryczną. Zdarzyło mi się strzelać z lekkiego miotacza, Tomasz pokazał mi kiedyś, jak posługuje się biczem nerwowym, a Bruno dał lekcję walki wojskowym, pajęczym bagnetem. Nigdy jednak nawet nie słyszałam o bastardach. Czekają mnie ciekawe starcie.

Zakląłam pod nosem i już miałam wejść do baraku, gdy spomiędzy budynków wybiegła młodziotka dziewczyna z pakunkiem pod pachą. Pomachała do mnie. Poczekalam, domyślając się, co niesie. Przywódczyni Mrocznic działała naprawdę szybko. Posłanka ukloniła się przede mną i wręczyła mi podłużny przedmiot owinięty w szare płótno. Odeszła parę kroków tyłem, z pochyloną głową. No proszę, wystarczyło tylko rzucić wyzwanie szefowej szefów i automatycznie zasługiwało się na szacunek.

– Obawiam się, Xiu, że już po tobie. – W drzwiach baraku stała Hana, a z za jej pleców wyglądała Eva. – Najmroczniejsza załatwi cię w mgnieniu oka, słyszałam niesamowite opowieści o jej umiejętnościach. Podobno sama Pani się z nią liczy, niektórzy mówią, że obie świetnie się znają i wzajemnie wspierają.

Spiorunowałam Hanę wzrokiem i ze złością rozwinęłam pakunek. Zatkano mnie, gdy ujrzałam broń, którą miałam dziś walczyć. To był

sporych rozmiarów miecz. Normalny miecz. Wyglądał jak średniowieczny. Kawał stali z długą rękojeścią obwiązaną rzemieniem. Żaden tam stop z polikrzemianami czy ceramiką, ale zwykły metalowy miecz. Ważył jakieś dwa kilo, skubaniec.

Oparłam go o ziemię – okazało się, że sięga mi do brody. Jak mam tym cholerstwem walczyć? To jakiś żart? Eva zachichotała, widząc moją minę.

*

– Dlaczego kazałeś mi tak długo czekać, Bruno? – Poczulem oddech Agany koło ucha.

Stałem właśnie przy umywalce w publicznej toalecie. Nieomal podskoczyłem, słysząc głos. Odruchowo spojrzałem w lustro przede mną. Byłem w pomieszczeniu sam. Powietrze drżało, załamując światło szarpane anomalią. Odwróciłem się, stając twarzą w twarz z piękną minioną nocą. Niech to rdza, ona nie miała odbicia! Czyżby była tylko moim urojeniem? Nie zdążyłem zareagować, bo wpadłem w czarne otchłanie jej oczu. Zatonąłem w nich bez reszty, natychmiast tracąc kontakt z rzeczywistością.

– Myślałam, że nigdy nie wyjdiesz z tych przeklętych Smoczyc Leży. Nie słyszałeś mego wołania? Nie czułeś tęsknoty?

– Marzyłem o tobie przez cały dzień. – Nie mogłem opanować drżenia głosu.

Pochyliłem się, muskając twarzą czarne włosy, wdychając upojny

zapach Agany. Miałem wrażenie, że żądza za chwilę rozerwie mnie na strzępy.

– Wzywam cię od dłuższego czasu – prychnęła, odsuwając się o krok. – Nie kochasz mnie?

– Kocham – szepnąłem. – Nie wiedziałem, że mnie wzywasz. Pragnę cię bez przerwy.

Uśmiechnęła się, a ja poczułem gwałtowną falę gorąca. Wstrząsnęło mną pożądanie tak mocne, że z trudem nad sobą zapanowałem.

– Nie mogę przenikać do Leży – powiedziała Agana. – Boję się smoków. One widzą. Mogą wciągnąć mnie w Bezmiary i pożreć.

– Pilnuję jednego z psychotronów. Muszę mu towarzyszyć.

Dotknąłem nieśmiało jej ramienia, ale nie zareagowała, więc zbliżyłem się, znów muskając twarzą jej włosy. Co się ze mną działo? Zupełnie mnie opętała.

– Odnalazłam źródło, bez twojej pomocy – oświadczyła niespodziewanie. – Niestety, psychotroni też to zrobili. Mają na oku tę Xiu i jej skarb, bezcenne dziecko, które mi obiecałeś. Nie mogę ich teraz przejąć, jeden ze smoków je obserwuje. Musisz mi pomóc.

Przełknąłem ślinę. W głowie miałem mętlik. Byłem przecież zobowiązany zająć się Xiu, w imię przyjaźni... No i obiecałem Tomaszowi... Tylko że to już nie miało znaczenia, teraz liczyła się tylko Agana.

– Jest coś jeszcze. Na pokład przeniknęli żołnierze Ziemi. Współpracują z agentami Korporacji, którzy też tu węszą. Domyślasz

się chyba, kogo szukają? Zabiłam już swego stwórcę i dwóch ziemskich żołdaków, ale z tymi, co zostali, sobie nie poradzę. To komandosi uzbrojeni w eksperymentalną broń opracowaną w IronHeart, w oparciu o technologie zdobyte na Czarnym Słońcu. Przenośne generatory stazy. Ta broń wytwarza lokalną presję na czasoprzestrzeń niczym anomalia lub silne pole grawitacyjne. W zasięgu działania generatora stazy czasoprzestrzeń staje się nieprzenikniona. Nawet dla energii. Rozumiesz? Nie można się tam dostać z hiperprzestrzeni. Za barierą stazy ludzie są całkowicie niewidoczni dla psychotronów. Gdybym znalazła się w polu stazy, to cholerstwo odciąłoby mnie od hiperprzestrzeni, dzięki której w ogóle istnieję. Ziemianie są dla mnie równie zabójczy, jak psychotron sprzężony ze smokiem. Niedobrze. Są o krok od odnalezienia dziewczynki, zatrzymaj ich. Zabij. Zrobisz to dla mnie?

Bez słowa skinąłem głową.

– Zdobądź broń, zwykła pałka raczej nie wystarczy. Potem wskażę ci miejsce, gdzie się na nich zaczaisz. Śpiesz się, nie mamy czasu.

Pocałowała mnie. Czułem, jak krew zamienia mi się we wrzątek. Po chwili odsunęła się, uśmiechając oszalamiająco. I znikła. Drzwi toalety rozsunęły się ze zgrzytem, do środka wszedł mężczyzna w ubraniu urzędnika. Obrzucił mnie obojętnym spojrzeniem i zamknął się w jednej z kabin.

Stałem chwilę bez ruchu, walcząc ze sobą. Musiałem porzucić służbę. Powinienem warować teraz w Smoczycach Leżach, gdzie był Erin. Psychotron, mimo skrajnego wycieńczenia, znów podłączył się

do koszmarnej maszyny z gadzimi umysłami i wędrował duchem gdzieś w hiperprzestrzeni, czy jak tu mówiono – w Bezmiarach. Wiedziałem, że Kaila osobiście go do tego nakłaniała. Wkurzała mnie ta pokrecona suka. Przecież widziała, w jakim stanie jest ten chłopak, a tak narażała jego życie. Jak mogła go tak wykorzystywać? Kiedy się to wszystko skończy, powiem coś do słuchu tej wstrętnej dziwce.

W tej chwili miałem inne rzeczy na głowie. Naprawdę myślałem o Aganie przez cały dzień, marzyłem o kolejnym spotkaniu. Gdy się wreszcie pojawiła, o mało nie umarłem ze szczęścia. Teraz duszą znów szarpała mi tęsknota i bolesne niespełnienie. Czułem też trudną do opisu radość, że mogę coś dla niej zrobić, że mogę Aganę uszczęśliwić. Wybiegłem z toalety i popędziłem do Smoczych Leży.

*

Nie udało mi się zawiesić miecza u pasa, bo idiotycznie włókł się po ziemi. Przewiesiłam go na sznurku przez plecy, tak że rękojeść wystawała nad ramieniem, a ostrze zza biodra. Zupełnie nieporęczne, tylko idiota nosiłby miecz w ten sposób, ale przy moich rozmiarach nie miałam innego wyjścia. Poprawiłam ubranie, swoją starą wiedźmińską kurtkę z łbem wilka wyszytym na piersi, otrzepałam kurz z obcisłych spodni. Eva, siedząca na łóżku, uśmiechała się szeroko.

– Nie przejmuj się, Xiu – powiedziała. – Przecież ćwiczyliśmy, wszystko się uda.

Jasne. Mało nie odrąbałam sobie stopy tym żelastwem. Teraz tylko wystarczy rozbroić i obezwładnić jedną mroczną zółzę i gotowe. Wszystko się uda.

– Już są. – W wejściu pojawiła się Hana.

Stara kobieta poklepała mnie po plecach i matczynym gestem pocałowała w czoło.

– Jakby co, zaopiekuję się Evą – obiecała. Pewnie. Akurat. Mrocznice przyszły tu właśnie po Evę. Rozwalą mnie i zabiorą młodą, no chyba że dam popalić wiecznie naćpanej matce chrzestnej na tyle, by wzbudzić respekt. Nie sprawiała wrażenia specjalnie sprawnej fizycznie. Przyjęła wyzwanie, bo była szalona, czy coś się za tym kryło? Sądząc po tym, co opowiadała Joanna o gangu, w czasie oficjalnego pojedynku nie zrobią żadnego świństwa, to byłoby niezgodne z kodeksem. Musiałam jednak mieć się na baczności. Westchnęłam ciężko i ruszyłam do wyjścia. Na korytarzu stały wszystkie mieszkanki baraku. Patrzyły na mnie ze strachem i z podziwem.

Mrocznice już czekały na niewielkim placu. Capo di Tutti Capi włosy spięła w koński ogon opadający na ramię. Stała w rozkroku, opierając miecz o ziemię. Uśmiechała się.

W drzwiach baraków, a nawet na dachach, zebrały się mieszkanki. Widziałam też facetów, którzy przynajmniej w tym obozie stanowili wyraźną mniejszość. Niektóre kobiety w dłoniach trzymały płonące pochodnie, wielka twarz Pani całkiem zgasła, jakby symbolicznie zamykając oczy na to, co się tu nocami wyprawia. Szykowało się

niezłe widowisko, prawdziwy cyrk.

Spojrzałam w stronę baraku Joanny. Na stopniach przy wejściu, między stojącymi kobietami, siedziała Eva. Mrugnęła do mnie zawadiacko. Najwyraźniej dobrze się bawiła. Kiwnęłam jej głową, siląc się na uśmiech i zwróciłam się do przeciwniczki. Stała z zamkniętymi oczami i przekrzywioną głową, jakby czegoś nasłuchując. Chyba duchem nie była tu obecna. No cóż, może jednak szybko mi z nią pójdzie.

– Najmroczniejsza nauczy dziś pokory kandydatkę na nowicjuszkę, Xiu z Czarnego Słońca! – niesłychanie donośnym głosem obwieściła gruba Manuela Luiza Massimino.

Z miłym zaskoczeniem zauważyłam, że z oskarżonej o mord już awansowałam na kandydatkę do gangu. Mrocznice zawtórowały obwieszczeniu okrzykami, wyciem i łomotaniem broni o blaszane ściany baraków.

– No, mała, zobaczymy, jak sobie radzisz – cicho powiedziała Najmroczniejsza, patrząc na mnie zaskakująco przytomnie. – Postaram się cię nie zabić, ale lepiej miej się na baczności. Miecz jest ciężki i ostry.

– Mój też – mruknęłam i ściągnęłam żelastwo z pleców.

Stałam w lekkim rozkroku, bokiem do przeciwniczki, oburącz unosząc miecz nad głowę. Skierowałam ostrze w dół. Ona też przyjęła bojową pozycję – przodem do mnie, z bastardem wymierzonym w moją twarz. Zrobiło mi się niedobrze.

Ruszyłam, zadając niezgrabne pchnięcie w pierś przeciwniczki.

Odbiła cios bez wysiłku, obróciła się i z wykroku uderzyła mnie barkiem. Była cięższa, silniejsza. Od ciosu zaparło mi dech. Straciłam równowagę, co natychmiast wykorzystała, tnąc na odlew. Jakoś udało mi się sparować. Opanowałam płaczące się nogi i znów uniosłam miecz do ataku.

Coś było nie tak, sterana życiem, dygocząca narkomanka nagle zamieniła się w cholernie sprawną wojowniczkę. Miałam wrażenie, że wymachuje żelastwem bez najmniejszego wysiłku. Mnie już po chwili rozboleły dłonie i chyba każdy mięsień ramion. Najmroczniejsza musiała zażyć coś mocnego. Ciekawe, jak długo będzie ją trzymać? Zresztą nieważne, i tak nie zdołam długo wymachiwać tym żelastwem.

Widownia darła się jak opętana i łomotała w blachy baraków. Doping na całego. Mam nadzieję, że dobrze się bawiła. Splunęłam wściekle w stronę stojących najbliżej suk.

Cofnęłam się kilka kroków, by dać sobie parę sekund na oszacowanie sytuacji. I dopiero wtedy to zauważyłam. Powietrze wokół Mrocznicy charakterystycznie dygotało i pulsowało. Niedbale przez nią trzymany miecz aż skrzył się od drgań. Myślałam, że mdłości, które ciągle czułam, wywołał strach, ale nie – to cholerna anomalia. Tej suce pomagał psychotron, to było jedyne wytłumaczenie. Wspierał ją z poziomu hiperprzestrzeni, dyskretnie oddziałując na materię. Bez wątplenia wymagało to sporego wysiłku. Rdza mać, ta kobieta nie była narkomanką! Po prostu zbyt często kontaktowała się z anomaliami, bez wiedźmińskiego przygotowania.

W dodatku pozwalała, by psychotron wpływał bezpośrednio na jej ciało. O czymś takim jeszcze nie słyszałam, to szaleństwo. Tylko Eva mogła znieść stały przepływ energii uzyskanej z hiperprzestrzennego drgania superstrun bez efektów ubocznych. Dlatego, że tworzyła energetyczny układ z Shao, który był buforem i regulatorem przepływu. Nic dziwnego, że Najmroczniejsza doprowadziła swój układ nerwowy do ruiny. Właściwie to cud, że jeszcze żyła.

Natarła na mnie z niebywałą gracją i lekkością, wymachując żelastwem jak jakiś średniowieczny mistrz miecza. Z trudem sparowałam błyskawiczne i płynne cięcia, ciągle się cofając. Jeszcze kilka kroków i oprę się o barak, a potem zostanę porąbana na plasterki.

Zatrzymałam się, blokując kolejne cięcie. Zwarłyśmy się, nasze twarze dzieliło kilka centymetrów.

– Pokaż co umiesz, mała – szepnęła, uśmiechając się złośliwie capo di tutti.

Kątem oka spojrzałam na Evę. Dziewczynka lekko pochyliła głowę, patrząc na mnie spod zmrużonych powiek. Jej oczy zapłonęły czerwienią. Poczułam kolejną, jeszcze mocniejszą falę mdłości i paskudne mrowienie skóry. Mój miecz zrobił się lekki jak piórko, zadrżał, promieniując ciepłem.

Odskoczyłam od przeciwniczki i zadałam jej kilka zamaszystych ciosów. Może bez takiej gracji jak ona, raczej jakbym wymachiwała kijem, ale i tak podziałało. Mrocznica musiała się cofnąć, broniąc przed atakiem. Zaczęłyśmy krążyć wokół siebie, ścierając się raz po

raz. Tłum ryczał i łomotał w blachy, wybijając rytm. Zapanowałam nad oddechem, stąpając coraz pewniej i zadając ciosy płynnie i mocno. Dałam się porwać okrzykom, wojennemu tańcowi i żarowi prawdziwej walki.

Wreszcie dziewczyna cofnęła się kilka kroków i zamarła, mierząc we mnie ostrzem.

– Czego tu szukacie? – spytała.

– Spokoju – odparłam. – Bezpiecznego schronienia.

– Kto was ściga? Ziemianie? Nie lubię, gdy na „Najjaśniejszej” dzieje się coś, o czym nie wiem.

– Powiem ci, co chcesz, ale nie tutaj. Udziel nam azylu, odwdzięczymy się. Wiele potrafię, obie możemy bardzo się przydać – powiedziałam.

Krażyłyśmy wokół siebie, wodząc w powietrzu ostrzami mieczy. Najmroczniejsza przyglądała mi się uważnie. Musiała cierpieć od kontaktu z psychotronem. Mięśniami jej twarzy wstrząsały niekontrolowane drgawki, z przekrwionych oczu popłynęły łzy.

– Pomyślę o tym, ale najpierw złoję ci skórę. Muszę dbać o wizerunek – mruknęła.

Znów zaatakowała i to znacznie gwałtowniej niż poprzednio. Jej miecz gwizdał, tnąc powietrze. Stał dzwoniła i pryskała odłamkami przy zadanych z ogromną siłą uderzeniach. Musiałam cofnąć się przed wariatką, rąbała z taką furją, że nie byłam w stanie odbijać cięć. A ona jeszcze bardziej przyśpieszyła. Mrocznice krzyczały jak szalone, łomocząc w blachy w oszalamiającym rytmie. Nagle szefowa gangu

uniosła miecz nad głowę i zamarła w bezruchu. Spojrzała wzdłuż ostrza, w górę. Mój wzrok podążył za jej spojrzeniem w mrok. Pograżona w ciemności twarz Pani w jednej chwili rozbliła oślepiającym, złotym blaskiem. To było niczym wybuch fotonowej torpedy, wszystkie reflektory włączyły się w tej samej chwili, z maksymalną mocą. Krzyknęłam, zamykając oczy. Rdza! Nic nie widziałam. Tylko jedną, białą plamę.

Na oślep uniosłam miecz. Świsnęło i poczułam szarpnięcie. Moje ostrze zadzwoniło o ziemię. W rękę ciągle ścisnęłam bezużyteczną rękojeść.

Jęknęłam, gdy przeciwniczka kopnęła mnie w bok. Och, nie! Tylko niech znów nie łamią mi żeber! Zgięłam się wpół po ciosie w brzuch. Wreszcie dostałam pięścią w szczękę i runęłam na plecy z rozrzuconymi rękoma. Nokaut.

Odzyskałam wzrok po paru chwilach. Leżałam u stóp Najmroczniejszej. Tłum ryczał. Skandował jej imię – Trzeba przyznać, że potrafiła zrobić widowisko. Kogo musiała przekupić, by włączył te cholerne reflektory? To jakiś symbol? Że niby sama Pani udzieliła jej wsparcia?

Bolały mnie wszystkie gnaty. Czemu mój miecz pękł? Co z Evą? Spojrzałam w stronę naszego baraku. Na schodach nikogo nie było.

*

– Spóźniłeś się, już ją mają – warknęła Agana.

Pojawiła się, wychodząc ze ściany, w wąskim korytarzu łączącym sektory obozu emigrantów. Tworzyło go kilka przestronnych hal, każda z groteskową twarzą Pani tworzącą sklepienie, wypełnionych tysiącami baraków. Zatrzymałem się, dysząc ciężko. Biegłem tu na łeb na szyję, gdy tylko wysiadłem z magnetycznej kolejki, która przywiozła mnie ze Smoczych Leży. Przeszywający ból rozrywał mi sztuczne piersi, przeszczep jeszcze dobrze się nie przyjął. Byłem ruiną, nadawałem się co najwyżej do czyszczenia broni, a nie do walki. Po drodze łyknąłem kilka pastylek z psychodryną, ale jeszcze nie zaczęły działać.

– Wykorzystali chwilę, gdy dziewczynka skoncentrowała się na czym innym, i zaaplikowali jej środek obezwładniający – powiedziała Agana, opierając ręce na biodrach. – Niosą ją do jednej z „Pluskiew”, w której mają ukryty generator stazy. Odlecą z „Najjaśniejszej”, jeżeli ich nie zatrzymamy. Nie mogą przebić się do doków, rozumiesz? Bo będzie za późno.

– Gdzie są? – wydyszałem.

– Kierują się w stronę portu, mają tam przekupionego wartownika – powiedziała. – Możesz ich zaskoczyć przy wyjściu z korytarza, będą szli właśnie nim. Tylko nie uszkodź dziewczynki.

Agana ubrana była w jednolicie szary strój. Wtapiała się w tło, mroczne i pozbawione kolorów. Mimo to nadal była obłędnie piękna. Doskonała. Wszystko w niej było cudowne, każdy gest, ruch, każde spojrzenie i słowo. Starąłem się uspokoić oddech, patrząc na nią uważnie.

– Nie mogę ci pomóc – powiedziała. – Komandosi mają przy sobie te cholerne zabawki, które mogą mnie zabić. Użyją ich, zanim zdążę cokolwiek zrobić. Nie miej dla nich litości, to wredne sukinsyny niewahające się torturować cywilów. Mnie też do tego zmuszali, bydlaki. Niech za to zapłacą. Liczę, że sobie z nimi poradzisz.

Uśmiechnęła się zalotnie i ustami musnęła mnie w policzek. Objąłem ją w pasie. Wymknęła się z mojego uścisku i odeszła, wnikając w ścianę. Westchnąłem i zerwałem się do dalszego biegu. Po paru chwilach wpadłem na schody prowadzące na wyższy poziom, by wreszcie stanąć przy balustradzie nad wylotem korytarza wskazanego przez Aganę. To stąd wybiegną porywacze z podopieczną Xiu. Skuliłem się przy stojącej obok beczce ze śmieciami. Całe szczęście nikt się tu nie kręcił, pewnie dlatego komandosi wybrali tę trasę ucieczki.

Cyborgów było sześciu, poruszali się w ubezpieczeniu, jak przystało na oddział szturmowy. Dwóch maszerowało przodem, kilka metrów za nimi szło kolejnych dwóch, z których jeden niósł przewieszoną przez ramię dziewczynkę. Pochód zamykała ostatnia dwójka. Wszyscy byli ubrani po cywilnemu, w robocze kombinezony typowe dla mieszkańców obozu. Nie wyróżnialiby się z tłumu, gdyby nie to, że byli uzbrojeni.

Nie miałem czasu się zastanawiać, czy szczegółowo planować pułapkę. Choćby atak miał być samobójczy, musiałem spróbować. Nie wahałem się ani chwili. Włączyłem pałkę elektryczną. Odbiłem się i przeskoczyłem przez barierkę.

Spadłem pomiędzy pierwszą a drugą dwójką. Jeszcze w locie trzasnąłem pałką w łeb cyborga niosącego dziewczynkę. Błysnęło przy kontakcie ze skórą, porażenie wstrząsnęło ciałem żołnierza i zważyło go z nóg. Siła ciosu była tak duża, że rękojeść broni pękła mi w rękę. I taka tandeta ma służyć do walki? Pewnie wyprodukowali to w jednej z chińskich kolonii. Tfu! Cisnąłem pałkę precz.

Wyciągnąłem nóż, atakując drugiego przeciwnika. Zasłonił się ramieniem z zapiętym niewielkim, stalowym dyskiem, wirującym niczym tarcza szlifierki. To mógł być ten generator stazy, którego tak bała się Agana, albo może tylko przekaźnik, sądząc po niewielkich rozmiarach. Pchnąłem kołesia nożem w twarz. Ręka przeleciała mi nad dyskiem i uderzyła w niewidoczną barierę. Nóż ugrzązł, jakby wbił się w bardzo gęstą substancję. Próbowałem go wyszarpnąć, ale cyborg wolną ręką trzasnął mnie w zęby. Puściłem bezużyteczną rękojeść, robiąc unik przed kolejnym ciosem, a wtedy przeciwnik skierował we mnie wirujący dysk, wykonując dziwny gest.

Domyśliłem się, że manipuluje przy tarczy, pewnie chcąc objąć mnie jej działaniem. Skoczyłem w bok. I oberwałem kolbą karabinka. Miałem wrażenie, że w głowie eksplodował mi granat. Opadłem na kolana i od razu dostałem kopniaka w brzuch od kolejnego cyborga. Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Nie wiem, skąd padły następne ciosy. Poczulem tylko zimny dotyk stalowej posadzki, gdy uderzyłem o nią twarzą.

Potrząsałem głową, próbując się podnieść i moje spojrzenie natrafiło na dziewczynkę siedzącą na ziemi i rozglądającą się

z oszołomieniem. Więc tak wyglądała podopieczna Xiu, której tak pragnęła Agana. Mała z trudem zogniskowała na mnie wzrok i uśmiechnęła się nieznacznie, jakby mnie rozpoznała. Tylko skąd? Nigdy mnie nie widziała.

Ciężki buciór po raz kolejny wbił mnie w podłogę. Spojrzałem w górę i zobaczyłem błysk w lufie energetycznego miotacza. Poczulem ostry ból rozchodzący się od ramienia i promieniujący na resztę ciała. Moje sztuczne serce zadygotało. Jakimś cudem jednak nie straciłem przytomności.

Przez mgłę i mrok zasnuwający oczy zobaczyłem Aganę. Wpadła między żołnierzy niczym furia. Rozmazana, nierzeczywista. Jeden z nich bryznął strumieniem krwi z rozerwanego gardła. Opadł na kolana, zasłaniając ranę dłonią. Moją kochaną otoczyły błyski wyładowań, gdy cyborg skierował w nią tarczę. Dziewczyna krzyknęła rozdzierająco, ogarnięta chmurą piorunów. Obróciła się jeszcze w moją stronę i wyciągnęła rękę. Tak bardzo pragnąłem dotknąć jej po raz ostatni. Próbowałem się poruszyć, ale stojący nade mną komandos znów skierował we mnie miotacz i pociągnął za spust.

Ciemność wreszcie mnie pochłonęła. To był koniec.

*

Hana leżała z rozrzuconymi rękoma, niewidzącym wzrokiem patrząc w sufit baraku. W jej piersi ziała dziura wypalona plazmowym ostrzem. Wrzasnęłam na jej widok. Serce łomotało mi jak szalone.

Czułam, że za chwilę wpadnę w histerię. Gdzie jest Eva? Co tu się stało?

– Co ze źródłem? – Najmroczniejsza stała tuż za mną. Pytanie padło w pustkę.

Stała chwilę nieruchomo, przekrzywiając głowę. Położyła dłoń na moim ramieniu.

– To dziecko, twój niby-psychotron, przestało być aktywne – powiedziała. – Jakby się pod ziemię zapadła. Nie denerwuj się, pewnie po prostu jest nieprzytomna. Jeśli chcieliby ją zabić, zrobiliby to na miejscu.

– Pomóż mi. Proszę – wycharczałam. Nie mogłam zapanować nad wściekłością. Pozabijam porywaczy Ewy gołymi rękoma. Odetchnęłam powoli, patrząc w oczy przywódczyni gangu.

Mrocznica zostawiła mnie samą, odchodząc do podwładnych. Rozmawiała z nimi parę chwil na korytarzu. Nagle zakłęła wściekle.

– Nikt nic nie widział. – Wróciła do mojego boksu. – Jak to możliwe? Nikt nie ośmielił się kłamać Mrocznicom, zatem to prawda. Napastnicy wdarli się tu, mijając moje strażniczki, a potem po prostu rozplynęli się w powietrzu. Ktoś musiał im pomóc, a jak się dowiem kto, popłynię krew. Wygląda na to, że w szeregach mam zdrajczynię. Ktoś sprzedał gang. Będzie umierał w męczarniach.

Najmroczniejsza ciągle ścisnęła rękojeść miecza. W pewnej chwili cisnęła nim o ziemię. Nagle znów zamarła w bezruchu, jakby czegoś nasłuchując. Odchyliła głowę, dygocząc w epileptycznym ataku. Trwało to kilka sekund, po których nagle zeszywniała i spojrzała na

mnie w pełni przytomnie.

– Mamy ich – szepnęła. – Coś się dzieje przy wyjściu z korytarza między sektorami obozu. Mój psychotron wyczuł tam anomalię. Porywacze na chwilę się odsłoniли. Ruszamy!

Nie czekając na moją reakcję, kobieta skoczyła do drzwi i ruszyła pędem do wyjścia z baraku, wrzeszcząc na swoje podwładne. Nie musiała mnie poganiać, pędziłam tuż za nią. Nie czułam już zmęczenia po pojedynku, troska o Evę dodawała mi sił.

– Ruszać tłuste dupska, głupie dziwki! – ryknęła szefowa gangu. – Korytarz Zielony. Co tak stoicie? Pędem za mną! Leia, zostaniesz tu ze swoimi psitami i przesłuchasz wszystkich w rejonie. Wszystkich, jasne? Marii, sprawdź, czy któraś z sióstr opuściła posterunek i kto miał pilnować tych baraków. Porozmawiam z tymi sukami osobiście!

Gnałyśmy jak szalone płataniną przejść między barakami. Mrocznica rozepchnęła dwóch typów, którzy tarasowali drogę. Jeden, upadając, wrzasnął bełkotliwie obelgę. Nie mogłam się powstrzymać, by w przelocie nie sprzedać mu kopniaka.

Kolejne korytarze. Najmroczniejsza zatrzymała się gwałtownie. Na ziemi leżały trzy ciała, w tym jedno w kałuży krwi. Uklęknęła przy największym. Złapała go za bluzę na piersi, pociągnęła w górę i z rozmachem wymierzyła policzek. Trzasnęło naprawdę solidnie.

Przypadłam do niej, dysząc ciężko. Zamarłam zaskoczona. Bruno we własnej osobie. Olbrzym nie zmienił się na jotę, nie sposób było pomylić go z kimś innym. Paskudna gęba z połamanym nosem, blizny na czaszce i ten tępy wyraz twarzy – najbliższy kumpel Tomasza, nikt

inny.

– Wstawaj! – ryknęła przywódczyni gangu. – Nie udawaj trupa! Erin twierdzi, że nic ci nie jest! – Kobieta zwróciła się do mnie: – Oberwał silnym wyładowaniem, chyba z miotacza energetycznego. Zwykłemu człowiekowi serce poszłoby z dymem, ale ten koleś to cyborg, połowę organów ma sztucznych. Tylko stracił przytomność.

Potrząsnęła Brunonem jeszcze raz. Wielkolud drgnął i otworzył oczy. Złapał łapczywy oddech i usiadł, odpychając Mrocznicę. Poleciała w tył, z trudem łapiąc równowagę. Bruno zakaszłał, kładąc rękę na piersi. Bluzę miał przypaloną w dwóch miejscach, w powietrzu unosił się smród poparzonego ciała. Rozejrzał się półprzytomnie.

– Agana – szepnął. – Gdzie jest Agana?!

– Nie mam pojęcia, o kim gadasz, bałwanie. – Mrocznica poderwała się na równe nogi. – Co z dziewczynką? Gdzie poszli porywacze? I dlaczego nie jesteś w Leżach, u boku Erina?!

Bruno spojrział na nią spode łba. Na jego paskudnej gębie malowała się niechęć.

– Nic ci do tego, suko – warknął. Wreszcie raczył zauważyć i mnie. Zdebiał.

– Xiu! Ja, ja... – jęknął i nagle wybuchł płaczem. – Nie chciałem cię zdradzić, nigdy. Ale ona tak bardzo pragnie tego dziecka. Moja Agana. Ona... – załkał, dławiąc się łzami.

– Jest w szoku – stwierdziłam. – Musiał nieźle oberwać, takie wyładowanie to niezły wstrząs.

Uklękłam obok olbrzyma i pogładziłam go po pokrytej bliznami głowie.

– Pomóż mi, Bruno – powiedziałam cicho. – Muszę odnaleźć Evę. Ktoś ją uprowadził i może skrzywdzić.

– Wiem – otarł oczy, przytomniejąc w jednej chwili. – Próbowałem ich zatrzymać, ale byli lepsi. Komandosi z Ziemi. Agana miała nie brać udziału w walce, ale chciała mnie ratować. Zabili ją.

– Wiesz, gdzie uciekli? – spytała Mrocznica.

– Na pokład jednej z „Pluskiew” – odpowiedział. – Chcą zabrać małą z okrętu.

Kobieta drgnęła i przekrzywiła głowę. Zmrużyła oczy.

– Kaila. – Bruno wyciągnął do niej rękę. – Poproś Erina, by przeszukał okolicę. Może ona jeszcze żyje. Moja Agana, ona nie jest człowiekiem. Psychotron znajdzie ją w Bezmiarach. Cyborgi użyły na niej stazy, ale może przetrwała.

Przywódczyni gangu, którą Bruno nazwał Kailą, spojrzała groźnie.

– Erin złapał to, co z niej zostało – mruknęła. – A my jeszcze sobie pogadamy, bałwanie.

Odwróciła się do mnie.

– Muszę jak najszybciej dotrzeć do najbliższej dyspozytorni. Trzeba zamknąć doki, nie możemy pozwolić, by Ziemianie opuścili okręt. Idziesz ze mną?

Skinęłam głową. Szefowa mafii była niesamowicie wpływową osobą, skoro mogła zablokować doki.

Kolejne minuty pamiętam jak przez mgłę. Był tylko bieg

korytarzami i migotanie mijanych lamp. Rytmiczny łomot naszych butów na stalowych podestach. Rozpychałyśmy nielicznych o tej porze przechodniów, wrzeszcząc i klnąc. Kaila gnała z taką prędkością, że ledwie byłam w stanie dotrzymać jej kroku. Wyglądała na słabo kontaktującą, wycieńczoną narkomankę, ale miała nieskończone pokłady energii. Z trudem dotrzymywałam jej kroku.

Wreszcie znalazłyśmy się u wrót prowadzących do portu. Mój chip nie uprawniał mnie do przejścia dalej, przystanęłam odruchowo. Kaila tylko trochę zwolniła kroku, odpychając strażnika stojącego obok elektronicznego portalu i jakby od niechcienia machnęła ręką. Wrota natychmiast się otworzyły.

Zdumiony wartownik złapał za pałkę elektryczną, ale nie zdażył nic zrobić. Zastąpiłam mu drogę, złapałam za nadgarstek i wykręciłam rękę, a zaraz potem chwyciłam palanta za włosy i z rozmachem trzasnęłam pustym łbem o stalową ścianę. Osunął się na ziemię.

Znalazłyśmy się w halach magazynowych, w których przedwczoraj widziałam rozładunek „Pluskwy”. W magnetycznych dokach w kształcie pierścieni unosiły się podłużne kadłuby drobnicowców. Między swobodnie unoszącymi się statkami przesuwwały się boty. Praca szła tu pełną parą przez całą dobę.

Pognałyśmy do absurdalnie upiękzonego budynku portu, nieregularnej budowli wrosniętej w ścianę i otoczonej płataniną platform. Po drodze Kaila zwolniła.

– Nie mamy czasu użerać się najpierw ze strażą, a potem z urzędnikami – powiedziała. – Co prawda oficjalnie pełnię funkcję

nawigatora, a to nie byle co. Mam naprawdę wysokie uprawnienia, ale nie aż takie, by wydawać każdemu rozkazy. Muszę pokazać swoje prawdziwe oblicze, więc się nie przestrasz. – Uśmiechnęła się łagodnie i znów przemówiła w pustkę: – Erinie, proszę o pomoc.

Poczułam uderzenie wzburzonej przestrzennej piany. Powietrze wokół Kaili zadrżało, załamując światło w nienaturalny sposób. Zrobiło mi się niedobrze, rdza mać, znów te anomalie. Jak ta kobieta może ciągle znosić coś takiego? Dziwię się, że jeszcze nie oszalała. Jej sylwetka zamigotała, wykrzywiana drgającą przestrzenią. Niech rdza tych psychotronów, Eva używała hiperprzestrzennej energii tysiąc razy delikatniej i sprawniej. Efekty uboczne były znacznie mniejsze i łatwiejsze do zniesienia. Ci kolesie pruli rzeczywistość ordynarnie i topornie, jakby ledwie panowali nad mocą. Odsunęłam się i przymknęłam wypełnione łzami oczy. Otarłam je rękawem i spojrzałam na kompankę.

Obok mnie stała wysoka postać okryta absolutnie czarnym płaszczem, a właściwie jego ułudą. Psychotron najwyraźniej wygenerował optyczny efekt, obszar pochłaniający światło. Twarz kobiety zasłaniała złota, dobrze mi już znajoma maska. Kaila musiała ją mieć ze sobą, chyba że psychotron też stworzył jej iluzję, trudno było oszacować przez załzawione oczy. Nie sposób było długo utrzymać wzroku na postaci, od której rozchodziły się fale anomalii. Zaczęłam dygotać w ataku dreszczy.

Pani zwróciła na mnie swe surowe, lodowate spojrzenie. Jej idealnie symetryczna twarz o dużych, przenikliwych oczach na żywo

robiła jeszcze bardziej piorunujące wrażenie. Oniemiałam.

– Kim ty właściwie jesteś? – wyszeptałam.

– „Najjaśniejszą” – odparła. – To ja jestem tym cholernym okrętem.

Zrozumienie przyszło w jednej chwili. Kaila była jednocześnie przywódczynią półświatka i oficjalnym dowódcą statku. Kontrolowała wszystkie aspekty życia na „Najjaśniejszej”. Te niby wszczepy nawigatora faktycznie pewnie sprzęgały ją z głównym systemem okrętu i cholera wie, czym jeszcze. Jakim cudem dawała sobie z tym wszystkim radę? Nie dziwiły mnie teraz jej ustawiczne konwulsje i nieobecne spojrzenia. Może miała jakiś bufor, którym filtrowała napływające dane? Inaczej na pewno już dawno kompletnie by oszalała. Tak czy inaczej, nie była normalnym człowiekiem. Trochę mnie to przerażało.

Tymczasem pani kapitan śmiało podeszła do głównych wrót portu. Te rozsunęły się przed nią z sykiem, zaskoczeni strażnicy skamienieli z przerażenia na jej widok. Szłam kilka kroków za Najmrocznie... tfu, za Najjaśniejszą, natychmiast wczuwając się w rolę. Majestat bijący od Pani był fizycznie wyczuwalny. Efekty uboczne działania anomalii robiły swoje, pod strażnikami aż się nogi ugięły.

W sali kontroli lotów znajdowało się kilkanaście foteli z operatorami wpiętymi w system. Przy stołach kontrolnych siedziało kilku techników i dwóch wojskowych. Poderwali się na nasz widok, zginając karki w głębokim ukłonie. Ledwie Kaila się do nich zbliżyła, jeden z techników padł nieprzytomny.

– Natychmiast zamknijcie doki – przemówiła zaskakująco mocnym głosem. Aż zadrżałam. – Wstrzymuję wszystkie starty. Do odwołania. Dajcie na główny ekran połączenie z mostkiem „Najjaśniejszej”. Wezwać komendanta portu.

Ten ostatni akurat stał w drzwiach, trzęsąc się ze strachu. Kaila skinęła na niego, zapraszając do środka.

– Meldujcie o ostatnich startach – rozkazała.

– Przed południem dwie jednostki kupieckie z Oriona i sześć wahadłowców z Mirach, wieczorem zespół tankowców z Sagittariusu – bez zastanowienia odparł komendant. Zamilkł na chwilę, przełykając ślinę. Wreszcie niepewnie dodał: – I jeszcze nasz drobnicowiec. Dosłownie kilka minut temu. Brak danych dotyczących celu lotu.

– Kto wydał pozwolenie na start? – zadudniła Najjaśniejsza.

– Wszystkie przechodzą przeze mnie, ale ja tego zezwolenia nie wydawałem – mężczyzna wił się jak piskorz.

Łatwo się można było domyślić, że wziął sporą dołę za wypuszczenie tego statku. Pewnie często robił takie numery z przemytnikami. Nie spodziewał się, że kolejny nielegalny start wpakuje go w poważne kłopoty.

– Zapłacisz za to, komendancie – spokojnie powiedziała Pani. – Zabrać go. – Obróciła się w stronę głównego ekranu, na którym pojawiła się twarz oficera z mostka. – Pułkowniku, proszę wysłać dwa szwadrony szperaczy i sto trzeci dywizjon myśliwski w pościg za „Pluskwą 213”. Przejść drobnicowiec, bez uszkodzeń. Ogłosić alarm

w Leżach. Dziesięciu psychotronów ma natychmiast wejść w Bezmiary i zablokować tę „Pluskwę”. Wykonać.

Pani zastygła w bezruchu. Domyślałam się, że dyskutuje z Erinem, a może z systemami okrętu? Bałam się coraz bardziej. Gniew, strach i Żelaźniak wie jakie uczucia kłębiły się we mnie jak wrząca lava w wulkanie. Czułam, że długo nie wytrzymam. Minuty wlokły się w nieskończoność. W sali kontroli lotów panowała absolutna cisza, nikt nie śmiał nawet zbyt głośno oddychać. Nie wytrzymałam i kaszlnęłam znacząco. Najjaśniejsza odwróciła w moją stronę nieruchomą, złotą twarz.

– Przykro mi, ale Ziemiańcom się udało. Nie możemy odnaleźć tej „Pluskwy”, chroni ją nieznane maskowanie – powiedziała. – Porywacze byli świetnie przygotowani, także na wypadek pościgu. Nie martw się, nie pozwolę im odlecieć z Mgławicy. Nie zniosę, by Ziemiańskie panoszyli się na moim okręcie i porywali dzieci. Cierpliwości. Już niedługo odzyskasz dziewczynkę, zaufaj mi.

Skinęłam głową. Nic innego mi nie pozostało.

Rozdział piąty

W chmurach przed burzą

Gwiazdny pył migotał w świetle odległych słońc. Drobinki metali i krzemu poruszały się leniwie, przyciągane przez protogwiazdy. Mgławica nazywana Głową Czarownicy była matką powoli rodzących się słońc. Długa na sto lat świetlnych, w całości stanowiąca ogromne kłębowisko gazu i atomowego kurzu, pełniła rolę kosmicznej macicy, w której rozwijały się gwiazdy.

Kurz błyszczał błękitem, odbijając światło najbliższego wielkiego słońca. Opalizował i mienił się, gdy drobiny metali ustawiały się zgodnie z polem magnetycznym galaktyki. Psychotron szczególnie lubił płynąć przez węglowe morza, gdzie diamentowe drobinki lśniły w świetle pobliskich gwiazd. Czasem Erin odpoczywał, pozwalając, by jego jaźń dryfowała wokół zapadających się grawitacyjnie chmur pyłu tworzących jądro protogwiazdy. Grzał się w falach promieniowania podczerwonego emitowanego przez nowe słońce. Wirował w rytmie narodzin.

Relaksował się tak po zmudnych i męczących poszukiwaniach chmur bogatych w rzadkie metale lub cennych związków chemicznych. Przesiewał je grawitacyjnymi sitami molekularnymi, rozdzielał, używając pól magnetycznych i energetycznych. Oddzielał

od bezwartościowego kurzu, a potem znakował nadprzestrzennymi bojami wysyłającymi grawitacyjne impulsy, namiary dla floty drobnicowców zbierających urobek.

Od czterech tygodni nie miał jednak czasu na relaks, od dawna też nie zajmował się zwyczajną robotą. Tak samo jak wszyscy psychotroni ze Smoczych Leży penetrował mgławicę w poszukiwaniu jednego malutkiego statku. Ukrywającej się „Pluskwy 213”, na pokładzie której znajdowało się pewne dziecko. Rozkazy Pani były jasne i nie podlegały dyskusji. Nikt nie opuści Bezmiarów, dopóki statek z porywaczami się nie odnajdzie. Nie liczy się życie obciążonych ponad miarę psychotronów ani ich smoczych partnerów. Dziewczynka musi zostać odbita z rąk wroga.

– Nie ma ich tu i to od dawna – zadudnił Jacek.

Sprzężony neurowodami z wypreparowanym, genetycznie modyfikowanym mózgiem gada Erin odbierał myśli swego kompana niemal jak swoje własne. Razem ze słowami smok poraził go falą zniechęcenia i irytacji.

– Nie kracz – mruknął Erin z rozdrażnieniem. – Przenieśmy się do sąsiedniego sektora, przeczyszemy go dziś po raz drugi, miałem wrażenie, że coś tam wyczułem.

– Gówno wyczułeś – odparł smok, śląc kompanowi odrażające obrazy śluzu i żółtych galaret. – Bo pewnie zafajdałeś całe Smocze Leża. Nie korzystałeś ze swego ciała od bardzo dawna, a ono też ma potrzeby.

– Daruj sobie. Te uwagi nie są śmieszne. – Erin mentalnie oczyścił

umysł, ziejąc w smoka lodowatym zimnem.

– Wybacz, człowieku, ale mam dość. Kręcimy się tu bez przerwy. Jeszcze trochę i padniesz trupem, a ja dostanę ataku neurowodowego i zapadnę w letarg. – Gad zakreślił się wokół umysłu Erina, pulsując irytacją i zwątpieniem. – Mówię ci, że tych cwaniaków nie ma w mgławicy! Szuka ich trzydziestu psychotronów i tyleż smoków, do tego sześć dywizjonów myśliwskich i wszystkie ścigacze. Sprawdziliśmy już każdą podejrzaną chmurę, każdą protogwiazdę w promieniu dziesięciu lat świetlnych. Nie ma szans, by pozostali niezauważeni.

– To co się stało, wyparowali? – warknął Erin, któremu udzieliła się irytacja kompana. – Zamienili w promieniowanie gamma i polecili do Układu Słonecznego na skróty? Muszą tu być, obaj doskonale to wiemy.

„Pluskwa” ma za mały zasięg, by opuścić mgławicę. Nie otworzy tunelu hiperprzestrzennego, bo to tylko drobnicowiec z konwencjonalnym napędem. Przyczaili się, przykryli tym cholernym kamuflażem i czekają.

– Na co czekają? Na koniec świata? Pierwszy śnieg? – Smok mentalnie potrząsnął psychotronem. Erin ujrzał obraz wirujących płatków śniegu w mgławicowej chmurze. – Gdyby tu byli, zostałyby po nich choćby grawitacyjne muśnięcie, ślady na widmie. Okręt emituje promieniowanie cieplne, zostawia smugi. Myślisz, że od miesiąca siedzą z wyłączonymi silnikami i układami podtrzymania życia?

– Dlaczego nie? – Erin wzruszył ramionami i znów oczyścił myśli, likwidując obrazy i emocje przekazywane przez smoka. – Małą trzymają w stazie, a sami są cholernymi cyborgami. Hibernacja to dla nich tyle, co splunąć. Wchodzi taki do lodówki i tyle. Może wyłączyć cały okręt i ma wszystko w dupie!

– Pierniczysz jak potłuczony! – zadudnił smok.

Erin ujrzał wokół siebie błyski wyładowań pojawiające się zawsze, gdy gad był zdenerwowany.

Chmury pyłu na chwilę przyjęły kształt olbrzymiego smoka, groźnie szczerzącego zębiska, a potem zawirowały i rozwiały się w nicości.

– Do utrzymania włączonych hibernatorów też potrzebna jest energia, tak samo jak do aktywnego kamuflażu czy tego generatora stazy, w której trzymają dziewczynkę. Wykrylibyśmy chociaż ślady! Cokolwiek!

– Masz złe nastawienie! – wydarł się Erin. – Więcej pozytywnych myśli, smoku! Ziemianie są uzbrojeni w cholernie nowoczesne zabawki, które dostali od jakiejś korporacji, TinFist, CopperHead, czy jakoś tak. Mają żołnierzy potrafiących ukryć się nawet przed nami, sam miesiącami nie mogłeś ich odnaleźć na pokładzie „Najjaśniejszej”. Może mają to samo maskowanie założone na cały statek? Prędzej czy później dadzą ślad życia, a my będziemy na to czekali. I złapiemy sukinsynów!

– Ale się z ciebie zrobił nawiedzony dupek – mruknął smok. – Odkąd spotykasz się z tą babą, całkiem ci odbiło. Pamiętam, jak byłeś

luźnym gościem lubiącym się zabawić i poszaleć. Teraz liczy się tylko obowiązek i majestat Pani. Czy ta dziewczyna dorzuca ci rządowej propagandy do żarcia, czy co?

Erin obruszył się i poraził smoka wyobrażeniami przesywającego chłodu, ale nie skomentował ostatniej uwagi Jacka. Zaabsorbowało go delikatne drżenie przestrzeni, jakby poddawanej grawitacyjnej presji. Psychotron skierował swoje myśli w ten obszar i skupił się na obserwacji okolicy. Smok mentalnie pomknął dalej, ale po chwili zawrócił. Już miał wygłosić kąśliwą uwagę, lecz umilkł, zauważywszy zjawisko.

– Coś się dzieje – mruknął. – Jakby z tamtej strony ktoś wbijał znaczniki do otwarcia tunelu.

– Tylko że jest ich absurdalnie dużo – szepnął Erin. – Zobacz, przestrzeń drga, jakby miała się zagotować.

Psychotron poczuł szarpnięcia wzburzonych fal grawitacyjnych. Uderzenia następowały po sobie coraz szybciej i rozprzestrzeniały się w zastraszającym tempie. Oglądana z Bezmiarów czasoprzestrzeń przypominała mur dziurawiony ostrzałem z broni maszynowej. W kojąco pustą czerń kosmosu wdzierały się błyski energetyczne, rozdzierając chmury mgławicowych gazów i tworząc widowiskową iluminację. Gwiazdy w oddali zamigotały i rozjechały się, jakby ktoś rozsunał kurtynę, na której były tylko namalowane. Tumany pyłu zawirowały i rozstały się razem z nimi. Erin krzyknął, przesuając swoją jaźń o setki kilometrów w tył. Przestrzeń rozstała się, otwierając czasoprzestrzenne tunele. Erin nie widział jeszcze tak

wielkiej operacji przerzutowej, zamarł zdumiony, obserwując niezwykle zjawisko. Smok krążył od otworu do otworu, wachając je ciekawie.

Wtem, jeden po drugim, z otwartych tuneli zaczęły wynurzać się obłe kształty. Mające kilkaset metrów średnicy metalowe korpusy były gładkie jak lustro. Poruszały się płynnie i szybko. Nim minęło parę chwil, przez otwarte korytarze wpłynęła cała armada ogromnych okrętów z namalowanym na burtach charakterystycznym symbolem, przedstawiającym błękitną planetę.

– Ziemianie. To inwazja – syknął przerażony Erin, bombardując smoka potężnymi dawkami emocji.

– Racja – wzdrygnął się Jacek. – Jest ich naprawdę sporo. Szykuje się niezła zadyma.

Okrętów ciągle przybywało. Z tuneli, prócz inwazyjnych krążowników, wynurzyła się masa niewielkich niszczycieli i statków towarzyszących. Wreszcie pojawiło się kilka kolosalnych pancerników klasy Minotaur, z legendarnym „Wyrwiskońcem” na czele, okrętem flagowym Ziemi. Erin zdążył jeszcze zauważyć, że niektóre statki pieczętowały się innym symbolem niż Niebieska Planeta. Wśród inwazyjnej floty były też statki Alfy Centauri, Jowisza, Hioba i Minerwy. Psychotron z trudem zapanował nad paniką na ten widok.

– Powiadomiłem już centralę – Jacek ciągle mówił spokojnie. Mimo to Erin odebrał obrazy nuklearnych wybuchów pożerających mgławicę, które wyemitował w głębi duszy poruszony smok. – Alarm

pierwszego stopnia. Najwyższe zagrożenie. Wróg w granicach.

– Muszę wrócić do rzeczywistości i doprowadzić się do ładu, najwyraźniej czeka nas wojna – stwierdził psychotron.

– Czekaj – syknął smok. – Spójrz na to.

Gad wskazał mu mentalnie nieznaczny ruch w ciemności. Chmura pyłu poruszyła się i niespodziewanie rozbłysła. Wypłynął z niego znajomy drobnicowiec – „Pluskwa 213”. Niewielki stateczek żwawo podążył w sam środek ogromnej floty. Pędził na spotkanie „Wyrwistońca”. Kolos w kształcie kuli naszpikowanej niezliczonymi antenami i wieżyczkami otworzył ogromne wrota. Nim Erin zdążył choćby zakląć, „Pluskwa” znikła we wnętrzu olbrzyma.

– I to tyle z naszego polowania – westchnął smok.

*

Obudził mnie śpiew. Przeciągnęłam się, z przyjemnością wdychając zapach luksusowo miękkiej pościeli. Dopiero po chwili dotarło do mnie, gdzie się znajduję. Zamarłam, z rosnącym przerażeniem przypominając sobie wczorajszy wieczór i noc. Kaila zabrała mnie na przejażdżkę w głąb „Najjaśniejszej”. Namówiła na nią, twierdząc, że obie potrzebujemy odrobiny relaksu i odpoczynku. Wylądowałyśmy w jednej z Wewnętrznych Warstw, której nazwy nawet nie pamiętam, poświęconej szeroko rozumianej zabawie. Godzinami włóczyłyśmy się po centrach rozrywki i snobistycznych sklepach dla bogaczy. Potem wylądowałyśmy w unoszącej się na

magnetycznych poduszkach restauracji serwującej psychostymulujące drinki. Spróbowałam chyba ze trzech zestawów tych łagodnych, legalnych narkotyków, stopniowo poddając się atmosferze zabawy i zbytku. Potem było coraz weselej. Na ruszt poszły przysmaki z różnych rejonów galaktyki, które popijałyśmy winem z prawdziwych winogron! Opychałam się egzotycznymi owocami, które wyrosły w promieniach prawdziwego słońca, żadne tam hydroponiczne transgeniki. Ponoć wszystkie były mocnymi afrodyzjakami. Pamiętam, że później Kaila zabrała mnie do klubu, gdzie tańczyłyśmy jak szalone, wirując w strumieniach ciepłego powietrza unoszącego nas w kopułach o zmiennej grawitacji. Oszołomiona światłami, muzyką, naszprycowana najkosztowniejszymi symulantami i alkoholem, całkiem się zatraciłam w zbytku, dałam porwać atmosferze beztroskiej zabawy i niczym nieskrępowanego szaleństwa.

Chyba nieźle mi odbiło. Po powrocie do apartamentu, z którego Kaila korzystała, kiedy udawała niepozorną nawigator, otworzyłam butelkę purpurowego szampana i całość wylałam na siebie i na nią. Potem zerwałam z roześmianej dziewczyny mokrą sukienkę i pociągnęłam do łóżka. Kochałam się z babą. I to z kim! Z dziewczyną, która uważała, że jest okrętem, boginią tego metalowego świata.

Nie byłam aniołkiem, ale pierwszy raz zdarzyło mi się uprawiać seks z kobietą. W domu różnie bywało, zdarzało mi się robić różne głupie rzeczy, ku utrapieniu Shao, ale jak dotychczas – nic takiego.

No cóż, mówią, że w życiu trzeba wszystkiego spróbować.

Usiadłam na łóżku, rozglądając się za ubraniami. Kaila kręciła się po kuchni, nucąc głośno sprośną piosenkę, którą słyszałam w podobnej wersji jeszcze w domu. Niektóre rzeczy są niezmiennie, jak kosmos długi i szeroki. Kobieta weszła do sypialni, niosąc dwa kubki. Ciągle była naga. Na trzeźwo nie wydała się specjalnie pociągająca, była strasznie wychudzona. Prócz wszczepu w czaszce miała jeszcze biołacza w nadgarstkach i między piersiami. Łąca otaczały purpurowe sińce od nadmiernego używania. Przeguby ramion były jęczącymi się ranami, od setek ukłuć, jak u prymitywnej narkomanki. Kiedy szła, wydawało się, że każdy jej krok okupiony jest cierpieniem. Dygotała jak w ataku delirium. Przez mgłę pamiętałam, że nie minęło jej to nawet w czasie zabawy i kompletnego upojenia. Właściwie to ona akurat cały czas sprawiała wrażenie trzeźwej, mimo że sobie nie żałowała. Rola władczyni absolutnej, umysłu i bogini okrętu najwyraźniej jest sporym obciążeniem, właściwie przekleństwem.

Kaila usiadła na krawędzi łóżka, podając mi kubek pełen gorącej, aromatycznej cieczy.

– Kwaśna zupa z Fobosa, doskonała na kaca – powiedziała, uśmiechając się ciepło.

Odpowiedziałam nieśmiałym uśmiechem i umoczyłam usta w napoju. Faktycznie był kwaśny, ale naprawdę ożywczy i smaczny.

– Obie musimy szybko stanąć na nogi, szykuje się sądny dzień.

– Co się dzieje? – spytałam, natychmiast zapominając o trochę dla

mnie krępującej sytuacji. – Czy są jakieś wiadomości o Evie?

– Mhm. – Skinęła głową, pijąc gorącą zupę. Poderwałam się na równe nogi. Stałam przed Kailą, jak mnie pan Bóg stworzył.

– Dlaczego mnie natychmiast nie obudziłaś? Czego się dowiedziałaś?

– Ale jesteś w gorącej wodzie kapana, wiedźminko. – Pokręciła głową. – Sama dopiero co wstałam, Erin obudził mnie parę minut temu, meldując z Bezmiarów. Za chwilę zacznie się młyn, jakiego ta mgławica jeszcze nie widziała. Muszę wskoczyć w służbowe ciuchy Pani, boję się, że nie zdejmę ich przez kilka dni. Najgorsza jest ta maska, ciężka jak diabli.

Pociągnęła kolejny łyk i parsknęła, rzucając się w niespodziewanym ataku. Kubek wysunął się jej z ręki i upadł na podłogę. Doskoczyłam i mocno złapałam ją za ramiona, próbując delikatnie położyć na łóżku. Oprzytomniała, jak zwykle, zaskakująco szybko.

– Już w porządku – jęknęła, łapiąc się za głowę. – Czasem bardzo boli, trudno wytrzymać. Och, Xiu, ale jestem zmęczona. Nie mam sił, marzę, by zasnąć i żeby wszyscy dali mi spokój.

Współczułam jej, ale teraz nie miałam czasu się rozczulać. Człowiek, który próbuje być wielkim okrętem, musi cierpieć, takie jest życie.

– Co z Evą? – spytałam.

– Twoja mała ciągle jest w łapach Ziemiaków, w dodatku teraz znajduje się na pokładzie „Wyrwiskońca”. Usiądź, bo zemdlejesz,

wczoraj nieźle zabalowałyśmy. – Kaila pociągnęła mnie za rękę, usiadłam obok niej, starając się nad sobą panować. Czułam, że za chwilę zacznę wrzeszczeć. – Wpadła do nas w odwiedziny ziemską flotą inwazyjną. Po rozmiarach i liczbie okrętów można wnioskować, że to główne siły. Możliwe, że niepokonana armia Trzon. To właściwie komplement, przylecieli po jedną dziewczynkę z całą armią. Boją się, gnoje.

– Chcesz powiedzieć, że Eva jest teraz więziona przez wojsko?! – ryknęłam. – Przylecieli tu tylko po nią i już mają ją na pokładzie jednego z okrętów? To przecież zaraz odlecą i nigdy już jej nie zobaczę.

Kaila objęła mnie uspokajająco i wykrzywiła usta w jednym z tych swoich spokojnych uśmiechów. Niezła jest, twarda kobitka, przed paroma chwilami miała dołek, a teraz sama mnie pociesza. Potrafi błyskawicznie zapanować nad słabościami i zawsze być Najjaśniejszą.

– Nigdzie nie odlecą – powiedziała. – Smoki zablokowały Bezmiary, nikt nie otworzy korytarza bez mojej zgody. Nic, absolutnie nic nie opuści mgławicy. Wiedzieli o tym, skurczybyki, dlatego ściągnęli tu ogromne siły. Na postrach. Z armią, mogącą obracać w pył całe układy planetarne, przecież się nie dyskutuje. Spokojnie, mała. Nie ze mną te numery.

– Ale to tysiące okrętów, niewyobrażalna potęga.

– E tam. – Kaila lekceważąco machnęła ręką. – Przymierze nie bez powodu ciągle jest niezależne. Nie boimy się Ziemian. Kilka lat temu próbowali nas podbić i dotkliwie się sparzyli. Osobiście zniszczyłam

okręt flagowy floty inwazyjnej i wykorzystując psychotronów, widowiskowo zabiłam admirała. Stało się, w trakcie rozmowy na otwartym paśmie, widzieli ją wszyscy w promieniu kilkudziesięciu lat świetlnych. Zażądałam, by admirał natychmiast złożył bezwarunkową kapitulację, a gdy odmówił i śmiał jeszcze mnie straszyć potęgą Ziemi, spaliłam go żywcem. Nagranie z tego wydarzenia obiegło całą Galaktykę. – Uśmiechnęła się na wspomnienie swego triumfu. – Ziemianie zwiali z mgławicy, aż się kurzyło. Tym razem wrócili z siłami o wiele potężniejszymi, ale wiedzą, że jeśli znów rozpętają tu wojnę, dojdzie do rzezi, która skończy się ogromnymi stratami po obu stronach. To naruszy kruchą równowagę gospodarczą. Przesaną płynąć cenne towary z mgławicy, a my wstrzymamy import najróżniejszych dóbr ze światów podporządkowanych Ziemi. Już w tej chwili, gdy moje smoki zamknęły tunele, zamarł handel. Założę się, że jeszcze dziś notowania na światowych giełdach polecą na pysk. Wieczorem dojdzie do rozruchów w niejednej bazie przesiadkowej. Kupcy i przewoźnicy z połowy Galaktyki dostaną po kieszeni, pracę straci masa ludzi. Zbankrutują firmy transportowe, co grozi tym, że ich statki raz-dwa przemienią się w pirackie okręty. Po tygodniu takiego zamieszania wybuchną powstania wyzwolencze w najróżniejszych koloniach i prowincjach ziemskiego imperium. Miejscowi tylko czekają na osłabienie tego molocha i okazję, by uwolnić się spod jego dominacji. Wykorzystają to, że jego główne siły są uwięzione w mgławicy. Ziemianie zdają sobie z tego sprawę. Będą chcieli najpierw mnie zastraszyć, ale oczywiście nie ulegnę. Potem

spróbują przekupstwa, ale też nic z tego. Stanowczo zażądam zwrotu Evy.

– Myślisz, że będą chcieli ją uwolnić? – spytałam. – Przecież z jej powodu ryzykują pokój w Galaktyce i osłabienie imperium. Łatwo nie ulegną.

– Wiedzą, że ta mała to klucz do niezwyklej technologii. Jeśli wypuszczą ją z rąk i kto inny przejmie tę wiedzę, może runąć równowaga polityczna w Galaktyce. Zdaję sobie sprawę, że Ziemianie mogą zdecydować się na atak. Postawić wszystko na jedną kartę. Musimy mieć się na baczności. – Kaila skinęła głową. – Wysłałam wezwanie do wszystkich okrętów Przymierza, muszę przekonać ich kapitanów, żeby mnie wsparli w zbliżającym się konflikcie. Ogłosiłam pełną mobilizację na „Najjaśniejszej”. Jeszcze dziś zrobi się gorąco. Za godzinę wystosuję notę do dowództwa ziemskiej armii. Albo natychmiast oddadzą Evę, albo urządzę im tu prawdziwe piekło.

– Potrafią już sobie radzić z twoimi psychotronami i smokami, ich komandosi i agenci szaleli na pokładzie „Najjaśniejszej” pod twoim nosem – powiedziałam. – Skąd wiesz, jaką teraz dysponują technologią? Może zniszczą twoje bezmiarowe siły i podporządkują sobie Przymierze? Przecież dążą do tego od lat.

Kaila prychnęła ze złością i kopnęła kubek ciągle leżący na podłodze.

– Masz rację. Wiem, że mają szpiegów na całym okręcie, zarówno wśród Mrocznic, jak i w dowództwie. Jeszcze dziś się tym zajmę. Potrzebuję jednak trochę czasu. Moi psychotroni byli ostatnio

eksploatowani ponad miarę. Muszą odpocząć. Zostawię ze dwa smoki na straży Bezmiarów, by trzymały czasoprzestrzeń zapieczętowaną. Poczekam, aż psychotroni dojdą do siebie i przygotowują do starcia. Hmm. Będziemy musieli grać na zwłokę. Jak to ładnie rozegrać?

Wzruszyłam ramionami. Pojęcia nie miałam, co powinna zrobić. Wielka polityka to sprawy nie na moją głowę.

Kaila skrzywiła się, drżąc w kolejnym ataku. W tej chwili dosłownie była okrętem, jego systemem operacyjnym i mózgiem. Jej umysł bez przerwy bombardowały miliony informacji, jakimś cudem nad tym panowała, tylko czasami traciła kontakt z rzeczywistością, niemal fizycznie stając się częścią statku.

Otrząsnęła się po paru chwilach i spojrzała na mnie zaskakująco zimno. Nieswojo mi się robiło od tych jej huśtawek nastroju. Trudno być bogiem. Albo boginią.

W cenę za ten przywilej wliczone jest między innymi rozchwianie emocjonalne.

– Dobra, muszę to wszystko przemyśleć. Ubieraj się i uciekaj do siebie.

– Mimo wszystko można by przedsięwziąć pewne drobne kroki – mruknęłam, wyciągając spod łóżka swoje spodnie. – Dasz mi dostęp do wojskowego systemu, żebym mogła sobie podglądać, co się dzieje?

– Mianuję cię porucznikiem sił zbrojnych Przymierza. Od tej chwili jesteś oficerem wywiadu „Najjaśniejszej”, ze wszystkimi uprawnieniami – powiedziała poważnie. – Tylko nie narozrabiaj, Xiu.

Niechętnie zaczęłam wciągać na plecy moką, pogniecioną koszulkę.

– Zaufaj mi, Pani. – Uśmiechnęłam się, choć raczej nie było mi wesoło.

Wcale jej nie ufałam. Była gotowa bez wahania rozpętać galaktyczną wojnę, byle tylko odzyskać młodą. Nie łudziłam się, że robiła to dlatego, że mnie lubi. Miała w tym bardzo konkretny cel i łatwo można było się domyślić jaki. Wiele jej opowiedziałam o możliwościach Ewy, choć oczywiście nie wszystko i nie całą prawdę. Kaila wiedziała, że dziewczynka potrafi bez najmniejszych efektów ubocznych władać energią, którą nazwano psychokinetyczną, mało tego, potrafi ją czerpać, czy to z ludzkich dusz, czy bezpośrednio z hiperprzestrzeni, wykorzystując drgania superstrun. Nie dodałam, że właściwie głównym źródłem tej energii jest szkarłatny Potwór, a młoda ma wsparcie Shao, który wstępnie filtruje moc. Najjaśniejsza myślała, że Eva posiadała technikę i możliwości, przy której jej psychotroni byli tylko żalonymi, zaćpanymi partaczami. Wyobrażała sobie, że przejmie dziewczynkę i wydrze jej tajemnicę, jak władać energią, nie narażając się na fatalne efekty anomalii, jak czerpać tę energię z przestrzeni, a w ostateczności i z ludzkich dusz. O to mi właśnie chodziło, niech Kaila pożąda Ewy, niech nawet rozpęta wojnę, byle wyrwać młodą z łap Ziemian.

Kaila powstrzymała mnie przed ubraniem się w nieświeże rzeczy i podała jeden ze swoich kombinezonów nawigatora. Oczywiście za duży. Wyglądałam w nim dość komicznie, ale co tam. Zebrałam się,

widząc jeszcze, jak zakłada niesamowitą, czarną suknię Pani. Ukryła pod nią naszpikowane wszczepami, wychudzone ciało zmęczonej kobiety i zamieniła się w surową panią kapitan, władczynię i boginię tego okrętu. Skinęłam jej głową i zasunęłam za sobą drzwi.

*

Jacek był niepokieszony. Ziemię chroniła zupełnie nieprzenikalna sfera, całkowicie blokująca zarówno smoki, jak i ich partnerów. Wszelkie próby choćby podejrzenia wroga kończyły się fiaskiem. Początkowo tylko go to irytowało, ale po dwóch dniach porządnie rozszłościło. Marzyła mu się wojna, jaka miała miejsce w mgławicy kilka lat temu. Wtedy nie wziął w niej udziału, bo w tamtych czasach był tylko świeżo wypreparowanym mózgiem, spoczywającym w kąpielni hormonalnej w jednym z laboratoriów. Do Bezmiarów wprowadzono go ledwie dwa lata temu, za kolejne dwa lub trzy jego umysł wypalił się od przepływającej przez niego psychokinetycznej energii.

Jacek marzył, by w krótkim życiu dane mu było dokonać wielkich czynów, wstąpić się w boju, walczyć z wrogiem, a nie tylko pełnić funkcję pomocnika przy eksploatacji mgławicy. Z radością zatem zabrał się za śledzenie wroga, ale okazało się, że nie jest to takie proste.

Każdorazowa próba wniknięcia na wrogi okręt kończyła się bolesnym wstrząsem odrzucającym smoka daleko od obiektu.

Generatory stazy, najnowszy gadżet na wyposażeniu sił zbrojnych Ziemi, spisywały się bez zarzutu. Wróg potrafił z jego pomocą wytworzyć nieskończenie cienką sferę, w której rzeczywistość ulegała całkowitemu zamrożeniu. Czasoprzestrzeń dosłownie zastygała, zatrzymywał się czas, zamierały wszystkie fizyczne procesy. Mimo wszystko staza nie była tworem stałym, włączała się i wyłączała z ogromną częstotliwością tak, że promieniowanie, łącznie ze światłem, swobodnie przez nią przenikało. Dzięki temu wróg mógł utrzymywać łączność, a w dodatku był doskonale widoczny. To dodatkowo irytowało Jacka, nie mógł przekroczyć swymi zmysłami tej bariery, a dla wroga nie stanowiła ona jakiegokolwiek utrudnienia.

Jacek niecierpliwie czekał na swojego człowieka, psychotrona Erina. Gad zdawał sobie sprawę, że mężczyzna przechodzi intensywną kurację odnawiającą. Ludzie nie najlepiej znosili przebywanie w Bezmiarach, strasznie ich to wyczerpywało. Smok miał nadzieję, że sprytny i zdolny człowiek coś wymyśli i wreszcie uda się dobrać do wroga.

Póki co, krążył w towarzystwie swoich dwóch braci wokół ziemskiej floty i zbierających się okrętów Przymierza. Obie armie dzieliły jakieś dwa miliardy kilometrów, co dla przemieszczających się mentalnie smoków nie było specjalnie dużą odległością. Pokonywały ją jedną myślą.

Smoki śledziły statki kurierskie krążące pomiędzy armiami. Zgodnie z tradycją Przymierza paktowanie odbywało się z wykorzystaniem poselstw latających tam i z powrotem. Smoki

obserwowały zatem dumnych oficerów sił zbrojnych Ziemi zakutyh w bitewne pancerze nadające im groźny wygląd i ich uzbrojone po zęby świty. Nie próbowały zaszkodzić posłom – delegacje chronił starożytny zwyczaj: posłowie mieli zapewnioną nietykalność.

Jacek nie zdawał sobie sprawy, że ostatnim kursem z „Wyrwisłońca” w roli kuriera leciał na „Najjaśniejszą” sam admirał Bernard Estreicher. Niepozornie wyglądający stary żołnierz, ze sporą łysiną nadającą mu aparycję urzędnika. Estreicher zarówno wśród swoich żołnierzy, jak i wrogów służył jako wyjątkowe bydlę. Nie przeszkadzało mu to być niezwykle zdolnym dowódcą i strategiem. Jego zwycięstwa już przeszły do historii wojskowości, równie słynne było jego okrucieństwo, bezwzględność i lojalność wobec Ziemi. Smok nie wiedział, że miał w zasięgu swoich niematerialnych łap największego wroga wszystkich wolnych światów.

Admirał Estreicher zawiózł na „Najjaśniejszą” ostateczne ultimatum, żądając natychmiastowego odblokowania hiperprzestrzeni. W razie odmowy zagroził zerwaniem wszelkich kontaktów, zarówno dyplomatycznych, jak i handlowych z Przymierzem. Usłyszawszy odmowną odpowiedź Pani, która ciągle podtrzymywała decyzję o utrzymaniu blokady do momentu uwolnienia Ewy, admirał nakazał natychmiastową likwidację ambasady Ziemi na pokładzie „Najjaśniejszej”. Miał to być ostateczny gest świadczący o zerwaniu paktów. Pani oznajmiła, że chętnie pomoże ziemskim dyplomatom i ich pomocnikom jak najszybciej opuścić okręt. Na jej rozkaz do luków magazynowych poselskiego statku zaczęto pakować podłużne

skrzynie. Dziesiątki, setki, a wreszcie parę tysięcy pojemników ze sztucznego tworzywa wypełniło ładownie.

Estreicher nawet nie mrugnął, kazał zabrać się ambasadorom i bez słowa opuścić „Najjaśniejszą”. Obserwujący go Jacek był niezadowolony, że poseł nie pozwolił sprawdzić zawartości skrzyń, dopóki nie znalazł się w okolicy swojej floty. Smok nie zobaczył, jak stary oficer z furją zrywa białą szarfę posła. Nie mógł zobaczyć groźnej miny admirała, gdy dowiedział się, co jest w skrzyniach. Pewnie nawet olbrzymi gad przestraszyłby się, gdyby spojrzął wtedy w oczy starego człowieka. Ujrzałby w nich zimną nienawiść i obietnicę rychłej zemsty.

W dwóch tysiącach skrzyń spoczywały ciała agentów i szpiegów Ziemi, od lat inwigilujących „Najjaśniejszą”. Mężczyźni, kobiety, młodzieńcy i starcy. Ci, którzy pochodzili z Ziemi, i ci, co urodzili się na „Najjaśniejszej”, ale dali się skaptować do współpracy z wrogiem. Piastujący ważne funkcje urzędnicy, inżynierowie i biznesmeni, ale też prości robotnicy i zwykłe prostytutki. Wszyscy martwi, z piętnem zdrady wypalonym na czołach przez katów Pani.

Ruch wśród sił Ziemian zaczął się prawie natychmiast po powrocie admirała. Okręty inwazyjne majestatycznie zaczęły formować szyk bojowy, ustawiając się w półsferę wklęsłością zwróconą w kierunku wroga. Szeregi zamknęły mniejsze jednostki towarzyszące. Kilka pancerników z „Wyrwiślońcem” na czele leciało z tyłu, poza półkulą. Jacek aż ryknął na widok szykującej się do bitwy floty. Jeśli dojdzie do starcia, okręty będą musiały czasowo wyłączyć tarcze stazy, by

użyć do ostrzału pokładowych dział. Smoki będą miały okazję do ataku. Nareszcie!

Jacek wysłał meldunek na „Najjaśniejszą”. Szybko oszacował, że armada poruszająca się w tym tempie dotrze do celu w ciągu dwunastu godzin. Tyle czasu zostało psychotromom i armii Pani na przygotowanie się do bitwy. Chyba że władczyni zdecyduje się odwlec starcie i wycofa „Najjaśniejszą”, ustępując pola. Smok aż drżał z niecierpliwości. Wreszcie będzie okazja, by użyć energii psychokinetycznej do zabijania. Instynkt drapieżnika i myśliwego domagał się od Jacka postępowania zgodnie z naturą. Przez całe życie grzecznie usługiwał ludziom, trzymając agresję na wodzy. Tak bardzo pragnął choć raz dać się porwać instynktom, zamienić w prawdziwą bestię.

Następne dwie godziny smok spędził, krążąc jak szalony wokół inwazyjnej floty. Jego dwaj bracia zajęli się utrzymaniem blokady hiperprzestrzeni, tak na wszelki wypadek, gdyby Ziemianie jednak coś knuli. Najmłodszy z całej trójki, Jacek, nie miał do tego głowy, był zbyt niecierpliwy. Zajął się węszeniem w okolicy okrętów, uparcie starając się znaleźć słaby punkt w najnowszych, nieprzepuszczalnych tarczach.

Wreszcie coś zauważył, zupełnie przypadkiem. Jego uwagę przyciągnęły otwarte na oścież włazy portowe wielkich pancerników podążających za formacją bojową. Przypomniawszy sobie, że dotychczas otwierały się tylko na „Wyrwiślońcu”, gdy z jego pokładu startował statek z posłem. Nie zastanawiając się ani chwili, smok podpłynął

najbliżej jak się dało do tarczy. Smakował przestrzeń, szukając najmniejszych śladów, czegokolwiek mogącego świadczyć, że z któregoś pancernika wystartował statek okryty kamuflażem. Smugę termiczną znalazł prawie natychmiast. Aż zawył z radości, łapiąc trop. Pognał za nim, kursem prowadzącym gdzieś na obrzeża mgławicy.

Z każdym kilometrem ślad był coraz mocniejszy, aż po chwili smok ujrzał niewielką jednostkę zwiadowczą. Jacka poniosło. Poczł zapach ludzkiej krwi, samotnego człowieka za sterami maszyny, poczuł wroga. Ryknął, aż przestrzeń wokół się spieniła, uderzając falami anomalii w burtę pojazdu. Stateczek obrócił się, gwałtownie zmieniając kurs. Jacek ustawił się przed jego dziobem, chcąc wniknąć do środka i zabić pilota, poczuć jego śmierć. Zastanawiał się chwilę, jak to zrobić. Każde psychokinetyczne oddziaływanie na materię kosztowało go sporo sił, a jeśli smok szybko się wyczerpie, Leża automatycznie go odłączy. Jacek nie darowałby sobie, gdyby przez to stracił porządną bitkę. Tego samotnego pilota trzeba zlikwidować jak najmniejszym wysiłkiem. Może wytworzyć silne pole elektromagnetyczne w jego głowie i usmażyć mu mózg? Smok skoncentrował się na Wrogu.

Lodowate uderzenie było jak cios w plecy. Smok nie siedział nawet, z której strony jest atakowany. Była tylko czerń wlewająca się morzem w smoczy umysł, wypełniająca go pustką śmierci. Miał wrażenie, że czas wokół niego zwalnia, światła gwiazd migoczą i znikają. Zadrzał z przerażenia, tak bardzo nie chciał umierać. Resztką sił szarpnął się rozpaczliwie. I ujrzał wroga.

To była cała setnia desantowych jednostek. Okręty, przypominające krople okryte kamuflażem czerni, otaczały smoka ciasnym pierścieniem. Samotny zwiadowca był tylko wabikiem mającym wciągnąć gada w pułapkę. Zmusić do manifestacji, ukazania się z Bezmiarów, tak, by można było go obezwładnić i zniszczyć. Jacek zrozumiał to w jednej chwili. Mały statek leciał za zakamuflowaną setką małych okrętów, by w razie czego zdemaskować i unieszkodliwić pościg. Desantowe statki były w trakcie misji, pewnie miały za zadanie podlecieć do „Najjaśniejszej” z innego kierunku niż zbliżająca się armada i niepostrzeżenie zrzucić desant.

Smok ryknął i rzucił się do ucieczki, szarpnął się, formułując rozpaczliwy meldunek. Czuł potworny, lodowaty ból. Miał wrażenie, że zapada w ciemność, roztapia się w niej, znika. Uzbrojone w śmiercionośne tarcze stazy krople czerni znów go dopadły. Ostatkiem sił wyartykułował myśl i zapadł w otchłań.

W Smoczych Leżach włączył się alarm. Pełniący dyżur technokinetyk natychmiast zlokalizował awarię i odłączył zdefektowany mózg. Kolejny smok się przeciążył, ostatnio zdarzało się to coraz częściej. Mężczyzna włączył pompę tłoczącą biowspomaganie mające utrzymać rannego przy życiu. Zagryzł wargi, w myślach modląc się, by bestia nie padła w czasie jego zmiany. Pani osobiście rozkazała, by otoczyć gady szczególną opieką – żadnemu nic się nie może stać. Nie teraz. Śmierć każdego ze smoków będzie szczegółowo badana przez służbę bezpieczeństwa. Lepiej nie mieć

z nią do czynienia. Mężczyzna uruchomił ratunkowy system medyczny, który natychmiast podjął reanimację gasnącego umysłu. Mimo ciężkiego stanu gad wykazywał jeszcze nadmierną aktywność, próbując przekazać do systemu jakiś meldunek. O nie! Przeniesienie wiadomości w takim stanie, to zbyt duży wysiłek. Mógł smokowi grozić śmiercią. Technokinetyk natychmiast włączył pompy z neuroleptykiem, by uspić mózg. Wstrzymał oddech, czekając na reakcję. Uff, udało się, gad pogrążył się w letargu. Mężczyzna westchnął ciężko i spojrzał na portret pani kapitan wiszący w dyspozytorni. Lepiej nie sprawić jej zawodu.

*

Musiałam wymierzyć w drzwi kilka mocnych kopniaków, aby lokator raczył się obudzić. Wreszcie odblokował wejście i wpuścił mnie do środka. Wyglądał okropnie. Usiadł ciężko na łóżku i westchnął. Smród wody poczułam z kilku metrów. Bruno w tradycyjny wojskowy sposób zalewał smutki i rozterki. Pewnie chlał przez tydzień bez przerwy, przynajmniej tak mogłam wywnioskować, patrząc w jego przekrwione, na poły obłąkane oczy. Ubrany w wymiętą, przepoconą koszulkę, z zarośniętą gębą, sprawiał wrażenie degenerata, jednej z najgorszych szumowin wprost z obozu emigrantów.

– Coś ty z sobą zrobił, chłopie? – mruknełam, przestępując przez śmieci walające się po podłodze. – I to wszystko przez babę? Stary

wojak, weteran, a pierwsza ślicznotka owija go sobie wokół palca.

– Nie piernicz, Xiu – zachrypiał. – Wiesz, że użyła mnie jak zabawki. Otepiła, porażając mój umysł hiperprzestrzenną anomalią, zamieniła w śliniącego się idiotę i najzwyczajniej wykorzystwała. To wszystko. Nie ma o czym gadać.

– No to co tak siedzisz? Dlaczego nie jesteś na służbie?

– Erin nie potrzebuje opiekuna. Ostatni miesiąc siedział non stop w Bezmiarach, a teraz leży w szpitalu – westchnął. – Pani zdecydowała, że na czas całego zamieszania psychotroni mają być pilnowani przez jej gwardię. Przy łóżku Erina czuwa czterech wymuskanych gogusiów uzbrojonych po zęby. Jestem bezrobotny.

– I to niby dlatego próbujesz zapić się na śmierć? Bruno spojrział na mnie rozbieganym wzrokiem.

Jego paskudna gęba wykrzywiła się w dziwnym grymasie. Chyba tak okazywał smutek.

– Ona ciągle mi się śni – powiedział drżącym głosem. – Nie mogę uwolnić się od jej obrazu. Kuracja psycholeptyczna nie pomogła. Ja ją naprawdę kocham, Xiu. Na wszystkie cholerne Żelaźniaki, kocham przeklętego upiora, który nawet nie jest człowiekiem.

Usiadłam obok niego na łóżku. Musiałam unieść głowę, by popatrzeć mu w oczy. Wzięłam go za wielkie łapsko i zaczęłam gładzić uspokajająco, niczym dziecko.

– Przykro mi, Bruno – powiedziałam. – Serce nie sługa, nic na to nie poradzisz. Postaraj się jednak wziąć w garść. Potrzebuję twojej pomocy.

Spojrzał na mnie pytająco.

– Chcę, by ta twoja ukochana wzięła udział w akcji uwolnienia Ewy – powiedziałam bez ogródek. – Muszę ją przekonać, przekabacić na naszą stronę. Potrzebuję do tego kogoś, komu ta kobieta ufa, a przynajmniej do kogo czuje coś pozytywnego. Próbowwała uratować ci życie, poświęcając swoje. Jesteś jedyną osobą na „Najjaśniejszej”, z którą Agana jest związana. Choć ze mną do labu, w którym ją trzymają. Musisz mi pomóc.

Czułam, jak ręka Brunona zadrżała. Cofnął ją i zwinął w pięść.

– Próbuję się od niej uwolnić, a ty żądasz, żebym poszedł z nią porozmawiać? Może zabierzemy ją do cafeterii i pogadamy przy ciastku i cappuccino? Czyś ty oszalała, dziewczyno? To wytwór chorych naukowców z IronHeart, poroniony eksperyment z wykorzystaniem technologii obcych. Nie sądzę, by dało się z nią paktować.

– Nie wkurzaj mnie, do cholery! – Poderwałam się na równe nogi. – Muszę spróbować, a ty, przeklęty pijaku, musisz mi pomóc. Nie mam tu nikogo bliskiego, nikogo, komu mogłabym ufać! A chcę odzyskać Ewę. Muszę spróbować, rozumiesz?! Zamierzam wyrwać to dziecko z łap Ziemian, choćby zakrawało to na szaleństwo. – Złapałam go za ramiona, chcąc nim potrząsnąć, ale wyglądało to tak, jakbym próbowała poruszyć górę. – Jesteś jedynym moim kumplem na tym okręcie. Do kogo mam zwrócić się o pomoc, jak nie do ciebie?

Bruno wstał, wyraźnie zmieszany. Niezdarnie próbował wytrzeć koszulkę z plam tłuszczu i Żelaźniak wie czego jeszcze, zanim

podciągnął spodnie.

– Już dobrze, Xiu – bąknął. – Oczywiście, że możesz na mnie polegać. Zawsze mogłaś. Nawet gdy byłem opętany, nie potrafiłbym zrobić ci krzywdy. Pomogę, pewnie. Już się zbieram.

Zachwiał się, niemal waląc na podłogę. Z trudem odzyskał równowagę. Spojrzałam na niego spode łba. Znaczącym gestem wskazałam łazienkę. Poszedł tam bez słowa, jak skarcony chłopiec. Po chwili usłyszałam szum prysznic. Z pewnością zimnego i to bardzo.

– Można wiedzieć, po co nam pomoc Agany? – ryknął z łazienki.

– Nam?

– Wchodzę w to. Cokolwiek wymyśliłaś, biorę w tym udział. Przydałaby mi się wreszcie porządna rozróżba. No to powiesz, do czego przyda nam się Agana?

– Chcę wdrzeć się na pokład „Wyrwiskońca” i odbić młodą! – wydarłam się i od razu zrobiło mi się głupio.

Zabrzmiało to dość absurdalnie. Dostać się na okręt flagowy Ziemiań, wielki pancernik rojący się od żołnierzy, a potem odszukać i odbić najcenniejszy, najpilniej strzeżony skarb na pokładzie.

Woda przestała lecieć. Po chwili Bruno wszedł do pokoju, wycierając się brudnym jak nieszczęście ręcznikiem. Spojrzył na mnie makabrycznie przekrwionymi oczyma.

– Gdy będziemy na pokładzie „Wyrwiskońca” i zamkną się tarcze stazy, nie będziemy mogli liczyć na pomoc psychotronów i ich smoków – wyjaśniłam. – Będę potrzebowała Agany, by znalazła

i wskazała nam drogę do Evy. Sam mówiłeś, że stworzono ją, żeby była superagentem. Naukowcy z „Najjaśniejszej” twierdzą, że jest bytem na stałe związanym z hiperprzestrzenią. Jakby duchem wpisanym w czasoprzestrzeń. Może fizycznie znikać, przechodząc na tamtą stronę, zupełnie jak Shao. Bardzo nam się przyda na terenie wroga.

Bruno pokiwał głową ze zrozumieniem, choć może tylko mi się wydawało, bo jego tępa gęba właściwie nigdy nie odzwierciedlała jakichkolwiek myśli.

Sięgnął do szafy, szukając w miarę czystych ciuchów. Znow nim zarzuciło, że omal się nie przewrócił.

– Muszę walnąć jakiegoś klina – jęknął.

Bez słowa wyciągnęłam z kieszeni manierkę z mocną wódką zmieszaną z gunflainą. Bruno przyjął ją z paskudnym uśmiechem i pociągnął tęgiego łyka. Chuchnął i jęknął z rozkoszą. Substancja rozpuszczona w alkoholu miała silnie pobudzające działanie, jednocześnie przeciwbólowe i wywołujące łagodną euforię. Jednym słowem, Bruno prawie natychmiast poczuł się lepiej.

Pomaszerowaliśmy do stacji kolejki magnetycznej. Kolejką można było błyskawicznie przemieszczać się po okręcie mającym w najszerszym miejscu ponad cztery tysiące kilometrów średnicy. Smocze Leża znajdowały się w jednej z robotniczych warstw znajdujących się stosunkowo blisko powierzchni. Od warstwy naukowej, gdzie trzymano Aganę, dzieliło nas półtora tysiąca kilometrów.

Staliśmy na przestronnym peronie, czekając na kolejkę docierającą aż tak głęboko. Hala dworca zbudowana była z typowym dla „Najjaśniejszej” rozmachem i przepychem. Wykonano ją ze spieku imitującego czerwony marmur. Właściwie wcale bym się nie zdziwiła, gdyby to jednak był prawdziwy minerał sprowadzony tu z drugiego końca Galaktyki. Pod sufitem wisiały absurdalnie wielkie, kryształowe żyrandole, a na centralnym miejscu stał posąg pani kapitan. Wznosił się na kilkanaście metrów, głową sięgając sklepienia dworca. Wykonany został w całości z matowego, czarnego metalu, prócz maski błyszczącej polerowanym złotem. Pani surowym wzrokiem patrzyła na kłębiący się tłum podróżnych. Jej obecność była tu nieomal fizycznie wyczuwalna. Gdzie się obrócić, wszędzie wisiały jej portrety, ze wszystkich stron człowieka przeszywało lodowate spojrzenie złotych oczu. Można zwariować. Wszystko tu zdawało się mówić: uważaj, Najjaśniejsza patrzy.

Na peronie roiło się od ludzi w mundurach i uzbrojonych cywilów z opaskami straży obywatelskiej. Ja także paradowałam w oliwkowym kombinezonie ze srebrnym słońcem na pagonach – oznaką młodszego oficera.

Czekaliśmy blisko godzinę, w tym czasie odjechało kilka kolejek, do jednej załadował się pododdział konwojujący aresztowanych. Pewnie podejrzanych o współpracę z Ziemią, dezercję, spekulację, szabrownictwo lub inne zbrodnie wojenne. Zgodnie z rozkazem Pani, każde takie przestępstwo karane było śmiercią. Zaskoczyła mnie nieco taka bezwzględność i okrucieństwo Kaili, ale chyba wiedziała, co

robi, w końcu to ona tu rządziła.

Wreszcie nadjechała kolejka i z prędkością większą od prędkości dźwięku pomknęliśmy w głąb statku. Bruno tradycyjnie nie był zbyt gadatliwy, całą drogę siedział bez ruchu, tępym wzrokiem gapiąc się w ścianę.

Nim minęła godzina, znaleźliśmy się na miejscu. Warstwa laboratoriów błyszczała sterylną czystością. Szerokie korytarze lśniły bielą i zaskakiwały nietypową dla reszty okrętu wręcz ascetyczną prostotą. Nie obyło się oczywiście bez barokowych kolumn i portali z białego kamienia zdobiących wejścia do poszczególnych labów, ale i tak było tu zdecydowanie skromniej niż w warstwach robotniczych. Posągi i portrety pani kapitan zastępowały tu płaskorzeźby przedstawiające doskonale symetryczną, piękną, choć lodowato zimną twarz.

Po drodze przeszliśmy przez trzy kontrole. Służba bezpieczeństwa uwijała się jak w ukropie, szukając agentów wroga w każdej części okrętu. Na szczęście moje uprawnienia pozwalały nam poruszać się swobodnie bez konieczności tłumaczenia się każdemu napotkanemu szpicelowi.

Aganę, złapaną przez smoki w Bezmiarach, więziono w jednym z laboratoriów, gdzie miejscowi naukowcy próbowali dojść, czym właściwie jest i jak ją stworzono. Z ich punktu widzenia była niesłychanie ciekawym przypadkiem zastosowania nowoczesnej technologii hiperprzestrzennej. Trzymano ją teraz w celi otoczonej polem energetycznym o wielkiej mocy. To wystarczyło, by ją

unieruchomić, nie pozwalając przeniknąć do hiperprzestrzeni. Cella dodatkowo była ekranowana elektromagnetycznie, by powstrzymać fatalne efekty anomalii, których była źródłem. Agana, znajdując się nawet poza hiperprzestrzenią, wywoływała wyjątkowo paskudne drgania.

Korzystając ze specjalnych uprawnień, rozkazałam technikowi pilnującemu dziewczyny wynieść się precz, a nas wpuścić do celi. Zdziwił się nieco, że zamierzamy bez zabezpieczenia wejść do strefy anomalii, ale zrobił, co kazałam.

Niewielkie pomieszczenie miało ściany naszpikowane czujnikami i detektorami. Jak tylko drzwi zasunęły się za mną i Brunonem, poczułam metaliczny smak w ustach i żołądek podjechał mi do gardła. Zakręciło mi się w głowie, gdy ogarnęła mnie fala anomalii. Zacisnęłam powieki i potrząsnęłam głową. Światło zakrzywiało się na wzburzonej przestrzeni, powodując przykre dla oczu efekty. Niech ją cholera, ale paskudne zjawiska powodowała ta kobieta, i to samą tylko swoją obecnością... Stała przed nami ubrana jedynie w białą, niemal przezroczystą suknię, z rękami opartymi o biodra. Trzeba przyznać, że była zjawiskową pięknnością, co prawda o niesamowicie jasnej karnacji, ale to tylko dodawało jej uroku. Patrzyła na mnie wyzywająco oczami czarnymi jak otchłań. Jej usta wykrzywiły się we wrogim grymasie. Bruno westchnął głośno, ale nie obdarzyła go nawet spojrzeniem. Wielkolud oparł się ciężko o ścianę. Nie sprawiał wrażenia cierpiącego z powodu anomalii wytwarzanych przez Aganę, na jego gębie malował się za to smutek.

– Jestem Xiu z Czarnego Słońca.

– Wiem, wiedźminko – odparła. – Tropiłam cię przez pół Galaktyki. Ta była moja pierwsza akcja. Wiem o tobie bardzo dużo.

– Mimo to jakoś się nie udało.

– Niewiele brakowało. – Uśmiechnęła się nieznacznie. – Czego chcesz?

Właściwie nie miałam planu na poprowadzenie tej rozmowy. Liczyłam, że obecność Brunona jakoś pomoże, ale Agana nie zwracała na niego uwagi. Była zaskakująco konkretna, myślałam, że będzie kręciła i zwodziła, a tu proszę. Nie miałam innego wyjścia, jak od razu przejść do rzeczy.

– Mam dla ciebie propozycję – powiedziałam. – Weźmiesz udział w jednej akcji, a jeśli się sprawisz, zwrócę ci wolność.

– Chcesz, bym zabijała dla ciebie? Tak po prostu? Jedna akcja, a potem do widzenia? – Przechyliła głowę.

– Pomożesz mi uwolnić Evę z łap Ziemian. Potem pozwolę ci odejść.

– Skąd wiesz, że jeśli odnajdę dziewczynkę, sama jej nie uprowadzę? To, co potrafi, jest bezcenne. Gdybym nauczyła się tego samego, stałabym się niesłuchanie potężna. I mogłabym znowu być prawdziwym człowiekiem. Mogłabym wreszcie zapanować nad energiami hiperprzestrzeni.

Pokręciłam głową.

– Czy uwierzyłabyś, jeśli bym cię zapewniła, że Eva nie jest tym, czym się wydaje Ziemianom i Korporacji? – odpowiedziałam

pytaniem. – Nie przekaze nikomu swoich umiejetności, nie nauczy innych, jak czerpac energie z hiperprzestrzeni i swobodnie, bez efektów ubocznych ją przetwarzac.

– Jeśli tak jest, to dlaczego ściga ją cała potęga Ziemi?

– Naukowcy z Korporacji IronHeart wyciągnęli mylne wnioski. Wydaje im się, że Eva jest kluczem do panowania nad niewyczerpanym źródłem energii. A ona jest tylko przekaźnikiem, nie źródłem, a jego ujściem. Istota, która czerpie energię ze struktury czasoprzestrzeni, jest nieosiągalna i nie można nad nią zapanować. Ziemianom i Korporacji wydaje się, że z dziewczynki można wyciągnąć bezcenne informacje o obcej technologii, sekrety panowania nad psychokinetyką. Mylą się, ona nie włada jakimiś boskimi supermocami, jest raczej ich ofiarą.

– Dlaczego ci zatem tak na niej zależy?

– Jest dla mnie jak córka – odparłam. – Kocham ją.

Agana zmierzyła mnie wzrokiem. Milczała długo.

Myślałam, że za chwilę wpadnę w czarne otchłanie jej oczu. Kręciło mi się w głowie. Czułam, jak krew odpływa mi z twarzy, jeszcze trochę i zemdleję. Wzięłam kilka głębokich wdechów, starając się zapanować nad ciałem.

– Dziękuję, że próbowałaś uratować mi życie – niespodziewanie odezwał się Bruno. – Wiem, że byłem tylko narzędziem w twoich rękach, że nic dla ciebie nie znaczę. Zawiodłem...

– Daj spokój, to moja wina – mruknęła. – Poniosło mnie i jak ostatnia idiotka zmusiłam cię do samobójczej akcji. Do tej pory mi

głupio. Cieszę się, że przeżyłeś.

Agana zmrużyła oczy, znowu spoglądając groźnie na mnie.

– Po co go tu przyprowadziłaś? Wiesz, że mam do niego słabość, chcesz mną manipulować przy pomocy tego faceta?

Wstałam z krzesła.

– Miałam nadzieję, że w razie czego cię przekona – odparłam. – Bruno też weźmie udział w akcji. Chciałam, by był obecny przy rozmowie.

Agana zbliżyła się, zatrzymując jakieś trzy kroki przede mną. Mimo wykręcających mi trzewia anomalii, poczułam jej zapach, niezwykle przyjemny i zmysłowy. Natychmiast zrobiło mi się dziwnie gorąco. Co zatem musiał przeżywać w jej towarzystwie mężczyzna, który bezboleśnie znosi fatalne efekty jej oddziaływania na czasoprzestrzeń? Nic dziwnego, że Bruno całkiem stracił głowę.

– Powiedzmy, że się zgodzę – powiedziała Agana. – Skąd wiesz, że natychmiast nie zwieję, gdy tylko wyłączą pole otaczające celę? Jak już dam nogę, nawet smoki mnie nie znajdą.

– Nic z tego. – Pokręciłam głową. – Któryś ze smoków stale będzie cię miał na oku, nigdzie nie uciekniesz.

W jej oczach błysnęła złość.

– Aha, jasne! A po robocie znów zostanę uwięziona!

– Musisz mi zaufać – powiedziałam spokojnie. – Albo będziesz współpracować, albo tutaj zostaniesz. Naukowcy tylko czekają na pozwolenie przeprowadzenia bardziej wnikliwych badań. Zrobią ci wiwisekcję i poddadzą takim eksperymentom, że pożałujesz, iż

w ogóle została stworzona. – Uśmiechnęłam się złośliwie. – To, że jeszcze się do ciebie nie dobrali, zawdzięczasz tylko mnie. Użyłam mocnych wpływów, by trzymać ich z daleka. No, nie krzyw się tak, złość piękności szkodzi. Ja też będę musiała ci zaufać. Na pokładzie wrogiego okrętu nasze życie będzie w twoich rękach. Na razie mogę jedynie ręczyć słowem, że natychmiast po akcji będziesz wolna. Taki układ, ty mi pomagasz, a w zamian dostajesz wolność.

Agana patrzyła na mnie teraz jak szykująca się do ataku bestia. Zaraz jednak splotła ręce na piersi, stając w lekkim rozkroku.

– Straszysz torturami? Nie rozśmieszaj mnie, Xiu! – Jej głos drżał lekko od emocji. – Sprzedano mnie Korporacji IronHeart, gdy tylko dojrzałam – mówiła dalej. – Trafiłam na stół operacyjny, gdzie pierwszy raz zobaczyłam swojego oprawcę, profesora Bierdajewa.

Pochylał się nade mną ze skalpelem w ręku. Takim tradycyjnym, o stalowym ostrzu. Zabijał mnie przez długie godziny, zdawało mi się, że trwające wieczność. Był kompletnym szaleńcem. Modlił się do pogańskich bogów, pił moją krew, wypowiadał okultystyczne zaklęcia. Nawet nie wiem, jak udało mu się połączyć mnie z Inkluzją wydobytą z trzewi Czarnego Słońca. Skurwysyn. Zabił mnie i zamienił w przeklętą anomalie. Upiora wegetującego na granicy między rzeczywistością a hiperprzestrzenią. Uparł się, by osobiście poprowadzić mnie w pierwszej akcji. Razem z komandosami z Ziemi znalazł się na „Najjaśniejszej”. Zmuszał mnie tu do takich rzeczy, że rzygać mi się chce na samo ich wspomnienie. Porwania, torturowanie i zabijanie ludzi, by wyciągnąć gównie wartościowe informacje. Całe moje

życie to jedna wielka męka i tortura. Nigdy więcej mnie nie strasz, Xiu. Nigdy.

Nie odezwałam się, tylko skinęłam głową. Bruno zaszlochał, kątem oka zobaczyłam, że ociera łzy.

– Zgadzam się – niespodziewanie oznajmiła dziewczyna. – Pójdę z wami i będę zabijać Ziemian. Znajdę tę twoją małą, choćbym miała wleźć do samego piekła. Niech moja przeklęta egzystencja wreszcie na coś się przyda.

A jednak! Całe szczęście, że się zdecydowała, bo jeszcze chwila i padłabym nieprzytomna. Nie zdążyłam nic jej odpowiedzieć, bo w tej samej chwili rozległ się alarm w moim interkomie przypiętym do nadgarstka. Czerwony alarm w czasie stanu wyjątkowego mógł świadczyć tylko o jednym, „Najjaśniejsza” została zaatakowana.

– Zaczęło się – powiedziałam. – Być może nadeszła pora, by spróbować. Bruno, zostaniesz tu z nią. Wyciągnę tylko od Pani pozwolenie na akcję i ruszamy. Już pora.

Czarne krople spadły na powierzchnię „Najjaśniejszej” niczym śmiercionośny deszcz. Niewielkie desantowe statki wyłączyły tarcze i maskowanie tuż przed uderzeniem w pancierz wielkiego okrętu, nie dając szans systemom ochronnym. Lokalny operator zespołu dział ujrział tylko charakterystyczne sylwetki statków, które pędziły w jego stronę niczym rój meteorów. Zdażył uruchomić alarm, gdy wróg otworzył ogień. Fotonowa torpeda trafiła w baterię dział, zamieniając ją w kulę białego ognia. Wybuch zmiotł też stanowisko operatora i wdarł się w korytarze techniczne, wysysając z nich powietrze. Do

kompleksu magazynowego, gdzie składowano surowe materiały złowione w mgławicy, wdarła się próżnia, ryknęły alarmy, a z sufitów wysunęły się stalowe kurtyny grodzi odcinających rozhermetyzowany obszar.

Torpedy uderzyły też w śluzę portowe, wyrywając w nich kilkunastometrowe dziury. Konstrukcja wrót nie wytrzymała wstrząsów i zapadła się, uderzając w doki. W porcie rozpętało się piekło. Fragmenty śluz, wirując, spadły na magnetyczne pierścienie blokujące kadłuby drobnicowców, zamieniając je w tony pogiętego żelastwa.

Krople wleciały do środka, lądując wśród pogruchootanych „Pluskiew”. Natychmiast otworzyły się luki desantowe w statkach najeźdźców i wysypały się z nich setki żołnierzy. Ubrani w czarne pancerze bitewne komandosi pędzili, nie zważając na płonące, zniszczone drobnicowce, ryk alarmów i powietrze, które istnym huraganem uciekało w pustkę przez zniszczoną śluzę.

Ochrona portu, licząca kilku strażników, zablokowała tylko wrota budynku i rzuciła się do ucieczki razem z resztą personelu. Brama z ceramicznie wzmocnionej stali nie zatrzymała wroga ani przez chwilę. Trzech żołnierzy w biegu odpaliło w nią kilka fotonowych pocisków z ciężkich miotaczy. W białym błysku wrota stopiły się, jakby były z cienkiej blachy. Port padł niebroniony w ciągu dwóch minut od zrzucenia desantu.

Desantowcy wdarli się do głównego korytarza, pędząc nim wprost do stacji kolejki magnetycznej. Obsługujący ją technicy nie mieli

czasu na ewakuację. Żaden z nich nawet nie odpiął się od systemu, gdy do centralki wpadło kilku zakutych w czarne zbroje komandosów. Ani jeden technik nie odważył się nawet drgnąć, gdy do ich głów przystawiono lufy karabinów.

Pododdział uderzeniowy zajął stację, zanim na „Najjaśniejszej” ogłoszono alarm. Żołnierze Ziemi mieli otwartą drogę w głąb okrętu. Ich dowódca nie wahał się ani chwili, doskonale wiedział, gdzie ma zaatakować. Pierwsza drużyna wbiegła do wagoników kolejki w minutę po zajęciu stacji. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Jeśli nic go nie zakłóci, w ciągu godziny Najjaśniejsza miała zostać rzucona na kolana.

*

Konwent kapitanów Przymierza odbywał się na „Smyku”, okręcie o rozmiarach zbliżonych do „Najjaśniejszej”.

Dowódcy zebrali się w sali audiencyjnej, zasiadając wokół wielkiego, okrągłego stołu. Kaila zauważyła, że jego blat odlano z platyny przetykanej złotymi smugami. Ponad głowami kapitanów unosił się trójwymiarowy model mgławicy, obracając się powoli i świecąc miniaturowymi protogwiazdami. To były jedyne ozdoby w tym pomieszczeniu. Kapitan „Smyka” nie starał się nadmiernie epatować bogactwem, uważając je za popisy w złym guście. Jego Pałac wyglądał bardzo skromnie w porównaniu z siedzibą Najjaśniejszej, a już w zestawieniu z ogrodami Marduka czy Pałacem

Viktorii wręcz uderzał minimalizmem i prostotą.

Kaila nie przepadała za typowym w Przymierzu rozpasaniem i skłonnością kapitanów do popisywania się bogactwem, ale gdy piętnaście lat temu stała się jedną z nich, niczego na swoim okręcie nie zmieniła. Zostawiła styl stworzony przez jej prababkę, z czasów narodzin Przymierza i początków „Najjaśniejszej”. Była czwartą w kolejności władczynią okrętu i jak jej poprzedniczki postanowiła utrzymać ciągłość zarówno w sposobie sprawowania władzy, jak i wszystkich związanych z nią aspektów. Począwszy od samej kreacji postaci, aż do stylu architektonicznego, według którego rozbudowywano i zdobiono pokład „Najjaśniejszej”. Tak samo czyniła większość kapitanów Przymierza. Każdy z nich oficjalnie tytułowany był nazwą okrętu i na swoim statku sprawował despotyczną władzę, do tego ukrywał się za maską i rytuałami, otaczając nimbem boskości. Wiekowa tradycja, znakomicie pomagająca utrzymać silną władzę, jak dotychczas świetnie się sprawdzała.

Pani kapitan popatrzyła kolejno w nieruchome maski piętnastu dowódców siedzących razem z nią przy stole. W tej chwili przemawiał Cynowy Karzeł, krępy mężczyzna zakuty w kanciąstą, archaiczną zbroję i w hełmie z opuszczoną przyłbicą. Przemawiający jako jedyny stał, opierając się dłońmi w metalowych rękawicach o blat stołu. Kaila już od dłuższego czasu nie słuchała jego długiej i monotonnej oracji. Był jej głównym politycznym przeciwnikiem, stale rywalizującym o przewodnictwo w Przymierzu. Teraz

oczywiście był zdecydowanie przeciwny otwartemu konfliktowi z Ziemią i przekonywał do jego natychmiastowego zażegnania. Roztaczał wizje straszliwej zagłady i klęski Przymierza. Straszył pozostałych kapitanów utratą władzy i rychłą śmiercią. Kaila ziewnęła pod złotą maską. Nudziarz coraz bardziej grał jej na nerwach.

Obok Karła siedział potężny Marduk, ubrany w powłóczystą szatę i z maską przedstawiającą brodate oblicze starobabilońskiego boga. Jego masywna sylwetka kontrastowała z Dzwoneczkiem, ślicznotką o filigranowej figurze, z maską przedstawiającą uśmiechniętą łagodnie twarz młodej dziewczyny. Dalej siedział szczupły, wysoki mężczyzna w obcisłym stroju, z maską o ostrych, ptasich rysach. Najszybszy był jednym ze stronników Kaili, tak jak pozostała dwójka. Inni kapitanowie byli bardziej wyrachowani i opowiadali się po tej stronie, po której akurat było im wygodnie. Najjaśniejsza szczególnie musiała się liczyć z chorobliwie otyłą Viktorią, ubraną w ogromną, złotą suknię i z absurdalną peruką na głowie oraz z drobnym Pływakiem o skośnych oczach. Ta dwójka miała spory wpływ na resztę, ich okręty były największe i najbogatsze. Sporo zależało od tego, po której stronie się opowiedzą. Większość kapitanów ulegnie ich woli. Kaila starała się zapamiętać, by zwracać się głównie do nich, gdy już będzie miała głos.

– Po co to wszystko, spytacie? O co cała awantura? – Karzeł przemawiał dalej. – O dziesięcioletnią dziewczynkę, którą Najjaśniejsza podejrzewa, podkreślam – tylko podejrzewa – o posiadanie jakiejś niesłychanej mocy. Mami nas bajaniem o potędze,

którą to cudowne dziecko może nam zapewnić. Kilkakrotnie prosiłem o dowody. O jakiegokolwiek badania i pomiary, raporty technokinetyków, cokolwiek, co mogłoby świadczyć o faktycznie wysokim prawdopodobieństwie, że gra jest warta świeczki. Co dostałem, spytacie? Nic. Ani słowa. A teraz Najjaśniejsza wciąga nas w ten konflikt, byle znów popisać się przed całą Galaktyką. Jesteście ciekawi, po co? Powiem wam. Chce osiągnąć propagandowy sukces, zasłynąć jako przywódczyni, która raz po raz rzuca Ziemię na kolana. Chce zdobyć poparcie wszystkich wolnych światów, stanąć na ich czele. Zanim się obejrzymy, zrobi sobie z Przymierza prywatne imperium. Pod bokiem rośnie nam mała tyranka, niedorobiona despotka, śniąca o władzy nad Galaktyką.

– Dość! – Smyk poderwał się z fotela. – Jak śmiesz, Karle? Nie pozwolę, by na moim pokładzie był obrażany majestat któregokolwiek kapitana! Radzę ci, panuj nad sobą i uważaj na słowa. Najjaśniejsza jest szanowanym dowódcą, który nigdy nie splamił honoru Przymierza. Nie masz prawa mówić o niej w ten sposób!

Smyk miał jakieś półtora metra wzrostu i nosił ceramiczną maskę przedstawiającą poważną twarz dziecka.

Nie wyglądał jednak zbyt poważnie, a jego piskliwy głosik brzmiał dość komicznie. Lecz nikomu nie było do śmiechu, kapitan był równie groźnym dowódcą, jak każdy z obecnych na sali. Kaila uśmiechnęła się lekko. Wyglądało na to, że kapitan „Smyka” będzie ją wspierał. Pewnie chciał zrewanżować się za jej poparcie w swoich ryzykownych planach gospodarczych.

Rozejrzała się po sali. Nieruchome maski kapitanów oczywiście nie wyrażały emocji, dowódcy siedzieli bez ruchu zwróceniem w kierunku Karła i Smyka. Miodousta nerwowo bębniła palcami po blacie stołu, Tajfun rozparł się lekceważąco, jakby całe zamieszanie miał gdzieś. Jak ich przekonać do ewentualnego starcia z Ziemianami? W przypadku porażki ich potęga i suwerenność mogła lec w gruzach. Czy zgodzą się zaryzykować władzę, swoje okręty i życie obywateli w imię niepewnych obietnic?

Wstała, unosząc rękę w uspokajającym geście. Wszystkie maski zwróciły się na nią. Kłótnia dwóch kapitanów ucichła jak ucięta nożem. Mężczyźni usiedli, oddając głos Najjaśniejszej.

– Widzę, że większość z was po prostu we mnie wątpi. – Po sali przebiegł szmer. Dowódcy poruszyli się w fotelach. – Gdyby tak nie było, chyba nie słuchalibyście tak spokojnie bzdur wygłaszanych przez Cynowego Karła. Czy kiedykolwiek moje działania przyniosły szkodę Przymierzu? Czy kiedykolwiek działałam w waszym imieniu dla swojej prywaty? Czy próbowałam przejąć władzę, łamałam Przymierze?

Kaila zamilkła znacząco.

– Słyszeliście z pewnością o katastrofie Czarnego Słońca i tajemniczej przemianie, której uległo. Eva została odbita przez swoją obecną opiekunkę ze statku Korporacji IronHeart między innymi zajmującej się pracami nad technologią Obcych. Prawdopodobnie była poddawana eksperymentom związanym z psychokinetyką. Podejrzewa się, że była pośrednio odpowiedzialna za uwolnienie

mechanizmów drzemiących w zagadkowej, martwej gwiazdzie. Potwierdzili to moi psychotroni, którzy twierdzą, że dziewczynka jest niezwykłym źródłem energii. Wiadomo, że potrafi modyfikować tę energię i wpływać nią na materię i przestrzeń znacznie łatwiej niż zespół psychotronów. Do tego potrafi wykorzystywać energię ludzkich ciał i umysłów, ludzkich dusz. Wszystko to bez najmniejszych efektów ubocznych. To dziecko potrafi sto razy więcej niż całe moje siły psychotroniczne razem wzięte, wspierane przez kilkanaście soczewkujących, smoczycich umysłów. Rozumiecie? Ona bez żadnych szkód potrafi czerpać energię psychokinetyczną wprost z Bezmiarów. Normalne pozyskanie i użycie psychokinetyki jest dla nas niesłychanie kosztowne i trudne. Wszyscy jesteśmy ofiarami prób wykorzystania Bezmiarów, straciliśmy dwóch kapitanów próbujących mentalnie w nie wnikać. Zawdzięczamy swoją potęgę tej technologii, ale w porównaniu z możliwościami Ewy jesteśmy jak ślepcy we mgle. Jeśli uda nam się odzyskać to dziecko, możemy pozyskać wiedzę, jak opanować jej umiejętności. Jak dobrać się do nieskończonego źródła energii, którą można zmieniać oblicze świata. – Zawiesiła głos. – Spójrzcie na ziemską flotę, na kilkaset okrętów, które przyleciały tu tylko po to, by uprowadzić to dziecko. Chyba sama ich obecność jest wystarczającym dowodem, że mówię prawdę. Czy Ziemianie zaryzykowałiby otwartą wojnę, gdyby dziewczynka nie była warta tej stawki?

Kaila znów zamilkła, jakby czekając na odpowiedź na retoryczne pytanie. Kapitanowie oczywiście milczeli.

– Czy możemy odrzucić szansę na przejęcie niezwyklej technologii? Szansę zdobycia wiedzy, jak ostatecznie zapanować nad materią i czasoprzestrzenią? Nie rozumiecie, że jesteśmy o krok od zdobycia nieomal boskiej mocy? – Najjaśniejsza podniosła głos. – Cynowy Karle, odpowiedz! Czy mamy pozwolić, by Ziemianie sprzątnęli nam przed nosa klucz do niezwyklej potęgi? Czy mamy pozwolić im odlecieć, by sami mogli wykorzystać umiejętności Ewy i opierając się na nich, stworzyć imperium, któremu nic nie ulegnie? Czy mamy spokojnie czekać, aż znów tu przylecą, ale tym razem nie tylko wyposażeni w tarcze stazy, które zresztą stworzyli, opierając się na wiedzy zdobytej na Czarnym Słońcu, ale zdolni zagrozić nam w Bezmiarach i potrafiący zmieniać świat jedną myślą? Może od razu ugnijmy karki, zrzeknijmy się naszych swobód i wolności! Zostańmy kolejną kolonią imperium, kolejną udręczoną prowincją pracującą na panów z Ziemi! Tego chcesz?

Uśmiechnęła się pod maską złośliwie. Niemal czuła pot, który lał się pod cynową zbroją Karła. Rycerz wybełkotał coś, ale wreszcie kaszlnął i zamilkł.

– Głosujmy! – zażądała. – Kto jest za tym, by oddać Ziemianom dziecko i skazać się na pewną zagładę. A kto jest za tym, by walczyć. Głosujmy teraz!

Smyk wstał, by przeprowadzić głosowanie, którego wynik i tak był łatwy do przewidzenia. Kaila wiedziała, że zwyciężyła, wesprą ją wszystkie siły Przymierza. Wyczuła to, mimo nieruchomych masek i absolutnej ciszy, w jakiej siedzieli kapitanowie.

Wtem, ciągle wyprostowana, drgnęła wstrząśnięta fizycznym bólem. Przekrzywiła głowę, drżąc w gwałtownym ataku. Opanowała go jednak niemal natychmiast. Zacisnęła pięści.

– Ziemianie właśnie zaatakowali „Najjaśniejszą” – oznajmiła lodowatym tonem. – Muszę natychmiast wrócić na pokład. Liczę na waszą pomoc, bracia i siostry.

– Jesteśmy z tobą – oznajmił krótko Marduk, wstając z miejsca.

Kaila uśmiechnęła się nieznacznie. Żaden z kapitanów nie zaproponował, nawet Viktoria skinęła jej głową. Od tej chwili Kaila objęła przewodnictwo w Przymierzu. Będzie nim dowodzić w czasie wojny.

*

Erin załkał, trochę z paskudnego bólu przeszywającego nogę, trochę z przerażenia. Strach ścisnął go za gardło, utrudniając oddychanie. Nie pomagały też kłęby dymu wypełniające korytarz. Psychotron przeszedł nad leżącym ciałem. Zacisnął zęby, by nie zawyć. Cholerna kostka, chyba skrzył ją, skacząc przez okno szpitala. Mniejsza z tym, to i tak była jedyna szansa, by ująć z życiem. Wróg wpadł do środka, mordując kogo popadło, ale Erin domyślał się, że przybył tu specjalnie, by pozabijać psychotronów. Nieomal wszyscy znajdowali się w budynku, poddając się odnowie biologicznej, by jak najszybciej wrócić w Bezmiary.

Ziemscy żołnierze wystrzelali ochronę, a potem starli się z garstką

gwardzistów pilnujących psychów. Erin zbladł, przypominając sobie wściekły ostrzał szatkujący wnętrze szpitala. Wrogów było zbyt wielu i choć gwardziści stawali bardzo dzielnie, kładąc trupem niejednego desantowca w czarnym pancerzu, to i tak nie mieli szans. Erin wyskoczył przez okno w toalecie. Uciekł tylko dzięki kłębowi dymu, które dały mu chwilowy kamuflaż, i ogólnemu zamieszaniu w płonącym szpitalu.

Przystanął przy wyjściu z korytarza. Żołnierze wroga mogli być wszędzie. Szukają psychotronów, chcą zabić wszystkich. Musieli nadal mieć szpiegów na „Najjaśniejszej”, skoro wiedzieli, że cele ataku przebywają w szpitalu. Erin znów załkał z przerażenia. Właśnie dotarło do niego, że jest prawdopodobnie ostatnim psychem na okręcie. Odcięty od swojego smoka, bezbronnym.

Całe szczęście, że ubrany był w szpitalny szary kombinezon, na pierwszy rzut oka wyglądający jak zwykłe cywilne ubranie. W razie spotkania z wrogiem może się udać, żołnierze nie zabijali każdego. Wyraźnie wykonywali konkretne zadania. Zlikwidowali psychotronów i znikli. Erin bał się, że pewnie atakują Smocze Leża. Z pewnością chcą też zniszczyć smoki. Likwidując jednych i drugich, znacząco obniżali przewagę „Najjaśniejszej”, której pozostaną tylko siły konwencjonalne. Zresztą, mordując smoki, zwolnią blokadę i będą mogli znów otworzyć tunele. Zanim w okolicy znajdą się psychotroni z innych okrętów Przymierza, upłynie trochę czasu. Najeźdźcy wybrali doskonały moment do ataku, akurat gdy psychy były poza Bezmiarami, nie mogąc pomóc walczącym gwardzistom

i innym siłom „Najjaśniejszej”.

Erin wstrzymał oddech i wyjrzał z korytarza. Po hali snuł się dym. Powietrze przesycone było odorem spalenizny i krwi. Mężczyzna miał wrażenie, że wszędzie leżą trupy zarówno strażników, jak i zwykłych cywilów. Ogień wielkokalibrowych karabinów zerwał jedną z platform wiszących wysoko pod sklepieniem. Podest spadł na jedno z centrów handlowych, zmieniając okolicę w kłębowisko poskręcanej stali. Tuż obok płonęły magazyny, kłębami dymu całkiem zasłaniając widok na bramę Smoczych Leży. Psych zacisnął zęby i zmusił się do ruszenia dalej. Udało mu się dokuśtykać do ocalałej budy z tanim żarciem, która zdawała się dobrą osłoną. Kucnął, opierając się o ścianę. Noga bolała go coraz bardziej, ale nie zwracał na to uwagi. Odgłosy wystrzałów dobiegające z Leży, zawodzenie rannych, krzyki i płacz, wdzierały mu się w umysł, szarpały szponami przerażenia, i Erin zapragnął tylko zwinąć się w kłębek, zasłonić głowę rękoma i rozplakać się jak dziecko. Przełknął ślinę, walcząc ze sobą. Musi sprawdzić, co się dzieje z Jackiem, nie mógł porzucić smoka na pastwę wroga.

Brama Smoczych Leży została rozerwana. W skrzydle ział otwór, stalowe krawędzie wygięto do środka. Nie widać było żadnego ruchu, Ziemianie wewnątrz zapewne pacyfikowali obsługę. Erin zaklął cicho. Hamując mdłości, przeszedł nad zmasakrowanymi ciałami strażników. Słusznie podejrzewając, że przejście może być pilnowane przez wrogich żołnierzy, skierował się w bok, do niewielkiego budynku z biurem przepustek. Dyżurka też była posiekana pociskami,

ciała dwóch strażników leżały przy drzwiach. Erin wszedł na zaplecze, docierając do toalety. Bez wahania przesunął ścianę, otwierając tajne przejście. Wymykał się tedy przez długie lata służby, gdy główna brama bywała zamknięta, czy to z powodu protestów ludności, zamieszek, czy okrętowych świąt. Po chwili znalazł się w szatni sprzątaczy. Bez zastanowienia zdjął kombinezon i założył jeden z wiszących tu czarnych strojów służb porządkowych. Czym prędzej wyszedł na zewnątrz.

Znalazł się w jednym z technicznych korytarzy Leży. Szedł szybkim krokiem, nasłuchując uważnie. Już za pierwszym załomem natknął się na dwóch zabitych technokinetyków. Przystanął na chwilę. Obaj oberwali z bliska w klatki piersiowe. Erin znał ich obu, często z nimi pracował. Miał wrażenie, że zaraz zemdleje, ręce mu drżały, a serce waliło jak oszalałe. Stał dłuższą chwilę nad ciałami, aż usłyszał zbliżające się ciężkie, dudniące kroki. Wiedział już, że w Leżach wróg zabija każdego napotkanego, a ponieważ nie łudził się, że zdoła im uciec, po prostu padł na ziemię. Położył się twarzą w cieplej jeszcze kałuży krwi i wstrzymał oddech.

Żołnierzy było kilku. Przeszli obok, nawet nie zwalniając kroku. Ich czarne buciorzy zadudniły o metalową posadzkę kilka centymetrów od twarzy psychotrona. Erin z trudem się powstrzymał, by się nie odsunąć. Gdyby zwrócił na siebie uwagę, natychmiast dołączyłby do poległych.

Począł, aż odgłos kroków ucichnie i zerwał się na równe nogi. Z obrzydzeniem otarł krew z twarzy, tylko bardziej ją rozmazując.

Pokuśtykał do Leży. Wtoczył się do wielkiej hali, niemal wyjąc z rozpaczy. Spóźnił się.

Cylindryczna maszyna była dymiącą ruiną. Erin przypadł do barierki tarasu otaczającego pierścieniem halę z Leżami i wychylił się, patrząc w dół. Ozdobiony smoczymi ornamentami walec, w którego trzewiach spoczywały mózgi gadów, musiał zostać ostrzelany ciężką bronią. Eksplozje poszatkowały korpus i wyrwały go z obrotowego łoża. Cylinder przewrócił się, miażdżąc otaczające go magnetyczne pierścienie i leżał teraz na boku, kopiąc czarnym dymem. Mężczyzna patrzył na zniszczony, największy skarb „Najjaśniejszej”, zaciskając z całych sił pięści. Wreszcie drgnął i niczym w amoku ruszył biegiem w kierunku schodów.

Ziemian nie było widać, choć z korytarzy ciągle dobiegały strzały. Szczególnie głośno było w głównym przejściu prowadzącym do centrum dowodzenia technokinetycznego, gdzie pracowali operatorzy techniczni Leży. Chyba tylko tam jeszcze trwała rozpaczliwa obrona przed agresorem.

Erin potknął się o ciało jednego z technokinetyków. Zabity mężczyzna miał zasłaniający połowę twarzy moduł operacyjny. Może przed śmiercią sterował którymś z magazynowych lub naprawczych botów? Zaatakował nim agresorów i poległ w walce? Psychotron pochylił się nad zabitym i ostrożnie zdjął z jego głowy moduł. Bez zastanowienia sam go założył i ruszył dalej. Chciał ostatni raz nawiązać kontakt z leżem Jacka, pożegnać się z przyjacielem. Może jeszcze żył? Smok był dla niego najbliższą osobą, czuł się z nim

bardziej związany niż z Kailą.

System działał, widocznie Ziemianie jeszcze nie zdobyli i nie zniszczyli centrum technokinetycznego. Program natychmiast rozpoznał psycha i automatycznie go zalogował. Erin zażądał połączenia z leżem Jacka. Moduł częściowo zasłaniał twarz, a szczególnie jedno oko, na którym wyświetlał komunikaty. Przez parę chwil Erin widział tylko czerń. Zdążył w tym czasie zejść na najniższy poziom hali, gdzie leżał zdemolowany cylinder, w którym fizycznie spoczywały mózgi smoków.

– Niech mnie Bezmiary pochłoną, to ty, Erinie! – zadudniło w głowie psychotrona.

– Jacek! Żyjesz? – Mężczyzna aż drgnął z zaskoczenia.

– Żyję, ale co to za życie – mruknął smok. – Ziemianie skopali mi tyłek w Bezmiarach tak, że mało brakowało, a zwyczajnie bym wykorkował. Ale, paradoksalnie, to akurat uratowało mi życie. Technokinetyk napompował mnie różnymi świństwami i zapakował do ratunkowej komory medycznej. Dzięki temu przeżyłem zniszczenie Leży. Tylko co z tego? Do Bezmiarów nie wejdem, bo szlag trafił wspomaganie. Leża obsługiwane są przez system awaryjny. Dupa błada.

– Może niedługo wesprą nas psychotroni z innych okrętów Przymierza?

– Żartujesz? Te pataluchy nadają się co najwyżej do znakowania złóż i podglądania pańienek. Nigdy nie używali psychokinetyki w starciu z wrogiem, tylko my to robiliśmy. Jak tu dotrą, co najwyżej

mogą z powrotem założyć blokady Bezmiarów i tyle.

– No to jesteśmy jedynymi zdolnymi do walki, tylko że odciętymi od Bezmiarów – skwitował Erin.

Smok milczał przez chwilę.

– Możemy użyć soczewek psychokinetycznych i zaatakować ich w realu – odezwał się wreszcie.

– Jak? – zdumiał się Erin.

– Człowieku, mam tyle energii, że mogę zmaterializować tu coś naprawdę paskudnego! – ryknął smok. – Oczywiście pod warunkiem, że użyjemy wszystkich soczewek naraz. Innym smokom nie będą już potrzebne. Spróbuj je włączyć tym swoim modułem operacyjnym i skierować we mnie. Zrobimy coś w stylu tego czarnego płaszcza dla Najjaśniejszej, pamiętasz, wtedy w porcie, gdy nie miała przy sobie swojego przebrania. Wytworzę lokalnie anomalię.

– Ale ten płaszcz był tylko optycznym złudzeniem, niczym rzeczywistym. Jak chcesz mirażem zaszkodzić Ziemianom?

– Złudzeniem? – oburzył się smok. – Był obszarem przestrzeni całkowicie pochłaniającym światło. Czymś jak najbardziej rzeczywistym. Myślisz, że łatwo było zrobić coś takiego? Słuchaj. Chcę wytworzyć anomalię wokół ciebie, skupię się całkowicie na jej utrzymaniu, a ty nią pokierujesz. Spróbujmy powstrzymać Ziemian, nim zdobędą centrum i ostatecznie zniszczą Leża. Bez centrum nie wejdziemy w Bezmiary, a odbudowa może potrwać cholernie długo. Nie zniosę tego, że zostanę po prostu wyłączony z wojny. Jako jedyny przeżyłem i jestem winny moim braciom zemstę. Pomożesz mi czy

nie?

Psychotron w odpowiedzi znów wszedł w system, żądając awaryjnego dostępu do działających układów Leży. Program natychmiast je aktywował, otwierając Erinowi pełen dostęp. Soczewki, będące elektronicznymi układami mającymi wzmacniać moc psychokinetyczną smoków, odpowiedziały na rozkazy. Dziesięć sztuk nie zostało zniszczonych i było gotowych do akcji. Nigdy nie kierowano aż tyle w jeden umysł, groziło to jego całkowitym i natychmiastowym wypaleniem, ale nie było czasu się zastanawiać. Koszty korzystania z energii psychokinetycznej zawsze były wysokie i pociągały za sobą wyniszczenie organizmów, które w tym uczestniczyły. Wszyscy się z tym liczyli. Erin zatem nie wahał się długo, prawie natychmiast aktywował soczewki, kierując je w Jacka.

Psychotronem już po chwili szarpnęły drgawki, a wzrok przyćmił oszałamiający ból. Zacisnął powieki, oburącz łapiąc się za głowę i rozpaczliwie starając utrzymać się na nogach. Jacek ingerował bezpośrednio w ciało Erina, poddając je psychokinetycznej przemianie. Wytworzył wokół i wewnątrz człowieka hiperprzestrzenną anomalię, brutalnie ingerując w rzeczywistość. Mimo przyzwyczajenia do efektów ubocznych, psych nigdy jeszcze nie przeżył takich katuszy. Miał wrażenie, że krew mu się zagotowała, a skóra odłaziła płatami. Mięśnie i kości rwały się na strzępy, ciało wiło się i dygotało, szarpane silną anomalią. Wreszcie niespodziewanie wszystko ustało. Erina przestało boleć i minęły mdłości, za to roznosiła go trudna do opanowania energia. Ze zdumieniem

zorientował się, że od lat nie czuł się tak silny fizycznie. Otworzył oczy i wyprostował grzbiet. Przeciągnął się niczym kot, stalowymi pazurami rysując podłogę. Pazurami? Z oszołomieniem spojrzął na swoje łapy.

– Wybacz, nic innego nie przyszło mi do głowy – odezwał się Jacek. – Przebudowałem cię w moją personifikację. Często wyobrażam sobie, że naprawdę tak wyglądam. Dobra, szkoda czasu. Długo nie zdołam utrzymać tej przemiany, strumień energii powoli wypala mi mózg. Zresztą twoje ciało też długo nie znieśie przebywania w centrum stale odnawianej anomalii. Teraz nie czujesz bólu, ale podejrzewam, że jak się wszystko skończy, porządnie to odchorujesz.

Erin rozłożył czarne skrzydła i niepewnie nimi poruszył. Poczłwał gwałtowny przyływ energii i nowa część ciała mocno zatrzepotała. Kilka potężnych machnięć i psych unosił się w powietrzu. Jacek pomagał mu sterować nowym ciałem. Mężczyzna odbierał rosnącą agresję smoka jak swoją własną. Był oszołomiony, myśli plątały mu się, jakby w jego umyśle siedziała wściekła bestia. Anomalia i sprzężenie z Jackiem zlało się w jedno doznanie. Erin powoli tracił poczucie rzeczywistości.

– Lecimy. Ziemianie szturmują centrum, musimy ich powstrzymać, zanim zniszczą resztę sprzętu i wymordują całą załogę – zadudnił Jacek.

Pomknęli w górę, pod samo sklepienie Smoczyc Leży, i skierowali się w jeden z szerokich korytarzy. Pędzili nim jak pocisk.

Erin dał się porwać niezwykłemu poczuciu siły, czystej wściekłości i żądzy zabijania. Wciągnął powietrze w płuca i ryknął z całych sił. Akurat w chwili, gdy wlecieli do centrum.

Miejsce, gdzie znajdował się sprzęt technokinetyczny, umożliwiający mentalne przenikanie w hiperprzestrzeń i gdzie pracowali specjaliści od jego obsługi, było owalną budowlą zajmującą środek hali. Centrum, w czasach gdy ten sektor znajdował się jeszcze na Zewnętrznej Warstwie, pełniło funkcję portu. Stąd spore rozmiary hali, kiedyś przystosowanej do dokowania kosmicznych jednostek.

Dwaj kompani, stanowiący teraz jedno ciało, wlecieli do środka, rycząc wściekle. Ziemianie otaczali centrum, rażąc je ogniem karabinów i ciężkich miotaczy. obrońcy odgryzali się niemrawo pojedynczymi strzałami z broni strażników. Budowla ozdobiona, jak wszystko w Leżach, rysunkami smoków, kopciała czarnym dymem z wyrwanych i wypalonych w ścianach otworów. Wróg nie wdarł się jeszcze do wewnątrz, bo obrońcy wściekle bronili wyrw i zabarykadowali wszystkie wejścia tak, że nie mogły ich przepalić nawet fotonowe pociski z miotaczy. Komandosi mimo to pruli w okna i ściany, stopniowo zamieniając centrum w ruinę.

Jak na rozkaz wstrzymali ogień, zaskoczeni pojawieniem się nowego przeciwnika. Smok miał wejście naprawdę imponujące. Wleciał do hali, przewracając komandosów zabezpieczających korytarz i rycząc, uniósł się wysoko nad centrum. Żołnierze ujrzeli wielką, czarną bestię najeżoną kolcami i szczerzącą zęby. Skrzydlaty smok błyszczał metalicznie i mienił się refleksami, a światło drżało

wokół jego sylwetki poruszane falami spienionej przestrzeni.

Bestia unosiła się chwilę w powietrzu, a potem runęła na wroga. Przeleciała nisko nad ziemią, samym impetem miażdżąc i zabijając rozbiegających się komandosów. Ponaglani krzykami podoficerów wreszcie otworzyli ogień, szatkując potwora wielkokalibrowymi pociskami. Te z gwizdem odbijały się od czarnej skóry lub znikwały, jakby pochłonięte przez organizm bestii. Smok okrążył dwa razy centrum, całkiem rozbijając szyki wroga i siejąc w jego szeregach chaos i śmierć.

W locie łapał ludzi w paszę i rozrywał na strzępy, rozpruwał ciosami łap i masakrował uderzeniem potężnego cielska.

Z okien centrum rozległy się okrzyki i wyskoczyło kilkunastu gwardzistów oraz grupa technokinetyków. Obrońcy natarli na Ziemię, którzy, skoncentrowani na walce ze smokiem, stali się łatwym celem.

Erin odbierał trafienia pocisków dudniących o łuski jako łagodne szturchnięcia, które tylko podsycaly jego nienawiść. W tej chwili był czystym, skoncentrowanym gniewem, żywiołem śmierci. Bestia w umyśle całkowicie nim zawładnęła. Ryczał jednym głosem z Jackiem, ogarnięty krwawym szalem. Dopiero gdy w pierś uderzył go gorący, fotonowy pocisk, nieco oprzytomniał. Zaczął wybierać ofiary bardziej świadomie, atakując komandosów uzbrojonych w ciężkie miotacze. Ich trafienia bolały i odbierały siły. Dopadł kolejnych trzech wrogów, zbierając bolesne trafienia w pierś. Wrócił ból głowy, a obraz przed oczami zaczęła zasnuwać mgła.

– Jeszcze chwila! – ryknął Jacek. – Już się wycofują.

Znów unieśli się wysoko i spadli na cofających się komandosów, rozbijając ich zwarty szyk. Oberwali przy tym prosto w pysk fotonową torpedą, tracąc na chwilę wzrok. W pełnym pędzie skosili jeszcze kilku żołnierzy i zawadzili skrzydłem o filar hali. Przeturlali się po poboju, zatrzymując kilkadziesiąt metrów dalej. Erin zawył z bólu, miał wrażenie, że serce przeszywa mu rozżarzony pręt. Zwinął się w kłębek, nie mogąc zapanować nad drgawkami.

– Dobra robota, stary – szepnął Jacek. – Skopaliśmy im dupska. Wieją, aż się kurzy. Marzyłem o takiej bitwie. Teraz muszę odpocząć.

Erin nie odpowiedział, stracił przytomność.

*

– Długo nie wraca – mruknął Bruno. – Coś poszło nie tak. Idę jej pomóc.

– Stój! – syknęłam, łapiąc go za ramię.

Oboje leżeliśmy na platformie magazynowego bota stojącego przy ścianie portu. Do najbliższego desantowego statku Ziemi mieliśmy kilkadziesiąt metrów. Poleciałam Aganie oczyścić nam przejście i umożliwić wtargnięcie na czarną kropkę. Dziewczyna znikła jakieś dwadzieścia minut temu i jak na razie nie dawała znaku życia. Bruno nie mógł wytrzymać bez ruchu. Wiercił się, koniecznie chciał jej pomóc. Ja też byłam coraz bardziej wkurzona. Głupia cipa! Miała tylko załatwić wartownika i sprawdzić okręt. Nic więcej.

Czas płynął. W każdej chwili mogli zacząć wracać komandos. Ich atak to tylko jednorazowy skok, a nie próba przejścia okrętu. Dość trudno byłoby nawet kilku tysiącom doborowych żołnierzy zająć statek wielkości „Najjaśniejszej”. Z pewnością mieli naszkodzić ile wlezie i wrócić. W innym wypadku już byłoby tu pełno potężnych okrętów inwazyjnych, ciężkiego sprzętu i tak dalej. Przynajmniej tak twierdził Bruno, a chyba wiedział, co mówi. W sumie parę lat był podoficerem w ziemskiej armii.

Tak czy inaczej, robiło się coraz bardziej nerwowo. Po porcie kręciły się pojedyncze patrole żołnierzy w czarnych pancerzach. Już wiele razy mielibyśmy okazję niepostrzeżenie przebić się na desantową kroplę. Bałam się, co też dla nas naszykowała Agana. Żelaźniak jeden wie, co tam się jej kłębiło w łepetynie. Może nas wystawi? A może się zawinęła i znikła? Podobno smoki nie kontrolowały już hiperprzestrzeni, więc Agana była wolna, jak sama twierdziła. Mimo to postanowiła z nami zostać i wziąć udział w walce. Może przez sentyment do Brunona? Nie wiem. Ale postanowiłam dać jej jeszcze parę minut.

Czekałam. Tylko jak długo można? Niech tylko wpadnie w moje ręce! Co za brak dyscypliny. A może wpakowała się na koleśi z tarczami stazy i po prostu została załatwiona? Panowałam nad sobą tylko dzięki treningowi i ćwiczeniom, które często przeprowadzałam z Evą. Gdyby nie one, już dawno popędziłabym na statek. Zdawałam sobie jednak sprawę, że nie mogę działać tak pochopnie i po wariacku jak kiedyś.

– Jest – szepnął Bruno.

Agana pojawiła się w otworze i skinęła na nas ponagłająco. Kiwnęłam głową przyjacielowi i oboje wyskoczyliśmy z ukrycia. Trzeba było zaryzykować i te pięćdziesiąt metrów przebiec właściwie bez osłony. Pędziłam ile sił, licząc na to, że akurat żaden z pozostałych na pokładzie pilotów nie będzie oglądał terenu wokół statku. Podbiegliśmy wprost do otwartego luku. Najwyższa pora, kątem oka widziałam, że przy budynku zarządu portu zaroilo się od żołnierzy. Czas się stąd ewakuować.

Agana oparła dłonie na biodrach. Tym razem ubrana była w jednolicie czarny, obcisły kombinezon. Twarz miała makabrycznie umazaną krwią. Zabójczy widok.

– Co tak długo? – warknęłam.

– Było ich kilku. – Uśmiechnęła się, a ja aż drgnęłam. Jej usta błyszczały krwawą czerwienią. – Jeden nawet z tarczą stazy. Nie zdążył jej użyć, biedaczek. Mniejsza z tym, statek jest twój, Xiu.

Pokręciłam głową. Nie kazałam jej mordować całej załogi, tylko sprawdzić możliwość zabrania się na gapę. Już otworzyłam usta, by to powiedzieć, ale upiorny wygląd Agany jakoś mnie do tego zniechęcił. Cholerna wariatka, zagryzła ich, czy co? Wolałam nie wnikać w szczegóły. Ruszyłam śmiało na pokład desantowej kropli. Przy wejściu leżało dwóch strażników. Żołnierze mieli rozerwane gardła, a rany nie wyglądały bynajmniej na cięcia. Wyglądały jak zadane gołymi rękami, na ile mogłam osądzić. Nie, żebym się dobrze znała, ale parę jatek w życiu widziałam. Ciarki przebiegły mi po plecach.

Przeszliśmy korytarzem, Agana wskazała nam drogę na mostek. Minęliśmy przedziały z fotelami dla transportowanego wojska i luki magazynowe ze sprzętem ciężkim. Na mostku znajdowały się cztery fotele dla załogi. W dwóch z nich spoczywali martwi piloci, kolejny leżał przy wejściu, pewnie próbował uciekać. Czwartego nie było widać. Wokół pełno było krwi.

– Lubisz robić jatki – mruknęłam. – Podnieca cię to, czy co?

Agana znów się uśmiechnęła, drapieźnie i groźnie.

– Pewnie. Potrzebuję tego, mogę wyładować nienawiść i to uśmierza mój ból – powiedziała. – Co się tak gapisz, już taką mnie stworzono, nie jestem aniołkiem. Poza tym to wrogowie, nie zapominaj o tym.

Szybko zdusiłam niechęć i podeszłam do fotela głównego pilota. Odpięłam trupa, a Bruno przerzucił go przez ramię i wyniósł. Mankietem przetarłam gniazdo portu, a potem usiadłam. Fotel dopasował się automatycznie do moich rozmiarów, unosząc nieco, tak bym miała ekrany na wysokości oczu. Chuchnęłam na szczęście na wtyk i wpięłam go we wszczep w karku. Drgnęłam, gdy system statku wdarł się do mego umysłu.

– Siadaj, Bruno – powiedziałam. – I przypnij się. Niedługo lecimy. Tylko rozgryzę ten system. Na razie jest słabo, bo żąda autoryzacji. Szkoda, że zabiłaś pilotów, Agano.

Kobieta wzruszyła ramionami, uśmiechając się niewinnie. Mało brakowało, a zatrzepotałaby rzęsami. Czułam, że mogą być z nią kłopoty. Najgorsze, że nie potrafiłam nad nią zapanować, poszła

z nami z własnej woli. Ciągłe męczyło mnie, dlaczego właściwie nam pomaga.

Póki co musiałam skupić się na systemie statku, lada chwila zwali nam się na pokład oddział komandosów. Zagryzłam wargę, próbując podstawowych komend. System nie reagował, ciągle oczekując na podanie kodów dostępu. Mijały minuty. Na czole pojawiły mi się krople potu.

– Może pomogę? – odezwał się Bruno, wyciągając z nogawki paralizator elektryczny.

Nie czekając na odpowiedź, przyłożył go do stalowej obudowy komputera pokładowego i włączył. Trzasnęło i wszystkie ekrany zgasły na mgnienie oka. Włączył się awaryjny obwód, na chwilę odsłaniając system. Wydałam komendę restartu, jednocześnie logując się jako priorytetowy użytkownik. Poczułam znajome ciepło i dziwne uczucie rozrastania się i niematerialności.

Stałam się statkiem, połączyłam się z nim w jedno. Natychmiast zamknęłam śluzy, by na pokład nie wtargnął nieproszony gość i włączyłam główne silniki. Mój umysł bombardowały niezwykle doznania, jakbym miała dodatkowe zmysły, do tego ciągle odbierałam strumienie danych, nieustające komunikaty systemu. Starłam się oddychać spokojnie, by wpaść w rytm statku, zgrać się z nim w jeden organizm. Dawno nie pilotowałam żadnego pojazdu, niemal zapomniałam, jak to jest. Swoją drogą ciekawe, jak Kaila znosiła coś takiego w tysiące razy większej skali i to bez przerwy?

– Dzięki, Bruno – powiedziałam i poderwałam statek.

Zacisnęłam dłonie na dwóch tradycyjnych drążkach sterowych. Chyba nieświadomie się uśmiechałam. Wycofałam kroplę ze zdemolowanego portu, starając się ominąć potrzaskane kłębowisko stali. Rozejrzałam się. Nie startowaliśmy jako pierwsi, wokół podnosiły się kolejne, bliźniacze jednostki. Wyraźnie się, skurczybykom, śpieszyło. Chyba armia „Najjaśniejszej” wreszcie się obudziła. Najwyższa pora. Przyłączyłam się do szyku. Statki unosiły się, formując stożek, czubkiem skierowany do wyjścia.

– Bandyci w zasięgu ognia – w mojej głowie rozległ się metaliczny głos, najwyraźniej operatora ziemskiej floty desantowej. – Lecą z kierunku dwa-jeden-je-den-siedem. Przynajmniej trzy szwadrony myśliwców. Zachować szyk, nie wdawać się w walkę. Pół jednostki z kierunku sześć-jeden-dwa-jeden, przybywa wsparcie. Przejmie bandytów o zero-pięć kwarty od „Najjaśniejszej”. Pełen ciąg. Powodzenia.

Stożek poruszał się jak ławica. Poczułam impuls zmuszający do pchnięcia drążków, uległam mu bez oporów. Prawie cała setnia kropel leciała idealnie synchronicznie, systemy pokładowe poszczególnych statków były ze sobą sprzężone, co odczułam na własnej skórze.

– Włączyć tarcze! – rozkazał operator.

Uruchomiłam generator stazy, który otoczył kroplę sferą zamrażającą materię i czas. Dziwne. Tarcza migotała z ogromną częstotliwością. Miliony gigaherców. Wystarczająco, by się przemieszczać, a jednocześnie zatrzymać ostrzał czy ukryć przed psychotronami. Sprytne ustrojstwo. Na kilometr śmierdziało

eksperymentalną technologią, którą tak chętnie parali się naukowcy IronHeart.

Stożek wystrzelił ze zdemolowanych doków, omijając potrzaskane wrota portu. Pruliśmy naprawdę ostro. Nie musiałam specjalnie dbać o utrzymanie się w szyku, bo system dość stanowczo mi pomagał. Skupiłam się zatem na wybadaniu tej jednostki. Okazało się, że za jedyne uzbrojenie ma fotonowe torpedy. W łuku spoczywała jeszcze jedna, widocznie pozostałe piloci wystrzelili w czasie szturm na „Najjaśniejszą”.

Na ekranie zamigotały trójwymiarowe ikony symbolizujące szwadrony myśliwców „Najjaśniejszej”. Szybko się zbliżały i zanosilo się, że nas dogonią, choć mieliśmy wcale niezłe przyspieszenie.

Powierzchnia „Najjaśniejszej” rozbłysła ognikami. To odezwały się baterie dział. Stożek znalazł się pomiędzy chmurą pędzących pocisków a flotą myśliwców. Zacisnęłam mocniej ręce na drążku. Ziemianie ciągle trzymali szyk. Pociski były zdalnie naprowadzane, ciekawa byłam, jak załogi baterii namierzały niewidoczną setnię.

Cały ekran pokrył się białą oślepiających rozbłysków. Kropla zadygotała, ogarnięta falą ognia. No pięknie, działonowi detonowali pociski, gdy te znalazły się mniej więcej w okolicy stożka. Ognista chmura ogarnęła mój statek, materiał zmieszany z utleniaczem płonął, pulsując miliardy razy na sekundę. Ekran kokpitu wypełnił oślepiający blask. Tarcza stazy uchroniła pancierz przed uszkodzeniem, ale nie odbiła materiału, tylko go zatrzymała i spowolniła jego spalanie. Wyglądało to bardzo dziwnie

i nienaturalnie. Zaczęłam wiercić się w fotelu.

Kroplą znów wstrząsnęło. Ekran techniczny zamigotał informacjami o przegrzewaniu się pancerza. Oberwaliśmy laserową smugą, która częściowo przeniknęła przez migającą tarczę. Kilka takich smug i się sfajczymy. Do dupy z tą stazą! Może chroni przed psychotronami, ale w bitwie jest do niczego. Ogień z dział nas odślonił i naprowadził myśliwce. Statkiem wstrząsnęło po raz kolejny, Bruno mruknął coś ze złością. Trzeba wyłączyć tę cholerną tarczę i wiać. Kompletnie nas oślepiło, nie mogłam nawet manewrować, unikając myśliwców.

– Dezaktywować kamuflaż! Rozproszyc szyk! – Dowódca wreszcie się obudził. – Nie podejmować walki! Wsparcie w drodze.

Wykonałam polecenie. Materiał rozrzucony przez działa, który ciągle dopalał się w naszej tarczy, został wreszcie uwolniony i w ognistej chmurze odleciał w pustkę. Wreszcie miałam całkowite panowanie nad statkiem. Stożek rozsypał się w bezładną chmurę siekaną laserowymi błyskami. Wokół pełno było myśliwców „Najjaśniejszej”, prujących bez opamiętania. Sąsiednia kropla, która także płonęła, oberwała serią i po ułamku sekundy zamieniła się w kulę ognia.

Pociągnęłam drążki, obracając mój statek i jednocześnie ostro zmieniając kąt lotu. Stabilizatory grawitacyjne aż zawyły, chroniąc maszynę przed siłą bezwładności, która przy takim manewrze powinna rozmazać załogę po ścianach kokpitu. Zrobiłam kilka efektownych pętli, unikając ostrzału i lawirując między śmigającymi

myśliwcami. Chłopcy z „Najjaśniejszej” nieźle sobie radzili, masakrując uciekających desantowców, jednego po drugim. Po paru chwilach trzech twardzieli usiadło mi na ogonie, chłoszcząc laserowymi wiązkami. Umknęłam im zygzakiem, zmieniając kurs pod zabójczo ostrymi kątami. Gwałtowne zwroty, szaleńcze pętle, opętańcza prędkość. Byłam w swoim żywiole.

– Miej litość, Xiu – jęknął Bruno. – Co ty wyprawiasz?

Parsknęłam nerwowym śmiechem i skierowałam statek wprost w kłębowisko wirujących kropel, pożeranych właśnie przez ogień, a mimo to nadal masakrowanych laserami z dział ścigaczy. Przeleciałam tuż obok eksplodującego statku desantowego i przecięłam drogę dwóm myśliwcom, nieomal się o nie ocierając. Goniący mnie chłopcy „Najjaśniejszej” bez przerwy pruli z pokładowych laserów. Ich ostrzał zamiast we mnie trafił w inne myśliwce. Friendly fire, jak to mówią na Ziemi, rozgrzał pancerze statków do czerwoności... Chrzańcie się, frajerzy!

Nagle wokół zaroilo się od smukłych, srebrnych jednostek z symbolem błękitnej planety na burtach. Śmigwały, połyskując polerowanymi kadłubami niczym ławica ryb. Błysnęły pokładowe rusznice, waląc w przeciwnika grawitonowymi impulsami. Teraz dopiero zrobiło się wesoło. Chłopcy Kaili zwarli się z wrogiem w chaotycznej kotłowaniu wybuchających maszyn, błysków laserów i wirujących strzępów rozerwanych statków. Wprowadziłam kropkę w ruch po śrubowej trajektorii, wyrywając się z chaosu szalejącej wkoło śmierci. Inne ocalałe statki desantu pędziły w kierunku

ziemskiej armady, zostawiając rozprawienie się z myśliwcami swoim srebrnym kompanom.

Na rozkaz włączyłam kamuflaż i tarczę. Pancierz mojej kropli ciągle był niebezpiecznie gorący, ale ogólnie okręcik był w jednym kawałku. Dołączyłam do szyku, poddając się wskazówkom systemu. Z obławy wydostała się mniej więcej połowa jednostek. Chłopcy „Najjaśniejszej” sprawili się całkiem nieźle, straty Ziemiaków były bardzo wysokie.

– Interesujący popis, Xiu. – Agana pojawiła się w sąsiednim fotelu z nogami założonymi na panel sterowniczy.

– Chyba nie do końca ufałaś moim możliwościom, skoro zmyłaś się do Bezmiarów? Strach cię obleciał? – mruknęłam złośliwie.

– Cały czas tu byłam – odparła. – Nie zostawiam swoich w potrzebie.

Nic nie odpowiedziałam, skinęłam tylko głową. Powoli zaczęłam się uspokajać, żar bitwy mijał. Odetchnęłam głęboko i wygodniej rozparłam się w fotelu. Po paru chwilach pędziliśmy z maksymalną prędkością, ustawieni w mocno przerzedzony szyk.

Armadę zobaczyliśmy po jakichś dwóch godzinach. Pojawiła się wśród chmur mgławicowego pyłu jak rozrzucona na tysiące kilometrów formacja w kształcie półkuli, błyszcząca niezliczonymi światłami pokładowych reflektorów. Im byliśmy bliżej, tym chmara okrętów wydawała się potężniejsza i groźniejsza. Tak wielka flota naprawdę robiła wrażenie. Najlepsze jednak ujrzelśmy po kolejnych paru minutach, gdy z ciemności wynurzyły się pancerniki. Stalowe

kule naszpikowane wieżyczkami niczym kosmiczne jeżowce. Wreszcie pojawił się ten najważniejszy, otwierając przed nami wielkie wrota hangaru, okręt flagowy floty Ziemi – „Wyrwiłóńce”.

Rozdział szósty

„Wyrwisłońce”

Lekarka aż dygotała z emocji. Nerwowym ruchem odrzuciła kosmyk włosów, który wysunął się spod białego czepka.

– Wiesz, czego ode mnie oczekujesz? – syknęła do Kaili. – Jeśli ten psych umrze, skończę na katowskim stole. Trwa wojna! Oskarżają mnie o spowodowanie śmierci ostatniego psychotrona, a potem siepacze Pani obedną mnie ze skóry.

– Uspokój się, Mrocznico – powiedziała łagodnym głosem Kaila. – Znajdziesz się pod moją osobistą opieką. Wybudź go, mam mało czasu.

Lekarka odwróciła się gwałtownie i drżącymi rękoma wstukwała coś na panelu sterowania aparatu utrzymującego Erina przy życiu. Z przeszklonej szafy wyciągnęła ampułkę z bezbarwną cieczą i wsunęła ją w podajnik urządzenia. Maszyna natychmiast wpompowała lek do krwiobiegu leżącego w okablowanym łożu mężczyzny.

Kaila weszła do izolatki ze spoczywającym Erinem i dokładnie zasunęła za sobą drzwi. Usiadła na krawędzi łóżka i ujęła dłoń psychotrona. Czekwała. Mężczyzna miał rozległe obrażenia wewnętrzne, kilka kluczowych do życia organów nadawało się tylko

do wymiany na cybernetyczne odpowiedniki. Długotrwały i brutalny kontakt z intensywną anomalią niemal go zabił. Oddziaływanie strumieniem psychokinetycznej energii na ludzki organizm nie było najlepszym pomysłem. Ta technologia dopiero raczkowała, a eksperyment był zbyt śmiały skomplikowany jak na możliwości smoka. Gdyby tylko Kaila władała umiejętnościami Ewy, Erinowi nic by się nie stało. Kobieta patrzyła z niepokojem na trupio bladą twarz psychotrona. Po paru chwilach jego powieki się poruszyły, mężczyzna wziął łapczywy, głęboki wdech i otworzył oczy. Natychmiast drgnął, jakby chciał poderwać się i wstać z łóżka.

– Nie ruszaj się – szepnęła Kaila. – Porządnie oberwałeś. Musieli wpompować w ciebie trzy litry nanokrwii, byś od razu nie umarł. Teraz jesteś podpięty pod moduł podtrzymania życia i trochę z nim poleżysz. Przez najbliższe miesiące przejdziesz kilka zabiegów, drobne przeszczepy, nic poważnego.

– Co się dzieje? Co z okrętem? Czy Jacek przeżył? Jak długo byłem nieprzytomny? – Erin nie dawał za wygraną, ciągle próbował się podnieść.

– Uspokój się. – Kobieta ścisnęła go za rękę. – Jesteś tu od kilku godzin. Twój smok przeżył, choć też jest w ciężkim stanie. Konflikt dopiero się rozpoczął, a ja już straciłam Bezmiary.

– Reszta zginęła?

– Wszyscy psychotroni i smoki, co do jednego. Bez sił bezmiarowych jestem zdana tylko na konwencjonalne wojsko i zwykłe meldunki. Admirał Estreicher wbił mi nóż w plecy, bez was

nie wiem, co się dzieje po tamtej stronie. Nic nie wiem. Nie mogę liczyć na pomoc innych kapitanów, ich psychy nie mogą się z wami równać. Ledwie sobie radzą z utrzymaniem blokady Bezmiarów – mówiła Kaila. – Pozostali kapitanowie korzystają z nich rzadko, cholerni głupcy! Tyle razy im tłumaczyłam, że trzeba ciągle rozwijać technikę psychokinetyczną, że to nasza najmocniejsza karta. A oni widzą w niej tylko usprawnienie przy eksploatacji mgławicy. Ich psychotroni i smoki są o generację w tyle za nami. Nie ma co na nich liczyć. Jak mam teraz stawić czoła Ziemianom?

Erin uspokoił się w trakcie przemowy Kaili. Opadł na poduszkę i leżał bez ruchu, uważnie słuchając.

– Admirał wystosował do mnie notę – powiedziała po chwili. – Nie zamierza rozpętać długotrwałej, wyniszczającej wojny. Wie, że mnie unieszkodliwił, i grozi, że całymi siłami uderzy przede wszystkim w „Najjaśniejszą”. Chce mnie zabić, wymazać moje istnienie, zniszczyć okręt. Dwa miliardy istnień ludzkich na pokładzie nic dla niego nie znaczą, nie zawaha się ani chwili. Grozi, że zniszczy tylko „Najjaśniejszą”, a wtedy pozostałe statki Przymierza uznają zwierzchnictwo Ziemi. Zaproponuje im układ lenny. Zachowując ułudę wolności i niezależności, będą mogli handlować z całą Galaktyką, ale pod kuratelą imperium z Układu Słonecznego. Nie obejdzie się bez liwerunku i trybucji na rzecz Ziemian. Estreicher grozi mi śmiercią i ujarzmieniem Przymierza. Wie, że likwidacja najsławniejszego i najsilniejszego kapitana zachwieje naszą potęgą.

– Jakie stawia warunki? – spytał psychotron.

– Wydanie opiekunki Evy, czyli Xiu, pozwolenie na swobodne przemieszczanie się po mgławicy i nieskrępowane korzystanie z tuneli nadprzestrzennych, wycofanie „Najjaśniejszej” w Chmury Żalu, czarną mgławicę na obrzeżach Drogi Mlecznej – wyliczyła Kaila.

– Absolutnie nie do przyjęcia – mruknął Erin. – Opuszczenie Głowy Czarownicy przez „Najjaśniejszą” to właściwie koniec Przymierza. Nie mówiąc o zgodzie na swobodne przeloty dla statków Ziemi. Chyba nie bierzesz tych żądań pod uwagę?

Kaila wzruszyła ramionami.

– A co mam zrobić? Gdyby nie atak na Smocze Leża, dałabym im popalić. A tak? Mam zaatakować ziemską armadę bez wsparcia z Bezmiarów? Gdy kilka lat temu nas zaatakowali, przybyli tu jednym pancernikiem i kilkunastoma niszczycielami. Bez tych cholernych tarcz stazy, a ja miałam do dyspozycji trzydziestu psychotronów. Wywołali co prawda zamieszki na naszym pokładzie i bunt w garnizonie, ale i tak, w porównaniu z obecnym konfliktem, tamto było kaszką z mleczkiem. Teraz mamy znacznie większe kłopoty.

Erin zaczął się wiercić w łóżku.

– Wprowadźcie Jacka w sen i przenieście mnie do Leży – zażądał.
– Wejdziemy w Bezmiary.

– Nie mogę cię o to prosić. Jeśli w takim stanie przejdiesz na tamtą stronę, już nie wrócisz. Twój organizm nie wytrzyma obciążenia.

Psychotron uśmiechnął się nieznacznie.

– Przecież właśnie po to tu przyszłaś – szepnął. – Wiesz, że cię

kocham i zrobię dla ciebie wszystko. Jest potrzeba, bym poświęcił życie. I chcę to zrobić.

W oczach Kaili pojawiły się łzy. Pochyliła się nad rannym i pocałowała go w policzek.

– Tak mi przykro. Nie sądziłam, że kiedyś do tego dojdzie. Przebacz, Erinie.

– Daj spokój – szepnął. – Po to istnieję. By cię kochać i jeśli trzeba, to dla ciebie zginąć. Szkoda czasu na łzy. Każ przenieść mnie do Leży, a sama wracaj na mostek. Przymierze na ciebie czeka.

Erin zamknął oczy. Delikatny pocałunek w usta i Kaila wyszła z izolatki. Stała przed ciągle roztrzęsioną lekarką.

– Natychmiast przetransportować go do Leży – rozkazała – i podpiąć do systemu.

– Nawet ty, Najmroczniejsza, nie masz tak wielkiej władzy. Nie możemy tego zrobić umierającemu psychotronowi – drżącym głosem zaprotestowała medyczka. – Ściągnęlibyśmy na siebie gniew Pani, to byłby koniec Mrocznic.

Kaila spojrzała na nią z roztargnieniem. Zapomniała, że przyszła tu jako szefowa gangu. Zmęczenie i natłok obowiązków dawały się we znaki.

– Nie kracz, tylko wykonaj polecenie. To rozkaz Pani. I nie zadawaj pytań.

Odwróciła się na pięcie i pomaszerowała do wyjścia ze szpitala, nie oglądając się za siebie.

*

Drugi pilot kropli nie był zbyt roslym facetem, dzięki czemu jego mundur mniej więcej na mnie pasował. Podwinęłam nogawki spodni do wewnątrz, to samo zrobiłam z rękawami bluzy i już. Wyglądało to nawet nie najgorzej, grafitowy kombinezon ze srebrnymi skrzydłami pilota na piersi i ze złotą belką podporucznika na pagonach. Kolejny mundur – zmieniałam kostiumy jak cholerna aktorka. Bruno wskoczył w pancerz jednego z żołnierzy, oczywiście nie aktywując go, bo wszczepy usunął sobie lata temu. Na głowę wcisnął hełm z przyciemnianą przyłbicą. Agana rozplynęła się w powietrzu, co przyjął z ulgą, bo jej towarzystwo nie należało do najprzyjemniejszych. Miałam serdecznie dość zniekształcającej się przestrzeni, drgań wywracających bebechy i uporczywego bólu głowy, które były najłagodniejszymi skutkami jej obecności.

Szliśmy szerokim, jasno oświetlonym korytarzem z podłogą oznakowaną barwnymi znacznikami prowadzącymi w różne części okrętu. Było tu czysto i schludnie, ściany nie zostały ozdobione żadnymi portretami czy ornamentami. Wejść do odnóg korytarzy nie pilnowały marmurowe posągi, a grodzi i rozsuwanych wrót nie zdobiły imponujące portale. Było tu normalnie. Zdążyłam już odwyknąć od ascetycznej prostoty wojskowych statków.

Po drodze mijaliśmy masę ludzi i ku memu zaskoczeniu nie tylko żołnierzy, ale też mechaników, sprzątaczy i osób noszących się całkiem po cywilnemu. Jak przystało na tak wielki okręt, jego wnętrze

było siłą rzeczy prawdziwym miastem z tysiącami mieszkańców pełniących setki najróżniejszych funkcji. Całkiem sporo było tu kobiet, także w mundurach i uzbrojonych. Spodziewałam się, że „Wyrwiskońce” pełne będzie bezpłciowych cyborgów naszpikowanych biowspomaganiem i uzbrojonych po zęby. Faktycznie, kręciło się tu sporo żołnierzy w bojowych pancerzach i pilotów w mundurach identycznych jak mój, ale nie stanowili przytłaczającej większości.

Wystarczyło iść przed siebie pewnym krokiem, z groźną miną, by nikt nas nie zaczepiał. Nawet mijane patrole żandarmerii obrzucały nas co najwyżej ciekawym spojrzeniem, ale to wszystko. Jeśli ktoś poruszał się śmiało i bez wahania, znaczyło, że akurat jest w trakcie wykonywania rozkazów i nie ma co mu przeszkadzać. Szczególnie że krok za mną ciężko stapał wielki żołnierz w pancerzu z masywnym karabinem w garści. Takiej pary lepiej o nic nie pytać.

– Dokąd idziemy, Xiu? – po jakimś czasie mruknął Bruno.

– Zasadniczo przed siebie. – Wzruszyłam ramionami. – Nie wiem, czy możemy spokojnie się zatrzymać i poczekać na pojawienie się Agany. Nie chciałabym, żeby ktoś się nami zainteresował. Dopóki idziemy, wygląda na to, że wiemy dokąd. A tak w ogóle to kieruję się na mostek. Zakładam, że Eva przetrzymywana jest w centrum okrętu, a nie gdzieś w zapyziałych magazynach.

Po kwadransie dotarliśmy do przestronnej hali z otwartym placem, będącej bez wątplenia węzłem komunikacyjnym. Powietrze drżało dudniącymi marszami wojskowymi, od których aż trzęsły mi się

trzewia. Nad naszymi głowami unosił się holograficzny model Układu Słonecznego z nieproporcjonalnie wielkimi planetami, setkami błyszczących stacji, świecącymi koloniami porastającymi wszystkie księżycy i największe planetoidy. Jak dotychczas była to jedyna ozdoba na pokładzie okrętu, którą dane nam było zobaczyć. W ścianach znajdowały się wejścia do szerokich korytarzy, wind, a nawet kolejki dla personelu technicznego. Na szczęście wszystkie drogi były oznakowane symbolami i opisane. Zastanawiałam się, czy ruszyć w kierunku mostka, czy jednak poczekać na Aganę.

Poczułam ją w chwili, gdy się pojawiła. Fali mdłości i bólu głowy nie sposób było z niczym pomylić. Agana zmateriałizowała się ubrana w szary, bezpłciowy kombinezon, dzięki któremu nie rzucała się w oczy.

– Znalazłaś coś ciekawego? – spytałam.

– Dla ciebie nawet bardzo. Wiem, gdzie jest Eva – oznajmiła, uśmiechając się triumfalnie. – Co mi dasz za tę informację?

– Nie irytuj mnie, tylko mów, gdzie jest dziewczynka – warknęłam groźnie.

Zagotowałam się w jednej chwili. Bruno złapał Aganę za ramię i ścisnął chyba dość mocno.

– Moja droga – wycedził przez zęby, ale mimo to z czułością. – Proszę cię, daj spokój.

– Tędy. – Wskazała i mrugnęła do mnie zawadiacko.

Pokręcona dziwka.

Ruszyliśmy korytarzem o lekko stonowanym świetle. Napisy na

liniach wodzących w podłodze wskazywały drogę do maszynowni i R&D – pokładowego ośrodka badawczego. Że też sama na to nie wpadłam!

– Wrót kompleksu badawczego strzeże ośmiu żołnierzy – oznajmiła Agana. – Do tego każdy wchodzący musi użyć karty magnetycznej. To akurat błahostka, będziecie musieli poradzić sobie tylko z upierdliwymi żołnierzami. Zaczepiają każdego, kto choćby kręci się w pobliżu. A co gorsza, ruch tam jest znikomy, namierzyłam tylko jednego naukowca wracającego z dyżuru. Do samego kompleksu nie zdołałam się dostać, bo całe R&D otoczone jest sferą stazy. Zabezpieczyli się jak jasna cholera.

– To skąd wiesz, że jest tam dziewczynka? – spytałam.

– Mówiłam przecież, że spotkałam jednego naukowca. – Agana uśmiechnęła się drapieżnie. – Zanim go zabiłam, wszystko mi powiedział. Masz, tu jest jego karta. I nie przewracaj tak oczami, ciało dobrze ukryłam.

– Nie możesz teraz mordować bez opamiętania – syknęłam, biorąc podaną kartę. – Na razie nie mają pojęcia o naszej obecności. Pewnie nawet do głowy im nie przyszło, że mogą mieć na pokładzie agentów wroga. Gdy zaczną znajdować trupy, podniosą alarm i nawet nie zbliżą się do Ewy.

Agana wzruszyła ramionami i prychnęła lekceważąco. Miała gdzieś moje rozkazy.

– Powiedz lepiej, co planujesz, gdy już znajdziemy Ewę? – spytała.

– Wyciągniemy ją za wszelką cenę. Jeśli ktokolwiek stanie nam na

drodze, będziesz mogła mordować, ile wlezie, proszę bardzo. Jednak dopiero gdy będziemy mieli Evę. Potem pędzimy z powrotem do statku desantowego, a dalej to już łatwizna. Jeśli usiądę za sterami sprawnej maszyny, nic nas nie zatrzyma.

– Jednym słowem, nie masz żadnego planu – powiedziała drwiąco Agana. – Zawsze tak pracujesz? Jakim cudem udało ci się przeżyć tak długo?

– Otaczam się ludźmi, którzy w razie czego ratują mi tyłek. – Chyba zaczynałam się uczyć, jak rozmawiać z tą dziwką i przy okazji zbytnio się nie wkurzyć.

Po paru minutach korytarz się rozgałęził i znaleźliśmy się w odnodze, która prowadziła tylko do kompleksu badawczego. Sygnalizacja na podłodze wyświetlała jedno pasmo. Tak jak mówiła Agana, było tu zupełnie pusto w porównaniu z innymi tunelami, którymi dotychczas szliśmy.

– No dobra, ja znikam – powiedziała. – Będę tuż obok. Pojawię się w razie czego. Uważaj na siebie, Bruno, i na tę żółtą cholereę też.

Spojrzałam groźnie na Aganę, ale akurat rozplynęła się w powietrzu niczym gasnący hologram. Nie miałam czasu na reakcję, bo znaleźliśmy się w szerokim holu z bramą ośrodka. Przed wejściem, tak jak mówiła Agana, stało kilku żołnierzy. Nie nosili bitewnych pancerzy, mieli na sobie lekkie kamizelki i otwarte hełmy. Broń, rusznice grawitonowe z krótkimi lufami, trzymali przewieszane przez ramiona. Na nasz widok natychmiast się ożywili. Nie zwalniając kroku ani nie wahając się choćby sekundę, śmiało podeszłam.

Usłyszałam charakterystyczne, ciche bzyczenie, gdy idący tuż za mną Bruno odbezpieczył broń.

– Służba wartownicza. Proszę okazać przepustki – zażądał jeden z strażników, znacząco kładąc rękę na rękojeści karabinu.

Machnęłam mu przed nosem kartą magnetyczną i nie zwalniając kroku, przyłożyłam ją do czytnika bramy. Serce waliło mi jak oszalałe, sekunda, która minęła, zanim ekran czytnika rozbłysnął zielenią dostępu, wydała mi się wiekiem.

– Pilot i desantowiec tutaj? Pierwszy raz widzę, by do jajogłowych przychodziła taka para – odezwał się ten sam wartownik. – Co was tu przygnało, bracia żołnierze?

– Nic ci do tego, kapralu – warknęłam ostro. – Zajmij się lepiej swoją robotą.

Wrota się wreszcie rozsunęły i weszliśmy do środka. Pokładowy ośrodek badawczy nie był ogromnym kompleksem jak na „Najjaśniejszej”, tu raczej stanowił magazyn interesujących znalezisk i próbek, na które natknęły się wojska w trakcie podbojów. Tylko je zabezpieczano, ewentualnie wykonując podstawowe analizy, ale nie przeprowadzano specjalistycznych badań, nie było na to miejsca ani sprzętu. Od głównego korytarza rozchodziły się ponumerowane tunele zakończone włączkami. Mineliśmy jedno przeszklone laboratorium z kilkoma osobami w kombinezonach kręcącymi się wokół aparatury. Recepcja i biuro w jednym, drzwi do gabinetu szefa ośrodka i to właściwie było wszystko.

– Tamte wrota – usłyszałam szept Agany. – Numer osiem.

Niezaczepiani przez nikogo stanęliśmy przed włazem. Czułam rosnący niepokój. Coś było nie tak, szło nam zdecydowanie zbyt łatwo. Spojrzałam na Brunona. Olbrzym ścisnął ciągle odbezpieczony karabin, w każdej chwili gotów do strzału. Chyba też czuł się nieswojo.

Przejechałam kartą przez czytnik. Zamigał zielenią i otworzył nam przejście. Zobaczyliśmy obszerne pomieszczenie pogrążone w półmroku. Na środku stało łóżko z baldachimem kabli. Po obu stronach masywne generatory wyposażone w panele sterowania utrzymywały pole stazy. Jeszcze stojąc przy drzwiach, widziałam, że w łóżku leży Eva. Wyglądała, jakby spała. Ubrana identycznie jak ponad miesiąc temu, kiedy ostatnio ją widziałam.

Opanowałam odruch, by rzucić się biegiem do dziewczynki, i puściłam Brunona przodem. Olbrzym wskoczył do środka, wodząc lufą karabinu po wszystkich kątach. Po chwili skinął mi głową, opuszczając broń. Zbliżyłam się do sfery stazy, która nieznacznie załamywała światło i ledwo dostrzegalnie opalizowała.

– Wystarczy wyłączyć generatory – mruknęłam, podchodząc do pierwszego pulpitu. – Tak po prostu. Nie podoba to mi się, zbyt prosto.

– Nie kombinuj, tylko wyłącz to cholerstwo – zadudnił pod hełmem Bruno. – Zabieramy Evę i wiejemy.

– Po co ten pośpiech, Bruno? – za naszymi plecami zagrzmiął znajomy głos, od którego natychmiast zrobiło mi się gorąco.

– Tomasz? – jęknęłam, odwracając się na pięcie. I o mało nie

zemdlałam.

Za nami, w wejściu, stało potworne monstrum przypominające groteskowego kraba. Owalny, metalowy korpus, poruszający się na ośmiu owadzych odnóżach, spojony był z ciałem mężczyzny. Człowiek wystawał z maszyny od lędźwi w górę, jego nagi tors oplatały pęki przewodów brutalnie wszczepione pod skórę. Z otwartych ran ciekły strużki ropy i krwi. Przechylona głowa zamocowana była w stelażu, w ustach tkwiła przezroczysta rurka odsysająca krwawą ślinę. Twarz była nieruchomą maską niewyrażającą żadnych uczuć. Tylko błękitne oczy były w pełni ludzkie i żywe jak kiedyś. To ciało, zamocowane w upiornej maszynie, było moim Tomaszem. Wystarczyło tylko spojrzeć. Zachwiałam się, opierając o panel generatora.

Bruno też zdębiał, opuszczając karabin. Krab wkroczył do pomieszczenia, błyskawicznie poruszając odnóżami. Ciało Tomasza bujało się niezgrabnie w metalowym łożysku, w oczach mężczyzny błysnęły łzy. Widocznie przemieszczanie się sprawiało mu ból. Zatkanam nieświadomie.

– Tomek, co oni ci zrobili? – Nie panowałam nad głosem, czułam, jak wielka gula wypełnia mi gardło.

– Nauczyli pokory i wpoili wierność do rodzimej planety, do ojczyzny – powiedział, nie poruszając ustami. Głos musiał pochodzić z synteзаторa.

– Torturowali cię? – zadudnił Bruno. W jego głosie słyszałam nieznaną nutę, żołnierz gotował się z gniewu. – Skurwysyny –

wycedził.

– Zamilcz, dezernerze. – Krab zwrócił się w jego stronę.

Metalowy korpus rozłożył się, uwalniając dwie pary szczypiec, do tej pory zupełnie niewidocznych. Jedna z nich złapała Brunona za gardło, druga wyrwała mu karabin. Wszystko w mgnieniu oka. Nie zdążyłam nawet drgnąć.

– Błędzisz, Bruno, nie wiesz, co mówisz. Brakuje ci pokory – powiedział Tomasz. – Zadbam, by nauczono cię tego, co mnie. To nie potrwa długo. Kilka miesięcy w Kolonii Bólu na Deimosie i otworzą ci się oczy. Otworzy się twoja dusza, poznasz rozkosz wierności i nieopisaną radość z wykonywania rozkazów.

Stałam jak wryta. Starłam się nie wierzyć, że ten zdeformowany potwór, ten strzęp człowieka, to Tomasz. Słyszałam kiedyś o drastycznych metodach, jakie stosowały służby śledcze Ziemi, o potwornych torturach, okaleczaniu więźniów, pastwieniu się nad nimi z wykorzystaniem nowoczesnej techniki, ale nigdy nie podejrzewałam, że spotka to kogoś, kto jest mi bliski.

Krab wyprostował ramię ściskające szyję Brunona i uniósł go w powietrze.

– Opowiedziałem im o tobie wszystko, dezernerze. Otworzyłem przed nimi umysł. Znają cię na wylot i już czekają.

Doskoczyłam do nich z wrzaskiem.

– Puść go!

Krab otworzył szczypce i Bruno bezwładnie runął na ziemię. Potwór zwrócił się w moją stronę. Przez łzy spojrzałam w twarz

Tomasza, w jego błękitne oczy.

– Choć do mnie, Xiu. Pocałuj, jak kiedyś – szepnął, a ja zadrżałam z przerażenia. – Co? Już ci się nie podobam? Wiesz, obiecali mi, że odzyskam sprawność. Naprawią moje ciało, znów będzie jak kiedyś. Jestem teraz częściowo sparaliżowany, mam porażony układ nerwowy, straciłem nogi, ale to drobiazg. Dzisiejsza medycyna potrafi nie takie rzeczy, trzeba tylko odpowiedniego sprzętu. Oni go mają i zwrócą mi życie. Muszę tylko wiernie służyć i wykonywać zadania. Pomożesz mi w tym najważniejszym. Czekałem tu na ciebie, wiedziałem, że przyjdiesz.

Metalowe szczypce chwyciły mnie za ramiona w koszmarnej imitacji miłosnego uścisku.

– Czego chcesz? – wydusiłam przez łyzy.

– Weźmiesz udział w pracach z dziewczynką. Tylko ty potrafisz nad nią panować – odpowiedział. – Trzymaliśmy ją w beczasowym zawieszeniu, czekając na ciebie. Gdy nadejdzie pora, obudzimy Ewę i zbadamy jej niezwykłą siłę. Nic się nikomu nie stanie. Musisz tylko współpracować. Pomożesz mi, Xiu?

Czułam łyzy spływające po policzkach. Patrzyłam w twarz mężczyzny, którego kochałam, a który błagał mnie o pomoc. Uświadomiłam sobie, że nie jest już tym samym człowiekiem, tylko jego na wpół oszalałym strzępem dręczonym przez nieustające cierpienie. Jeśli się zgodzę na współpracę, Ziemianie zmienią mnie tak samo jak jego. Zadręczą w potwornych torturach, na koniec przerobią na groteskową kalekę.

- Pomożesz? Zacisnęłam zęby.
- Pieprz się, zdrajco – syknęłam.

*

Erin pozwolił, by prowadził go grawitacyjny ciąg silników „Wyrwiskońca”. Psychotron napawał się przyjemnym uczuciem lekkości, odłączony od umęczonego ciała. Znow był swobodną myślą, uwolnioną z kłępiącej cielesności. Starał się nie myśleć o tym, że faktycznie leży podłączony do modułu podtrzymującego życie i jest ledwie strzępem człowieka. Pozwolił się porwać nieokiełznanej energii Jacka, który znow został sprzężony z kilkoma soczewkami psychokinetycznymi i szalał w Bezmiarach jak opętany. Ciągle mu było mało zabijania. Węszył i badał powierzchnię tarcz wrogich statków, bezskutecznie próbując się do nich dostać. Na nic zdały się upomnienia Erina, że mają za zadanie przede wszystkim obserwować, nie ingerując bez wyraźnego rozkazu.

– Coś się dzieje! – ryknął Jacek, wirując wokół psychotrona. – Zmieniają kurs, chyba zacieśniają szyk.

– Łączę się z „Najjaśniejszą” – oznajmił Erin, nawiązując kontakt z Kailą.

Władczyni nie opuszczała mostka, siedząc w imponującym fotelu dowódcy. Odebrała meldunek psychotrona, będąc w trakcie rozmowy z kapitanem Mardukiem. Natychmiast wydała rozkazy i wszystkie okręty Przymierza zareagowały na manewr Ziemian. Kolosy

rozmiarów małych planet majestatycznie zwały szyki, tworząc klin z „Najjaśniejszą” na szpicy.

– Erin! – rozdarł się smok, wstrząsając psychotronem potężną dawką emocji. – Wbijają znaczniki grawitacyjne! Cholernie gęsto. Łamią blokadę.

– Wcale nie szykują się do ataku, manewry to zmyłka. Zdecydowali się zabrać dziewczynkę i wiać. Mają to, czego chcą, nie zamierzają ryzykować starcia z siłami Przymierza. – Erin zachował spokój mimo podniecenia smoka, które odbierał niczym swoje własne.

– We dwóch nie damy rady przeciwdziałać?

– Choćbyśmy pękli, nic z tego. – Smok przekazał kompanowi własne rozgoryczenie i bezsilność.

Erin natychmiast zameldował Kaili zmianę sytuacji. W tym czasie największe statki armady wystrzeliły w zaznaczony obszar skoncentrowane wiązki grawitacyjne, tworząc anomalię. Presja ugięła przestrzeń i rozdarła ją, otwierając monstrualny tunel. Ziemska flota ruszyła w niego pełnym ciągiem. Statki zaczęły znikać w korytarzu jeden po drugim. Po paru minutach w mgławicy zostały tylko pancerniki, które także żwawo ruszyły do ucieczki.

– Blokuj tunel! – rozkazał psychotron. – Najjaśniejsza chce ich ścigać!

Smok ryknął z radością, a Erin mu zawtórował, z ochotą poddając się entuzjazmowi przyjaciela. Co za niesamowita historia, Jacek całe życie marzył o czymś takim. Wielka bitwa, pościg za wrogiem choćby do samego piekła. Będzie okazja okryć się nieśmiertelną chwałą. Był

przecież jedynym smokiem w Bezmiarach, bo tej niedorobionej hołoty z innych okrętów nie mógł traktować poważnie. Rycząc, pomknął wprost w tunel, w którym akurat zniknął pancernik i rzucił się w obłądny taniec wokół rozdarcia czasoprzestrzeni. Pędził po nienaturalnej krzywiźnie, pracując na nią z całych sił, by utrzymać tunel jak najdłużej. Gdy ziemskie pancerniki wyłączyły wiązki grawitacyjne, przestrzeń próbowała wrócić do równowagi, zamykając anomalię. Smok mocował się z nią, chcąc temu przeciwdziałać.

Minęło kilkanaście minut, nim szpica z „Najjaśniejszą” na czele dotarła do korytarza. Kolosy zaczęły znikać w otworze jeden po drugim. Niezmordowany Jacek nadal utrzymywał korytarz, aż wreszcie dotarły do niego smoki z innych okrętów Przymierza. Gad przywitał się z nimi chłodno, czując, że siłą przewyższa przybyszów dziesiątki razy. Pozwolił im jednak dołączyć do grawitacyjnego tańca, narzucając rytm. Sam skoczył w tunel, pędząc za flotą. Zauważył, że w mgławicy zostało kilka okrętów pilnujących przejścia, pozostałe kolosy ścigały wroga.

Wpadł w tunel i natychmiast znalazł się po drugiej stronie. Przypadł do „Najjaśniejszej”, wachając nieznaną przestrzeń, po raz pierwszy znalazł się poza mgławicą, poza chmurami pyłu i gazów, w zupełnej pustce. W oddali świeciło niewielkie, niepozorne Słońce.

- Gdzie jesteśmy? – spytał psychotrona.
- Nie domyślasz się? – uśmiechnął się Erin.
- Układ Słoneczny – mruknął smok. – Jesteśmy na terenie wroga.
- Nie spodziewali się, że Najjaśniejsza okaże tak wielki tupet –

mówił Erin. – Wokół krążą tysiące okrętów, pełno tu stacji kontrolnych najeżonych lufami wyrzutni jak jeże. Na własnym terenie przewyższają nas liczebnością i siłą o kilka rzędów wielkości. Nie mamy szans. Rzuciliśmy się z motyką na słońce.

Jacek nie skomentował, ale psychotron wiedział, że smok wcale nie czuje się zbity z tropu czy przestraszony. Z radością przyjął pewność przyjaciela, pozwolił się ogarnąć beztraskiej odwadze gada. Coraz bardziej zatracił się w smoczych emocjach, momentami gubił się w nich, nie pamiętając, kim właściwie jest. Zmęczenie organizmu zaczęło przekładać się na problemy z koncentracją.

Tymczasem klin statków Przymierza pędził wprost w największe zgrupowanie floty Ziemi. Od starcia dzieliło obie armady tylko kilkaset tysięcy kilometrów. Ziemską flotą rozproszyła się, próbując ustawić szyk obronny, ale Przymierze ewidentnie ją zaskoczyło. Nawet sam admirał Estreicher nie spodziewał się, że Pani okaże tak wielką śmiałość i determinację w próbach odbicia Ewy.

Klin Przymierza wszedł w chmurę jednostek Ziemi, nie otwierając ognia. „Najjaśniejszą” śmiało zaatakowało kilkanaście przypominających srebrne cygara statków inwazyjnych. Choć były kolosami mającymi po kilka kilometrów długości, przy okręcie wielkości Merkurego były niczym ziarna piasku. Mimo to uchyliły tarcze stazy i skierowały spolaryzowane wiązki grawitacyjne w powierzchnię wrogiego okrętu. Punktowe presje o ciężeniu porównywalnym z miniaturowymi gwiazdami neutronowymi wgrzyły się w pancerz „Najjaśniejszej”, miażdżąc ceramicznie wzmacnianą

stal i wyrywając kawały poszycia. Zdruzgotały jedną ze spiczastych wież nawigacyjnych, która oderwała się od powierzchni okrętu i wirując, poleciała w pustkę. Zespoły obronne „Najjaśniejszej” zareagowały, uruchamiając stabilizatory, które odparły grawitonowe wiązki jeszcze silniejszą presją. Operatorzy stabilizatorów zawężili oddziaływanie grawitacyjne, soczewkując je na przeciwniku. Skierowane w przeciwnych kierunkach wiązki grawitonów starły się ze sobą, zaginając i deformując przestrzeń. W kilku miejscach utworzyły się chaotyczne i niestabilne tunele hiperprzestrzenne. Dwa ziemskie statki nie zdążyły się wycofać i wpadły w anomalie. Jeden przełamał się na pół i eksplodował w oślepiającym błysku, a drugi na zawsze znikł w hiperprzestrzeni.

Do inwazyjnych cygar dołączyło kilkadziesiąt mniejszych rozmiarami niszczycieli. Wszystkie uchyliły tarcze stazy, rażąc przeciwnika lawiną nuklearnych torped. Te częściowo zostały zniszczone przez baterię pokładowych dział „Najjaśniejszej”, częściowo zdetonowane w przestrzeni, na drodze mknącego okrętu. Ziemianie skierowali grawitacyjne tarcze w eksplodujące ładunki jądrowe, pchając nuklearne piekło wprost we wroga. Przed „Najjaśniejszą” utworzyła się błyskawicznie puchnąca ściana białego żaru o średnicy kilkuset kilometrów. Brakowało sekund, by w okręt uderzyła jądrowa fala uderzeniowa, zmiatając całe przedokręcie łącznie z portami handlowymi, magazynami, obozem uchodźców i całą baterią powierzchniowych dział.

Jacek ryknął rozzwierając, pędząc naprzeciw żywiołowi. Erin

pomknął razem z nim, w żarze bitwy znów całkowicie zlewając się mentalnie ze smokiem. Razem utworzyli grawitacyjny parasol, w rozpaczliwym zrywie prac na czasoprzestrzeń całą posiadaną energią. Nuklearna fala uderzeniowa trafiła w barierę i zapadła się, rwąc czasoprzestrzeń. Utworzył się kolejny tunel, w który wpadł jeden z niszczycieli. Po chwili w wyrwę uderzyła „Najjaśniejsza”, tracąc kolejną wieżę nawigacyjną i kilometrowy fragment pancerza.

Okręt pędził dalej, ostrzeliwując wroga silnym ogniem fazowych i grawitonowych dział. Po chwili pojawiła się przed nim cała chmara ziemskich niszczycieli, drapieźnie kanciastych statków o wąskich kadłubach. Towarzyszyło im kolejnych kilkanaście cygaropodobnych okrętów inwazyjnych i niewielkie jednostki wspomaganie. Za nimi w ciemności migotała wielka kula najeżona wieżami i antenami – „Wyrwistońce”.

Z wnętrza „Najjaśniejszej” wystrzeliło kilkaset lekkich myśliwców. Eskadra zwinnych statków o niezwykłych możliwościach manewrowych i do tego dobrze uzbrojonych. Nim Erin się obejrzał, jednostki pogrupowały się w formacje i rozprysnęły we wszystkie strony, śmiało atakując wroga.

Psychotron miał wrażenie, że atak dodał tylko Jackowi sił. Smok wyrwał w kierunku niszczycieli, które znów uchyliły tarcze, szykując się do kolejnej salwy. To był doskonały moment, by dobrać się do wroga. Erin dał porwać się smoczej pasji, mknąc razem z bestią, spajając się z nią emocjami i myślami.

*

Na mostku panowała grobowa cisza. Żaden z obecnych członków załogi niszczyciela „Wilk 14” nie śmiał się odezwać. Wszyscy dyskretnie patrzyli na dowódcę drugiego dywizjonu uderzeniowego, starszego, siwego mężczyznę spokojnie siedzącego w fotelu. Komandor Preston Collins zdawał się nieporuszony niespodziewaną stratą jednego z okrętów. Nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w główny monitor, na którym czerń kosmosu co chwila rozpraszały błyski wybuchów. W samym centrum ekranu tysiącami światła błyszczał wielki, wrogi okręt. Przeklęta „Najjaśniejsza”.

Milczenie dowódcy nie wróżyło niczego dobrego. Zachowywał się tak, gdy był wściekły. Potrafił wtedy lodowatym tonem, zdawałoby się bez najmniejszych emocji, skazywać na śmierć ludzi odpowiedzialnych za pomyłki i porażki.

Dywizja dowodzona przez komandora przed chwilą zakończyła zaczepny manewr, wystrzeliwując we wroga salwę torped z głowicami fuzyjnymi, z których kilka powinno przebić się przez laserowy parasol i wygryźć w pancerzu „Najjaśniejszej” kilkudziesięciokilometrowe kratery. Atak się nie udał, grawitacyjne wiązki i laserowy parasol chroniący wroga przejęły i zneutralizowały ostrzał. Dywizja odskoczyła od obiektu, robiąc długą pętlę, by zgubić myśliwce przeciwnika i by po chwili zawrócić do kolejnej salwy. Wszystko idealnie zgrane, jak na ćwiczeniach. Dwadzieścia jeden niszczycieli w zwartym szyku wykonało manewr absolutnie bez

zarzutu. Nikt ich nie ścigał, udało się też uniknąć ostrzału z „Najjaśniejszej”.

Mimo to przed paroma chwilami „Wilk 2” niespodziewanie eksplodował. Gwałtowne przegrzanie stosu reaktora zakończone wybuchem, coś zupełnie niemożliwego. Załoga nie zdążyła się ewakuować, wszyscy zginęli.

– Przygotować się do kolejnego ataku – rozkazał komandor, ani słowem nie komentując niespodziewanego wypadku. – Wyłączyć tarcze.

Czterej piloci i nawigator natychmiast wrócili do swojej roboty, odwracając się do monitorów. Komandor zacisnął dłoń w pięść, nie odrywając wzroku od głównego ekranu. „Najjaśniejsza” powiększała się z każdą sekundą.

– Meldunek z „Wilka 4” – odezwał się łącznościowiec. – Gwałtowny wzrost temperatury na pokładzie.

W rogu ekranu pojawił się obraz z mostka uszkodzonego niszczyciela. Młody kapitan, który dowodził statkiem, wytrzeszczał oczy, krzycząc z przerażeniem. Jego twarz z każdą chwilą robiła się coraz bardziej czerwona. Wreszcie mężczyzna runął na pulpit, tracąc przytomność. W tej samej chwili włączył się przekaz z „Wilka 10”. Pierwszy oficer, z twarzą umazaną krwią, z przerażeniem wskazywał ręką na niewidoczny na obrazie pulpit.

– Uszkodzenie systemu podtrzymania życia na „Wilku 7”, promieniowanie mikrofalowe w lukach torpedowych „Wilka 5”! – zgłaszał meldunki łącznościowiec.

– Rozproszyc szyk! – warknął komandor Collins. Statki rozsypały się, zmieniając gwałtownie kurs.

Ostatni z uszkodzonych niszczycieli błysnął, zamieniając się w rosnącą kulę nuklearnego wybuchu.

– Pełen ciąg! Kurwa mać! Co się dzieje?! – Komandor po raz pierwszy okazał emocje.

– Trójka i dziesiątka nie wykonały manewru, zostały zniszczone razem z piątką – odezwał się łącznościowiec.

– Kapitan siódemki rozkazał ewakuację – dodał, odbierając kolejny komunikat.

Wszyscy znów patrzyli na komandora. Okręty dywizji odpadały z walki jeden po drugim. W tej chwili dla żołnierzy dywizji i załogi na pokładzie flagowego statku stary oficer nie był tylko surowym tyranem, ale też doświadczonym dowódcą, od którego zależało ich życie. Komandor milczał, patrząc w ekran. Jego szczęki zaciskały się coraz mocniej. Okręty zostały uszkodzone w czasie pierwszego ataku? Dlaczego w tak dziwny sposób?

– Włączyć tarcze! – ryknął, gdy go olśniło. Oddziały specjalne „Najjaśniejszej”, które potrafiły działać w hiperprzestrzeni, zostały przecież zniszczone na rozkaz admirała Estreichera. Wszystko wskazywało na to, że jednak niezupełnie.

– Tarcza włączona, komandorze – zameldował pierwszy pilot.

Collins z powrotem opadł głębiej w fotel, w duchu wzdychając z ulgą.

– Teraz mogą nas pocałować – po raz pierwszy od lat pozwolił

sobie na dowcip. Oficerowie z mostka zaśmiali się krótko i niepewnie, z obowiązku.

W tej chwili w kabinie zrobiło się całkowicie ciemno. W jednej sekundzie zgasły wszystkie ekrany i światła. Umilkł też szum wentylatorów i ciche pikanie systemu podtrzymania życia. Komandor poczuł, jak przerażenie zaciska mu gardło, a straszliwy ból przeszywa pierś.

– Co się dzieje? – wrzasnął któryś z oficerów.

– Nie działają żadne systemy, nawet awaryjne! – oznajmił łącznościowiec. – Coś takiego mogło spowodować tylko potężne wyładowanie elektromagnetyczne. A niech to, już po nas.

– Komandorze! Co mamy robić?! – wrzasnął nawigator.

Collins nie odpowiedział, jego sztuczne serce porażone mocnym polem elektromagnetycznym także przestało działać.

Erin z Jackiem jeszcze parę chwil napawali się przerażeniem skazanej na zagładę załogi, a potem opuścili umierający okręt, szukając kolejnej ofiary.

*

Korytarzem nadbiegało kilkunastu strażników z miotaczami w rękach. Stałam jak sparaliżowana, patrząc na monstrum będące niegdyś moim ukochanym. Bruno ciągle leżał na ziemi, a człowiek-krab parzył na mnie nieruchomo.

Wpadliśmy w pułapkę zastawioną przez Tomasza jak idioci.

Dobrze mnie znał, wiedział, że przyjdę po Evę i że nie będę się czaić, tylko z impetem wparuję tam, gdzie ją trzymają, i spróbuję odbić. Wystarczyło poczekać i, proszę, mają mnie na talerzu. Teraz wyląduję w izbie tortur wyciągniętej z najgorszego koszmaru, w łapach sadystycznego psychopaty z rządową licencją na katowanie. Wiedziałam, że prędzej czy później zmuszą mnie do współpracy, nie było twardziela, który zniosłby tortury, jakim poddano Tomasza.

Nagle zdało mi się, jakby ciężenie na okręcie gwałtownie spadło. Uczucie lekkości i niematerialności połączone z gwałtownymi zawrotami głowy. Żołnierze na korytarzu zatrzymali się, opierając o ściany. Jeden potknął się i runął jak długi. Metaliczny smak w ustach, wykręcone bebechy i trzepotanie serca, nienaturalny rytm pulsu pod czaszką. Dobrze to znałam. „Wyrwiskońce” wchodziło w hiperprzestrzenny korytarz.

Krab zachwiał się na cienkich, owadzych nogach. Z ust Tomasza popłynął krwisty strumyk, ciałem wstrząsnęły drgawki. Spojrzałam na Brunona, unosił właśnie przyłbicę. Oczywiście anomalia na niego nie działała. Świetnie. Wiedziałam, że mamy tylko chwilę, przejście tunelem potrwa kilkanaście sekund i wszystko wróci do normy. Trzeba działać. Natychmiast.

Agana pojawiła się w sekundę, materializując się za plecami kraba. Pchnęła go lekko, jakby od niechcienia. Stwór runął ze splątanymi nogami jak trafiony fotonową torpedą. Przeturlał się po ziemi i odbił od tarczy chroniącej łożę z Evą. Ciało Tomasza zwisało bezwładnie, podrygując i tocząc krwawą pianę z ust. Rzuciłam się do panelu

drzwi, w tej samej chwili Bruno poderwał się, łapiąc porzucony karabin.

Agana skoczyła na kraba, wściekle rwąc kable spinające ludzkie ciało z maszyną. Bruno stanął w wejściu i wymierzył broń w zataczających się strażników. Wywołałam w panelu sterowania alarmowe zamknięcie grodzi. Doznania wywołane anomalią ustały w tym momencie. Bruno pociągnął za spust. Karabin zadudnił ogłuszająco, plując serią pocisków. Stalowe wrota zatrzasnęły się z hukiem.

Powietrze rozdarł przeszywający krzyk. Zamarłam przerażona, to był Tomasz. Wrzeszczał, wijąc się wśród oplatających go kabli, w strumieniach krwi bryzgających z ran po wszczepionych przewodach. Agana wyszarpnęła kolejny kabel, gdy szczypce wreszcie ją pochwyciły. Krab poderwał się na nogi. Z wściekłością cisnął przeciwniczką o kopułę stazy. Agana wrzasnęła, uderzając w przezroczystą barierę i zapadając się w niej. Jej krzyk był równie przejmujący, co niedawne zawodzenie Tomasza.

Bruno wymierzył w kraba i pociągnął za spust. Monstrum okazało się jednak niebywale szybkie, uskoczyło i seria urwała tylko jedną z kończyn. Pozostałe pociski ugrzęzły w sferze stazy otaczającej łożę.

Krab wyciągnął szczypce na zaskakującą odległość i uderzył Brunona w bark. Trzasnął pękający wojskowy pancerz, a olbrzym runął na ziemię. Zdołał się jednak unieść i strzelić jeszcze raz. Metalowy kadłub zadzwonił, gdy pociski rwały go na strzępy. Nogi i szczypce Tomasza wpadły w oszalały taniec. Monstrum, dygocząc,

osunęło się na ziemię. Z rozprutego kadłuba uniósł się dym. Pomieszczenie wypełnił smród spalenizny. Tomasz drgnął spazmatycznie i jego owadzie kończyny znieruchomiały.

– Bruno, żyjesz? – krzyknęłam.

Agana ciągle wrzeszczała, wijąc się z bólu. Kontury jej sylwetki rozmazywały się, by po chwili wyostrzyć się i ponownie rozmazać. Musiałam wyłączyć tarczę, by ją uwolnić i obudzić Evę. Wiedziałam, że Ziemianie za chwilę otworzą awaryjną grodz i wedrą się do środka. Naszą jedyną szansą była dziewczynka.

– Wszystko w porządku – jęknął Bruno, unosząc się z podłogi.

Otarł krew płynącą z ust i kaszlnął ciężko. Zataczając się, podszedł do mnie.

– Umiesz ją uwolnić, Xiu? – Wskazał na wijącą się Aganę.

– Pojęcia nie mam, jak to działa – powiedziałam, bezradnie patrząc na panel sterowania. Bruno doskoczył do wijącej się Agany i próbował złapać ją za rękę. Jego dłoń przeszła przez ciało, nie napotykając oporu.

– Zaraz zwariuję! – Łeb zaczynał mnie boleć od tych nieustannych wrzasków. Z impetem kopnęłam w jeden z generatorów.

Zabolało. Tępy ból przynajmniej przyniósł otrzeźwienie. Nie całkiem uspokojona, chwyciłam spluwę Brunona. Uniosłam żelastwo ważące chyba z dziesięć kilo. Duża zabawka dla chłopców lubiących szpanować rozmiarem. Magazynek był pusty, ale do kolby podpięte były jeszcze dwa. Wymieniłam jeden, opierając broń lufą o ziemię. Przeładowałam i wymierzyłam w najbliższy generator, z trudem

unosząc kolbę na biodrze.

– Odsuń się! – wrzasnęłam do Brunona i nie czekając na jego reakcję, pociągnęłam za spust.

Karabin ryknął, wyrzucając serię pocisków. Bruno rzucił się na ziemię, odruchowo zasłaniając rękoma głowę. Generator wybuchł strumieniem iskier, włączył się system alarmowy, zawyło. Skierowałam lufę w drugi generator i powtórzyłam moją własną procedurę wyłączającą. Skierowałam jeszcze karabin w panel drzwi i wystrzeliłam po raz kolejny. Nie wiedziałam, na jak długo zatrzyma to wroga, ale miałam nadzieję, że zyskam dodatkowe minuty.

Agana osunęła się po gasnącej tarczy i opadła wprost w ramiona Brunona. Znow w pełni się zmaterializowała. Dygotała jak w febrze. Przytuliła się do wielkoluda, który natychmiast zaczął szeptać jej uspokajająco do ucha. Widok ten przypomniiał mi o Tomaszu.

Leżał bezwładnie, w pogruchotanym korpusie, z którego ciągle unosił się dym. Żył jeszcze. Podniósł wzrok, gdy podchodziłam. Poruszał wargami, próbując coś powiedzieć, ale nie wydobył z siebie nawet dźwięku. Po jego policzku popłynęła łza. Nie wiem, co myślał i co chciał mi oznajmić. Może prosił o litość, może błagał o przebaczenie, wyznawał miłość. Nie wiem. Mój Tomasz zginął w momencie, gdy wpadł w łapy ziemskich siepaczy. Ten obłąkany strzęp człowieka był tylko jego zdeformowanym cieniem. Tak sobie przynajmniej tłumaczyłam, stojąc nad konającym ciałem.

Zagryzłam wargę, nie mogąc oderwać wzroku od jego oczu. Tylko one były takie same, jak pamiętałam. Miałam nadzieję, że to

zdeformowane monstrum nie wyprze z mojej pamięci obrazu prawdziwego Tomasza. Obiecałam sobie, że odpłacę Ziemianom za to, co mu zrobili. Odebrali mi go, okaleczyli i pchnęli w szaleństwo.

Przystawiłam lufę do jego okrwawionej piersi, mierząc w serce. Przełączyłam broń na ogień pojedynczy i wystrzeliłam. Jeden raz. Odwróciłam się, nie patrząc w gasnące oczy. Podeszłam do Evy, unikając spojrzeń Brunona i Agany, którzy zdążyli już ochłonąć i stali teraz objęci ciasno i czule. Eva ciągle spała. Tarcza stazy trzeszczała, falując i migając mikroskopijnymi piorunami wyładowań przepływającymi po jej powierzchni. Zdecydowanie traciła stabilność. Miałam nadzieję, że szybko wygaśnie, a nie na przykład wyleci w powietrze. Chyba byłam zbyt pochopna z tym dewastowaniem generatorów, ale przecież nie miałam wyjścia. Musiałam zaryzykować.

Bruno podszedł i położył mi wielkie łapsko na ramieniu. Dobra, niech mu będzie, że potrzebuję psychicznego wsparcia. Chcę, by ktoś okazał mi ciepło. Straciłam już dwie najbliższe osoby, kochanka i brata, a wielkie armie akurat toczyły bój o trzecią istotę, którą kochałam. Miałam tego dość. Dlaczego los mnie tak doświadczał? Otarłam rękawem łzy. Bruno i Agana nic nie mówili, ale stali tuż obok. Czekaliśmy.

*

Niszczenie wrogich okrętów jest niezwykle ekscytujące.

Przyjemność psuje jedynie łatwość, z jaką przychodzi zabijanie. Wystarczy przeniknąć za tarczę stazy. Ziemianie giną bez walki, nawet nie wiedząc, co ich zabija. Można wytworzyć pole magnetyczne w stosie reaktora, by zamienić statek w widowiskowy fajerwerk. Można wyemitować promieniowanie mikrofalowe, które zamienia białkową tkankę ludzkiego mózgu w parującą papkę, albo pobawić się chwilę przerażeniem ludzi, gdy niszczy się system statku, wyłączając napęd, sterowanie i system podtrzymania życia. Wszystko to przychodzi z łatwością, jakby się porządkowało urobek w mgławicy. Cierpimy trochę, bo psychokinetyczna ingerencja w czasoprzestrzeń bardzo wyczerpuje. Zużyliśmy już większą część zasobów energetycznych Smoczyc Leży. Technokinetycy zameldowali, że spaliły się dwie soczewki dające nam moc. Przerwaliśmy zatem mord, by się nie przeciążyć i zbyt wcześnie nie wyłączyć z zabawy.

Bitwa toczy się w najlepsze, a okręty Przymierza radzą sobie całkiem nieźle. „Najszybszy” staranował jeden z ziemskich pancerników, zabijając masę nieprzyjaciół. „Wiktoria” w zespole z „Mardukiem” i „Dzwoneczkiem” weszły klinem w mur okrętów inwazyjnych, niszcząc kilkadziesiąt jednostek i atakując stację bitewną „Urania 7”, która dołączyła do bitwy, przybywając Ziemianom na odsiecz. „Najjaśniejsza” zwarła się w wojennym tańcu z jednostkami towarzyszącymi „Wyrwisłońca”, ziemski okręt flagowy manewruje, by ustawić się optymalnie do ataku swoją legendarną grawitonową laną. Będzie chciał zagłębić ją w trzewiach

„Najjaśniejszej”, ale Kaila doskonale o tym wie i sprytnie krąży wokół wroga, próbując dopaść go jako pierwsza. Musi się pośpieszyć, bo wkrótce stracimy przewagę. Z całego Układu Słonecznego pędzą ku nam tysiące statków i kilka ogromnych stacji wojskowych. Jeśli szybko nie załatwimy sprawy, dopadną nas i nawet smocza siła na wiele się nie zda.

Odпочzywamy, obserwując starcie. My, człowiek ze smokiem połączeni w bitewnym zarze w jeden umysł. Zbieramy siły, by wesprzeć naszą ukochaną Najjaśniejszą, gdy będzie to niezbędne. Zaglądamy w kokpity myśliwców i na mostki okrętów Przymierza. Widzimy, jak młody pilot niewielkim stateczkiem śmiało atakuje ziemski niszczyciel i wpakuje mu w burtę trzy fotonowe torpedy. Potem zwinnie unika ognia grawitonowych garłaczy i śmieje się z bezsilności ziemskich kanonierów. Patrzymy, jak nawigatorzy „Najjaśniejszej” prowadzą okręt, co kilka sekund zmieniając kurs, kręcąc wielkim okrętem, jakby był zabawką. Patrzymy na zespół ratunkowy, który budowlanymi botami łąta dziury w pancerzu „Najjaśniejszej”, by próżnia nie wdarła się do zamieszkałych sektorów. Widzimy, jak grawitacyjna wiązka wystrzelona przez ziemski statek inwazyjny trafia w kadłub myśliwca pilotowanego przez młodego śmiałka, jak miążdzy ceramicznie wzmacnianą stal i zgniata kokpit razem z dzielnym pilotem. Nie możemy mu pomóc, wszystko dzieje się zbyt szybko.

Cieszymy się ze zwycięstw i opłakujemy poległych. Nasycamy się energią bitwy, łączywie wchłaniamy wielkie emocje, strach i gniew,

ból śmierci i satysfakcję ze zwycięstwa. Wszystko to miesza się w naszym umyśle, płonie nuklearnym ogniem, jak całe niebo, cały wszechświat.

Nagle czujemy zmianę. Coś się dzieje z ciągle otwartym tunelem bezmiarowym. Anomalia o średnicy miliona kilometrów drży rytmicznie, jakby była kosmicznie wielkim sercem. Po tamtej stronie jest wielki obiekt, dziwne zjawisko prace na przestrzeń potężnym oddziaływaniem grawitacyjnym. Czujemy, że to coś obcego i wrogiego.

Widzimy błysk. Oślepiający, jak narodziny nowego słońca. Obiekt wynurza się w czterowymiarowej czasoprzestrzeni, pulsując rytmicznie. Zalewa kosmos krwawym blaskiem, oświetla wszystkie walczące okręty makabrycznym szkarłatem. Jest wielki, rozmiarami wielokrotnie przewyższający „Wyrwisłońce” i „Najjaśniejszą”. Jest wielki jak jedna z planet w Układzie Słonecznym, jak Jowisz. W chwilach, gdy przygasa, widzimy jego nieregularną powierzchnię, czarną i zimną.

Statki przestają walczyć. Rozpraszają się, odlatują od intruza i jego potężnej grawitacji. Wpatrujemy się zdumieni. Czujemy, że nie jest to tylko obiekt astronomiczny. Słyszymy jego myśli, poplątane, złe. Kosmiczny potwór jest chory, nie panuje nad własnym umysłem. Do tego bez przerwy z czymś się siłuje. Z kimś! Czujemy drugi umysł. Jesteśmy bardzo zaintrygowani. Przybyszów jest dwóch, połączonych ze szkarłatną kulą o ogromnej masie. Co to takiego?

Spoglądamy na mostek „Najjaśniejszej”. Kaila już wie, kim jest

niezwykły intruz. Właśnie nawiązała łączność z Ziemianami. Będą paktować. Intruz jest zagrożeniem dla wszystkich. Admirał Estreicher odpowiada na wezwanie do rozmów. Zaczynają się trudne pakt, trzeba natychmiast dojść do porozumienia z wrogiem. W szybkich komunikatach powtarza się nazwa obiektu. Już ją kiedyś słyszeliśmy.

Czarne Słońce.

Rozdział siódmy

Nowa Inkluzja

Nie sposób śledzić upływu czasu, przebywając w hiperprzestrzeni. Szczególnie gdy ma się poważny problem na głowie. Próby powstrzymania szkarłatnego potwora przed zamianą w boga są naprawdę absorbujące. Po tym, jak wciągnął Czarne Słońce w hiperprzestrzeń, nie mogłem nawet na chwilę spuścić go z oka. Co prawda nie mógł zrobić wiele więcej, zablokowany w energetycznym trójkącie. Próbował oczywiście ze mną walczyć, myśląc, że zniszczenie mnie pozwoli mu odzyskać pełnię władzy. Nic z tego. Nie był w stanie uczynić mi krzywdy, gdy obaj znajdowaliśmy się po tamtej stronie, w hiperprzestrzeni. Zbyt dobrze opanowałem umiejętności uzyskane niegdyś od Żelaźniaka, psychokinezę miałem w małym palcu i nieźle sobie z nią radziłem. Potwór nie przestawał jednak podejmować prób unicestwienia mojej osoby. Nieustanna walka stała się monotonnym siłowaniem, bez możliwości przechylenia szali na którąś stronę.

Wreszcie dał spokój i tylko patrzył. Obserwowaliśmy się nawzajem, czekając na ruch przeciwnika. Dopóki Eva odbierała przekazywaną przeze mnie energię, którą nieustannie wysysałem z bestii, panowała równowaga. Niestety, dziewczynka nie będzie żyła

wiecznie i musiałem coś wymyślić, by zakończyć ten bezsensowny pat. Potrzebowałem więcej czasu, zamierzałem powoli, krok po kroku odebrać potworowi Czarne Słońce. W tym celu musiałem rozgryźć mechanizmy, którymi stwór związany był z gwiazdą, dowiedzieć się, w jaki sposób katalizuje i steruje procesem, jak panuje nad anomaliami i przemianą. Gdy zdobędę tę wiedzę, będę miał go w garści. Liczyłem, że Eva da mi przynajmniej kilkanaście lat, żebym dobrał się do potwora. Niestety, tak się nie stało.

Pewnego słonecznego poranka, to jest gdy strumienie tachionów łagodnie rozjaśniały nieskończoną, czarną pustkę, a superstruny tworzące osnowę czasoprzestrzeni drgały delikatnie i usypiająco, potwór ryknął niespodziewanie i natarł na mnie z ogromną siłą. Od razu wyczułem, że stało się coś złego. Energia psychokinetyczna nie płynęła, Eva nie była już przekaźnikiem, bestia odzyskała moc.

Uciekłem. Nie byłem w stanie zatrzymać potwora, który natychmiast wtopił się w strukturę Czarne Słońca, łapczywie czerpiąc energię bezpośrednio z hiperprzestrzeni. Przetwarzał drgania strun, wysysał moc z samej struktury wszechświata. Czuję, że wciąż mu mało, że ma niedosyt i przez to wzbrania się przed zakończeniem przemiany. Może to efekt fatalnego zaniedbania jego twórców, którzy nie zabezpieczyli chwiejnej psychiki Inkluzji, a może oszalał, karmiony ludzkimi umysłami?

Trzeba było wykorzystać jego psychiczną niestabilność, zagubienie i niepewność, które zaczynał okazywać. Tylko jak? Obserwowałem go z daleka, jak mentalnie miota się, szuka

zaspokojenia nienasyconego głodu. Wreszcie wyczuł coś nietypowego w hiperprzestrzeni, kolejne źródło mocy. Skoczył ku niemu jak oszalały z głodu drapieźnik.

To był otwarty tunel. Bardzo duży i niestabilny. Bestia pchnęła tam Czarne Słońce, wynurzając się w czterowymiarowej czasoprzestrzeni. Wyjrzałem z hiperprzestrzeni po raz pierwszy od miesięcy. Ujrzałem mnóstwo okrętów zajętych walką. Kilka, może kilkanaście kolosów toczyło bitwę z masą mniejszych jednostek. Statki rozsypały się na wszystkie strony, gdy tylko ludzie dostrzegli wynurzającą się martwą gwiazdę.

Rozglądałem się zaskoczony. Ogromne stacje wojenne, mnóstwo okrętów i niewielka, charakterystyczna gwiazda w oddali. Byliśmy gdzieś na obrzeżach Układu Słonecznego, jakieś cztery miliardy kilometrów od Słońca. Rzuciłem się między okręty. Ujrzałem ludzi umierających w rozbitych pojazdach, płonących żywcem i ginących w rozhermetyzowanych kokpitach. Widziałem zamieszanie panujące na okrętach uciekających przed ciężeniem Czarne Słońca. Nie byłem zbyt zaskoczony, gdy na jednym z nich znalazłem Xiu. Ta dziewczyna zawsze szukała guza i pchała się w największe zamieszanie. Upłynął ponad rok, gdy widziałem ją po raz ostatni. Nic się nie zmieniła.

Okręt, na którym się znajdowała, otaczało dziwne, nieprzenikalne nawet dla mnie pole. Dopiero gdy się wyłączyło, by wypuścić ze statku mały statek kurierski, mogłem przejść za osłonę. Zajrzałem w głąb statku i dopiero wtedy znalazłem siostrę i jej podopieczną.

Natychmiast zrozumiałem, dlaczego szkarłatny potwór odzyskał siły. Eva znajdowała się w polu tego samego typu, co statek. Nie widziałem jeszcze czegoś takiego, to musiała być całkowicie nowa technologia. Nie byłem w stanie przeniknąć w obszar przestrzeni, który obejmowała, nawet próbując się materializować z hiperprzestrzeni. Sfera całkowicie odcinała ten obszar, jakby wyłączając go z rzeczywistości. Nie zdziwiłem się, gdy na generatorach wytwarzających to pole dostrzegłem znajomy symbol przedstawiający serce. Korporacja nadal istniała i działała w przymierzu z Ziemią.

Zauważyłem, że sfera migocze. Wcześniej robiła to z tak wielką częstotliwością, że zdawała mi się całkowicie jednolita. Teraz włączała się i wyłączała w coraz dłuższych interwałach. Generatory traciły moc. Nic dziwnego, ktoś zamienił je w dymiące, pogruchothane strzępy, które działały jeszcze tylko dzięki awaryjnemu zasilaniu. Mogłem się domyślić, kto to zrobił. Oczywiście, Xiu.

Naparłem na przestrzeń, chcąc wynurzyć się z otchłani, pojawić w rzeczywistości i uścisnąć siostrę. Trzeba jej pomóc wydostać stąd Evę. Chciałem się dowiedzieć, co właściwie się dzieje. Kim jest dziwna istota towarzysząca Xiu i temu tępemu osiłkowi, Brunonowi. Miałem wrażenie, że mnie dostrzegła, zanim zdecydowałem się opuścić hiperprzestrzeń. Patrzyła wielkimi, czarnymi oczyma, choć nie mogła mnie widzieć, bo ciągle byłem po tamtej stronie. Miałem wrażenie, że ta dziwna kobieta jest tu i tam jednocześnie, jej ciało stanowiła psychokinetyczna manifestacja sprzężona

z hiperprzestrzenią. Kobieta nie była człowiekiem. Zdaje się, że wiele się zmieniło w czasie mojej nieobecności. Nowe technologie, dziwne istoty. Muszę szybko rozeznać się w sytuacji.

Zanim zdążyłem otworzyć mikrotunel i fizycznie wyjść z otchłani, coś runęło mi na głowę. Odrzuciło od czterowymiarowej czasoprzestrzeni, wciągając głęboko w hiperprzestrzeń. To nie był fizyczny byt, a psychokinetyczne oddziaływanie, jakby mentalna presja pochodząca z zewnątrz. Z trudem odepchnąłem przeciwnika i wyswobodziłem się z uścisku. Agresor znów naparł. Czułem jego zwierzęcą, niepohamowaną wściekłość, drapieżną emanację prawdziwej bestii. Co to było, do cholery?

– Zniszczymy cię, jeśli się nie poddasz! – ryknął potwór.

Skoncentrowałem się, wpatrując w strumienie neutrin nieustannie przenikających wszechświat. Przechodząc przez intruza, zmieniały tor, poddając się skoncentrowanej psychokinetycznej energii. Wtedy wreszcie go ujrzałem, a właściwie jego mentalną manifestację. Wyobrażał sobie, że jest gadem ze skrzydłami. Najeżony kolcami grzbiet i szczerząca się paszcza dopełniały kompletu. Smok jak malowany.

– Nie możemy go zabić! – ryknął gad do siebie. – Musimy się dowiedzieć, kim lub czym jest. Pojawił się razem z Czarnym Słońcem. Weźmiemy go w niewolę, może być bezcenny dla Najjaśniejszej.

– Możemy się mylić! Czuję, że jest bardzo groźny. To może być szpieg! – smok dyskutował sam ze sobą, ciągle próbując opleść mnie

swoim węzowym cielskiem. – Widziałeś? Dobierał się do tej małej, żółtej panienki, która jest przyjaciółką Kaili. Zniszczmy go!

Wszystkimi czterema ramionami złapałem za smocze gardło i mocno ścisnąłem. Gad zaatakował, chcąc chronić Xiu, tylko dlatego nie urwałem mu na miejscu mentalnego łba.

– Łapy przy sobie, smoku, bo ci łeb ukręcę! – wrzasnąłem.

Próbował mnie ugryźć i rozszarpać pazurami, ale oczywiście nie był w stanie mentalnie nawet mnie drasnąć.

– Jestem Shao, brat Xiu – wycedziłem, potrząsając gadzim łbem. – Próbuję powstrzymać tę gigantyczną anomalie przed spowodowaniem kosmicznej katastrofy. Nie wchodź mi w drogę.

Puściłem smoka, który odsunął się poza zasięg moich ramion. Nadal jednak wił się wokół, wyraźnie zirytowany.

– Jesteś tu fizycznie, to twoje prawdziwe ciało – mruknął. – Bardzo dziwne. Materia nie może przenikać do Bezmiarów. Ziemianie otwierają tunele, ale to tylko wyrwy łączące odległe punkty w czasoprzestrzeni. Podróżujące nimi okręty tylko przeskakują przez Bezmiary, wykorzystują je do błyskawicznych przemieszczeń. A ty przebywasz tu fizycznie. Jakim cudem? Przecież materia nie może znaleźć się w Bezmiarach, tu jest tylko energia, w różnych formach.

– Materia jest jedną z form energii, już w XX wieku było to wiadome. – Wzruszyłem ramionami. – Przed chwilą widzieliście, jak wynurzył się stąd obiekt astronomiczny. Nie rozumiem, dlaczego was tak dziwi moja osoba. Nie mamy czasu na lekcję fizyki, zresztą nie czuję się kompetentny do jej udzielania. Szkarłatny potwór chce

zrobić coś strasznego i musimy go powstrzymać, trzeba się śpieszyć.

Smok odsunął się, rezygnując z prób przejęcia nade mną kontroli.

– My musimy go powstrzymać? – zahuczał. – Służymy tylko Najjaśniejszej. Może to nawet lepiej, że jakiś potwór zrobi coś paskudnego w Układzie Słonecznym. Nie wydaje nam się, że będziemy chcieli mu przeszkadzać.

– Myślę, że on chce uderzyć w Słońce – powiedziałem. – Zupełnie oszalał i kompletnie nad sobą nie panuje. Pogubił się w tysiącach dusz, które pożarł. Nie wiem, co sobie wyobraża, dlaczego chce to zrobić, ale nie można dopuścić, by zbliżył się do gwiazdy. Jeśli się z nią zetknie, nie tylko dojdzie do kolizji ciał niebieskich, które zniszczy Układ Słoneczny. Stanie się coś znacznie gorszego, nastąpi fizyczny paradoks. W jednym miejscu znajdą się dwa ciała niebieskie, które faktycznie są jednym obiektem. To przeczy wszelkim prawom, dzięki którym funkcjonuje wszechświat. Potwór nie może pochłonąć energii tej gwiazdy, bo to jakby zniszczył samego siebie, zanim się narodził. Rozumiesz, gadzie? To przeczy regule przyczynowości, jest kosmicznym paradoksem. Jeśli do niego dojdzie, szlag może trafić cały ten cholerny świat!

– Rozumiemy, co on mówi? – smok spytał samego siebie. – Twierdzi, że Czarne Słońce i Słońce Ziemi to ten sam obiekt tylko przeniesiony w czasie. Tak nam się wydaje. Nie mogą się zbliżyć, bo wszechświat nie zniesie tak wielkiego bluźnierstwa przeciw regułom, które w nim rządzą. Nie mieści nam się to w głowie. Musimy porozmawiać z Kailą – schizofreniczny gad gadał sam do siebie, a ja

czekałem coraz bardziej niecierpliwie. – Zabierzemy cię do Najjaśniejszej, Shao. Wszystko jej wyjaśnisz, niech ona zdecyduje, czy mówisz prawdę i czy chcemy ratować wszechświat.

*

Mijały minuty, a ja powoli wpadałam w obłąd. Miałam ochotę wyć z bezsilności. Sfera z uwięzioną Evą trzeszczała i migotała, ale nadal nie znikwała. Zza grodzi dobiegało głucho dudnienie i wycie syren. Pewnie żołnierze szykowali się do szturm na drzwi. I co teraz? Mamy walczyć z nimi przy pomocy jednego karabinu? Jak długo potrwa, nim nas rozwalą? Pięć sekund, dziesięć? Nie więcej.

Bruno odebrał mi karabin, twierdząc, że lepiej sobie z nim radzi. Chyba się bał, że znów zacznę walić we wszystko, co mi podejdzie pod lufę. Agana kręciła się wokół sfery, próbując jej dotknąć. Chyba przyciągało ją to, czego się bała. Twardzielka. A może wariatka, wszystko jedno. Ja sama krążyłam od ściany do ściany, starając się nie patrzeć na ciało Tomasza leżące w kącie. Próbowałam zapanować nad rozsadzającym mnie gniewem pomieszanym ze strachem.

– Xiu, coś widziałam – niespodziewanie odezwała się Agana. – Jakaś istotę po tamtej stronie. Cholera, to chyba był człowiek. Fizycznie przebywał w hiperprzestrzeni! Chciał otworzyć tunel i tu wyjść, ale coś go powstrzymało.

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem. Człowiek w hiperprzestrzeni? Co tu się działo?

Nie zdążyłam dowiedzieć się więcej, bo Bruno syknął, wskazując na łoże ze sferą stazy. Opalizująca półkula rozwiała się bez śladu. Eva, leżąca w wielkim łożu, oddychała spokojnie, śpiąc smacznie. Podbiegłam do niej, pokonując salę kilkoma wielkimi susami. Przypadłam do młodej i dotknęłam jej ramienia. Dziewczynka poruszyła się, otworzyła oczy. Ziewnęła i spojrzała na mnie całkiem przytomnie.

– Miałam straszny sen, Xiu – powiedziała. – Bandyci zabili Hanę, potem spotkałam wujka Brunona, który bił się z nimi... Głowa mnie boli i chce mi się pić. Gdzie jesteśmy?

Rozejrzała się po pomieszczeniu. Rozszerzającymi się oczyma spojrzała na głupio uśmiechającego się Brunona. Poczułam, że drgnęła gwałtownie w moich ramionach.

– Xiu! To nie był sen! Stało się coś strasznego! – Eva odepchnęła mnie i wyskoczyła z łóżka. – Ja nie czuję mocy! Czerwony potwór jest tutaj. Jest bardzo blisko!

Doskoczyłam do niej i złapałam za rękę, kucając obok przerażonej dziewczynki. Staralam się mówić uspokajająco.

– Pamiętasz nasze treningi? Postaraj się skupić na jednym punkcie wewnątrz twojej głowy. Oddychaj powoli, rytmicznie. Wdech. Spokojnie, otacza cię mgła. Wydech. Ta mgła to twój strach i złość, gniew i przerażenie. Czarny punkt ją pochłania. Wdech.

– Ja naprawdę nie czuję mocy czterorękiego olbrzyma. Nie panikuję – przerwała mi, lecz już spokojniejszym tonem. – On jest blisko, potężny jak nigdy dotąd. Nie czuję jednak, by mnie szukał,

chyba nie jestem już mu potrzebna.

Uspokoila się po paru chwilach. Jej spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Agany. Ta podeszła do łóżka, patrząc na Evę uważnie. Odruchowo zrobiłam krok, cofając się przed falą anomalii towarzyszącą kobiecie.

– Nie boisz się mnie? – spytała dziewczynkę.

Eva wzruszyła ramionami. No tak, Agana spotkała drugą osobę, która zupełnie nie odczuwała fatalnych skutków jej obecności. Kobieta zdawała się niezwykle zaintrygowana. Ostrożnie dotknęła dłoni dziewczynki, a Eva zamiast stracić przytomność, jak zwykły człowiek, tylko nieznacznie się uśmiechnęła.

– Czy opowiesz mi kiedyś, jak panujesz nad mocą? Co musiałabym zrobić, by być taką jak ty? – spytała Agana.

– Przestań – syknęłam. – Nie ma na to czasu. Zresztą nigdy nie będziesz jak Eva, przecież mówiłam ci, że ona nie jest źródłem, tylko przekaźnikiem energii. Lepiej wyjrzałabyś i sprawdziła, co się dzieje na zewnątrz.

– Jesteś dziewczyną wujka Brunona? – Eva spytała niewinnie. – Widziałam cię wtedy, gdy wujek bił bandytów.

Agana wyraźnie się speszyła, ale po raz pierwszy lekko się uśmiechnęła. Jej trupio blada, upiorna twarz o czarnych ustach i oczach wyglądała przez chwilę smutno i zaskakująco ładnie. Mruknęła coś niewyraźnie i znikła.

– Agana cię polubiła, Evo. – Bruno podszedł do nas nieśmiało. – Wiesz, ona jest trochę dziwna. Ludzie się jej boją i chorują w jej

towarzystwie. Chyba tylko my dwoje dobrze ją znosimy.

– Będę dla niej miła, wujku! – Eva wyskoczyła z łóżka z nieskończoną, dziecięcą energią. – Cieszę się, że mogę cię poznać. Dużo o tobie słyszałam. Tomek wiele opowiadał, jak szmuglowaliście nielegalny towar w Czarnym Słońcu i jak szukaliście cennych złóż metali!

Bruno wyszczerzył zęby w paskudnym uśmiechu. A ja aż drgnęłam na wspomnienie Tomasza. Odruchowo spojrzałam w stronę poskręcanej kupy metalu. Korzystając z tego, że Eva skupiła się na olbrzymie, złapałam koc z łóżka i podeszłam do ciała. Przykryłam je, zanim dziewczynka zobaczyła.

– Jesteśmy w potrzasku. – Agana pojawiła się jak zwykle niespodziewanie. – Cała okolica roi się od żołnierzy. Uzbrojeni po zęby, w pełnym rynsztunku i co gorsza, sporo z nich ma tarcze stazy. Prócz Ziemi jest też grupa facetów z wyszytymi symbolami serca na kombinezonach. Do tych to nawet bałam się zbliżyć. Otoczyli cały kompleks i czekają. Jednak nie próbują się tu dostać. Widocznie paktują z Najjaśniejszą.

Skinęłam głową.

– Dowiedziałaś się czegoś jeszcze?

– Aha! Z tego, co podsłuchałam, jesteśmy na obrzeżach Układu Słonecznego – Agana krztusiła się z przejęcia. – Jest tu też flota Przymierza. Dwaj piloci na korytarzu narzekali na admirała, który nie dał rady rozwalić jej w pył, a tylko stracił masę okrętów. Chyba miała miejsce krótka, krwawa bitwa.

Przełknęłam ślinę. Kaila zdecydowała się ścigać i zaatakować Ziemian na ich terenie. Zdaje się, że nawet skopała im tyłki.

– Jest coś jeszcze. Z otwartego tunelu hiperprzestrzennego wynurzyło się coś wielkiego i paskudnego, co zmusiło walczących do zawieszenia broni – dodała Agana. – Teraz trwają pakty.

Kopnęłam ze złością zniszczony generator. Byliśmy zmuszeni czekać tu całkowicie beczynn timer. Nie cierpiałam czegoś takiego. Byliśmy kartą przetargową, czy co? I co takiego wynurzyło się z hiperprzestrzeni? Dlaczego Eva straciła moc? Co z nami będzie?

Usiadłam na łóżku, starając się powstrzymać chęć, by wrzeszczeć z bezsilności. Po chwili musiałam zająć się Evą, która nagle dostała ataku dziecięcej ciekawości. Trzeba było ją powstrzymać, by nie zainteresowała się ciałem leżącym w kącie.

Opowiedziałam młodej mniej więcej, co się wydarzyło po jej porwaniu, a potem pozwoliłam bawić się z Brunonem i Aganą, która początkowo nieśmiało, a potem już z jawną radością zajęła się dzieckiem. Zawodowa morderczyni była coraz bardziej intrygująca. Te objawy ciepłych uczuć kłóciły się z bezwzględnością i czystym złem, które potrafiła okazywać. Na wszelki wypadek nie spuszczałam jej z oka.

Eva, mimo że, jak twierdziła, nie była już przekaźnikiem energii, ciągle zachowywała całkowitą odporność na anomalie. Śmiała się i żartowała z Agany, siedząc okrakiem na karku Brunona stojącego o krok od swojej dziwnej kochanki. Ja tymczasem powoli się uspokoiłam, godząc z losem. Cokolwiek działo się na zewnątrz i tak

nie miałam na to wpływu. Po co więc się pieklić?

Czas płynął nieznośnie wolno. Godzina, dwie, wreszcie Eva się zmęczyła i usiadła przy mnie na łóżku. Bruno przycupnął w kącie pomieszczenia, opierając się plecami o generator. Agana znów rozwiąła się w powietrzu, wyruszając na kolejny rekonesans. Wróciła po dłuższym czasie, twierdząc, że na pokładzie „Wyrwisłońca” nic się nie zmieniło. Ciągłe jesteśmy otoczeni przez uzbrojonych po zęby żołnierzy, a statek ciągle manewruje, podążając za przybyszem. Ku mojemu przerażeniu Agana beztrąsko oświadczyła, że tajemniczy intruz, który wynurzył się z hiperprzestrzeni, to żelazny obiekt niewiele mniejszy od Jowisza, dawniej znany jako Czarne Słońce. Przynajmniej tak twierdzą oficerowie z mostka okrętu. Ponoć sam admirał Estreicher użył tej nazwy.

Agana była świadkiem części jego paktów z Najjaśniejszą. Wyglądało na to, że Ziemianie szykowali się do połączenia sił z flotą Przymierza. Zamierzali wspólnie działać przeciw Czarnemu Słońcu, które obrało kurs kolizyjny ze Słońcem. Admirał wszedł w konflikt z obecnymi na mostku członkami IronHeart, którzy mieli względem gwiazdy inne plany. Stary oficer kazał wyrzucić ich za drzwi. Czekał tylko jeszcze na rozkazy z Ziemi i pozwolenie na rozpoczęcie operacji.

Nie mieliśmy zatem innego wyjścia, jak czekać razem z nim. Minęła kolejna godzina, którą poświęciłam na ponure rozmyślenia. Cokolwiek się wydarzy, trudno będzie uwolnić się z łap Ziemian. Zdaje się, że zostawiono nas na później i wrócą do nas, gdy rozwiąże

się sytuacja z niespodziewaną wizytą Czarnego Słońca. Łatwo się domyślić, że sprawa wygląda groźnie, skoro Kaila tak szybko dogadała się ze znenawidzonym wrogiem. Tak czy inaczej, byliśmy zamknięci i nie pozostało nam nic innego, jak cierpliwie czekać.

Zamknęłam oczy, próbując się zdrzemnąć. Zdawało mi się, że minęło parę chwil i poczułam gwałtowne szarpnięcie. Eva potrząsała mnie za ramię. Poderwałam się na równe nogi. Stalowe wrota labu ze zgrzytem właśnie się rozsuwały. Bruno kucnął przy szczątkach generatora, unosząc karabin. Agana znikła bez śladu.

W wejściu stał oficer dość pośledniej postury w towarzystwie dwóch komandosów. Śmiało ruszyłam w jego stronę, ręką dając znak Evie, by została z tyłu. Wyglądało na to, że Ziemianie chcą gadać, skoro od razu nie zaczęli strzelać.

Oficer był niepozornym, łysiejącym mężczyzną w średnim wieku. Ubrany w lekką kamizelkę szturmową z nierzucającymi się w oczy generalskimi gwiazdami na piersi.

– Jestem admirał Estreicher – oświadczył – dowódca floty. Rząd Ziemi udzielił mi uprawnień na czas kryzysu. W tej chwili w moich rękach spoczywa pełna władza wykonawcza całego imperium. Xiu z Czarnego Słońca, zdecydowałem puścić was wolno. Niniejszym wszelkie nasze zobowiązania wobec Korporacji IronHeart uważam za nieistotne. Możecie odejść.

Zatkało mnie. Co on knuł? Po raz pierwszy od bardzo dawna zapomniałam języka w gębie. Skinęłam tylko głową.

– Twój brat czeka na Stacji Alfa, na powierzchni Czarnego Słońca.

Ponoć wiesz, gdzie to jest i łatwo tam trafisz – rzucił szczerliwie admirał. – Nasze życie spoczywa teraz w twoich rękach. Przekonano mnie, że twoja podopieczna jest jedyną szansą na powstrzymanie upiornej anomalii, która chce zniszczyć wszechświat. Przydzielę wam szybki statek zwiadowczy, byście mogli natychmiast się tam udać. Chodźcie, szkoda czasu.

Pomaszerowaliśmy razem z admirałem wprost do stojącego w głównym korytarzu wózka magnetycznego. Oficer uprzejmie wskazał mi miejsce, puszczając przodem. Pogłodził Evę po głowie i wsiadł za nami do pojazdu. Prócz dziewczynki towarzyszył mi tylko Bruno, ciągle ściskający zdobyty karabin, po Aganie nie było oczywiście śladu.

Wózek pędził przez techniczne korytarze. Podróż trwała tylko kilka minut, ale ja i tak nie mogłam usiedzieć. Shao czeka na nas na Czarnym Słońcu! Rdza mać, co on takiego naszykował?

Wjechaliśmy wprost pod trap prowadzący do niewielkiego statku. Była to szpiegowska jednostka udająca cywilny, niewielki prom. Miała owalny kształt i matowoszare burty. Od razu dostrzegłam dyskretnie ukryte w kadłubie otwory torpedowe i wysuwaną lufę działa grawitonowego.

– Sądząc po pani wyczynach z uprowadzeniem okrętu desantowego, nie będzie miała pani kłopotu z pilotowaniem tej jednostki – krótko stwierdził admirał.

Skinęłam głową i weszłam na trap. Czułam mrowienie na karku, gdy odwróciłam się tyłem do starego admirała. Oczywiście nie

wierzyłam draniowi. Wiele o nim słyszałam, dlatego miałam wrażenie, że zaraz wsadzi mi nóż w plecy. Tak po prostu puszczał nas wolno! Dobre sobie.

– Powodzenia – powiedział, salutując niedbale i odwrócił się, schodząc z trapu.

Statek naprawdę był niczego sobie, nawet kokpit miał zaskakująco wygodny i przestronny. System był wyzerowany i nie miałam kłopotów, by połączyć się z pojazdem. Usadowałam się, sprawdzając, czy Eva przypięła się do fotela. Bruno oświadczył, że idzie sprawdzić kajuty i ładownie, po czym znikł w trzewiach statku. Pojawiła się za to Agana, meldując, że starała się podsłuchać Ziemian, czy czegoś nie knują, ale niczego się nie dowiedziała.

Wyprowadziłam statek z doków, rozkoszując się łatwością, z jaką się nim sterowało. To całe wojskowe wspomaganie i dodatkowe stabilizatory działały cuda, wspaniale byłoby latać czymś takim po korytarzach Czarnego Słońca, zamiast rozklekotanym Gruchotem. Obróciłam cudeńko w miejscu i wprowadziłam je do śluzy. Pompy wyciągnęły powietrze i otworzyły się drugie wrota, wpuszczając nas do zewnętrznego portu. Brama była otwarta. Pchnęłam drażki i wyprowadziłam statek z wnętrza „Wyrwisłońca”.

– Proszę wyjść poza sektor i włączyć maskowanie – zadudnił metaliczny głos któregoś z operatorów ziemskiej floty.

Pomknęłam jak strzała w czerń kosmosu. Minęłam okręty i kilka stacji bojowych dołączających do sił Ziemian, widziałam tysiące mniejszych jednostek grupujących się w ciasny szyk. Komputer

pokładowy wyświecił też namiary okrętów Przymierza. Napływały powoli, łącząc się w formację z niedawnym wrogiem. Szykowała się gigantyczna operacja. Ciekawa byłam, jak Kaila dogadała się z Estreicherem. Pewnie nie było łatwo.

– Będą fajerwerki? – spytała Agana. – Zamierzają zaatakować Czarne Słońce?

Wskazała pulsującą bladą czerwienią gwiazdę. Czarne Słońce przygasało z każdą chwilą, odzyskując dawny wygląd kuli litego żelaza. Miałam wrażenie, że potwór zbiera siły i szykuje się do ataku. Tak czy inaczej, martwa gwiazda poruszała się stałym kursem, stopniowo przyśpieszając.

Okręty mozolnie ustawiały się w szyk, lecąc kursem równoległym do nowego wroga, w bezpiecznej odległości kilkuset tysięcy kilometrów. Okręty inwazyjne i chmara drobniejszych niszczycieli zaczęła formować rozciągniętą helisę skierowaną we wroga. Kuliste pancerniki zajmowały w niej pozycje w równych odstępach, niczym paciorki nanizane na kosmiczną spiralę. Okręty Przymierza utworzyły nad helisą parasol, ustawiając się w ciasną półsferę, z „Najjaśniejszą” w samym jej centrum, wypadającym w osi helisy. Przyglądałam się temu niezwykłemu tańcowi olbrzymów, zataczając łuk, by podejść do Czarnego Słońca z kierunku innego niż flota.

Manewry połączonych flot trwały dobre dwie godziny. Eva szybko się znudziła i zaczęła wiercić w fotelu. Agana zaproponowała, że razem z Brunonem wezmą ją na spacer po zakamarkach statku. Zgodziłam się z ulgą, bo nie mogłam już wytrzymać towarzystwa

upiornej kobiety. Od rozchodzącej się od niej anomalii łeb nieomal już mi pękł.

Tymczasem wykonałam łuk naszym statkiem i powoli zbliżałam się do Czarnego Słońca. System pokładowy meldował o zwiększonym ciężeniu, znaleźliśmy się zatem w strefie grawitacyjnego oddziaływania martwej gwiazdy. Akurat wtedy zarówno helisa, jak unosząca się nad nią półkula zaczęły się obracać. Zjednoczona flota przyśpieszała. Nieruchomo w centrum trójwymiarowej spirali tkwiło „Wyrwisłońce”, wysunięte przed szyk o dziesiątki kilometrów. Obserwowałam to widowisko z otwartymi ustami. Nieczęsto się zdarzało oglądać takie manewry.

Działa i stabilizatory grawitacyjne statków Przymierza skierowały się w oś helisy, to samo zrobiły okręty, które ją tworzyły. Domyślałam się, że wystrzelą wszystkie jednocześnie, tworząc liniową presję grawitacyjną, jakiej ludzkość jeszcze nie widziała. Jak zaczarowana gapiłam się w główny monitor kokpitu, czekając na rozpoczęcie ostrzału.

Teraz. Naszym stateczkiem szarpnęło gwałtownie. „Wyrwisłońce”, kręcąc się wokół własnej osi, rozbłysło tysiącami światel. Skierowało swą słynną grawitacyjną lancę wprost w Czarne Słońce i pokierowało wąską wiązką grawitonów wygenerowaną przez połączone floty.

Komunikaty wyświetlane przez pokładowy komputer były zdumiewające. Nie starczało skali na zmierzenie oddziaływań grawitacyjnych, a przecież wojskowe czujniki mogły rejestrować bez problemu grawitację największych czarnych dziur. Miliony gwiazd

błyszczących na czarnym niebie w mgnieniu oka zbiegły się, jakby zassane do helisy. To światło zakrzywiało się pod presją niezwykle wysokiego ciężenia. Efekt był niesamowity, jakby kosmiczną przestrzeń przeciął wpół niewidzialny miecz, deformując i zakrzywiając pustkę.

Martwa gwiazda błysnęła krwistą czerwienią, a jej fragment o średnicy setek kilometrów zapłonął białym żarem. Moim stateczkiem znów szarpnęło, poczułam falę mdłości i mrowienie skóry. W pobliżu przeszła fala uginanej przestrzeni. Czarne Słońce gwałtownie zwolniło, jakby złapane na wędkę. Z jego powierzchni uniosły się ogniste jęzory, wypluwając podłużne, wijące się kształty, które próbowały zerwać niewidoczną, grawitacyjną linę. Lanca wbiła się w Czarne Słońce, tworząc jakby grawitacyjne lasso, które uwięziło gwiazdę, zatrzymując je w miejscu. Przestrzeń wzburzała się od szarpiących nią niesamowitych wyładowań energii.

Drgające kształty odrywające się od pulsującej czerwienią gwiazdy wydały mi się dziwnie znajome. Żelazniaki! Całe setki, może nawet tysiące, kłębiły się wokół strefy, gdzie wiązka grawitonów wbiła się w materię Czarne Słońca. Czy przyciągały je fale energii, czy kierowały nimi rozkazy szkarłatnego potwora? Próbowały zerwać linę, czy przeciwnie? Nie miałam pojęcia. Stabilizatory i działa grawitacyjne pracowały z pełną mocą, utrzymując szalonego potwora w ryzach. Wiedziałam, że to nie potrwa wiecznie. Reaktory okrętów stracą moc i lancę trzeba będzie wyłączyć. Cokolwiek zaplanował Shao, wiedziałam, że muszę się śpieszyć.

Sprawdziłam, czy elektromagnetyczny kamuflaż ciągle działa, i skupiłam się na poszukiwaniu znajomych kształtów na powierzchni martwej gwiazdy. Znalazłam je po kilkunastu minutach. Baza Alfa, ostatnie miejsce na powierzchni Czarnego Słońca stworzone ludzką ręką. Jakimś cudem nie uległa zniszczeniu w czasie przemiany. Może porzucona przez ludzi nie stanowiła dla szkarłatnego potwora nic wartego uwagi? Weszłam na bezpośredni kurs do bazy i zaczęłam przygotowywać statek do lądowania.

Wracałam do domu.

*

Rozstrzygnięcie zbliżało się z każdą chwilą. Nie miałem czasu na szczegółowe badanie mechanizmów rządzących potworem, skoro zaraz musiałem ostatecznie zniszczyć drania albo polec w walce. Tak czy inaczej, wreszcie się to skończy.

Patrzyłem na Xiu prowadzącą za rękę dziewczynkę. Bruno szedł dwa kroki przed nimi, trzymając wielki karabin gotowy do strzału. Widziałem też niematerialne widmo unoszące się nad całą trójką, hiperprzestrzenny, tajemniczy byt psychokinetyczny, który nazywali Aganą.

– Jakim cudem cała ta stacja nie została jeszcze sprasowana na miazgę? Jak się to trzyma kupy, przecież tu panuje potężne ciśnienie – zadudnił smok, wijąc się po korytarzach Alfy.

Schizofreniczny gad o dwóch umysłach towarzyszył mi jako

reprezentacja sił Przymierza. Zresztą sam prosiłem Najjaśniejszą o pomoc, zamierzałem wykorzystać każdą przewagę, by zaskoczyć szkarłatnego potwora.

– Stabilizatory grawitacyjne ciągle są sprawne, do tego także systemy podtrzymania życia – odparłem. – Zasilanie nadal działa. Stacja ma reaktor fotonowy napędzany rdzeniami z materiału promieniotwórczego stworzonego w laboratoriach IronHeart. Paliwa starczy jeszcze na dwieście lat ciągłej pracy.

– Hm. Kolejna zdumiewająca technologia opracowana przez Korporację. – Smok z podziwem pokiwał łbem. – Sukinsyny, potrafią nas zaskoczyć. Narobili sporego zamieszania z niewidzialnymi agentami i tymi tarczami stazy. Musimy zapamiętać, że jeśli przeżyjemy, trzeba w przyszłości mieć ich na oku.

– Wiele z technicznych nowości nie zdążyło opuścić korytarzy martwej gwiazdy, sporo znajdowało się w trakcie testów, choćby ten nowatorski reaktor. – Wzruszyłem ramionami.

– No dobra – mruknęła bestia. – A teraz powiedz, cyborgu, po co ściągnąłeś tu Xiu z dzieckiem? I do czego jesteśmy ci potrzebni?

– Potwór znaczną część energii wykorzystuje do siłowania się z grawitonowym lassem, które zarzuciły połączone floty. To ostatnia okazja, by dobrać mu się do tyłka. Zniszczę go.

– Tak po prostu? To do czego jesteśmy potrzebni? – spytał smok.

– Bestia nadal przewyższa mnie umiejętnościami i siłą. Pomożesz mi go zgładzić. Powiem ci, w jaki sposób.

– Mam nadzieję, że to będzie walka godna naszej śmierci. – Gad

skinął łbem.

Moja siostra dotarła do centrum stacji. Razem z towarzyszami wkroczyła na wielki plac zawalony rupieciami i pakunkami z dobytkiem porzuconym przez uciekających w panice. Całkowitą ciszę zakłócało tylko dudnienie wojskowych buciorów Brunona na metalowej posadzce. Dziwnie pusto tu było bez rojących się, hałaśliwych tłumów. Eva wrzasnęła, gdy wśród stert porzuconego ekwipunku i śmieci natknęła się na zasuszonego trupa. Nie zdążył na ostatni prom? A może został z własnej woli? Kto wie.

Skoncentrowałem się, napierając na czasoprzestrzeń i z trudem wynurzyłem w rzeczywistości. Dziś to już drugi raz. Za pierwszym musiałem zrobić pokaz przed admirałem ziemskiej floty, by go przekonać i nakłonić do współpracy. Znowu poczułem przeszywający ból, gdy na zmysły runęła lawina zapomnianych doznań. Odzwyczaiałem się od prawdziwego, materialnego życia. Poruszyłem czterema ramionami, sprawdziłem systemy operacyjne. System nadal działał, jakby nic się nie stało, jakbym przez ponad dwa lata nie przebywał w hiperprzestrzeni.

Xiu krzyknęła i podbiegła do mnie. Niepewnie położyła dłoń na moim pancerzu. Uśmiechała się przez łzy. Nie wierzyła, że jeszcze kiedyś mnie zobaczy.

– Cześć, siostrzyczko – powiedziałem, smakując mój metaliczny głos. – Nie dyskutuj, tylko słuchaj i choć raz zrób, co mówię. Potrzebuję pomocy Ewy, by znowu utworzyć z nią energetyczny układ i sprowokować potwora do konfrontacji. Nie staraj się ingerować

w to, co będzie się tu działo. Jeśli się uda, zabierzesz Evę i uciekniecie jak najdalej stąd. Admirał Estreicher wysłał szwadron szperaczy, które czają się na orbicie Czarnego Słońca, by w odpowiedniej chwili znów was przejąć. Na statku zamontowano nadajniki pozwalające łatwo was namierzyć. Już je zniszczyłem. Ziemianie cię nie dopadną. Chyba dasz radę im zwać? I pamiętaj, nie ufaj nikomu. Jasne? Nikomu.

Xiu skinęła głową, a ja obróciłem się do stojącego z boku Brunona.

– Zajmij się nimi – powiedziałem, na co stary żołnierz krótko skinął głową. Przynajmniej jemu nie trzeba było wszystkiego powtarzać sto razy. Na koniec zwróciłem się do Ewy: – Będę potrzebował twojej pomocy, królewno. Czy wesprzesz mnie w walce ze szkarłatnym potworem?

Dziewczynka z bardzo poważną miną wyciągnęła do mnie rękę. Złapała za stalowy palec jednej z moich mechanicznych dłoni.

– Nie martw się, Xiu. – Spojrzała na moją siostrę. – Dam sobie radę. Schowajcie się. Potwór tu nadchodzi.

Bruno złapał Xiu pod ramię i pociągnął pod ścianę zamykającą plac. Przycupnęli przy wejściu do tunelu prowadzącego do doków. Spojrzałem w twarz Ewy, która uśmiechała się niepewnie. Bez dalszych komentarzy pchnąłem w nią strumień energii, znów tworząc obwód z potworem. Dziewczynka w jednej chwili rozbliła oślepiającym, krwawym blaskiem. Natychmiast przetwarzała energię, promieniując ją z powrotem w hiperprzestrzeń. Powietrze wokół niej zafalowało, jakby rozgrzane do ogromnej temperatury. Czerpałem moc potwora bez zahamowań, z całych sił. Prawie natychmiast

poczułem jego ból i wściekłość. Musiał w tej chwili walczyć z dwiema siłami naraz. Z grawitacyjną presją i z łapczywą kradzieżą energii z drugiej strony.

Przestrzeń o kilka metrów od nas wybrzuszyła się i rozdarła. Cały plac skąpał się w szkarłatnym blasku pulsującym rytmicznie niczym uderzenia serca. Potwór znów przybrał z grubsza humanoidalną postać. Miał z pięć metrów wzrostu, czyli przewyższał rozmiarami nawet mnie, górniczego cyborga. Jego ciało migotało jak kiedyś, zmieniając kontury kilka razy na sekundę. Poruszał się jednak z niebywałą gracją, płynnie i lekko.

Przekrzywił głowę, jego twarz nieustannie zmieniała się, ukazując ludzkie i obce oblicza lub szkaradnie wykrzywione paszcze.

Doskoczyłem do niego, obejmując w zapaśniczym uścisku. Napał na mnie, rycząc wściekle i wyciągając łapy w kierunku dziewczynki. Eva stała nieporuszenie, precyzyjnie tłocząc energię potwora w hiperprzestrzeń, gdzie czekał smok. Bestia nie najgorzej radziła sobie z psychokinetką, powinna kierować odebraną moc w ciągle otwarty tunel. Utrzyma go dzięki temu wystarczająco długo, by grawitacyjne lasso pociągnęło Czarne Słońce i wepchnęło je z powrotem w hiperprzestrzeń. Oczywiście, jeśli Estreicher i Najjaśniejsza dotrzymają umowy. Myślę, że mimo wzajemnej nienawiści jednak to zrobią, inaczej w Układzie Słonecznym dojdzie do katastrofy.

Bestia znów próbowała mnie rozerwać na strzępy. Aktywowałem moc żelazniaczą, zamieniając się w wielowymiarową aberrację, by

ścisnąć drania jeszcze mocniej. Mimo to wymknął mi się bez problemu i odskoczył w bok. Wcale nie próbował mnie zniszczyć, chciał tylko sprowokować do przemiany w miniaturowego Żelaźniaka, by korzystając z chwili dekoncentracji wyrwać się z blokady. Zastąpiłem mu drogę do Ewy, ale on zamiast do niej pomknął w kierunku Xiu i Brunona.

Stary wojak uniósł karabin i zaczął strzelać w nadlatującego potwora. Xiu siedziała na ziemi, szeroko otwartymi oczyma patrząc na wroga. Chyba efekty anomalii odebrały jej siły. Wrzasnąłem jednym głosem razem z Ewą. Skoczyłem za potworem, wiedząc, że i tak nie zdążę.

Wtem na jego drodze, znikąd, pojawiła się upiornie blada dziewczyna, znajomy hiperprzestrzenny byt. Wykrzywiła usta w złym uśmiechu i skoczyła. Potwór zatrzymał się w miejscu, błyskając krwawym blaskiem. Kobieta, wrzeszcząc, wtopiła się w szkarłatną bestię. Widziałem, jak postacie wijące się w krwawym ciele oplatają i szarpiają Aganą, jak próbują pożreć nową duszę. I nie mogą.

Zwolniłem, patrząc na to ze zdumieniem. Ta kobieta musiała być podobna do potwora. Tak jak on zespolony był z Czarnym Słońcem, zarówno ciałem, jak i duszą, tak ona w ten sam sposób została zapisana w hiperprzestrzeni. Jedno i drugie było fizycznie niezniszczalne, chyba żeby odciąć je od źródła energii. Kobietę można odizolować od hiperprzestrzeni choćby tym nowym polem, które potrafią wytwarzać Ziemianie. A jak odciąć szkarłatnego potwora od Czarnego Słońca? Aż zadrzałem. Odpowiedź była bardzo prosta.

– Smoku! Jesteś tu? – wrzasnąłem i wyłączyłem przemianę żelazniaczą, znów stając się zwykłym cyborgiem.

Natychmiast poczułem obecność schizofrenicznego umysłu gada z „Najjaśniejszej”.

– Czego chcesz, Shao? – wycharczał. – Mów szybko. Nasze ciała gniją w Leżach, nasze umysły cierpią coraz bardziej. Energia nas wypala. Zaczynamy się gubić, tracimy siły.

– Potrafiłbyś mentalnie pokierować ludzkim umysłem? – spytałem, maszerując w kierunku potwora walczącego z Aganą.

– Ha! Głupcze, przecież my nic innego nie potrafimy. Cała nasza robota to kierowanie umysłem psychotrona. Teraz poszliśmy dalej, zagubiliśmy się i połączyliśmy z Erinem w jedno.

Odbiłem się w potężnym susie i spadłem wprost na szkarłatnego potwora. Tłukłem go ciosami swoich stalowych ramion. Bestia rozzarzyła się, świecąc atomowym, krwawym ogniem. Objęła mnie jednym z ramion, ogarniając płomieniami. Czułem, jak mój stalowy pancerz się topi.

– Zaraz zginę – powiedziałem. – Zabierz mnie, smoku, i wepchnij w tę cholerną gwiazdę. Wbuduj mój umysł w jej strukturę.

– Trudne, ale da się zrobić – mruknął smok. – Tylko że tak duży wysiłek z pewnością nas zabije. Niech się stanie. Wiemy, że polegniemy w chwale. Skup się, cyborgu, uwolnij swoją ludzką duszę.

Płonąłem. Dwa z moich ramion były już bezużytecznie żarzącymi się kikutami. Stałem tylko dlatego, że potwór obejmował mnie z całych sił. Czułem, że chce mnie pożreć, ale walcząca z nim kobieta

całkowicie blokuje jego umysł. Ogarnęła nas kolejna przesywająca fala żaru. To Eva skierowała w potwora skondensowaną falę mocy. Zamknęła układ, rażąc bestię jego własną energią.

Ból odbierał mi przytomność. Gasły kolejne moduły mojego ciała. Przestałem widzieć i słyszeć. Skupiłem się, mój umysł ogarnęła tylko jedna, spolaryzowana myśl.

A potem umarłem.

Szarpnęło, gdy smocze kły zagłębiły się we mnie. Czułem chaos panujący w umyśle bestii. Ona też umierała. Skoncentrowała się na ostatnim wysiłku, wbudowując mój umysł w Czarne Słońce. Byle tylko starczyło jej sił.

Nie istniała inna droga, by zniszczyć potwora. Trzeba było odciąć go od źródła, wymazać z macierzy, w którą był wpisany. Jedyna możliwość, by to zrobić, to zastąpić go innym umysłem.

Moim.

*

Zemdlałam w chwili, gdy Shao skoczył na potwora walczącego z Aganą. Wstrząs od fal anomalii był ponad moje siły. Oprzytomniałam, gdy Bruno chwycił mnie za ramię, stawiając na nogi.

– Zabieramy się stąd, mała – mruknął.

Rozejrzałam się, walcząc z oszołomieniem i mdłościami. Agana razem z Evą, która już nie świeciła, klęczały przy żarzącym się

kłębowisku metalu. W powietrzu unosił się smród spalenizny i dymu.

– Co się stało? – spytałam.

– Twój braciszek chyba rozwalił Inkluzję – krótko stwierdził Bruno. – Niestety, niewiele z niego po tym zostało.

Mało nie osunęłam się z powrotem na ziemię. Tylko stalowy uścisk wielkiego łapska Brunona powstrzymał upadek. Miałam dość. Nie czułam już nawet gniewu. Wypełniał mnie tylko smutek. Shao poległ. Nie miałam sił, by podejść do jego ciała i się z nim pożegnać.

Eva spojrzała na mnie i pomachała ręką. Podbiegła do Brunona. Agana patrzyła chwilę na szczątki i też ruszyła w naszym kierunku.

– Shao zaatakował bydlaka, kiedy ten zajęty był Aganą – powiedział Bruno. – Ale potwór objął go swoim ogniem i spalił. Sam też rozżarzył się do białości i po tym, jak Eva skierowała na niego strumień czerwonego światła, sczeźł razem z cyborgiem.

Poczułam, jak Eva łapie mnie za rękę i ściska mocno. Stałam jak zamurowana.

– Musimy uciekać, Xiu – powiedziała dziewczynka. – Shao stał się nową Inkluzją, nową duszą Czarnego Słońca, ale dla nas nie ma tu miejsca. Gwiazda niedługo zostanie wepchnięta z powrotem w hiperprzestrzeń.

– Co ty mówisz? Shao nie zginął? – Otrząsnęłam się w mgnieniu oka.

– Zajął miejsce potwora. Teraz jest Czarnym Słońcem. Celowo się poświęcił. Czułam, jak smok z „Najjaśniejszej” porywa jego umysł i wpisuje w linie łączące potwora z gwiazdą. Shao odciął potwora od

źródła. Wykorzystałam tę chwilę i spaliłam drania. Był tak zaskoczony, że nie zdołał się obronić ani uciec do hiperprzestrzeni. Zostało z niego tyle.

Eva podsunęła mi pod nos dłoń, na której leżał niewielki kawałek czarnego żelaza z połyskującą w jego wnętrzu czerwoną skazą.

Niewiele pamiętam z naszego biegu do lądowiska. Zapadło mi w pamięć tylko łomotanie butów odbijające się echem po pustych korytarzach. Bruno ciągnął mnie za ramię. Po drodze jakoś doszłam do siebie, przynajmniej na tyle, by zasiąść za sterami. Wiedziałam, że jak wpadnę w rytm pilotowania, szybko dojdę ze sobą do ład.

Wpadliśmy na pokład naszego statku, a ja natychmiast wystartowałam, podpinając się do systemu już w locie. Włączyłam maskowanie i po paru chwilach poderwałam statek z powierzchni Czarnego Słońca. Silniki błysnęły pełną mocą, by pokonać ciężenie martwej gwiazdy. Odskoczyliśmy w ostatniej chwili.

Połączone floty rozsypały się, znów dzieląc na dwa obozy. Tysiące statków nie stanowiły już zwartej szyku, okręty Przymierza opuściły armadę i gnały w kierunku ciągle otwartego tunelu. Na kadłubach okrętów migotały reflektory i światła sygnalizacyjne. Widziałam też płonące ciała Żelazniaków pędzących w stronę oddalającej się gwiazdy. Wokół wirowały porozrywane szczątki statków i setki zniszczonych myśliwców. Było zdecydowanie zbyt tłoczno jak dla mnie.

Czarne Słońce zanurzyło się w kolosalnej anomalii i wpadło w hiperprzestrzeń. Mój statek był już ze dwieście tysięcy kilometrów

od niego, kierując się do „Najjaśniejszej”. Czułam, że Ziemianie nie zrezygnują. I nie myliłam się. Komputer zasygnalizował wykrycie sześciu obiektów lecących moim kursem i zbliżających się całkiem żwawo.

– Niech to rdza, doganiają nas! – warknęłam.

Na ogonie siedziały mi jednostki pościgowe i wiedziałam, że raczej nie dam rady im uciec. Słyszałam o nich wiele złego, szybkość i duża siła ognia były ich podstawowym atutem. Zaczną strzelać, gdy tylko znajdziemy się w zasięgu. Uszkodzą napęd i przejmą okręt. Żegnaj, wolności, witaj, służbo śledcza, witajcie, pokoje przesłuchań i farmakologio tortur.

„Najjaśniejsza” była już tak blisko. Bruno i Agana mówili coś, ale nie słuchałam. Po ostatnich przejściach byłam ledwie przytomna. Wpadłam w amok. Wyłączyłam tarczę, zdjęłam maskowanie i uruchomiłam system łączności. Wywołałam „Najjaśniejszą”, żądając natychmiastowego kontaktu z Kailą. Odezwała się prawie od razu. Na centralnym ekranie kokpitu zabłysła złota maska.

– Potrzebuję pomocy, Kailo – powiedziałam. – Bandyci siedzą mi na ogonie. Zrób coś!

– Cieszę się, że żyjesz – odpowiedziała. – Czy Evie nic się nie stało?

No jasne, przecież chodzi jej przede wszystkim o dziewczynkę, a właściwie o jej umiejętności. Zrobi wszystko, by je zdobyć.

– Nic jej nie jest, siedzi obok mnie. – Zmusiłam się do niewinnego uśmiechu. – Wyślesz nam wsparcie?

– W tej chwili startuje szwadron myśliwców – odparła Kaila. – Przejmą was za trzy minuty. I to by było na tyle, jeśli chodzi o rozejm. Kiedy wejdziecie na orbitę „Najjaśniejszej”, natychmiast kierujemy się do korytarza. Zabieramy was i wracamy do mgławicy.

Skinęłam głową i przerwałam połączenie.

– Zamierzasz wrócić na „Najjaśniejszą”? – spytała Agana. – Nie bądź głupia. Wiesz, że tej wiedźmie zależy tylko na dziecku. Wciągnęła Przymierze w tę awanturę nie ot, tak sobie. Musiała obiecać coś innym kapitanom. Chyba domyślasz się co?

– To mam może poddać się Ziemianom? – warknęłam.

Przy okazji zorientowałam się, że obecność kobiety nie powoduje u mnie fatalnych mdłości i bólu głowy. Chyba zaczynałam się na nią uodparniać.

Komputer właśnie wyświetlił informacje, że zostaliśmy namierzeni przez systemy bojowe ścigaczy. Syknęłam, szarpnęłam drążek, wchodząc w beczkę. Dwie fotonowe torpedy pomknęły w pustkę, o włos mijając pancierz naszego statku. Uf, tym razem się udało, jednak im wróg będzie bliżej, tym trudniej będzie uniknąć trafienia. Zerknęłam na ekran migający wezwaniami Ziemian do nawiązania kontaktu. Nie zamierzałam z nimi gadać. Niech mnie cmokną.

Zawróciłam po ciasnej pętli, uruchamiając działo grawitonowe. Błysnęły srebrne, wąskie pancerze kilku ścigaczy, gdy mijaliśmy je w szalonym pędzie. Zawróciłam po raz kolejny i wystrzeliłam trzy pociski praktycznie bez celowania i namierzania. Błysnęła tarcza stazy jednego z przeciwników, a sam statek drgnął, jakby natrafił na opór

i gwałtownie zmienił kurs, wypadając z szyku.

– Nieźle, mała! – entuzjastycznie wrzasnęła Agana. – Zabij sukinsynów!

Na ekranie zamigotały pomarańczowe wektory zbliżającej się chmary myśliwców. Byli w zasięgu! Błysnęły pierwsze laserowe wiązki. Obróciłam statek i pognałam na spotkanie zbliżającej się odsieczy.

Minęłam myśliwce i skierowałam się wprost do „Najjaśniejszej”, pozostawiając szwadronowi rozprawianie się z Ziemianami. Obraz okrętu wypełnił ekran. Zamigotały światła otwierających się grodzi. Wycelowałam w nie statek. W ostatniej chwili zmieniłam kurs, lecąc tuż nad powierzchnią okrętu. Uruchomiłam pełne szpiegowskie maskowanie.

Kaila zapragnęła nawiązać kontakt po jakiejś minucie. Szybka była. Poczekalam z odpowiedzią parę chwil, patrząc, jak „Najjaśniejsza” zbliża się do wlotu ciągle otwartego, wielkiego korytarza hiperprzestrzennego. Wreszcie zaakceptowałam połączenie. Kaila pokazała się bez maski. Jej twarz wykrzywiał grymas złości.

– Co się dzieje, Xiu? Co ty wyprawiasz?

– Chciałam się pożegnać i podziękować za gościnność i pomoc – powiedziałam, siląc się na grzeczność. – Kondolencje z powodu straty Erina. Przykro mi.

– Dlaczego to robisz? – spytała.

– Wolalabym nie doświadczyć twego gniewu na żywo. – Byłam wcieleniem niewinności, uśmiechałam się łagodnie. – Tak się składa,

że Eva straciła moc. Wraz ze zglądzeniem szkarłatnego potwora stała się zwykłą dziewczynką. Do niczego nie przyda się ani wam, ani Ziemianom. Miałam nadzieję, że tak się kiedyś stanie, i wykorzystałam cię z pełną premedytacją.

– Xiu, do cholery! – warknęła Kaila. – Co ty mówisz? Umiejętności Evy? Wiesz, ile dla was poświęciłam, ile zaryzykowałam? Straciłam najbliższą osobę, zginęła masa ludzi! Co ja teraz powiem kapitanom Przymierza? Jak się wytłumaczę? Xiu, zabiję cię...

– Tym razem przegrałaś, Kailo. – Wzruszyłam ramionami. – Nie wściekaj się tak, to nic nie da. Lepiej skup się na tym, jak zakończyć konflikt z Ziemianami. – Znow się uśmiechnęłam niewinnie jak aniołek. – Żegnaj.

Zerwałam połączenie. Strapiona twarz na ekranie zamigotała i znikła.

– Brawo – z podziwem mruknęła Agana. – Tylko jak teraz zwiejemy?

Mrugnęłam do niej zawadiacko i mocniej pchnęłam dźwigni. Statek pomknął tuż nad pancierzem „Najjaśniejszej”. Pędziliśmy coraz szybciej i szybciej. Nieregularna powierzchnia okrętu migotała w ekranie z oszałamiającą prędkością. Gdy wreszcie nad horyzontem statku pojawiła się opalizująca krawędź nadprzestrzennego tunelu, przechyliłam statek pod ostrym kątem. Dodatkowo pchnięty grawitacyjnym oddziaływaniem „Najjaśniejszej” wystrzelił jak fotonowa torpeda. Wprost w korytarz. Teraz już nic nie było w stanie

nas zatrzymać.

Niebo Układu Słonecznego, błyszczące tysiącami światła, rojące się od wojennych okrętów dwóch flot, zamigotało i znikło. Zapadła absolutna ciemność.

Weszliśmy w hiperprzestrzenny tunel.

Epilog

Wyszliśmy po drugiej stronie. Ekran, który po wejściu w hiperprzestrzeń zrobił się całkowicie czarny, rozbłysnął nagle masą gwiazd, choć większą część nieba zajmował kanciasty, podłużny kształt. Z ciekawością patrzyłam na stację podrózną migoczącą milionami kolorowych światełek. Razem z Xiu odwiedziłyśmy kilka takich obiektów w trakcie podróży do Mgławicy Czarownicy. Całkiem fajnie było na takiej stacji. Lubiłam patrzeć na tłum ludzi i cyborgów z całej Galaktyki, choć po jakimś czasie robiło się nudno. Wszyscy gdzieś się śpieszyli. Nie mogłam poznać żadnej nowej koleżanki, bo podróżni biegiem przesiadali się z jednego statku do drugiego. Xiu twierdziła, że to nawet lepiej, bo nikt nie wyśledzi nas w takim tłumie i zamieszaniu.

Wolałam już podróżować statkiem. Jeśli nawet nie było na nim dzieci, to mogłam pozaczepiać członków załogi. Zawsze znajdował się marynarz, który opowiadał ciekawe historie.

– Gdzie jesteśmy? – Agana zwróciła się do Xiu.

– Przy stacji „Delphion”, jakieś pół tysiąca lat świetlnych od Ziemi. – Wiedźminka wypięła się z portu, wstała z fotela i przyciągnęła się, wzdychając z ulgą. – System tego statku ma namiary na osiemset znaczników grawitacyjnych prowadzących do punktów rozrzuconych po całej Galaktyce. Wszystkie znajdują się

przy węzłach tranzytowych należących do Ziemi. Możemy skoczyć do któregoś z nich. Na początek wybrałam losowo jeden z większych, by zmylić ewentualny pościg.

– Pięknie – mruknęła Agana. – Możemy polecieć na wycieczkę po Drodze Mlecznej. Tylko że pewnie będą ściągać nas służby śledcze i wszyscy kapusie w kosmosie.

– Nie sądzę, by robili to zbyt intensywnie. – Xiu wzruszyła ramionami. – Zadbałam, by moja rozmowa z Kailą poszła na otwartym kanale. Ziemianie z pewnością ją odebrali. Wiedzą, że Eva nie przedstawia już dla nich strategicznej wartości. Teraz może być interesująca jedynie z naukowego punktu widzenia, na przykład dla psychologów albo ludzi mających kontakt z anomaliami i niezwykle zaawansowaną technologią. Srał ich pies, bałwanów. Podejrzewam, że na liście poszukiwanych spadliśmy mocno w dół. Nie musimy specjalnie się ukrywać, nie ma obawy.

– Dokąd zatem nas zabierzesz?

– Czy ja wiem? – Xiu podrapała się po głowie. – Gdzieś, gdzie łatwo znajdę robotę. O fachu wiedźmina mogę zapomnieć, a trzeba z czegoś żyć. Choć ten stateczek wart jest fortunę. Hmm. Może polecimy do kolonii przy Sagittariusie. Potrzebują tam pilotów do obsługi siatki wychytującej energię parowania czarnej dziury. To taka eksperymentalna elektrownia. Trzeba naprawdę umieć latać, żeby poradzić sobie w pobliżu burz szalejących na horyzoncie zdarzeń. Albo zadekujemy się pod samym nosem Ziemian, mogę nająć się do hiperelektrowni w chmurach Jowisza. Poszukiwani są piloci, którzy

potrafią radzić sobie w skrajnie niebezpiecznym środowisku, wiecie, ciśnienie – miliony atmosfer, burze wodoru, no i piraci. Trzeba mieć jaja, by tam latać.

– To akurat coś dla ciebie – mruknęła Agana.

– Albo wolne kolonie w układzie Spartakusa. Potrzeba im przewoźników transportujących żywność i towary przez chmury asteroid, od których gęsto tam jak cholera – Xiu dalej głośno rozmyślała. – Moglibyśmy też zostać przemytnikami, właściwie w którymkolwiek ze świeżo zaludnionych obszarów.

Agana pokręciła głową i podeszła do śpiącego Brunona. Potrząsnęła nim delikatnie i czule.

– Chodź, znajdziemy sobie jakąś wygodną koję – szepnęła i odwróciła się do Xiu. – Nie ma co się śpieszyć z decyzją. Lepiej dobrze to przemyśl, bo obawiam się, że Bruno będzie się upierał, by ci towarzyszyć. Przysiągł się wami opiekować, dureń, a ja przecież go nie zostawię. Jest taki bezbronny...

Uśmiechnęła się do przecierającego oczy wielkoluda, który w odpowiedzi wykrzywił swoją toporną twarz w szczęśliwym uśmiechu. Po chwili oboje znikli w korytarzu prowadzącym do kajut.

– A ty dokąd chciałabyś polecieć? – Xiu zwróciła się do mnie.

– Wszystko mi jedno, byle być blisko ciebie. – Wzruszyłam ramionami.

– No tak, zapomniałam, że trzeba zadbać o twoje wychowanie, posłać cię do szkoły. – Wiedźminka miała zakłopotaną minę. – Nie mogę też niepotrzebnie narażać cię na niebezpieczeństwa. Będę

musiała sobie wybić z głowy te awanturnicze pomysły. Polecimy tam, gdzie jest spokojnie.

– Coś ty, Xiu – parsknęłam. – Nie jestem dzieckiem, mam już jedenaście lat!

– Rzeczywiście, to poważny wiek. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Jesteś już doświadczoną kobietą i możesz sama o sobie decydować. Szkoła nie jest ci potrzebna, razem ze mną pójdziesz do jakiejś roboty i pomożesz zarobić na utrzymanie.

Żartowała sobie ze mnie, żółta wiedźma. Odpowiedziałam równie złośliwym uśmiechem i wyciągnęłam do niej rękę. Zmrużyłam oczy, skupiając się z całych sił. Obraz zasnęła czerwona mgiełka, która po chwili wsiąkła w powietrze, wyostrzając do granic możliwości wszystko, co widziałam. Miałam teraz cały świat jak na dłoni, czułam każdy ruch powietrza, każde drgnienie miliardów sznureczków, z których tak naprawdę wszystko jest zbudowane. Skupiłam się na nich, czerpiąc ciepło.

Xiu wytrzeszczyła oczy, patrząc na mnie wpierw z zaskoczeniem, a potem z rosnącą grozą. Zachichotałam i jednym ruchem uniosłam ją w górę. Obróciłam nią w powietrzu tak, że przez chwilę wisiała głową w dół, potem posadziłam w fotelu pilota.

– Do usług – dygnęłam jak grzeczna dziewczynka. – Mogę pomóc ci w robocie, kiedy tylko zechcesz.

– Jak to zrobiłaś? Przecież nie ma już potwora, nie ma... – Xiu patrzyła na mnie z głupią miną.

Wskoczyłam w sąsiedni fotel pilota, nie mogąc powstrzymać

chichotania. Ale zabawa!

– Nie potrzebuję już pomocy Shao, sama potrafię to robić. Sporo się nauczyłam, przecież sama mówiłaś, że szybko się uczę. – Xiu z jękiem złapała się za głowę. Pewnie bała się, że znów będą przeze mnie kłopoty. – Nie martw się! Nikomu nie powiemy, że potrafię takie rzeczy. To będzie nasza tajemnica.

Przyłożyłam palec do ust, a Xiu tylko pokręciła głową. Zrobiłam zeza, wiedząc, że zawsze ją to bawiło. Uśmiechnęła się nieznacznie, ale oczy ciągle miała zatroskane.

– No nie martw się, nie będę tego więcej robić, obiecuję – powiedziałam. – Pokaż mi lepiej, jak steruje się statkiem. I powiedz, kiedy zrobimy mi taki sam wszczep w karku, jak u ciebie? Co się tak patrzysz? Ja też chcę być pilotem!